

Posłaniec Świtu

Jocelynn Drake

Książka III z Dni Mroku



calibre 0.9.43

Dni Mroku Księga 3 Posłaniec Świtu

Dni Mroku [3]

Jocelynn Drake

AMBER (2010)

POŚLANIEC ŚWITU

Dni mroku

Księga 3

Rozdział 1

Zapisać opony. Minęliśmy róg ponad osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, ślizgając się na zakręcie. Oparłam się o fotel kierowcy i mocno zacisnęłam zęby, przełykając następne przekleństwo, kiedy Knox o mało nie zderzył się z zaparkowanym samochodem, wioząc nas kolejną ulicą osiedla. Inne opony zapisały tuż za nami - ford mustang zaczął

nas doganiać.

- Wyjedź w końcu z tego miasta, do cholery! - wrzasnęłam na Knoxa. Przy takiej prędkości narażaliśmy się na wypadek, ale ponieważ naturi nas doganiali, nie mogliśmy zwolnić. Musieliśmy wydostać się z miasta, zanim kogoś potrącimy albo policjanci z Savannah w końcu zauważą dwa wozy pędzące na złamanie karku.

- To nie takie proste! - odchrząknął Knox. Obiema dłońmi ścisnął kierownicę tak mocno, że zbieleły mu kostki. - Wyjeżdżamy z centrum, poza tym kazałaś mi ich zgubić, a nie wyjeżdżać z miasta.

- No to każę ci teraz. Spadajmy stąd. Zaraz kogoś zabijesz.

- Najprędzej nas - dodała z tylnego siedzenia Amanda. Blond wampirzyca siedziała koło Tristana, który najwyraźniej niezbyt się przejmował. Oczywiście bywał już ze mną w większych tarapatkach i jakoś wychodził z nich cało.

- Nie pozabijam was - rzucił ze złością Knox, biorąc następny zakręt z wariacką prędkością. - To bmw M3. Wyścigowy wóz dla znudzonych bogaczy. Nic mu nie będzie.

- Nie, Knox, powiedz, co naprawdę myślisz - warknęłam. Bmw należało do mnie.

Postanowiłam powierzyć kierownicę Knoxowi, kiedy zauważyłam naturi śledzących nas na River Walk: wiedziałam, że mogą mi się przydać wolne ręce, jeśli nie zdołamy ich zgubić.

Wyciągnęłam spluwę ze schowka i sprawdziłam magazynek.

- Wiem, o co ci chodzi. - Nocny wędrowiec zerknął na mnie, a kącik jego ust uniosł się w słabym uśmiechu.

- Dla znudzonych bogaczy... - powtórzyłam sucho.

- Czy naprawdę czas teraz na taką dyskusję? - zapytała ostro Amanda, kiedy Knox znów skręcił i zahaczył o zderzak zaparkowanego auta.

- Knox!

- Miro! - odkrzyknął. - Albo dasz mi kierować, albo prowadź sama!

Na to było już za późno. Naturi doganiali nas na kolejnych zakrętach. Mieli gdzieś, że zagrażali przechodniom, i dlatego musieliśmy wywabić ich na przedmieścia.

Odprężyłam się trochę, kiedy skręciliśmy w Montgomery Street. Do zjazdu na autostradę numer 16 było już blisko. Mogliśmy w końcu wyrwać się z miasta i wyjechać na otwartą przestrzeń.

- Miro... - powiedział spokojnie Tristan. Spojrzałam na niego uważnie we wstecznym lusterku. - Czy wyjazd z miasta to najmądrzejsze rozwiązanie?

Moje barki nieco się rozluźniły, ale węzeł niepokoju nadal zaciskał mi się w żołądku.

Wiedziałam, dlaczego o to pyta. Porzucaliśmy względne bezpieczeństwo w mieście i przenosiliśmy ewentualne starcie na terytorium naturi, na wieś. A oni przecież potrafili panować nad przyrodą.

Tristan i ja już wcześniej walczyliśmy z naturi w lasach i wtedy nie poszło nam za dobrze. Tristana omal nie rozerwały na strzępy naturi z klanu zwierzęcego, a mnie zranili ci z klanów wiatru i ziemi. No i tym razem brakowało w pobliżu Danausa i Sadiry, którzy mogli nam uratować tyłki.

- Nie ma innego wyjścia - stwierdziłam, patrząc na niego spode łba, bo rozumiałam powód jego strachu. - Nie chcę, w przeciwieństwie do naturi, prowadzić tej wojny na oczach ludzi.

- A nie mogłabyś ich spalić albo coś takiego? - spytała Amanda, wiercąc się na tylnym siedzeniu. Ta wampirzyca rwała się do walki, ucieczka nie była w jej stylu. W trudnych sytuacjach używała szponów i kłów, pozostawiając za sobą rozszarpane ciała i kałuże krwi.

Dlatego była dobrą egzekutorką wśród żółtodziobów, ale niezbyt godnym zaufania nocnym wędrowcem, bo nie zawsze kierowała się rozsądkiem.

- Muszę widzieć albo czuć to, co podpalam, a nie wyczuwam naturi - wyjaśniłam, rzucając jej sfrustrowane spojrzenie.

- A co z ich wozem?

- Nie widzę całego.

- No to zajmij się oponami. Podpal im opony. To ich spowolni.

- Może się udać - przyznałam, opuszczając boczną szybę. Elektryczny mechanizm zasumiał ledwo słyszalnie. - Swoją drogą, kto nauczył naturi tak jeździć? Albo odpalać silnik kradzionego wozu bez kluczyków? - mamrotałam pod nosem, choć wszyscy nocni wędrowcy w samochodzie mnie słyszeli.

- W Internecie jest pełno ciekawych informacji - powiedział Knox sarkastycznie.

- W Internecie? - nie przestawałam gderać. - Przecież naturi to stworzenia ze Starego Świata. Nie kierują pojazdami, nie kradną aut i nie buszują w Internecie.

Zaskoczyło mnie, że Tristan się zaśmiał, powstrzymując mnie, kiedy złapałam za zewnętrzną ramę drzwi.

- Czasami wydajesz się strasznie staroświecka, Miro. To nie jest wcale dziwniejsze niż to, że nocny wędrowiec w twoim wieku zajmuje się takimi rzeczami.

- Przymknij się, Tristan. - Miałam niewiele ponad sześćset lat. Wcale nie tak dużo.

Zwróciłam się do Knoxa:

- Zwolnij trochę i jedź równo.

Chwyciłam się drzwi od zewnątrz, wysunęłam się przez okno i wsparłam na karoserii.

W takiej pozycji trudno utrzymać równowagę, za to lepiej widziałam opony czerwonego mustanga, który za nami jechał. Skoncentrowałam myśli i obie opony po jednej stronie auta stanęły w ogniu. Forda dwa razy zarzuciło i w końcu dachował na poboczu.

Wsunęłam się z powrotem do środka i wzięłam pistolet z podłogi, gdzie położyłam go wcześniej.

- Zatrzymaj się. Musimy to dokończyć.

Postawiłam stopy na żwirowym poboczu, zanim Knox zdążył zaciągnąć ręczny hamulec. Odbezpieczyłam browninga, z którym ostatnio się nie rozstawałam, i zatrzymałam się, zerkając na pistolet - identyczny jak ten, który Danaus podarował mi w Wenecji. Nocni wędrowcy nie mieli zwyczaju nosić broni palnej - większości naszych wrogów nie dało się zabić pociskiem, a postrzał tylko ich wkurzał. Naturi można było jednak wykończyć celnym strzałem, więc teraz wszędzie nosiłam ze sobą pistolet i broń sieczną. Towarzyszący mi wędrowcy jeszcze nie nabrali takiego nawyku.

Tristanie? - zapytałam go w myślach.

Mam broń, potwierdził, zanim spytałam. Ten młody nocny wędrowiec był ze mną, kiedy walczyłam z naturi w Anglii, i później, gdy pojawili się w Wenecji. Dobrze wiedział, ile trzeba starań, żeby zabić tych odpornych drani.

- Knox - zawołałam, przesuwając z powrotem bezpiecznik. - Weź to. - Beztróska rzuciłam mu pistolet nad samochodem, kiedy Knox wysiadł. - Tylko celuj dobrze, żeby mnie nie zranić.

Przyganiał kocioł garnkowi. Wszyscy kiepsko celowaliśmy. Nikt z nas nie nauczył się porządnie strzelać. Ale przecież jeszcze pięć wieków temu - czyli ostatnim razem, kiedy nocni wędrowcy toczyli regularne potyczki z naturi - prawie nikt nie znał broni palnej. Czasy się zmieniły i trzeba było

nadrobić zaległości.

Wyciągnęłam nóż z pochwy przy pasie i podeszłam do wywróconego wozu, który kołysał się na dachu. Ze środka wyczołgało się troje naturi, czwarty wciąż siedział za kierownicą, bez ruchu. Byli pokaleczeni i potłuczeni, ale regenerowali się na moich oczach po małej stłuczce. Naturi potrafili zagoić prawie każdą ranę niemal tak szybko jak nocni wędrowcy. Zabijała ich tylko kulka w głowę. Postrzał w serce spowalniał ich na tyle, żeby zdążyć przeładować broń i strzelić ponownie, z bliska.

- Gdzie Rowe? - zawołałam, kiedy znalazłam się o kilka metrów od najbliższego naturi.

- Poluje na ciebie, Krzesicielko Ognia - odparł naturi. Obróciłam nóż w dłoni, a na długim srebrzystym ostrzu błysnęło światło najbliższej latarni.

- Powiedz coś, o czym nie wiem.

- Chce twojej śmierci - odpowiedział naturi.

Znowu wzruszyłam ramionami. Rowe zwyciężył w pałacu w Knossos, gdzie udało mu się złamać pieczęć, która więziła naturi, jednak nadał musiał otworzyć wrota. Wiedział, że będę go ściagała do upadłego, więc w ostatnich miesiącach mieliśmy serię drobnych potyczek.

Próbował mnie wyczerpać.

Zakręciłam nożem i prawą ręką włożyłam go z powrotem do pochwy, wyciągając lewą i rozwierając dłoń w stronę naturi, z którym rozmawiałam, i dwóch pozostałych. Zamienili się w trzy wielkie pochodnie, płonące i rozświetlające noc. Załatwiłam ich, zanim mieli choćby szansę na podjęcie walki. Wolałam nie ryzykować życia swoich towarzyszy, próbując uzyskać więcej informacji. Albo Rowe mnie ściagał, albo miałam go spotkać w kolejnym miejscu składania ofiar.

Rozległ się strzał, a zaraz po tym dwa następne. Odwróciłam się, gasząc ogień skinieniem ręki. Tristan i Knox byli zwróceny w przeciwną stronę, trzymali broń i strzelali do sześciu naturi wybiegających z otaczającego nas lasu. Czekali, aż w końcu pojawimy się poza granicami miasta.

Zaskoczona zobaczyłam, jak dwie ogniste kule rozbłyskują w otwartych dłoniach jednej z nich i szybują w kierunku Knoxa i Tristana. A więc to naturi z klanu światła. Cholera.

Skupiłam całą uwagę na płomieniach, złapałam dwie lecące kule i przyciągnęłam do siebie, gasząc je. Nie mogłam już używać ognia, bo naturi z klanu światła pewnie by sobie z nim poradziła.

Wyciągnęłam z powrotem nóż i podbiegłam do zbliżającej się przeciwniczki. Rozległy się strzały; to Tristan i Knox starali się wyrównać szanse. Kiedy podeszliśmy bliżej grupki naturi, w powietrzu rozległ się trzepot skrzydeł. Stado szpaków zakłębiło się na nocnym niebie. Dałam nura na ziemię i otarłam gołe ręce o szorstkie, kamieniste podłoże, próbując osłonić się przed ostrymi ptasimi pazurami. Zanim udało mi się znowu wstać, naturi z klanu światła, ze złocistymi włosami i śniadą skórą, dopadła mnie, wyciągając krótki miecz.

Przetoczyłam się na lewy bok, ledwie unikając ostrza, które spadło tam, gdzie przed chwilą leżałam.

Postawiłam między nami ścianę ognia, licząc, że w taki sposób zatrzymam ją na moment i zdołam się podnieść.

Świetlista naturi zgasiła ogień machnięciem ręki. Kiedy podeszła o krok, rzuciłam w nią nożem, który zatopił się głęboko w jej piersi.

Zataczając się do tyłu, gapiła się na trzonek sterczący z jej ciała. Na ślepo zamachnęła się mieczem, ale łatwo się uchyliłam. Szybkim kopniakiem wybiłam jej miecz ze słabnącej dłoni. Uśmiechałam się, podchodząc i wyciągając z niej nóż. Odgłos przypominający młasnięcie przeppełnił nocne powietrze, a po chwili rozległ się bolesny krzyk i urwał się nagle, kiedy jednym wprawnym ruchem odciąłam jej głowę.

Pobiegłam w stronę innych naturi, zanim pokonana upadła na ziemię. Szybko policzyłam, że z szóstki, która nas zaatakowała, zostali tylko trzy. Ptaki odleciały, co wskazywało, że zginął też naturi z klanu zwierzęcego.

Na niebie zaczęły się kłębić chmury, a ze wschodu nadciągnęła niespodziewana burza.

Zerwał się wiatr, zdmuchując mi na oczy moje rude włosy. Wyglądało na to, że pozostali naturi należeli do klanu powietrznego. A to źle. Nie potrafiłam powstrzymać błyskawic, a żadne z nas raczej by nie przeżyło trafione piorunem.

- Wycofajcie się! - krzyknęłam. - Wycofajcie.

Zebrałam siły, krzycząc do nocnych wędrowców. Nie mogłam podpalić żadnego naturi, jeśli przebywali za blisko wampirów; nie zdołałabym uchronić przyjaciół, gdyby wybuchł pożar.

Tristan i Knox wahali się tylko przez chwilę, a potem zaczęli uciekać w stronę wozu.

Jednak jeden z atakujących złapał w pułapkę Amandę, spychając ją w stronę lasu, coraz dalej od szosy. Skoncentrowałam się i podpaliłam parę naturi walczących z Knoxem i Tristanem, a potem podbiegłam do Amandy.

Kątem oka zobaczyłam inny samochód, zatrzymujący się na poboczu za wozem tamtych. Niepotrzebna mi była publiczność i mogłam się tylko domyślać, że przyjechał

następny naturi, bo cała okolica została zakryta magiczną zasłoną i nikt inny nie mógł nas widzieć.

Zajmij się tym nowym, poleciłam telepatycznie Tristanowi, biegnąc w kierunku Amandy.

Wietrzny naturi z jasnobrazowymi włosami przystanął o metr od Amandy i uniósł

wysoko rękę, jakby chciał przyciągnąć kawałek nieba. Amanda nie patrzyła na niego, a dłonie drżały jej z wyczerpania i pewnie też ze strachu. Nie miała pojęcia, z czym ma do czynienia.

Ja wiedziałam: robiło się nieciekawie. Widziałam już kiedyś, jak Rowe przyjął identyczną pozę przed burzą, podczas której grad błyskawic spadł na ziemię.

Zapierając się stopami, skoczyłam na Amandę, przewracając ją na moment przed tym, jak piorun stopił kawałek ziemi dokładnie w miejscu, gdzie chwilę wcześniej stała. Ból przeszył mi brzuch, ale nie przejmowałam się tym. Zmusiłam Amandę, żeby przetoczyła się o parę kroków w bezpieczniejsze miejsce. Leżąc na boku, cisnęłam ognistą kulą w atakującego naturi wiatru. Ogarnęły go pomarańczowożółte płomienie, zanim zdołał przywołać następny grom.

Kiedy spalił się na wiór, położyłam się na plecach i z ulgą zamknęłam oczy. Naturi zginęli, a żadne z nas nie ucierpiało.

Miro! w ten samy chwili zawołał telepatycznie Tristan i rozległy się kolejne wystrzały.

Zerwałam się, żeby spojrzeć w tamtą stronę; poczułam w brzuchu ponowne ukłucie bólu i dostrzegłam troje innych naturi, biegnących w naszym kierunku. Wcześniej jakoś się ich nie doliczyłam - albo wyłonili się z lasu, korzystając z dogodnej chwili, kiedy upadłam razem z Amandą.

Amanda uklękła, żeby mnie osłonić, ale złapałam ją za łokieć i odciągnęłam na bok.

Nie mogłam dopuścić, żeby zasłaniała mi widok. Uniosłam drżącą, zakrwawioną rękę i spróbowałam podpalić nowych naturi, jednak szło mi kiepsko. Każdy ruch powodował, że zalewała mnie świeża srebrzysta fala bólu, utrudniając koncentrację. Naturi zdobywali teren szybciej niż Tristan lub Knox. Warcząc, wniknęłam w siebie głębiej, omijając ból i szukając ognia, który płonął jasno tam, gdzie powinna być moja dusza.

Trójka naturi zatrzymała się metr ode mnie. Ich gulgoczące wrzaski rozlegały się w niemal zupełnie cichym nocnym powietrzu. Bezmyślnie rzucili broń na ziemię i złapali się za skórę, która zaczęła się dziwnie fałdować.

Właśnie wtedy wyczułam znajomy, ciepły powiew. Wiedziałam, zanim jeszcze odwróciłam głowę, że zjawił się Danaus. Wreszcie uwolniona od bólu i strachu machnęłam dłonią w stronę trojga naturi, którzy gotowali się od środka, i podpaliłam ich. Zwęglili się natychmiast pod wpływem naszych połączonych mocy.

- O Boże! Miro! - krzyknęła zduszonym głosem Amanda obok mnie. - Przepraszam.

Nie chciałam... ja po prostu... osłoniłaś mnie... a ja nie...

Popatrzyłam na nią z góry; gapiała się na mnie przerażona. Z brzucha sterczała mi rękojeść noża. Krew ściekała po koszuli i zaczynał nią nasiąkać pasek moich dzinsów. To wyjaśniało tamten nagły przeszywający ból, kiedy przewracałam Amandę. Nadziałam się wtedy na nóż, który trzymała.

- Można się było tego spodziewać - powiedziała gderliwym tonem, gdy powoli wyciągałam ostrze, sycząc przy tym cicho z bólu. Nie zranili mnie naturi, tylko jedna z moich. Poczułam zażenowanie, gorsze od bólu, gdy moje ciało zaczęło się goić.

Szelest stóp podpowiadał mi, że Tristan i Knox szybko się do nas zbliżają, żeby sprawdzić, czy nic nam się nie stało. Nie chciałam im mówić, że zraniła mnie Amanda, więc usiadłam, krzywiąc się z bólu pod wpływem ruchu.

- Nic wam nie jest? - zapytał Tristan, zanim jeszcze się zatrzymał.

- Ja nie chciałam...

- Wszystko w porządku - przerwałam jej szybko.

- Krwawisz - zauważył Knox.

- Nic takiego się nie stało. To tylko skaleczenie.

Gdyby widział niektóre z moich dawnych „skaleczeń”, chyba od razu by zemdlął.

- Ale... - Amanda chciała coś dodać, lecz urwała, słysząc znajomy mi, dudniący głos.

- Nic jej nie będzie - powiedział Danaus z lekkim uśmiechem i wyciągnął rękę, żeby pomóc mi podnieść się z ziemi.

Podobny ironiczny uśmiech pojawił się na moich ustach, kiedy lewą dłonią chwyciłam nadgarstek łowcy i wstałam. Choć bolało, to rzeczywiście nie było o co się martwić.

- Zbierzmy ciała i wrzućmy je do wozu. Trzeba zniszczyć ślady walki, zanim ktoś się na nie natknie - poleciłam, oddając Amandzie jej nóż.

Zebranie zwłok, które do końca się nie zwęgliły, zajęło zaledwie kilka minut.

Magiczna zasłona, okrywająca miejsce starcia, oraz fakt, że była trzecia nad ranem, skryły tę potyczkę przed wzrokiem ludzi, ale i tak musieliśmy pozbyć się dowodów na istnienie naturi.

Po zniesieniu ciał do wozu podpaliłam forda mustanga. Pewnie zajął się zbiornik paliwa, bo całe auto eksplodowało jak piękna ognista kula. Pozostaliśmy na miejscu na tyle długo, by się upewnić, że ciała się zwęgliły, a potem wróciliśmy do miasta; Danaus jechał za nami drugim wozem. Nikt jeszcze nie skomentował jego nagłego przybycia, choć pytania wisiały w powietrzu niczym różowy słoń na wędce.

Knox pierwszy przerwał milczenie ciężące wszystkim w samochodzie, korzystając ze swojego niezrównanego, złośliwego poczucia humoru:

- Chociaż lubię te nocne wypady z tobą, tak samo jak z innymi wędrowcami, to przypuszczam, że nie chodziło ci tylko o zabawę z naturi?

- Możemy o tym nie rozmawiać? - Z tylnego siedzenia dobiegł roztrzęsiony głos Amandy. Zaskoczył mnie jej cichy, prawie załamany ton. O ile pamiętałam, wcześniej nic jej tak nie rozstroiło, ale przecież było to jej pierwsze starcie z naturi i ledwie je przeżyła. Poza tym udało jej się przypadkiem zranic nożem strażniczkę terytorium, które zamieszkiwała. Ta noc nie należała do najlepszych w życiu Amandy.

- Nie wezwałam was, żeby pogadać o naturi - powiedziałam z westchnieniem. -

Chciałam, żebyście oboje weszli do mojej rodziny.

Tyle że teraz zaczynałam się zastanawiać, czy to dobry pomysł.

Rozdział 2

Gabinet w moim domu przypominał typową bibliotekę ze Starego Świata, z sięgającymi od podłogi do sufitu półkami pełnymi książek, zakrywającymi trzy ściany.

Pośród polek znalazło się też miejsce na podświetlone kasetki z różnymi drobiazgami. To pierwszy dom, jaki prowadziłam od kilku lat, i zaczęłam sobie pozwalać na kolekcjonowanie rzeczy, bo już się nie bałam, że trzeba będzie zwijać żagle i uciekać. Savannah to moje miasto i byłam gotowa go bronić.

Oparłam się o front biurka i zauważyłam, że Tristan obserwuje mnie ukradkiem, rozparty na skórzanym krześle z wysokim oparciem. W ostatnich miesiącach żył sobie coraz wygodniej na moim terytorium, jednak nadal powoli rozwijaliśmy nasz związek - pani i...

dziecka. Zabrałam go naszej stwórczyni Sadirze, żeby go ochronić. Wcale tego nie zaplanowałam. Nigdy nie miałam zamiaru tworzyć własnej rodziny, zwłaszcza że jedno z dzieci kiedyś należało do znienawidzonej przeze mnie stwórczyni.

Tak, Tristan mnie potrzebował. Sadira stworzyła go i nie pozwalała mu się wzmocnić, żeby nigdy jej nie uciekł, tak jak ja jej uciekałam. Gdy kiedyś próbował się wyrwać, Sadira za pomocą sztuczek ściągnęła go z powrotem do siebie. Wiedziałam, jak to jest pozostawać pod jej złośliwym, chorym nadzorem, i rozumiałam jego potrzebę wolności. W Londynie obiecałam mu znaleźć sposób, żeby się uwolnił, ale wcale się nie spodziewałam, że w związku z tym zostanę jego panią.

Gdy wróciłam do Savannah z Krety, o mały włos go nie zwolniłam; chciałam przerwać więź, jaka nas łączyła, żeby prowadził życie swobodnego nocnego wędrowca. Ale sumienie mi na to nie pozwalało. Tristan nadal był słaby i szybko padłby łupem jakiegoś stwora, który by go wypatrzył. Nie mogłam dopuścić, żeby zginął od razu po tym, jak ode mnie odejdzie. Przez wieki Jabari szkolił mnie, jak sama mam się strzec, i uczył, co to znaczy być nocnym wędrowcem. Teraz mogłam przekazać chociaż część tej wiedzy swojemu nowemu podopiecznemu.

Na razie Tristan wydawał się zadowolony z tej sytuacji. Bywały jednak takie chwile, kiedy przyłapywałam go na obserwowaniu mnie; przyglądał mi się wtedy jakoś tak smutno.

Zastanawiałam się, czy nie pozostaje tu z zupełnie innego powodu. Czy szukał sposobu na ochronienie mnie?

Danaus też tu był; siedział na jednym z wysokich krzeseł przed biurkiem, nie spuszczał ze mnie wzroku, jak smukłe dzikie kocisko z dżungli wpatrzony w swoją ofiarę. I on, i Tristan walczyli u mojego boku z naturi w Londynie, a potem znowu w Warowni Temidy. Ponadto Danaus był przy

mnie, kiedy złamano pieczęć na Krecie. I chociaż znałam Amandę i Knoxa dłużej, to dziwnie zżyłam się z Danausem i Tristanem - z nowymi na moim terytorium.

Amanda i Knox przechadzali się powoli po pokoju, a odgłos ich kroków odbijał się echem w ciszy, kiedy schodzili z grubego perskiego dywanu na gołą podłogę z ciemnego, twardego drewna. Pierwszy raz oboje znaleźli się w moim podmiejskim domu. Prowadziłam też inny dom w mieście, gdzie organizowałam niektóre narady i towarzyskie imprezy, ale z posiadłości za miastem korzystałam głównie sama. To tu spędzałam dni. Gabriel, mój ochroniarz, dobrze znał to miejsce, podobnie jak teraz Tristan, który tu zamieszkał.

- Miro - odezwał się cicho Knox, obrzuciwszy spojrzeniem pokój, zanim wbił wzrok we mnie. - Jestem zaszczycony, że sprowadziłaś nas tutaj.

Uśmiechnęłam się do niego, doceniając jego staroświeckie maniery i kurtuazję.

Przeżył już sporo stuleci i został wychowany w Starym Świecie przez nocnego wędrowca o imieniu Valerio, którego w równym stopniu podziwiałam, co nie cierpiałam.

- W zamian możesz mi obiecać, że już nigdy więcej nie poprowadzisz mojego wozu -

odparłam z uśmiezkiem. Odwzajemnił go, wiedząc, że nie mówię zbyt serio, zrobił, co trzeba, abyśmy przeżyli. I chociaż uwielbiałam swój samochód, to był tylko rzeczą.

- Rozumiem, że w aucie mówiłaś poważnie - powiedziała Amanda, odwracając się od gabloty ze sztyletami z XII wieku. - O wstąpieniu do twojej rodziny.

Kiwnęłam głową, patrząc to na Amandę, to znów na Knoxa.

- W takim razie ja się zga...

- Nie! - rzuciłam, unosząc dłoń i powstrzymując Knoxa, zanim zdążył dokończyć.

Odepchnęłam się od biurka, wyciągając w ich stronę ręce i przez moment daremnie szukając słów, które dobrze wyraziłyby lęk i wdzięczność, jakie odczuwałam. - Cieszy mnie twój entuzjazm, Knox, ale nie chcę, żebyś podejmował decyzję bez przemyślenia sprawy, w imię lojalności.

- Poza tym to niezbyt typowa rodzina - wtrącił Tristan, przyciągając moje spojrzenie.

Złośliwy uśmiezek wykrzywił kącik jego ust, ale Tristan tylko się drażnił, żeby rozładować napięcie, które spinało mi ramiona.

Rodzina nocnych wędrowców była najczęściej rodzajem układu, w którym starszy wampir zgadzał się chronić grupkę młodszych pobratymców - najczęściej takich, których sam stworzył, chociaż nie zawsze. Rodzina zapewniała ochronę, trochę jak mafia. Jednak takie życie bywało też niebezpieczne, a nawet śmiertelnie ryzykowne. I najczęściej nie można było opuścić rodziny, do której się wstąpiło.

- Moja umowa z Tristanem jest inna od tej, jaką wam proponuję - zaczęłam, znowu opierając się o

biurko i próbując przyjąć swobodną pozę. - Ten układ jest i pozostanie inny ze względu na okoliczności. To wyłącznie nasza sprawa. To samo mogę powiedzieć o jego przyszłości tutaj, w Savannah.

- Nie mamy żadnych problemów z Tristanem - powiedziała Amanda, wzruszając ramionami. - Chętnie go tu powitaliśmy. - Dostrzegłam przelotny uśmiech, jaki mu posłała, zanim znowu niewinnie spojrzała na mnie.

Ścisnęło mnie w żołądku i odruchowo zacisnęłam zęby. Coś takiego nie przejdzie.

Taka parka jak Amanda i Tristan to nic dobrego. Skarciłam się sama w myślach i odpędziłam te niemądre wnioski. Zareagowałam jak nadopiekuńcza matka, zaniepokojona o swoje dziecko. Po tym, co zdarzyło się z Sadirą i na dworze Sabatu w Wenecji, dmuchałam na zimne, gdy coś mogło zagrażać mojemu podopiecznemu. Nadal dochodził do siebie po ostatnim urazie i nie sądziłam, by Amanda wywierała na niego dobry wpływ; nie była najlepszą kandydatką na jego ukochaną. Jednak ostatecznie decydował o tym Tristan, a nie ja.

- Odbiegamy od tematu - westchnęłam, przez chwilę próbując sobie przypomnieć, jaki był główny temat rozmowy, i potarłam nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym. - Świat się zmienia, jak sami się przekonaliście tej nocy. Teraz naturi jawnie na nas polują. Przede wszystkim ścigają mnie, ale to jeszcze nie znaczy, że nie załatwią innego nocnego wędrowca, który wejdzie im w paradę. Wobec tego jest dość prawdopodobne, że porządek, jaki zaprowadziliśmy, zostanie zachwiany.

- Jak po ataku na Ciemnię - powiedział Knox. Oparł się o jeden z regałów z książkami, krzyżując ręce na szerokiej piersi. Ten jasnowłosy nocny wędrowiec widział, jak para naturi i kilku wilkołaków wdarło się do ekskluzywnego nocnego klubu, szukając mnie. Od tamtej pory między wilkołakami a wampirami panowało spore napięcie.

- I na Port - dodał Danaus uroczyście. Tamtego wieczora w klubie, kiedy naturi próbowali przyskrzynić Danausa i mnie, zginęło kilkoro ludzi.

- Tak.

- Ale sytuacja zmieniła się na lepsze - odparła Amanda.

- To za mało, a poza tym będzie dużo gorzej w nadchodzących miesiącach -

powiedziałam. Skrzyżowałam ramiona na piersiach, powstrzymując ochotę, żeby się przejść po perskim dywanie. - Proponuję, w pewnym sensie, ochronę mojego imienia. Nieformalnie oboje reprezentujecie mnie w tym mieście, ale wstąpienie do mojej rodziny nada wam bardziej oficjalny status. Należąc do rodziny, będziecie firmować moje poczynania. Wasze słowa będą moimi słowami. Ale jeśli zrobicie w moim imieniu coś, czego nie zaakceptuję, rozerwę was na strzępy. Bez wahania. Bez litości. Bez pytania.

Przerwałam i popatrzyłam na Amandę i Knoxa. Oboje jakby skurczyli się pod wpływem mojego spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Sama nie spodziewałam się, że trzeba będzie wytyczyć taką

granicę, ale ktoś musiał to zrobić. Należało wygłosić takie ostrzeżenie, żeby zawisło złowieszczo w powietrzu, chociażby po to, by się chwilę zastanowili, gdy będą się zajmować jakimiś ciemnymi sprawkami.

- Oprócz tego przynależność do mojej rodziny niczego nie zmieni. Nie będziecie musieli spać w tym domu...

- Nie byłoby to znowu takie straszne - mruknęła Amanda. Próbowałam zgromić ją spojrzeniem, ale wyszło mi to bardzo kiepsko. Mieszkałam w pięknym, przedwojennym, trójkondygnacyjnym domu z bogatymi zdobieniami z ciemnego drewna i wielkimi krętymi schodami. Był tak wspaniały, aż żałowałam, że muszę spędzać dzień zamknięta w piwnicy.

- I nie będziecie odpowiadali przede mną inaczej niż do tej pory - ciągnęłam.

- Interesujące - zaczął Knox, wsuwając ręce do kieszeni swoich granatowych spodni.

Spojrzałam na niego, unosząc brew i zachęcając, żeby mówił dalej. Chwilami naprawdę przypominał mi swojego stwórcę - Valeria.

Knox odszedł o krok od regału i przechylił głowę na bok, a lok jego niezbyt długich blond włosów przesłonił mu oko.

- Oferujesz nam wszelkie korzyści, jakie wypływają z przynależności do rodziny, bez żadnych typowych obowiązków.

- Zgadza się.

- A gdzie tkwi haczyk?

- W Sabacie - odpowiedział za mnie Tristan.

Sabat. Ten organ władzy nadzorował wszystkie wampiry, należało do niego trzech nocnych wędrowców, zwanych Starszymi. Teraz sama byłam jedną z nich, po dramatycznych wydarzeniach na Krecie. Co gorsza, kiedy Jabari zgodził się, abym zajęła wakujące miejsce w Sabacie, poinformował telepatycznie wszystkich nocnych wędrowców w okolicy, że należę do elitarnego grona. Sprawił w ten sposób, że nijak nie mogłam się już wykręcić, kiedy tamtej nocy pokonałismy naturi. Drań.

- Jestem teraz uważana za członka Sabatu - przyznałam, z niechęcią wypowiadając te słowa na głos, jak gdyby zawierały truciznę o opóźnionym działaniu. - Wielu ma kłopot z pogodzeniem się z tym faktem. Jeśli ktoś postanowi uderzyć we mnie i zająć moje miejsce, to najpierw zaatakuje moją rodzinę. A więc przynależność do mojej rodziny to jakby noszenie małej tarczy strzelniczej na czole.

- Czy to niebezpieczniejsze od bycia nocnym wędrowcem, jeśli chodzi o naturi? -

zapytała Amanda, przysiadając na poręczu krzesła zajmowanego przez Tristana.

- Wtedy naturi po prostu zaczną na nas polować - rzucił Tristan, zanim zdążyłam odpowiedzieć. - A

chwilowo zadowolają się głównie ściganiem Miry. Przystępując do rodu, wejdziecie do walki. Dołączcie do Miry, a uwezmą się na was bardzo potężni nocni wędrowcy. Będą was prześladować dwie strony, a nie tylko jedna.

Amanda zbyła to ostrzeżenie wzruszeniem ramion, ale zauważyłam, że uśmiech, do którego się zmusiła, nie rozjaśnił jej niebieskich oczu.

- Zawsze jest takie ryzyko, kiedy ktoś wstępuje do jakiejś rodziny.

- Niezupełnie takie, tylko podobne - poprawiłam ją. - Wracajcie do siebie i przemyślcie to. Tristan i ja odwieziemy was do miasta. Za kilka nocy zjawię się u was po odpowiedź.

Nikt nie wydawał się zachwycony takim nagłym zakończeniem spotkania, ale nie było już żadnego innego tematu, na który chciałabym porozmawiać. Amanda i Knox mieli wybór, jakiego wcześniej nie miał Tristan, i właśnie to strasznie mnie drażniło. Żałowałam, że nie mogę złożyć podobnej propozycji Tristanowi, ale nawet gdyby się nie zgodził, i tak nie miałabym siły puścić go na wolność.

- I jeszcze jedno, Knox, gdyby z jakiegoś powodu odezwał się do ciebie Valerio, przekaż mu, proszę, że muszę pilnie się z nim porozumieć. To oficjalne zaproszenie na moje terytorium, gdyby się pytał.

- Nie rozmawiałem z nim, od kiedy go opuściłem, ale będę pamiętał, gdyby jednak dał

znać - powiedział Knox, zanim wyszedł z biblioteki, którą tuż po nim opuściła też Amanda.

Tristan energicznie wstał z krzesła, podszedł i stanął przede mną, gdy nadal opierałam się o biurko. Zgarbiłam się lekko, przytłoczona zbyt wieloma problemami i rozwiązaniami, które były dla mnie nie do przyjęcia.

- Poszło nieźle - powiedział zjadliwie, więc zmrużyłam oczy i spojrzałam mu w twarz.

- Nie przeginaj, Tristan. Nasz układ można łatwo zmienić. - Próbowałam go postraszyć, lecz on tylko jeszcze szerzej się uśmiechnął. Żadne z nas nie wierzyło w moje czcze groźby.

- Nie jesteś Sadirą - odezwał się cicho. Ujął moją lewą dłoń i potarł kciukiem srebrny pierścień, który nosiłam na serdecznym palcu. - I nie podsunęłaś im polukrowanego wyroku śmierci. To bardzo dobrze.

Potwierdziłam sztywnym skinieniem głowy, licząc, że myśli to samo o naszym porozumieniu.

- Zjeżdżaj stąd.

Wyszarpnęłam rękę z jego uścisku i podeszłam do jednego z regałów. Podniosłam wielką srebrną klepsydrę i odwróciłam ją, a biały piasek zaczął się przesypywać do pustej części. Czas mnie gonił. Jeszcze nie namierzyliśmy Rowe'a. Poniekąd spodziewałam się, że ten naturi pojawi się na moim terenie, żeby pozbawić mnie głowy po tym, jak narobiłam bałaganu w jego życiu. Ale jednak się nie pokazał, co mnie cieszyło.

Z ust wyrwało mi się westchnienie, kiedy podeszłam do następnej klepsydry z mojej dużej kolekcji i ją też odwróciłam. Danaus...

Łowca rozstał się ze mną na długo przed tym, zanim dotarłam do Savannah.

Wylecieliśmy razem z Krety, ale poleciał innym samolotem z Paryża. Wiedziałam, że wrócił

do siedziby Temidy. Niepokoili mnie nie tyle tamtejsi badacze, ile przywódca Temidy, Ryan, i nieścisle informacje, jakie otrzymywał. W okresie, jaki spędziliśmy razem, wyczuwałam, że Danaus w końcu zaczyna poznawać prawdę o nocnych wędrowcach; zaczął rozumieć, że jesteśmy nie tylko krwawymi monstrami z ludzkich wierzeń.

Stojąc teraz w swoim gabinecie, z łowcą wpatrzonym w moje plecy, gdy naturi czaili się na terenie, nad którym miałam pieczę, byłam zadowolona, że Danaus wrócił. Był równie nieobliczalny jak naturi, ale najczęściej chodziło mu o to samo, na czym zależało mnie - o zniszczenie naturi. A razem, we dwoje, byliśmy niepokonani. Nie mogli się przed nami obronić.

Przed przyjazdem Danausa czułam się wobec nich całkiem bezradna. Nie potrafiłam ich wyczuwać tak jak ludzi czy wilkołaki. Nie wiedziałam, czy nie skradają się przypadkiem do mojej sekretnej siedziby za miastem. Na własnym terenie zaczynałam czuć się osamotniona i schwyтана w pułapkę.

Przekręciłam trzecią posrebrzaną klepsydrę z czarnym piaskiem i powoli odwróciłam się w stronę łowcy. Danaus nie zmienił się od naszego ostatniego spotkania, tylko jego włosy wydawały się trochę dłuższe. Jego twarz właściwie nie zdradzała wieku. Rzadko się uśmiechał, a wtedy jakby młodził i wyglądał na dwudziestokilkulatka, za to prawie zawsze nachmurzone czoło, cień w jego oczach i wykrzywione usta postarzały go i zdawało się, że ma około czterdziestki - wyglądał wtedy jak zaprawiony w bojach wojownik.

- Aż się boję pytać, co cię znowu sprowadza na mój teren. - Miałam na myśli nasze dawne przyrzeczenie, że pewnego dnia stoczymy ze sobą śmiertelną walkę. Ale po tym wszystkim, przez co wspólnie przeszliśmy, nawet to zabrzmiało jak żałośnie wyświechtany dowcip. A jednak wiedziałam na pewno, że kiedyś rzeczywiście staniemy po przeciwnych stronach na tym samym polu bitwy.

- Przysłała mnie Temida - odparł. Poruszył się na siedzeniu; cofnął nogi, które wcześniej wyciągał przed siebie, i przysiadł na brzegu krzesła, kładąc łokieć na podpórce.

- Czego znów chce Ryan? - niemal warknęłam. Wiedziałam, że nie powinnam okazywać takiej niechęci. Przecież Ryan pomógł nam w walce z naturi na Krecie. Próbował

też nas chronić, kiedy naturi zagrażali nam w Anglii. Ale to także on popchnął bezradnego człowieka o imieniu James do walki z naturi. Niepotrzebnie ryzykował jego życie, co uznałam za karygodne. Nie podobało mi się też, że Ryan jest wyjątkowo potężnym czarownikiem, a więc kimś niezwykle niebezpiecznym.

- Chce, żebyśmy położył kres zagrożeniom, na jakie są narażeni badacze z Temidy -

odparł Danaus.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha, wracając na swoje miejsce przed biurkiem.

Skrzyżowałam nogi w kostkach i złożyłam ręce na świeżo zagojonym brzuchu.

- Danausie, stałeś się łobuzem? - prowokowałam go. - W końcu pokazałeś się z gorszej strony?

- Raczej nie - zachnął się. - Ścigają mnie naturi. Zaatakowali naszą kryjówkę w Paryżu, następną w Londynie, no i dwa razy Warownię. Zginęli trzej łowcy i paru badaczy. -

W jego głosie z każdym słowem coraz wyraźniej było słychać wzburzenie i frustrację, a dłonie zaciskały się mocno na podpórkach krzesła.

Jakaś część mnie chciała ucieszyć się z powodu śmierci łowców, ale nie byłam aż taka nieczuła. Łowcy może i za bijali nocnych wędrowców z jakichś niejasnych pobudek, ule przecież byli ludźmi, a żaden człowiek na zasługuje na śmierć z rąk naturi.

- A więc postanowiłeś zwabić ich tutaj?

- Wygląda na to, że już tu są - zauważył Danaus. - Jak cię wytropili? Chyba nie potrafią wyczuć twojej obecności?

- Chyba nie. Możliwe, że Macaire wkurzył się na mnie i powiedział im, gdzie mnie znaleźć - poskarżyłam się. Serdecznie nienawidziłam wspomnianego Starszego. Macaire doprowadził do konszachtów z naturi, co z kolei zmusiło mnie do akcji w siedzibie Sabatu i próby zerwania tego układu. Niewątpliwie nocny wędrowiec nie należał do moich największych fanów. - Najczęściej dopisywało im szczęście - dokończyłam, wzruszając ramionami. - Muszę pokazywać się w mieście, robić interesy. A naturi snują się po całym Savannah. I zwykle dość szybko któryś mnie wypatrzy. Jednak na ogół atakują całą sforą.

- Ryan uważa, że to się może zmienić po uwolnieniu Aurory. - Danaus urwał i znowu rozparł się na krześle. - Najwyraźniej myśli, że naturi urosną w siłę, jeśli ona powróci na ziemię.

- Wyprowadzenie ich z cienia to absolutny koszmar - dokończyłam. Odepchnęłam się od krawędzi biurka i stanęłam na środku pokoju, opuszczając wzdłuż boków ręce zaciśnięte w pięści. - Fantastycznie, nie ma co. Już teraz sprawiają wystarczające kłopoty. Niepotrzebna nam taka siła napędowa.

- Skoro dopuszczanie, żeby naturi atakowali siedziby Temidy, jest zbyt niebezpieczne, pomyślałam, że zjawię się tutaj - powiedział Danaus.

- Żeby zamiast tego poszaleli w Savannah - rzuciłam gniewnie. - Może nie uwierzysz, ale strzeżenie bezpieczeństwa i życia mieszkańców Savannah należy do moich zadań.

- No to po co tu siedzisz? Twoja obecność tutaj zagraża im tak samo jak moja.

- Bo nie mam dokąd wyjechać. Czy naprawdę sądzisz, że jakiś inny nocny wędrowiec powita mnie

wylewnie na swoim terenie, kiedy naturi depczą mi po piętach?

- Zawsze pozostaje Wenecja.

- Tak, zawsze pozostawała Wenecja. Stolica Sabatu nocnych wędrowców. Mówiło się, że to jedyne miejsce omijane przez naturi, ale nawet ta teoria ostatnio upadła, kiedy Macaire i Elizabeth postanowili się z nimi sprzymierzyć. W Wenecji mogli mi nie zagrażać, ale groziłby mi Macaire. Podejrzywałam, że moja stwórczyni Sadira też tam jest, a i ona nie powita mnie z otwartymi ramionami.

- Nie mam dokąd wyjechać - powtórzyłam stanowczo, raz jeszcze opierając się o biurko i wbijając wzrok w podłogę. - Tu jest mój dom, to moje terytorium. Naturi nie wykurzą mnie z mojego kraju.

- Razem jesteśmy silniejsi - stwierdził Danaus. Zaskoczyło mnie, że powiedział to na głos. Ale w jego planach tkwił jakiś haczyk.

- Naturi też. - Raptownie przeniosłam spojrzenie na jego twarz i ściągnęłam brwi. - Ich ataki mogą stać się gwałtowniejsze, kiedy tu jesteś. A gdy zabiją nas oboje za jednym zamachem, to nie będzie jak zamknąć wrót, jeśli się otworzą.

- Wolałabyś, żebym to ja wyjechał? - spytał, wstając. Zrobiłam krok do przodu i niemal go powstrzymałam, kładąc mu dłoń na piersi, ale opamiętałam się, zanim go dotknęłam. Jego ciepła, wibrująca energia zatańczyła na mojej otwartej dłoni i na gołym ramieniu. Niewiarygodne, ale zdołałam zapomnieć, co powodował kontakt z jego mocami.

Ciepła energia opatulila mnie, okryła jak flanelowa piżama.

- Nie - odezwałam się cicho, opuszczając rękę. Otworzyłam i zacisnęłam dłoń, zginając palce, żeby otrząsnąć się od wpływu jego energii. - Masz rację. Razem jesteśmy silniejsi.

- Ale...? - podsunął.

- Ale nie wolno ci polować na nocnych wędrowców, kiedy tutaj jesteś - warknęłam. -

Nie mogę się zamartwiać, jak chronić swoją rasę przed tobą i przed naturi. Jeśli narobisz problemów, wypruję ci flaki i odeślę Rynnowi twoje zwęglone wnętrzności w torebce na psie odchody.

- Miro...

- To bezdyskusyjny warunek, Danaus. Śmierć Penelopy świadczy, że nie można ci powierzyć opieki nad nocnym wędrowcem. Musisz mi przysiąc, że nie zaatakujesz kolejnego wampira.

- A jeżeli sam mnie zaatakuje? - zapytał i popatrzył na mnie, mrużąc swoje piękne, błękitne oczy.

- Wtedy się broń. Postaram się, żeby miejscowi nocni wędrowcy cię nie nękali -

obiecałam, opierając się ręką o biurko.

- Jak w Wenecji. - Jego głos brzmiał sceptycznie, a twarz spochmurniała.

- Wywiozłam cię z Wenecji całego i zdrowego, nie zagrażając przy okazji ludziom.

Czy to mało?

Danaus tylko westchnął. Skwaszony niezbyt entuzjastycznym powitaniem, jakie mu urządziłam na swoim terytorium, powrócił na krzesło. Czego się spodziewał? Ostatnim razem, kiedy zjawił się w Savannah, zginęło pięciu nocnych wędrowców, no i przyniósł

wtedy wieści o naturi. Jego wizyta nie wróżyła nic dobrego.

Poza tym niepokoiło mnie, że stawałam się zbyt uzależniona od jego obecności, gdy chodziło o walkę z naturi. Danaus potrafił ich wyczuwać prawie tak wyraźnie jak mnie. To dawało nam przewagę w ich tropieniu i zwalczaniu. Byłam nawet gotowa uwierzyć, że dzięki temu tak długo przetrwaliśmy. Oczywiście, dodatkowo ja posługiwałam się ogniem, a on umiał doprowadzać do wrzenia krwi naszych wrogów.

Odsunęłam się od biurka i obeszałam je, odwracając jedną z małych klepsydr na błąc, zanim usiadłam na krześle. Wzięłam pióro i notatnik, żeby szybko zapisać adres i kilka zwięzłych wskazówek na temat zainstalowanych przeze mnie zabezpieczeń.

- Tutaj możesz się zatrzymać, póki jesteś w Savannah. Tylko go nie zdemoluj. To mój dom w mieście
- powiedziałam i wyrwałam kartkę z notatnika.

Danaus wstał, ale nie wziął kartki.

- Sam mogę poszukać sobie lokum.

- Ale tak łatwiej mi będzie cię znaleźć. - Rzuciłam mu pęk kluczy, które wyjęłam z górnej szuflady biurka. - Zapisałam też, jak uruchomić i wyłączyć system alarmowy. Tam będzie bezpieczniej niż w hotelu - dodałam, machając kartką.

Wziął ją z wyraźną niechęcią. Odprowadziłam go do frontowych drzwi. Zbliżał się świt i musiałam przygotować się do snu, zanim wzejdzie słońce. Poczulałam się zaskakująco dobrze ze świadomością, że Danaus wie, gdzie spędzę nadchodzący dzień. Bardziej podminowało mnie to, że pozwoliłam Knoxowi i Amandzie trochę pokreć się po swoim domu. Naturalnie, Danaus wiele razy udowodnił, że nie wyrządzi krzywdy śpiącemu wampirovi czy śpiącej wampirzycy. Dawał każdej istocie szansę obrony. On i ja nie zgadzaliśmy się w pewnych sprawach, ale szanowałam jego honor.

Łowca przystanął w otwartych drzwiach i skrzywił usta, wpatrzony w kartkę. Jednak jego niepokój nie miał nic wspólnego z adresem, który mu dałam.

Coś nie tak? - wymknęło mi się telepatyczne pytanie i popłynęło po niemej drodze porozumienia, z której coraz częściej korzystaliśmy. Danaus był jedynym człowiekiem, z którym mogłam rozmawiać

bez słów, i to mnie poruszało. Jeśli chodzi o mojego strażnika Gabriela, to mogłam kierować ku niemu myśli i odczytywać odpowiedzi, ale Gabriel nie umiał przesyłać wiadomości do mnie ani też poznawać moich myśli i uczuć.

Danaus drgnął na mój niespodziewany szept w umyśle, lecz nie odciął się gniewnie, jak tego oczekiwałam. Zamiast tego zapytał bez słów: *Rowe?*

Przywódca naturi nie pokazał się jeszcze na moim terytorium, wbrew temu, czego się po nim spodziewałam. Sądziłam, że przybędzie tu zaraz po zwycięstwie na Krecie, żeby osobiście pozbawić mnie głowy i bezpiecznie powitać swoją królową małżonkę z powrotem na ziemi.

Jeszcze go nie ma.

Wkrótce się zjawi, odparł Danaus, potwierdzając moje nadzieje i obawy. Jeśli Rowe się dowie, że Danaus i ja przebywamy w tym samym miejscu, to nie wątpiłam, że skorzysta z okazji i zapoluje na nas oboje. Tylko my staliśmy mu na drodze do otwarcia wrót. Po tylu wiekach oczekiwania miał wreszcie swój życiowy cel w zasięgu ręki. Nie było szans, żeby księżę naturi pozwolił na to, abyśmy jeszcze raz mu przeszkodzili.

Niech się zjawia. Wcale nie miałam ochoty gościć go na swoim terytorium, lecz chciałam też, żeby to wszystko wreszcie się skończyło, a kluczem do tego było pokonanie Rowe'a.

Rozdział 3

Tristan zastał mnie później w moich prywatnych komnatach na niższej kondygnacji, kiedy szykowałam się na nadejście poranka. Do świtu pozostawała niecała godzina, ale w głowie wciąż krążyły mi myśli o naturi i Danausie. Wiele pytań pozostawało nadal bez jasnych odpowiedzi.

Przewiązałam pasek szlafroka i odwróciłam się, żeby z uśmiechem igrającym w kącikach ust spojrzeć na Tristana, który stał w drzwiach. Miał na sobie tylko czarne spodnie od pizamy we wzorek z małych białych czaszek i skrzyżowanych pischeli. Najwyraźniej lubił flanelowe pizamy, niezależnie od pory roku.

- Nie wyglądasz na zachwyconą powrotem Danausa do Savannah - zauważył Tristan. -

Myślałem, że cię ucieszy jego towarzystwo.

Dla Tristana to było proste. Uważał, że razem z Danausem łatwo oczyścimy miasto z naturi. I to była prawda. Ja jednak nie zapomniałam, że Danaus jest przede wszystkim łowcą wampirów. Miesiąc temu, szukając mnie, zabił na moim terytorium pięciu nocnych wędrowców. A potem uśmierci Penelopę, bez ostrzeżenia i bez większych wahań.

W okolicy panował zamęt. Byli tu naturi. Ich obecność wpływała na zachowanie wilkołaków. Nocni wędrowcy musieli więc mieć się na baczności i z powodu naturi, i wilkołaków. Gdyby w tym kotle znalazł się też łowca, mogło dojść do wybuchu.

- Poradzilibyśmy sobie bez niego - powiedziałam, choć zabrzmiało to jak kłamstwo.

- Wcale nie musimy sobie „radzić”. Widziałem, co razem z Danausem wyczynialiście w siedzibie Temidy. Zniszczyliście tamtych naturi. Teraz możecie zrobić to samo - naciskał

Tristan, robiąc krok naprzód.

Wciąż nie chciałam myśleć o tym, co zrobiliśmy w Warowni Temidy. Unicestwiliśmy dusze naturi. I chociaż ich nienawidziłam, to nie postąpiłabym tak znowu. Jasne, mogę ich zabijać. Torturować. Ale zniszczenie duszy innej istoty było czymś, co wykraczało nawet poza granice zła; drogą, na którą na pewno nie weszłabym jeszcze raz z własnej woli.

- To nie takie proste - westchnęłam. - Danaus jest łowcą. Jaki ma sens powstrzymywanie go przed zabijaniem nocnych wędrowców w tym mieście? Jeżeli naturi zabijają wampiry, to naprawdę uważasz, że on się przejmie?

- Przejmuje się tobą - odparł ku mojemu zaskoczeniu Tristan.

Łaskotanie w żołądku sprawiło, że na chwilę umilkłam. Ale potem przypominałam sobie, że Danausowi zależy nie tyle na mnie, ile na tym, co mogę zrobić. Byłam orężem triady. Tylko ja mogłabym odtworzyć złamaną pieczęć i zatrzymać naturi w ich klatce.

- Danaus przypomina Jabarięgo. Im obu zależy na moim życiu, póki trwa to całe zamieszanie z naturi - poskarżyłam się. Zawiązałam mocniej pasek szlafroka i usiadłam na jednym z wygodnych krzeseł stojących koło łóżka. - Nie możemy oddawać inicjatywy.

Odnajdziemy Rowe'a. Chce mojej śmierci, więc jestem pewna, że ten drań już niedługo sam zacznie mnie prześladować.

- Nie brzmi to zbyt optymistycznie, Miro.

Tristanowi nie podobał się mój plan, ale przecież i mnie również niezbyt on odpowiadał. Nie potrafiłam wyczuwać obecności naturi, więc szukałam nowych metod na wywęszenie ich - innych sposobów niż błąkanie się po lasach. Jednocześnie naturi nie umieli wyczuć mnie, więc starałam się siedzieć cicho. Po prostu próbowałam przetrwać do czasu, aż Jabari ustali, gdzie i kiedy zostanie złożona następna ofiara. Wkurzał mnie pomysł, żeby czekać do ostatniej chwili na rozprawę z nimi, skoro tak wiele wisało na włosku - ale jaki miałam wybór?

Patrzyłam na Tristana, jak stał przy drzwiach ze spuszczonego wzrokiem. Coś jeszcze go gryzło i miałam przeczucie, że wiem, co to takiego.

- No, mów. Wyduś to z siebie - rzuciłam półgłosem, wiedząc, że sama prowokuję nowe kłopoty.

- Ja... O co ci chodzi? - zająknął się. Jego błękitne oczy powiększyły się pod wpływem niewinnego zaskoczenia i prawie się na to roześmiałam.

- Masz coś jeszcze na myśli. Albo sam mi powiesz, albo poszukam tego w twoim mózgu.

Oboje wiedzieliśmy, że to blef. Nie zajrzałam w myśli Tristana. Zasługiwał na tę odrobinę

prywatności, jaką mogłam mu zapewnić. Czy nie wystarczyło, że byłam jego panią?

- Na... Na ile jestem wolny? - zapytał po prawie pełnej minucie milczenia.

Zmarszczyłam czoło; bardzo mi się nie podobało to pytanie, a jeszcze mniej moja odpowiedź na nie.

- Na tyle, na ile ci pozwolę - odparłam. - Muszę mieć na względzie twoje dobro, zapewnić ci bezpieczeństwo. Przykro mi, Tristan. Chciałabym cię uwolnić, ale nie mogę, dopóki żyje Sadira. I nie zamierzam wypuszczać cię na wolność, aż nauczę cię bronić się trochę lepiej.

- Nie chcę cię opuszczać, Miro - powiedział z uśmiechem i w końcu wszedł na dobre do pokoju. Uklęknął koło krzesła, na którym siedziałam, i położył dłoń na moim prawym kolanie. - Może naturi depczą nam po piętach, ale życie tutaj to dla mnie coś lepszego niż czas pod pantoflem Sadiry. Zastanawiałem się tylko, czy pozwolisz mi się z kimś związać.

Obecność Tristana w moim życiu przypominała mi, że sprawy fizyczne nie są nam obce. Kiedy był blisko mnie, kładł mi dłoń na ramieniu albo na plecach. Wcale się nie zalecał.

Kontakt fizyczny dodawał mu otuchy, więc pozwalałam mu na to. Niestety, od bardzo dawna nie byłam blisko z nikim ze swojej rasy. Odzwyczaiłam się, a dotyk Tristana jednocześnie uspokajał mnie i pobudzał.

Jęknęłam, poruszając się na krześle i odsuwając kolano od jego dłoni.

- Tylko nie mów, że chodzi o Amandę - powiedziałam cicho, podenerwowana, przeczesując ręką włosy.

- A co złego jest w Amandzie? - zapytał ostro.

- Jest niebezpieczna, Tristanie. Ma gwałtowny temperament i pożre cię żywcem. Jest alfą wśród nieopierzonych wampirów.

- To dlaczego trzymasz ją przy sobie, skoro jest taka groźna?

- Bo dobrze pilnuje młodych wampirów. Mnie woli się nie narażać, i słusznie.

Wystawiłabym ją na pastwę słońca.

- Więc nie pozwolisz mi się z nią widywać - stwierdził Tristan.

Wpatrywałam się w niego przez moment spod zmarszczonych brwi. Zastanawiałam się chwilę, czy spotykałby się z nią potajemnie, gdybym mu zabroniła, i w końcu doszłam do wniosku, że chyba nie. Nie wątpiłam, że po prawie stu latach w rękach Sadiry zrobi, co mu rozkażę, nawet gdyby miał być przez to nieszczęśliwy. Oczywiście, nie miałam też wątpliwości, że Sadira odrzuciłaby jego prośbę, aby go ochronić przed nieodpowiednimi wpływami.

- Nie miałaś nikogo od czasu Violetty? - spytałam niemal szeptem. Nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o

jego żonie, o czasach, kiedy Tristan był człowiekiem. Violetta zmarła ponad sto lat temu, podczas porodu. Naturalnie nie musieliśmy mówić o jego przeszłości, ponieważ dobrze ją znałam. Kiedy zawładnęłam Tristanem, przejęłam jego krew i myśli, jego istotę i wszystkie wspomnienia. Kiedyś Tristan był żonaty z piękną młodą kobietą. Tamto szczęśliwe życie legło w gruzach, gdy ona umarła, i wtedy Sadira bez trudu weszła do akcji i dobrała się do załamane go człowieka.

- Tylko Sadirę. I teraz ciebie - odpowiedział.

- I chciałbyś spróbować z kimś bardziej...

- ... Bardziej podobnym do Violetty? - dokończył lodowatym głosem. - Nie ma nikogo takiego jak ona. I nigdy już nie będzie. Wiem o tym. Ta myśl zawsze będzie mnie prześladowała, przez całe długie życie.

- Miałam na myśli kogoś bardziej wyrozumiałego, łagodniejszego. Kogoś podobnego do ciebie.

Czuły uśmiech rozwiął wyraz troski i bólu w jego wielkich oczach. Miałam wrażenie, że w duchu śmieje się ze mnie.

- Nie sądzę, żeby istniał też ktoś taki.

Wyciągnęłam rękę i przesunęłam palcami po jego brązowych włosach, odgarniając mu je z oczu.

- Racja.

- Jeśli nie chcesz, żebyśmy się z nią spotykał, to nie będę - zapewnił.

- Nie mogę tego od ciebie żądać. Nie mogę odbierać ci wszystkiego. Może i nie będę zachwycona, ale nie mogę ci zabronić widywania się z Amandą, jeśli właśnie tego pragniesz -

powiedziałam, opuszczając rękę. Mimo oporów wiedziałam, że Amanda to dobra istota i może okazać się cenną nauczycielką. Umiała zatroszczyć się o siebie i po cichu liczyłam, że przekaże część tej wiedzy Tristanowi.

- Mogę się z nią spotykać? - zapytał, wyraźnie wstrząśnięty.

- Tak, jeśli ona cię zniesie - zażartowałam.

Tristan pochylił się i przelotnie pocałował mnie w skroń, a jego radość przepłynęła jak szybka fala energii. Sama też nie potrafiłam powściągnąć uśmiechu. Po ponad stu latach Tristan w końcu powracał do prawdziwego życia. Miałam jedynie nadzieję, że nie oddawałam mu życia tylko po to, by naturi wkrótce mu je odebrali.

Wstał, wyciągnął ramiona nad głową i kilka razy zamrugał. Noc wydawała ostatnie tchnienie, a Tristan i ja przygotowywaliśmy się do dziennego snu. Nocny wędrowiec położył

się na łóżku, a potem przekręcił się na bok, żeby na mnie spojrzeć.

- Myślisz, że oni wejdą do rodziny? - zapytał.

Zmarszczyłam brwi, rozpraszając ciepło i radość, które wypełniały ten pokój dosłownie przed chwilą.

- Tak - odpowiedziałam szeptem. - Sądzę, że tak.

Zorganizowanie rodziny miało mi przynieść korzyść i wzmocnić nadzór nad nocnymi wędrowcami w mieście. Oczywiście za wysoką cenę. Wystawiałam na linię ognia i Knoxa, i Amandę, a nie byłam pewna, czy uda mi się ich ochronić przed Sabatem i przed naturą.

Rozdział 4

Następnej nocy Danaus zastał mnie stojącą bosą w ogródku na tyłach domu, gdy wokół mnie tańczył ogień. Gęste drzewa otaczały moje domostwo, zasłaniając przed wzrokiem najbliższych sąsiadów spektakl, jaki urządziłam. A było to niezłe widowisko. Od godziny wzniecałam ogniste kule i smugi płomieni, zupełnie jak gdybym przyciągała kometę.

Próbowałam odtworzyć to, co wydarzyło się wcześniej na Krecie, ale bez powodzenia.

W pałacu w Knossos fala mocy z ziemi była tak potężna, że przeniknęła moje ciało i mogłam za jej pomocą wykrzesać ogień. Było to coś innego od mojego zwyczajnego sposobu wykorzystania tego żywiołu. Wcześniej czerpałam moc z własnego ciała i z czasem moje siły się kończyły. Na Krecie moc wypłynęła z innego źródła - z ziemi.

Musiałam się nauczyć korzystać z tego źródła, jeśli miałam liczyć na pokonanie natury. Niestety, na razie mi to nie wychodziło.

Poczułam na sobie wzrok Danausa, kiedy trenowałam różne pozycje ze sztuk walki, jakie opanowałam przez długie wieki. Starłam się odnaleźć duchowe ukojenie, wykorzystując swoje zdolności. Jednak ogień nie dawał spokoju. Był czystą energią, która iskrzyła i płonęła, pełna napiętności i ledwie kontrolowanego podniecenia.

- Jeśli zamachasz ręką wystarczająco szybko, to założę się, że uda ci się wypisać płomieniem swoje imię - powiedział Danaus, kiedy znalazł się zaledwie metr ode mnie.

Uśmiechnęłam się do niego przez ramię z wyższością i skrzyżowałam ręce na piersi, a moje imię zapłonęło przede mną krzywymi, chwiejnymi literami. Wisiało w powietrzu przez pełne pięć sekund i w końcu wygasło.

- Ale popis - mruknął, zaczesując za ucho kosmyk włosów, kiedy zerwał się wiatr.

Moja długa czarna spódnica kołysała się na wietrze i pozwoliłam, by ogień, który wcześniej przywołałam, dogasł i wypalił się, pograżając ogród w zupełnych ciemnościach.

Słabe światło dobiegało tylko z domu, gdzie Tristan siedział przy komputerze na piętrze.

Kiedy go tam zostawiałam, penetrował zasoby iTunes, korzystając z mojej karty kredytowej.

- Ćwiczysz? - spytał Danaus.

- Niezupełnie - odparłam, zerkając na swoje puste dłonie. Dopadła mnie taka frustracja, że prawie zgrzytałam zębami. Nie potrafiłam tego wywołać sama. Potrzebowałam pomocy. - Pamiętasz, co stało się na Krecie? Kiedy wykorzystałam swoje zdolności?

- Tak, moc z ziemi tobą zawładnęła. - Danaus przechylił głowę na bok i patrzył na mnie, dostrzegając moje bose stopy. - Próbujesz to powtórzyć. Miro, nie uda ci się opanować...

- Wiem, ale muszę się nauczyć. Musi być jakiś sposób.

- Sama, zdaje się, mówiłaś, że nocni wędrowcy nie mogą korzystać z ziemskiej magii ani nawet wyczuwać mocy ziemi, bo umarło w was to, co ludzkie.

- Tak, ale cóż, nocni wędrowcy nie powinni też panować nad ogniem - powiedziałam i strzeliłam palcami, a ognista łza poleciała w powietrze, nim po sekundzie ją zgasiałam. -

Wygląda na to, że jestem wyjątkiem, i to od niejednej reguły. Przechodzą przeze mnie moce triady i mogę przewodzić moce ziemi. Muszę tylko nauczyć się nad nimi panować. Póki żyje Jabari, raczej nie wyjdzie mi to z mocami triady, więc pozostaje mi nauczyć się kontrolować energię z ziemi.

- Masz już jakieś rezultaty?

Pokręciłam głową, a rude włosy spłynęły mi na twarz.

- Żadnych.

Była to prawda. Na razie nie wyczuwałam zupełnie nic. Tylko chłodną trawę pod stopami. Nie czułam nawet pulsu życia.

- Może udaje ci się korzystać z tych mocy tylko wtedy, kiedy mają niemal szczytowe nasilenie - podsunął Danaus.

Rozejrzałam się po ciemnym podwórku, popatrzyłam na drzewa. Przez chwilę zastanawiałam się, czy jacyś naturi nas obserwują, ale równie szybko odegnałam tę myśl.

Przecież Danaus by mi o tym powiedział.

- Jeśli jest tak jak mówisz, to ta moc nie przyda mi się specjalnie, nawet gdy nauczę się ją kontrolować.

Ruszyłam w stronę domu, a Danaus szedł obok mnie.

- Może się przydać, kiedy zaatakujemy naturi podczas składania następnej ofiary.

- Czy wiesz coś o tym, kiedy i gdzie to nastąpi? - zapytałam, powoli wchodząc kamiennymi schodkami na patio. Machnięciem dłoni zapaliłam kilka świec, które trzymałam tam z myślą o Danausie. Widział w ciemnościach prawie tak dobrze jak ja, ale sądziłam, że poczuje się przynajmniej trochę różniej w otoczeniu palących się świec.

- Jeszcze nie mam informacji od Temidy. Zbliża się jesienne zrównanie dnia z nocą i naszym zdaniem przystąpią do działania właśnie wtedy.

- Też mi się tak wydaje. - Usiadłam na szezlongu i wpatrzyłam się w płomyki świec, a Danaus zajął krzesło naprzeciwko mnie.

- Jeśli chcesz nauczyć się kontrolować moce z ziemi, to będzie ci potrzebny instruktor

- powiedział, w zamyśleniu drapiąc się po ciemnej szczecinie na podbródku.

- Wątpię, czy znajdę kogoś takiego w książce telefonicznej - rzuciłam zjadliwie, jedną ręką odgarniając włosy z oczu.

- Racja. Trzeba poszukać czarownicy posługującej się magią ziemi.

- Hm... Tak, to byłby świetny pomysł, gdyby wszystkie wiedźmy nie sprzymierzyły się już z naturą. Wolałabym nie mieć nauczycielki, która na każdym kroku próbowałaby mnie zabić.

- Nie wszystkie stanęły po stronie natury.

Chwyciłam się obu podpórek szezlongu, wyprostowałam i usiadłam na jego skraju.

- Znasz kogoś - powiedziałam cicho.

- Tak.

- Czy to ktoś w jakikolwiek sposób powiązany z Ryanem? - spytałam, bojąc się, jaką usłyszę odpowiedź. Nie chciałam, żeby szef Temidy brał udział w moim szkoleniu, jeśli tylko udałoby się tego uniknąć.

- Nie, ona jest spoza Temidy. Poznałem ją kilka miesięcy temu, kiedy szukałem ciebie.

Mieszka trochę na północ stąd, w Charleston.

- Przyjaciółka? - zapytałam ostrzej i nachyliłam się, czekając na odpowiedź, ale on tylko prychnął i skrzyżował ramiona na piersi. - No, tak, zapomniałam. Potężny Danaus nie angażuje się w tak prymitywne ludzkie emocje jak miłość i pożądanie. Ty tylko zabijasz.

- Podobnie jak ty - odciął się szybko.

- Nie, ja kochałam Michaela - wyszeptałam i wstałam. Kochałam swojego ochroniarza, a natury mi go odebrali. Czasami życie polega na podejmowaniu strasznego ryzyka, które nie daje szans na

powodzenie. W sumie jednak warto je podjąć.

- Ja podejmuję.

- Ty wolisz ryzyko skalkulowane.

- A czy współpraca z tobą nie jest takim skalkulowanym ryzykiem? - spytał i spojrzał na mnie, unosząc brew.

W końcu uśmiech zatańczył na moich ustach, kiedy popatrzyłam na Danausa. Było to rzeczywiście wliczone ryzyko, ale przy tym dawało mu ograniczone korzyści. Oboje nienawidziliśmy naturi i mieliśmy głęboko wpojone poczucie honoru. Poza tym niewiele powstrzymywało nas przed pozabijaniem się nawzajem.

- Skontaktuj mnie, proszę, z tą ziemską wiedźmą. Dowiedz się, czy przyjedzie do Savannah. Chciałabym ją o coś zapytać.

- Chcesz, żebym ją tutaj sprowadził?

- Nie! - Przyłapałam się na nerwowym, panicznym wybuchu i odchrząknęłam. -

Przywieź ją do mojego domu w mieście. Tam się z wami spotkam. O mojej sekretnej posiadłości za miastem zaczyna wiedzieć coraz więcej osób.

Minęła prawie godzina, zanim pozbyłam się swojego mrocznego cienia - czyli Danausa - i wreszcie mogłam w pojedynkę wybrać się na kolejne spotkanie. Chociaż cieszyła mnie jego obecność, gdy tak wielu naturi kręciło się w okolicy, to następną sprawą musiałam zająć się sama, mimo że nadal miałam co do niej mieszane odczucia.

Wędrowałam po cmentarzu, a obcasy moich butów zapadały się głęboko w miękki grunt. Tego lata padało więcej niż zwykle, a ziemia rozmiękła jak wilgotna gąbka. Cmentarz znajdował się poza granicami Savannah, a sądząc po nagrobkach był tak stary jak samo miasto. Kamiennie anioły płakały, a ich twarze wyszczerbił zęb czasu. Inskrypcje na grobach zatarły się tak, że nazwiska dało się teraz odcyfrować tylko za pomocą dotyku. Przeszłam na tyły tego rozległego cmentarzyska po kamiennym mostku, który prowadził na samotną wyspę pośrodku dużego jeziora.

Po śmierci mojego pierwszego ochroniarza wykupiłam wszystkie parcele na tej wyspie. Miałam zamiar uczynić z niej miejsce wiecznego spoczynku dla swoich strażników.

Zanim doszłam na wyspę, przystanęłam koło grobów Thomasa i Filipa. Żaden z nich nie pracował u mnie długo - wdawali się w walki ze stworami, od których powinni się trzymać z daleka. Nie mogłam zapobiec ich niefortunnej śmierci.

A potem podeszłam do nagrobka Michaela. Ostatniego z moich ochroniarzy, który zginął. Po tym, jak go zatrudniłam, zaczęłam nazywać jego oraz obecnego strażnika, Gabriela, swoimi aniołami stróżami. Michael, ze złocistymi włosami i słodkim uśmiechem, pilnował mnie z nieugiętą

czujnością. Chronił mnie za dnia i odpędzał mrok po nocach.

Teraz chciałam po prostu za nim popłakać. Nie powinnam była zabierać go ze sobą do Anglii. Gdy stało się jasne, że naturi polują na mnie w Egipcie, należało go odesłać do Stanów Zjednoczonych, gdzie on i Gabriel byliby bezpieczni. Jednak ja zatrzymałam go przy sobie z egoistycznych pobudek. I w rezultacie zginął.

Co gorsza, nie odzyskałam nawet jego ciała, żeby je pochować tutaj, wśród jego towarzyszy. Zdaniem Ryana zwłoki Michaela wykradli z jakiegoś dziwnego powodu naturi.

Uklękałam na wilgotnej trawie i przesunęłam palcami po jego imieniu, wyrytym na grubej marmurowej płycie.

Opuszki ześlizgiwały się z gładkich krawędzi, gdy próbowałam sobie przypomnieć jego krzywy uśmiech i drobne wioski na ramionach. Gabriel poczynił wszelkie przygotowania do pogrzebu od razu po powrocie do Stanów, a ja odwiedzałam to miejsce tak często, jak tylko mogłam. Nie chciałam, żeby naturi mnie tutaj wytropili. Wolałabym nie walczyć z nimi nad grobem Michaela. Mój anioł stróż zasłużył sobie na wieczny spokój.

Zapracował na to.

Usłyszałam za sobą odgłos kroków na betonowym mostku, łączącym wysepkę z brzegiem. Wyczułam, że zbliża się Gabriel, ale uprzejmie postanowił narobić trochę hałasu, aby zasygnalizować, że nadchodzi. Nie chciał mnie zaskakiwać, gdy przyprowadzał gościa.

Kiedy obaj się zbliżali, omiotłam mocami cały cmentarz i przekonałam się, że poza nami nikogo tu nie ma. To znaczy niezupełnie się przekonałam. Nie potrafiłam wyczuwać obecności naturi i zaczynałam się zastanawiać, czy jednak na to spotkanie nie należało zabrać ze sobą Danausa. To miejsce nadawało się przecież idealnie na zasadzkę.

Ufasz mu? - posłałam to pytanie wprost do myśli Gabriela. Te niespodziewane słowa sprawiły, że niemal się potknął, jednak szybko odzyskał równowagę.

Mniej niż innym, z którymi współpracowałem wcześniej, ale bardziej niż innym, których kandydatury rozwalilem. Ułożył to zdanie w swojej głowie tak jasno, jak to tylko możliwe, żebym mogła je bez trudu odczytać. Gabriel nie miał zdolności telepatycznych, ale nauczyłam, go formułować myśli w taki sposób, by łatwo poznawać jego odpowiedzi, bez przedzierania się przez gąszcz innych refleksji i odczuć.

- Obyś nie żałował wyboru, jakiego dokonałeś, zjawiając się tutaj - powiedziałam na głos, nie odwracając się znad pustego grobu Michaela.

- Zdaje się, że przekroczyłem już tę granicę, przed którą czegoś się jeszcze żałuje. -

Odpowiedź wypowiedziano cichym, niewzruszonym głosem, którego wcześniej nie słyszałam. Z azjatyckim, prawdopodobnie japońskim akcentem. Nie spędziłam zbyt wiele czasu w tamtych rejonach świata, więc słabo znałam się na orientalnych dialektach i akcentach.

Przybierając kamienny wyraz swojej bladej twarzy, odwróciłam się i popatrzyłam na przybysza. Miał niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, był szczupły, a na głowie sterczały mu krótkie czarne włosy. Trudno było określić jego wiek. Wyglądał na dwudziestokilkulatkę, ale obrazy i wspomnienia w jego myślach świadczyły, że przeżył

znacznie dłuższy czas. Był co najmniej o dziesięć lat starszy, niż wskazywał jego wygląd.

- Wiesz już pewnie, że mam na imię Matsui - powiedział, lekko skłaniając głowę.

- Tak, Gabriel mówił mi, że mnie poszukujesz i wiesz, kim jestem - odparłam, zachowując między nami dogodny dystans. - Jak się o mnie dowiedziałeś? - Gdy zadałam to pytanie, wniknęłam do jego myśli. Nie mogłam odczytać zbyt wiele, ale widziałam w jego głowie różne obrazy i wizje. Znał innych nocnych wędrowców.

- Na całym świecie krążą o tobie legendy. Zna je nawet klan Soga - odpowiedział.

- Klan nocnych wędrowców? - spytał Gabriel, stając obok mnie.

- Podobny do rodziny, ale większy i bardziej rozbudowany - wyjaśniłam mu, splatając ręce na brzuchu. - Kodeksy honorowy i polityczny są na Wschodzie bardziej...

skomplikowane, więc Sabat zezwolił im na kultywowanie swoich tradycji, o ile tylko nie zaczną ich rozprzestrzeniać na inne regiony.

- Jesteś sławna nawet w moim małym kraju - stwierdził Matsui.

- Kostuchę znają wszędzie, a jednak nikt jej nie szuka. Po co chciałeś do mnie dotrzeć?

- Chciałbym dołączyć do tych, którzy strzegą cię za dnia. Dowiedziałem się parę lat temu, jaką posadę dostał Gabriel, i miałem nadzieję, że przyda ci się jeszcze jeden strażnik.

Pełniłem podobną służbę w klanie Soga. Znam wiele różnych sztuk walki...

- Nie wątpię, że potrafiłbyś obronić siebie albo mnie. Gdyby Gabriel nie był pewien twoich umiejętności, nie znalazłbyś się tutaj. Chcę wiedzieć, dlaczego zamierzasz opuścić klan Soga i przyłączyć się do mnie.

- Nocni wędrowcy ze Wschodu dowiedzieli się o naturi i ich próbach wyrwania się na wolność, ale niewielu chce pomóc w tej walce - powiedział, marszcząc czoło i lekko kręcąc głową. - Tylko troje nocnych wędrowców, których znam, udało się do Sabatu. Ja przybyłem tutaj, poszukując ciebie. Mówią, że w przeszłości pokonałaś naturi, i chciałbym ci pomóc zwyciężyć ich teraz.

- Czy klan Soga wie, że jesteś tu teraz? - zapytał Gabriel surowym tonem, przestępując z lewej nogi na prawą. Czulałam, jak niepokój bije od niego falami. Gabriel nie ufał

Matsuiemu.

- Mam błogosławieństwo jego członków.

Gabriel spojrzał na mnie i ściągnął brwi. W przeszłości starannie dobierał ochroniarzy, rekrutując ich spośród weteranów sił specjalnych armii amerykańskiej. Wyszukiwał ich też z grona byłych „bramkarzy” nocnych klubów, którzy specjalizowali się w różnych sztukach walki. Jednak każdego z kandydatów osobiście sprawdzał i wybierał z określonego powodu.

Matsui jako pierwszy sam zgłosił się do niego i to trochę zaniepokoiło Gabriela.

- Możliwe, że nie zrozumiałeś, jaki jest zakres obowiązków na takiej posadzie -

wyjaśniłam. - Gabriel nie walczy z naturi. On chroni mnie za dnia, kiedy podróżuję. Strzeże mnie przed ludźmi, którzy mogliby mnie skrzywdzić, gdyby się dowiedzieli, kim naprawdę jestem. - Częściowo było to kłamstwem. Przecież Gabriel jednak starł się z naturi w Anglii, chociaż nie miało się tak stać. Nie powinien w ogóle znaleźć się w takiej sytuacji, ale pokpiłam sprawę i Michael zapłacił za to życiem.

- Ochronianie cię, gdy starasz się pokonać naturi, będzie dla mnie zaszczytem -

powiedział Matsui, znowu lekko się kłaniając.

Zmarszczyłam brwi.

- Wszyscy moi strażnicy zaczynają i kończą tu, gdzie właśnie stoisz. Pochowałam ich już więcej, niż mogłabym spamiętać, a wszyscy zginęli w walce. Żyli krótko i zmarli gwałtowną śmiercią.

- Mam prawo pokierować swoim życiem tak jak mi się podoba, nawet jeśli ma być krótkie - odparł Matsui, niemalże cytując słowa, jakie przed laty usłyszałam od Gabriela.

Uśmiechnęłam się, a Gabriel się zachnął, kręcąc głową, i też się uśmiechnął, ale jakby bez przekonania.

- W porządku - zgodziłam się i kiwnęłam głową. - Dostaniesz tę robotę. Na razie polecenia będzie ci przekazywał Gabriel. Będiesz spał tam i jadł to, co ci każe. A jeśli w jakiejś sytuacji uzna, że stanowisz dla mnie zagrożenie, zlikwiduje cię bez wahania. I bez zbędnych pytań.

- Rozumiem. Dziękuję, że dajesz mi taką szansę. Nie zawiodę cię.

- Wracaj do wozu - rozkazał mu Gabriel.

Matsui skinął głową i ruszył z powrotem przez mostek, a Gabriel i ja zwróciliśmy się w stronę nagrobka z wyrytym imieniem Michaela.

- Znalazłem wizerunek anioła, taki, jaki chciałaś, a pewien rzeźbiarz wryje go w marmurze - powiedział cicho Gabriel. - Stwierdził, że zajmie mu to kilka miesięcy.

- Świetnie. Nie ma pośpiechu - odparłam półgłosem, muskając otwartą dłoń swojego anioła stróża.

Gabriel uściśnął mi rękę, przesuając kciukiem po jej grzbiecie.

- Michael nie żałowałby tego, co się stało. Nie sprawiaj, żeby pożałował.

- On się pograżał, Gabrielu - odezwałam się szeptem, w końcu wypowiadając, co mnie dręczyło. - Powinnam była to przewidzieć. A może nawet przewidziałam, tylko po prostu nie chciałam się z tym pogodzić, aż było za późno. Stał się rozkojarzony, za bardzo pochłonięty mną. Nie powinien się tam znaleźć. Żaden z was nie powinien znaleźć się w Anglii.

- Byliśmy przy tobie, tak jak należało - stwierdził Gabriel stanowczo.

Westchnęłam cicho i uściśnęłam jego dłoń, a potem ją puściłam.

- Może Matsui pożyje trochę dłużej od innych. W przeszłości przynajmniej stykał się z nocnymi wędrowcami.

- Ufasz mu?

Zaśmiałam się krótko i trąciłam go ramieniem.

- Ani trochę.

- Tak tylko pytam. Bałam się, że chwilowo straciłaś głowę.

- Nie, nie ufam mu, ale przecież początkowo nie ufa się nikomu.

- Wygląda na to, że zdobywasz rozgłos. Słyszał o tobie klan japońskich nocnych wędrowców. Czy będę musiał odganiać kijem chętnych na twoich strażników? - zażartował

Gabriel, jednak jego ton był dość serio.

- To klan Soga przysłał Matsuiego. On nie znalazł się tu z własnej woli -

powiedziała, kręcąc głową. - Na pewno o mnie słyszeli. Jestem jedynym żyjącym nocnym wędrowcem, który umie posługiwać się ogniem. Poza tym mam sześćset lat. I nie tylko słyszeli o mnie. Niewątpliwie dowiedzieli się, że przystąpiłam do Sabatu.

Gabriel odszedł ode mnie o parę kroków, a jego ciężkie buty zapadły się w miękkim podłożu. Skrzyżował ramiona na krzepkiej piersi i skłonił głowę, zamyślony wpatrując się w ziemię.

- Nie rozumiem tego.

- Myślę, że w ten sposób stawiają na „czarnego konia” w składzie Sabatu. Uważają, że jak w końcu rozpęta się piekło, to ja będę miała największą szansę przeżycia. Matsui to emisariusz i w pewnym sensie podarunek.

- I sądzisz, że będzie cię sumiennie strzegł, bo mu tak rozkazano?

- Tak, przez wzgląd na swoich ziomków. Może i jest moim nowym ochroniarzem, ale na zawsze pozostanie kimś z klanu Soga. Matsui zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby mnie upilnować.

- Skoro jesteś taka pewna, że cię ochroni, to dlaczego mu nie ufasz?

- Bo nie wiem, czy naprawdę chce tu być, czy chce zostać moim strażnikiem. Lubię ludzi oddanych umysłem, sercem i ciałem. A on na razie nie wkłada w to serca.

- Miejmy nadzieję, że to się szybko zmieni...

- ... W przeciwnym razie Matsui pozostanie na stałe tu, na tej mojej wysepce -

dokończyłam, po raz ostatni obrzucając spojrzeniem nagrobki. Nie brakowało miejsca na następne.

Rozdział 5

Na cmentarzu był Nikołaj. Po odejściu Gabriela pozostałam jeszcze na wyspie, rozmyślając o swoich ostatnich dniach z Michaelem. Ale kiedy weszłam na mostek, który prowadził na tyły cmentarza, niespodziewanie wyczułam obecność wilkołaka. Zatrzymałam się, a żołądek ścisnął mi się niczym węzeł. Nikołaj nie powinien się tu znaleźć. Nie powinien w ogóle się do mnie zbliżać, nie dając mi dużo wcześniej o sobie znać. Gdy naturi najechali tę okolicę, wilkołaki zgodziły się opuścić miasto i trzymać się z daleka od nocnych wędrowców codziennie po zachodzie słońca. Był to nasz jedyny pomysł na to, jak chronić obie strony.

Plan ten miał wady. Dotychczas sześciu nocnych wędrowców i cztery wilkołaki zginęli w walkach - w tym jeden z braci Barretta. Barrett, alfa sfory z Savannah, wciąż opłakiwał tę stratę.

Zwilżyłam językiem usta, odwróciłam się i skierowałam na zachód, oddalając się od wilkołaka, ale Nikołaj także się przemieścił, zmierzając w moją stronę. Tak, szukał mnie.

Zaświtała mi głupia nadzieja; musiałam się o czymś przekonać.

Wydawało mi się, że poza nami nie ma na cmentarzu nikogo. Niewykluczone, że Nikołaj po prostu chciał się ze mną w jakiejś sprawie spotkać. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, odkąd wróciłam z Krety. Osiadł tu i dość łatwo załatwił sobie pracę w miejscowym college'u oraz nowe mieszkanie. Z tego, co usłyszałam od Barretta, Nikołaj nadal miał kłopoty ze zdobyciem pozycji w lokalnej sforze, ale przecież znalazł się tu tylko tymczasowo. Skoro jednak Jabari czaił się gdzieś w pobliżu, a naturi deptali mi po piętach, nie wiedziałam, kiedy będę mogła pozwolić temu wilkołakowi na bezpieczny powrót do dawnego życia poza Savannah.

Obróciłam się energicznie na piętach, znów zmieniłam kierunek marszu i ruszyłam w stronę Nikołaja. W najgorszym razie naturi mieli wilkołaka w garści i nasłali go, żeby mnie zabił. Wtedy, gdyby to było możliwe, mogłabym go ogłuszyć i pozabijać naturi. Ale nie liczyłam na wiele, bo przecież w takiej sytuacji przeciwnik miałby wielką przewagę liczebną.

Powinnam była przyprowadzić tu ze sobą Danausa.

Weszłam na jedną z krętych żwirowych ścieżek, kiedy Nikolaј w końcu się pokazał.

Nie zmienił się od ostatniego razu; piękny jak Adonis z nieciekawą przeszłością. Złociste blond włosy opadały mu na kołnierz koszuli, a jego skóra wydawała się idealnie brązowa, jak gdyby ubóstwiana przez słońce. Trzymałam go tu, w Savannah, żeby go chronić przed naturą i Jabarim, ale oboje wiedzieliśmy, że w ten sposób tylko przedłużam mu życie o parę dni.

- Dawno się nie widzieliśmy - zawołał, kiedy zatrzymałam się pośrodku drogi.

Zwolnił kroku, teraz prawie powłóczył nogami, ale nadal się zbliżał, z rękami w kieszeniach spodni w kolorze khaki.

- No cóż, nasza przyszłość nie zapowiada się zbyt różowo - powiedziałam, wzruszając ramieniem i nie przestając obserwować okolicy w poszukiwaniu kogokolwiek, kto mógłby urządzić w pobliżu zasadzkę.

- Trudno rywalizować z łowcą. Bardzo mu zależy, żeby wyrwać ci serce - odparł

Nikolaј, przystając o kilka metrów ode mnie.

Zachnęłam się i uśmiechnęłam do niego słabo.

- I zatknąć je na palu - dokończyłam jego myśl. Danaus interesował się mną, ponieważ w końcu chciał mnie zabić. - Co tu robisz? - zapytałam surowo, przerywając tę beztroską pogawędkę, do jakiej się zmusiliśmy mimo nerwowego napięcia.

- On chce tylko porozmawiać - powiedział półgłosem Nikolaј.

- Rowe?

- Nie.

- Cholera - syknęłam, a mięśnie karku od razu mi się napięły.

- Ja tego chcę - odezwał się tuż za mną Jabari.

Obróciłam się wokoło, ugięłam lekko kolana, a spódnica zatańczyła wokół mnie; warknęłam na Jabariego, pokazując Starszemu z Sabatu kły. Znalazłam się między wilkołakiem a Starszym, gotowa do odparcia ataku.

- Nie dostaniesz go - rzuciłam groźnie.

W Wenecji Jabari nastął Nikolaја, żeby mnie zabił. Wtedy ogłuszyłam wilkołaka, a później ogłosiłam, że należy do mnie, aby go ocalić przed Jabarim i resztą nocnych wędrowców. Jednak oboje, Nikolaј i ja, wiedzieliśmy, że nie jestem na tyle mocna, żeby ochronić go przed Jabarim, jeśli wróci i upomni się o niego. Chciałam jedynie trochę przedłużyć Nikolaјowi życie.

- Mogę ci go odebrać, kiedy tylko zechcę - powiedział z uśmiechem Jabari.

Jego jasne egipskie szaty powiewały na wietrze, który tej nocy hulał po mieście.

- Nikołaju, wynoś się stąd! - rozkazałam i uniosłam prawą rękę, którą wyczarowałam ognistą kulę. Widok tańczących płomieni sprawił, że Jabari warknął gardłowo, gdy się przekonał, że naprawdę zamierzam bronić wilkołaka. Jabari wydawał się za wysoki i za silny, ze swoją śniadą cerą i rozpalonymi czarnymi oczami. Czyniłam to bez pozwolenia, ale przyrzekłam bronić Nikołaja nawet za cenę życia i byłam gotowa dotrzymać obietnicy.

- Nie! Nie musi tak być - wtrącił się Nikołaj. Słyszałam jego kroki, kiedy podchodził.

Chciałam, żeby się stąd wyniósł, ale on nie miał takiego zamiaru.

Cisnęłam ognistą kulą w starożytnego nocnego wędrowca tak, że wylądowała tuż przed jego stopami, zmuszając go do cofnięcia się o parę kroków. Kiedy się poruszył, rzuciłam się na niego. Ale był na to przygotowany. Nie zaskoczyłam go. Jabari tkwił bez przerwy w mojej głowie i mógł poznać moje myśli, kiedy tylko chciał. Złapał mnie za nadgarstek, zanim dosięgłam palcami jego szyi, i odrzucił na bok jak worek śmieci.

Poślizgnęłam się na chodniku, a spod moich stóp trysnęła fontanna kamyków. Gdy tylko odzyskałam równowagę, znów na niego natarłam. Kopnęłam z półobrotu, licząc, że nim zachwieję, ale złapał mnie za kostkę i pchnął do tyłu. Wylądowałam na tyłku i warknęłam, chcąc się podnieść. Jednak nie mogłam tego zrobić.

Jabari wyciągnął w moją stronę rękę i nie byłam w stanie się poruszyć. Potrafił

kierować mną jak marionetką na sznurkach. Igrał ze mną już wcześniej, rozbudzając we mnie nadzieję, że uda mi się go pokonać. A teraz był gotów mnie zniszczyć.

- Nie możesz go odzyskać - warknęłam, nadal próbując wyrwać się spod jego kontroli.

Jabari był jednak zbyt silny. Czułam jego moc, przepływającą przeze mnie, przesączającą się przez moje mięśnie i tkanki, jak gdybym sama była jej źródłem.

- Gdybym zechciał, mógłbym sprawić, żebyś zabiła go dla mnie - drażnił się ze mną, podchodząc parę kroków do miejsca, gdzie siedziałam. - Mógłbym cię zmusić, żebyś wyrwała mu serce i je podpaliła.

Kiedy to mówił, fala mocy przeszła przeze mnie, aż cała zadrżałam z bólu.

Równocześnie głos w mojej głowie rozkazał mi wzniecić ogień. Próbowałam mu się oprzeć, ale bezskutecznie. Ognisty krąg wystrzelił naokoło Nikołaja.

- Przestań! - krzyknęłam, walcząc z jego wolą. Płomienie się zmniejszyły, ale nie potrafiłam ugasić ich całkowicie, choć próbowałam z całych sił. Krąg ognia zaciskał się wokół Nikołaja, zbliżając się do niego na metr, a on wcale nie reagował. Wiedział, że oboje jesteśmy poddani woli Jabariego. -

Przestań, Jabari! Walczysz ze mną, nie z nim. Nie wplątuj w to Nikołaja.

Tajemniczy uśmiezek pojawił się na mięsistych wargach Starszego, kiedy patrzył na mnie z góry. A potem ogień zgasł, zniknął tak samo, jak obecność Jabariego w moim ciele.

- Nie przybyłem, żeby odbierać ci Nikołaja - wyjaśnił, obojętnie wzruszając ramionami. - Mogę to zrobić, kiedy tylko mi się spodoba, ale teraz chodzi mi o naturi.

- Co takiego? Zjawiłeś się z Nikołajem, żeby pogadać ze mną o naturi, a nie żeby go zabrać z powrotem? - zapytałam tak wstrząśnięta, że nie mogłam się podnieść.

Złośliwy uśmiech wykrzywił pełne usta Jabariego i zatańczył w jego ciemnych oczach.

- Tak. To ty zaczęłaś walkę, nie ja.

- Wiesz co? Ale z ciebie dupek - rzuciłam, wstając i otrzepując z kurzu czarną spódnicę. - Atakują mnie, od kiedy opuściłam Krete, a teraz ty zjawiasz się w mieście, wlokąc za sobą Nikołaja. Nie musisz mnie tak dręczyć, Jabari. I tak mam mnóstwo kłopotów.

- Powinnaś była wrócić do Wenecji, tak jak ci rozkazałem. Tam byłabyś chroniona przed naturi i nie miałabyś żadnych zmartwień - stwierdził spokojnie.

- Ale nie dotyczy to moich podopiecznych w Savannah. Odpowiadam za nich.

- Wchodzisz teraz w skład Sabatu. Twoje obowiązki nie ograniczają się do tego jedyne miasta, ale dotyczą całej naszej rasy.

Przeczesałam włosy obiema dłońmi i sfrustrowana odeszłam kilka kroków od Jabariego, zanim wrzasnęłam. Nie dało się z nim wygrać, ani w walce, ani w dyskusji.

Zawsze czegoś brakowało. Nie chciałam być członkiem Sabatu, jednak musiałam zająć wakujące miejsce, żeby doprowadzić do zerwania paktu, jaki Macaire zawiązał z naturi.

Macaire dobił targu, zgodnie z którym nocni wędrowcy mieli zabić królową naturi Aurorę, jeżeli sami naturi zabiją Naszego Władcę, powstrzymując go przed przyspieszeniem Wielkiego Przebudzenia.

- Poza tym, że chcesz doprowadzić mnie do szału, na czym jeszcze ci zależy? -

spytałam w końcu, gdy opanowałam wściekłość.

- W ciągu nadchodzących dni dojdzie do złożenia nowej ofiary. Musisz się tam znaleźć i to powstrzymać.

- Chodzi o jesienne zrównanie dnia z nocą, tak?

- Tak.

- Czy znasz miejsce?

- Machu Picchu.

Kiwnęłam głową. Nie zaskoczyła mnie ta odpowiedź. Już takiego miałam pecha.

Machu Picchu to jedno z zaledwie dwóch świętych miejsc na południe od równika. O tej porze roku w Peru kończyła się zima, wobec czego obchodzono tam święto wiosennego, a nie jesiennego zrównania dnia z nocą. Przesilenie wiosenne to czas odrodzenia i nowego początku. Także w Peru poddani Aurory podjęli ostatnią, nieudaną próbę otwarcia wrót oddzielających światy. Nie było lepszego miejsca na ponowne pojawienie się tutaj.

- Czy mamy jakiś plan? - zapytałam, prawie bojąc się usłyszeć odpowiedź. Według ostatniego planu, opracowanego przez Sabat w celu pokonania naturi, sama miałam posłużyć jako przynęta do zwabienia ich przywódcy.

- Chcę, żebyś pojechała tam wcześniej. Zapolowała na Rowe'a. Powstrzymała go.

- A ty przyłączysz się do tych łowów? - spytałam, choć znałam odpowiedź, zanim ją usłyszałam.

- Ostatecznie tak.

Zamknęłam oczy i pokręciłam głową. No tak, Danaus i ja mieliśmy odegrać rolę piechoty w tej akcji. Mielibyśmy oczyścić przedpole i zaatakować naturi. A potem, kiedy pojawi się Rowe, żeby złożyć ofiarę, zjawi się Jabari i pomoże w ujęciu małżonka królowej naturi, uniemożliwiając jej przybycie. W każdym razie byłam pewna, że tak właśnie to sobie wyobrażał. Jednak wątpiłam, że tak będzie, ponieważ do tej pory nic nie poszło tak, jak wymyślił sobie Jabari.

- Miro! - krzyknął Nikolaaj, na co szybko odwróciłam głowę. Najpierw zauważyłam, że Jabari gdzieś zniknął, ale przecież potrafił pojawiać się i ulatniać, kiedy zechciał.

- Co jest? - zapytałam, podchodząc do niego szybko.

- Naturi! - zawołał, a ja stanęłam jak wryta. Wydawało mi się, że jestem skazana, żeby ciągle słyszeć to słowo.

Zmusiłam się, żeby zrobić jeszcze krok w jego stronę, rozglądając się po cmentarzu pogrążonym w ciemnościach.

- Czy oni tu są?

- Nie - odpowiedział, przyciskając prawą dłoń do skroni. - Przywołują nas.

Zduśiłam przekleństwo i podbiegłam do niego. Ujęłam w dłonie jego policzki, kiedy osuwał się na kolana. Zgrzytał zębami, a kropelki potu wystąpiły mu na czoło. Dudnienie jego serca i świszczący oddech rozlegały się w nocnym powietrzu.

- Są blisko? - spytałam, tak obracając głowę wilkołaka, żeby na mnie popatrzył.

- Nie... W mieście.

- Czytają w twoich myślach? Czy mnie szukają? - Ledwie powściągnęłam ochotę, aby lekko nim potrząsnąć i przyciągnąć znów jego uwagę, która wydawała się rozplýwać.

- Nie, to tylko wezwanie. Chcą, żebyśmy przyjechali do miasta... Do parku Forsyth.

- Posłuchaj, Nikołaju - rzuciłam cicho, klękając na ziemi przed nim. - Nie musisz ich słuchać. Nie należysz do nich. Oni nie są twoimi władcami. Nie musisz do nich iść.

Wziął głęboki, oczyszczający wdech przez nos i wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Drżał pod moimi rękami i cały oblał się potem. Opierał się z całych sił, ale jeśli jacyś naturi byli w pobliżu, to Nikołaj nie mógł im się wyrwać. Widziałam już wcześniej, jak alfa sfory z Savannah ulega takiemu zewowi, a znałam niewielu wilkołaków silniejszych albo bardziej upartych od Barretta.

- Oni są wiele kilometrów stąd. Ty jesteś od nich silniejszy - ciągnęłam, rozpaczliwie próbując uwolnić go ze szponów syreniej pieśni. Klęczałam koło niego na ziemi, bardzo blisko, a on ledwie się powstrzymywał. Gdyby stracił opanowanie, wbiłby mi kły w gardło, zanim zdążyłabym się poruszyć.

Nikołaj zamrugał i popatrzył na mnie oczami o barwie miedzi. Zwierzęca natura brała w nim górę. Przełknęłam ślinę, ponieważ strach ścisnął mi krtań.

- Zostań ze mną, Nikołaju. Pomyśl o Wenecji - powiedziałam, próbując obudzić w nim ludzkie wspomnienia, żeby mógł się ich uczepić, kiedy zmagał się z zewem naturi.

- Wenecja...? - wycedził przez zaciśnięte zęby. Przymknął oczy i zadygotał. -

Wszędzie nocni wędrowcy... Powietrze aż gęste od krwi. - Jego górna warga poruszyła się, odsłaniając coraz bardziej prawy kieł.

- Nie, nie tamto wspomnienie z Wenecji. - Przesunęłam kciukami po jego kościach policzkowych. - Chodziło mi o chwilę, kiedy byliśmy razem tylko we dwoje, sami w hotelu.

Żadnych naturi. Żadnych nocnych wędrowców.

Nikołaj otworzył oczy i zobaczyłam, jak ich miedziany kolor nabiera znowu piwnego odcienia. Powracał do mnie, walcząc z zewem naturi. Przypomnił sobie, jak uprawialiśmy seks po tym, jak z trudem wyrwaliśmy się z rąk Sabatu i naturi. Od tamtego czasu nie wspominaliśmy owej nocy. Właściwie po powrocie do Savannah sama starałam się za wszelką cenę unikać Nikołaja i to niezupełnie z powodu naturi. Nie wiedziałam, jak z nim rozmawiać po tamtej przelotnej przygodzie, zwłaszcza że noc przed nią Nikołaj usiłował mnie zabić.

- Byłaś wtedy piękna - powiedział cichym, chrapliwym głosem. Uniósł lewą rękę i położył mi ją na nadgarstku, kciukiem głaszcząc przedramię.

- Wolałabym usłyszeć, że nadal taka jestem - odparłam z krzywym uśmiechem.

Musiałam go trochę rozbawić i przekonać się, że jest już całkiem ze mną, zanim wypuściłam jego twarz ze swoich dłoni.

- Byłaś długą, jasną smugą białego światła - podjął, ignorując moją uwagę. Jego wzrok przesunął się powoli po mojej twarzy, jak gdyby Nikołaj nagle znowu mnie rozpoznał i w końcu nasze spojrzenia się spotkały. - Unikałaś mnie.

- Tak było lepiej. Chodziło o... naturi - odpowiedziałam, z trudem wyduszając z siebie ostatnie słowo. Wyrwałam go z ich rąk, a nie chciałam wciąż go tracić. - To oni wszystko komplikują.

- Nawet nie zadzwoniłaś. Posyłałaś Gabriela z wiadomościami - odparł. Zacisnął

mocniej palce na moim nadgarstku, jakby chciał mnie zatrzymać na wypadek, gdybym próbowała szybko się od niego odsunąć. - Stałaś się zimna i nieprzystępna jeszcze w Wenecji.

Pewnie z powodu tego, co zrobiła moja siostra.

Drgnęłam na wspomnienie o jego siostrze i wiedziałam, że odczuł drzenie moich dłoni, w których nadal trzymałam jego twarz. Chodziło jednak nie tyle o jego siostrę, ile o niego samego. W Wenecji dowiedziałam się, że Nikołaj znalazł się pod pieczęcią Jabariego, ponieważ jego siostra i kilka innych wilkołaków pomagało naturi. Nikołaj zastąpił swoją siostrę, kiedy Jabari zażądał jednego ze zdrajców jako zakładnika. Oczywiście nie miałam o tym pojęcia, kiedy przespaliśmy się ze sobą. Uwierzyłam Nikołajowi, gdy powiedział, że nie pomaga naturi, ale zastanawiałam się, czy stara się chronić siostrę, utrzymując w tajemnicy to, co zrobiła. Chociaż mogłam to zrozumieć, część mnie nie potrafiła mu tego wybaczyć.

Skutkiem tego był krępujący chłód, jaki czułam wobec Nikołaja i który próbowałam przełamać.

- Nie chodzi o twoją siostrę - powiedziałam najbardziej rzeczowym tonem, na jaki było mnie stać. - Nie wątpię, że zapłaciła za swoje zbrodnie i nie każę odpowiadać za nie także tobie.

Odsunęłam dłonie od jego twarzy i sfrustrowana przeczesałam palcami włosy. Jak niby miałam to ładnie ująć? „To była tylko przelotna przygoda. Oboje chcieliśmy się trochę odprężyć. Byłeś świetny w łóżku, ale nie zależy mi na trwałym związku”. Wolałam nie ranić jego uczuć, jednak nie miałam też czasu na dyplomację.

- W Wenecji było wspaniale - podjęłam słabo, w duchu przeklinając się za własną niezręczność. Ktoś mógłby pomyśleć, że po sześciuset latach życia powinnam być w tym lepsza.

- W Wenecji było cudownie. Pomyślałam, że świetnie nam ze sobą. Myślałam też, że skoro ściągnęłaś mnie na swój teren, to chcesz kontynuować to, co zaczęło się między nami.

- Nikołaju, ja... - zaczęłam i urwałam. - Wysłałam cię tutaj przede wszystkim dlatego, że łatwiej cię chronić na moim terytorium. Rzecz wcale nie w tym, że przestałam cię lubić, tylko... - Głos mi się załamał, kiedy dostrzegłam coraz głębsze zmarszczki koło jego oczu i usta wykrzywione w

uśmiešku. On się ze mnie śmiał. - Ty tylko się ze mnie nabijasz, co?

- W zupełności - powiedział, odchylając głowę w tył, kiedy w końcu wybuchnął

śmiechem. Stuknęłam go w ramię, a potem sama usiadłam na środku zwirowej ścieżki między grobami, chichocząc z siebie. Nikolaј się wyprostował, a jego barki nadal trzęsły się lekko pod wpływem śmiechu, kiedy puścił mój nadgarstek. - Byłaś taka poważna i tak okropnie wystraszona - drażnił się ze mną.

- Dupek.

- Miro, moja słodka, byłaś świetna i dziękuję ci, że ściągnęłaś mnie tutaj, ale to tylko seks. - Wyciągnął dłoń w moją stronę.

Odepchnęłam szorstko jego rękę, bardzo próbując się nie uśmiechać. Poczułam się jak idiotka.

- No właśnie, tylko seks.

- Nie jesteś w moim typie. Wolę nie zadawać się z kobietami, które mogą mnie zabić w mgnieniu oka - powiedział i złapał mnie za rękę, kiedy znowu chciałam mu przyłożyć. -

Mam nadzieję, że teraz przynajmniej przestaniesz mnie unikać.

W końcu uśmiechnęłam się smutno kącikiem ust, zerkając na swojego przystojnego rozmówcę, który przypominał złocisty promień słońca na mrocznym, strasznym cmentarzu.

Skoro Nikolaј myślał, że unikałam go ze względu na naszą przygodę, to nie miałam zamiaru mu wyjawiać, że prawdziwy powód był dużo gorszy.

- Nie, aż do czasu, kiedy policzymy się z naturi. To zbyt niebezpieczne - odparłam, lekko ściskając mu dłoń, żeby złagodzić wypowiedziane słowa. Nie jego wina, że traci nad sobą panowanie, kiedy naturi są w okolicy. Ta rasa miała naturalną zdolność kontrolowania wilkołaków z bliskiej odległości. Jediną przyczyną, dla której Nikolaј oparł im się tej nocy, był fakt, że naturi byli w odległości paru kilometrów. - A skoro już o tym mowa - podjęłam, przypominając sobie nagle, od czego w ogóle zaczęła się ta cała rozmowa - to przypuszczam, że naturi już cię nie wzywają, bo tak beztrudno się zaśmiałeś.

- Tak, przestali jakiś czas temu - potwierdził, wstając. Wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi się podnieść.

Otrzeptałam tył spódnicy i znowu rozejrzałam się po okolicy. Z tego, co mogłam stwierdzić, byliśmy na cmentarzu zupełnie sami. Ale przecież nie potrafiłam wyczuć obecności ani naturi, ani Jabariego.

- Czy wiesz, czego właściwie chcieli?

- Zdaje się, że chodziło o jakieś łowy w parku Forsyth. Nie domagali się nas w ludzkiej postaci. Czuję wielką pokusę, żeby zmienić skórę i... zapolować.

- Zapolować na nocnych wędrowców - warknęłam, spoglądając na ziemię.

Zamknęłam oczy, wypuściłam moce i wśród nocy poszukałam Tristana. Jakaś część mnie chciała się dowiedzieć, czy ten młody wampir jest bezpieczny i przebywa z dala od naturi.

Nie znalazłam tego, czego chciałam.

Miro! Moje imię dobiegło mnie jako gorączkowy wrzask, kiedy skontaktowałam się wreszcie ze swoim podopiecznym. *Na pomoc! Naturi... wilkołaki... wszędzie! Prędko!* Tristan przerwał kontakt, ale wcześniej dojrzałam w umyśle wielką białą fontannę w centrum parku Forsyth. Tristan nie był tam sam. Towarzyszył mu inny nocny wędrowiec; być może Amanda, ale co do tego nie miałam pewności. Wiedziałam już, że naturi wezwali wilkołaki do polowania na Tristana i wszystkich innych nocnych wędrowców, jacy akurat znajdowali się w parku.

- Muszę iść. Naturi polują na nocnych wędrowców w mieście. Na Tristana! -

Zwróciłam się w stronę, gdzie zaparkowałam wóz koło wejścia na cmentarz.

- Idź - zawołał za mną Nikołaj, ale słowo to ledwie dotarło do moich uszu, kiedy puściłam się biegiem.

Tristan wpadł w kłopoty, a miałam szczerzy zamiar rozerwać na strzępy każdą istotę, która ośmielała się kłaść rękę na tym, co moje.

Rozdział 6

Było już po walce, kiedy po dwudziestu minutach wróciłam z cmentarza do miasta, ale na widok zniszczeń, jakie po niej pozostały, poczułam, że przewraca mi się w żołądku.

Zaparkowałam samochód o kilka przecznic od parku Forsyth, ponieważ cały jego obszar pobłyskiwał na niebiesko i czerwono od świateł wozów policyjnych i ambulansów.

Ukrywając się przed wzrokiem wścibskich, prześliznęłam się między radiowozami i weszłam na teren parku.

Drgnęłam na widok pierwszego ciała. Nagą ofiarę wypatroszono, zanim odcięto jej głowę. Były to zwłoki jednego z tych pechowych wilkołaków, które usłuchały wezwania naturi. W chwili śmierci jego ciało powróciło w naturalny sposób do ludzkiej postaci.

Powstrzymałam dreszcz, gdy nakrywano zwłoki białym prześcieradłem, i ruszyłam dalej, w głąb parku.

Tristan? - rzuciłam niepewnie. Nie kontaktowałam się z nim wcześniej z obawy, żeby go nie zdekoncentrować w krytycznej chwili. Ale teraz, wiedząc, że naturi opuścili już to miejsce, musiałam usłyszeć jego słodki głos w swojej głowie.

Tutaj..., wyszeptał. Jego mentalny głos był słaby i urywany, ale dobiegał z bliska.

Wiedzioma przeczuciem, ruszyłam w stronę niewielkiej grupki sanitariuszy z pogotowia, którzy klęczeli wokół postaci opartej o drzewo. Kora i trochę wyżej, ponad jej głową, została przeorana długimi szponami do jasnego rdzenia.

- Tristan. - Odruchowo wypowiedziałam jego imię bardzo cichym szeptem, czując ulgę i ujawniając swoją obecność tym, którzy byli tuż obok i mogli mnie dosłyszeć. Dwie z trzech ludzkich głów uniosły się zaskoczone na widok nieznaney osoby, stojącej tak blisko rannej ofiary.

- Czy pani go zna? - zapytał jeden z mężczyzn, wstając.

- Tak, to... mój brat - odpowiedziałam, po krótkiej chwili wahania. Wyglądałam za młodo na matkę Tristana, choć na dobrą sprawę byłam nią dla niego w naszej rodzinie. -

Pozwólcie mi go zobaczyć. - Wydałam mentalnie polecenie trzem pracownikom pogotowia, którzy wstali i odstąpili o krok od Tristana.

Uklękałam przed nim i odkryłam, że jest zalany krwią, jego granatowa koszula była podarta, a duże kawałki białej gazy były przyklepione plastrami na jego szyi, ramionach i piersi; następny zobaczyłam na lewym udzie. Wygląd Tristana i zniszczenia w parku wskazywały na to, że mój podopieczny oraz kilku innych zostali zaatakowani tylko przez wilkołaków.

- Co się stało? - spytałam, chwytając za ramię najbliższego sanitariusza. Podałam wszystkim trzech mentalnej kontroli, żeby Tristan mógł pożywić się w spokoju. Byłam im wdzięczna, że tak troskliwie go opatrzyli, dzięki czemu nie stracił więcej krwi, ale oboje, Tristan i ja, musieliśmy ich wykorzystać jako honorowych dawców.

- Przedzieraliśmy się przez park, kierując się w stronę Ciemni, kiedy zaatakowali nas naturi - powiedział cicho, biorąc nadgarstek pierwszego sanitariusza, którego mu podsunęłam.

- Było ich tylko dwóch, a wtedy wypadły wilkołaki. Musiał ich być, co najmniej tuzin, wszystkie w wilczej skórze. Nie mieliśmy szans.

- „My”, czyli kto? - zapytałam, a potem zmarszczyłam brwi, gdy wbijał kły w przegub dłoni pracownika pogotowia; usta Tristana napełniły się krwią i nie mógł chwilowo mówić.

Było nas czworo. Amanda, ja, Kevin i Charles. Tristan cicho westchnął, kiedy krew spłynęła mu do gardła. Dzięki niej jego rany miały zagoić się dużo prędzej. *Szliśmy do Ciemni, żeby spotkać się tam z Knoxem.*

Zostań tu. Posil się, rozkazałam, wstając. Tristan przejął kontrolę nad umysłami sanitariuszy, a tymczasem ja przeszłam się po pobojowisku. Parkowe ławki były zniszczone, na ziemi widziałam głębokie bruzdy w miejscach, gdzie wleczono ciała. I wszędzie pozostały ślady pazurów.

Szybko obeszałam cały park w poszukiwaniu zwłok ofiar oraz innych rannych. Zginęło sześcioro wilkołaków i nocny wędrowiec o imieniu Charles. Ani śladu Amandy i Kevina. Nie było też dwóch naturi, których Tristan podobno widział.

Tristanie, gdzie Amanda i Kevin? - zapytałam, próbując pozbierać myśli.

Kevin pobiegł do Ciemni po pomoc. Wilkołaki popędziły za nim. A Amandę zabrali naturi. W jego mentalnym głosie pobrzmiwała nuta beznadziei. Nie błagał mnie, żebym szukała Amandy i sprowadziła ją z powrotem, choć wiedziałam, że taka prośba czaiła się gdzieś na skraju jego myśli. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że skoro naturi postarali się o to, aby ją uprowadzić, to planowali wykorzystać ją przeciwko mnie. Marna szansa, by Amanda mogła przetrwać, nawet gdyby naturi próbowali zachować ją przy życiu, planując jakiś rodzaj wymiany.

Skończ jeść, a potem odprowadź mój wóz do domu. Skontaktuję się z tobą, poinstruowałam Tristana, usiłując zagłuszyć kipiący we mnie gniew.

Ona chciała wstąpić do rodziny. Zamierzała powiedzieć ci o tym tej nocy, rzekł

Tristan, co spotęgowało tylko palący ból w moim brzuchu. Wiedziałałam, że tak zdecydowała, mimo wszelkich niebezpieczeństw, na jakie się przy tym narażała. Ostrzegałam ją o naturi i o zagrożeniu ze strony Sabatu, ale nawet nie przyszło mi na myśl, że naturi posuną się do porwania młodej wampirzycy, aby dopaść mnie. Sądziłam, że raczej pozabijają wszystkich, którzy stali między nimi a mną.

Ja... odnajdę ją, usłyszałam, jak zapewniam go o tym, aby tylko ukoić nieco ból, który od niego bił. Tristan naprawdę lubił Amandę. Podobał mu się jej uśmiech i ta radość, jaką sprawiało jej budzenie się co noc i odkrywanie, że nadal jest nocnym wędrowcem.

Wiedziałałam, że w końcu ją odzyskam. Nie mogłam mu tylko obiecać, że odnajdę ją żywą.

Kiedy Tristan nasycił pragnienie, zajęłam się oczyszczaniem wspomnień policjantów, detektywów i sanitariuszy, którzy znaleźli się tu, w parku. Udawałam detektywa, w razie potrzeby wydając polecenia i mentalne dyspozycje. Była to największa masakra, jaką starałam się zatuszować w ostatnich latach na oczach tak wielu ludzi. Rozpaczliwie próbowałam przekonać zgromadzony tłumek, że sfora wściekłych psów zaatakowała grupkę nastolatków. Na szczęście wystraszeni ludzie woleli uwierzyć w cokolwiek, co miało dla nich więcej sensu niż historia o nocnych wędrowcach i wilkołakach.

Po prawie godzinie pracy dojrzałam w końcu znajomą twarz - Archibalda Deacona, koronera Savannah i całego miejscowego okręgu. Powinien pomóc mi w uprzątnięciu bałaganu, zanim ktoś wpadnie na pomysł testowania próbek krwi.

- Dlaczego jakoś mnie nie dziwi twój widok w samym środku tej jatki? - spytał

Archibald, przesuwając dłonią po swojej łysej czaszce i wpatrując się we mnie zwięzonymi, ciemnobrązowymi oczami. Spostrzegłam, jak lekko drżą mu palce, kiedy opuszczał rękę do boku. W Savannah nie było jeszcze takiej masakry - w każdym razie od czasu wojny secesyjnej.

- To nie ja narobiłam tego bałaganu, ale potrzebna mi twoja pomoc, żeby go uprzątnąć.

Trzeba zabrać te zwłoki do kostnicy, zanim ktoś zacznie się domagać testów laboratoryjnych i

przewiezienia ciał do szpitala.

- Nikt nie zabierze do szpitala zwłok z mojego prosektorium - powiedział, a jego zwalista, korpulentna sylwetka jakby się nadęła na samą myśl, że ktoś może wejść na jego teren. - Tylko co z policją? Z dowodami przestępstwa?

- Oczyszczałam wspomnienia obecnych, gdzie się tylko dało, i zadzwoniłam do Daniela.

On już dopilnuje sprawy - odparłam. Detektyw Daniel Crowley współpracował ze mną w przeszłości przy rozwiązywaniu drobnych problemów, takich jak budząca wątpliwości śmierć jakiegoś nocnego wędrowca lub wilkołaka, na którego zwłoki policja natknęła się wcześniej niż ja lub Barrett. Ale to było poważniejsze od czegokolwiek, z czym mieliśmy do czynienia wcześniej, i uporanie się z tym mogło zająć prawie całą noc.

Kiedy Archibald, czyli Archie, zwoływał swoich ludzi i organizował transport zwłok do kostnicy, tak szybko jak to tylko możliwe, ja popracowałam nad policjantami i gapiami, którzy, jak na mój gust, znaleźli się za blisko. Nie dało się nic zrobić z ekipami lokalnych wiadomości, tłoczącymi się tuż za obszarem odgrodzonym przez policję. Kamery filmowały wszystkie plastikowe worki ze zwłokami oraz każdy ambulans i wóz z ciałami zabitych, odjeżdżające z parku. Wychwyciłam tylko urywki tego, co mówili reporterzy, ale sądząc z ich tonu, policja nie do końca nabrała się na historyjkę o dzikiej sforze wściekłych psów. Wiem, że nie brzmiała ona zbyt przekonująco, lecz tylko tak można było jakoś wyjaśnić ślady pazurów i kłów na zwłokach.

Do wschodu słońca pozostało już tylko kilka godzin, kiedy ostatecznie znalazłam się w kostnicy razem z ostatnimi ciałami. Archie umieścił je w sali w suterenie i odesłał do domów wszystkich pracowników prosektorium, obiecując im, że będą mogli rozpocząć badanie zwłok następnego przedpołudnia. Usiadłam na jednym z plastikowych krzeseł, opierając łokcie na kolanach i podtrzymując głowę dłońmi. Drżałam z wyczerpania.

Przeniknęłam i odmieniłam tej nocy tak wiele umysłów, wyprostowałam tyle wspomnień, żeby zatrzeć w nich obrazy jatki i koszmaru. Sama wołałabym o nich zapomnieć.

Zginęło sześćcioro wilkołaków i jeden nocny wędrowiec. Drugi z nich zaginął. Tristan był ranny. Dopiero od Knoxa, który zadzwonił, gdy rozglądałam się po parku, dowiedziałam się, że Kevin dotarł do Ciemni, ale wcale nie było pewne, czy przeżyje kilka kolejnych godzin.

- Miro, jest późno. Możesz wracać do domu. Dopilnuję tutaj wszystkiego - powiedział

Archie, siadając na wyściełanym krześle przy podniszczonym biurku na prawo ode mnie.

Westchnął ciężko i zaczął grzebać w stosach papierów. Koroner miał osobiście przeprowadzić badania, wykorzystując zapasy ludzkiej krwi, żeby nikt nie odkrył prawdziwej tożsamości martwego wampira oraz zabitych wilkołaków, powierzonych jego pieczy. A zaraz potem tych siedem zwłok miało powędrować do pieca krematoryjnego i ulec spaleni.

- Chciałabym... - odezwałam się cicho. Na tę noc miałam zaplanowane jeszcze jedno spotkanie, które

nie zapowiadało się miło. Właściwie ten ktoś już był na miejscu i wyczuwałam jego wzburzenie, zanim jeszcze wszedł do podziemnego pomieszczenia. -

Lepiej, żebyś stąd na chwilę wyszedł.

- Muszę rozpocząć badania - przekonywał Archie.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego spod zmarszczonych brwi. Oboje byliśmy wyczerpani i mogłam zrozumieć, że spieszno mu do rozpoczęcia długiej listy testów, które miały zatuszować tożsamość zabitych wilkołaków i wampira. A jednak wiedziałam, że lepiej, gdyby w tej chwili go tu nie było.

- Barrett przyszedł, żeby zidentyfikować ofiary. Musisz wyjść.

- Och - sapnął i wstał. Zanim zdążył wyjść, podwójne drzwi otworzyły się z hukiem i do sali wpadł Barrett z taką miną, jakby ledwo panował nad wściekłością. I nie winiłam go za to. W ciągu ostatnich miesięcy czworo członków jego sfory zginęło z rąk naturi, w tym ktoś z jego rodziny. A po dzisiejszej masakrze grupa Barretta znów została zdziesiątkowana.

- Mira... zanotuje personalia ofiar - rzucił cicho Archie, omijając Barretta i wychodząc na zewnątrz.

Na co dzień Barrett był spokojnym, opanowanym wilkołakiem. I dobrym, stanowczym przywódcą, obrońcą swoich podopiecznych. Ale niedawne wypadki wytrąciły go zupełnie z równowagi i sprawiły, że warczał na wszystko, co się poruszało. Wezwałam go w drodze do kostnicy. Rozmowa przez telefon była krótka, bo wiedziałam, że trzeba będzie pogadać dłużej, kiedy Barrett już się pojawi.

Podchodził teraz do kolejnych metalowych stołów, odchylając splamione krwią białe prześcieradła, które przykrywały ciała. Coraz mocniej zaciskał pięść, gdy musiał patrzeć na twarze ofiar, na niewidzące oczy, które spod zamkniętych powiek zdawały się wpatrywać w nas oboje. Cichy warkot wydobył się z jego gardła, kiedy doszedł do ostatnich zwłok.

Spodziewałam się tego. Był to Will, najmłodszy z jego trzech braci i drugie z rodzeństwa Barretta, które zginęło w ostatnich dwóch miesiącach.

Milczałam, obserwując go i nie chcąc rzucać mu się w oczy, kiedy w duchu oplakiwał

zmarłego brata oraz innych członków swojej sfory. Przeczesał obiema dłońmi ciemnobrązowe włosy i z wielkim trudem zaczerpnął powietrze, próbując zapanować nad emocjami. Z

wahaniem podszedł do nakrytego ciała, leżącego na stole trochę na uboczu.

- To nikt z twoich - powiedziałam cichym głosem, sprawiając, że wreszcie spojrzał na mnie zwężonymi oczami. Z trudem powstrzymałam dreszcz.

- A więc w końcu sama kogoś straciłaś - warknął.

- Jeden wampir zginął, drugi umiera, trzeci został poważnie ranny, a jeszcze jedną wampirzycę porwano i pewnie teraz, kiedy rozmawiamy, jest torturowana - odparłam, przeklinając sama siebie za to, że dałam się wciągnąć w sprzeczkę. Barrett cierpiał z powodu śmierci, która ostatnio zabierała jego pobratymców.

- W ciągu dwóch miesięcy zabito dwóch moich braci! Nocni wędrowcy doprowadzili do wykończenia jednej trzeciej mojej sfory. Moja matka i siostry musiały ukryć się w innym mieście, a my ginieemy z waszych rąk! - wrzasnął, gdy w końcu puściły mu nerwy.

- To twoja sfera napadła na nas - odpowiedziałam spokojnie. Chciałabym okazać mu więcej współczucia, ale musiałam chronić własną rasę. Bałam się, że teraz z dobrego serca mogłabym powiedzieć coś, co później tylko zaszkodzi nocnym wędrowcom.

- Dlatego, że sterują nami naturi.

I - czego się po nas spodziewasz? Że pozwolimy wam nas pozabijać, bo to nie wasza wina?

- Myślałem, że mieliście coś zrobić z tymi naturi. Rozmawiałem z innymi sforami i żadna nie ma takich problemów jak my. Kilka wilkołaków zaginęło, ale ich straty są nieporównywalnie mniejsze.

Odeszłam od biurka i stanęłam o metr od Barretta.

- Barrett, oni próbują nas skłócić - powiedziałam cicho. - Chcą, żebyśmy walczyli ze sobą, a nie z nimi.

- No i walczymy ze sobą, a moi podopieczni giną! Wpadliśmy w pułapkę, ścierając się z wami i z naturi. Dlaczego? Czemu akurat tutaj? Dlaczego... - Nagle urwał i wbił we mnie wzrok. W tej strasznej chwili zdał sobie sprawę, dlaczego właściwie ginęli jego podwładni.

Przecież naturi polowali na mnie, wykorzystując wilkołaki jako mięso armatnie. W

potyczkach z wilkołakami udawało mi się unikać zabijania ich, ale stawało się to coraz trudniejsze. Naturi działali coraz bardziej desperacko, szczując na nas coraz więcej wilkołaków i próbując wykorzystać liczebną przewagę.

- Oni ciągle na ciebie polują, tak? - zapytał Barrett cichym głosem, który jakby ocierał

mi skórę niczym papier ścierny. - Polowali na ciebie w Ciemni przed dwoma miesiącami i ścigają cię, odkąd wróciłaś tu ponad miesiąc temu.

- Chcą mojej śmierci - przyznałam, zwijając dłonie w pięści, bo bardzo nie chciałam wypowiadać tych słów na głos. - Mogę uniemożliwić im otwarcie wrót, przez które wyjdzie na wolność cała ich rasa.

- Tylko po co tutaj wracałaś? Nie lepiej zostać wśród swoich? Czy Sabat nie potrafi cię ochronić? - odparł, robiąc krok w moim kierunku.

- Nie pozwolę, żeby naturi wygnali mnie z rodzinnych stron - rzuciłam.

- Ale zabijacie moje wilkołaki!

- Nie rób nam tego, Barrett - ostrzegłam, czując się przyparta do muru, chociaż nie wytoczył jeszcze ostatecznych argumentów. - Dobrze nam się współpracowało przez lata.

Nasze rasy nauczyły się nawzajem szanować.

Jedynym ostrzeżeniem był cichy warkot, zanim Barrett skrócił dystans między nami, robiąc dwa długie, szybkie kroki. Złapał mnie za ramiona i przeniósł w powietrzu, a potem huknął mną o ścianę z żuźlowych pustaków za moimi plecami. Pokazały mi się gwiazdy, kiedy uderzyłam głową o mur, i o mało nie wpadłam w mrok, tracąc przytomność.

- Szanować! To dlaczego nie okazujecie moim wilkołakom trochę więcej szacunku?

Odpowiadasz za śmierć każdej z tych ofiar, bo...

- Bo co? Bo nie chciałam dać za wygraną i zginąć za was? Moja śmierć nie powstrzyma naturi. Nie uratuje twojej matki, twoich sióstr, ani całej twojej sfory.

- Dzięki niej zyskalibyśmy trochę czasu. - Jego piwne oczy nabrały odcienia płynnej miedzi.

- Na co? Żeby znowu walczyć? - Oboje wiedzieliśmy, jak niewiele by to dało.

Jego dłonie przez moment zaciskały się na moich ramionach, jakby miały zmiażdżyć mi kości, zanim Barrett rozluźnił uchwyt.

- Dlaczego musiałaś tu wrócić? - wyszeptał. Był sfrustrowany do granic. Jego wilkołaki ginęły, a on właściwie nie mógł tego powstrzymać.

- Tutaj jest mój dom. Nie mam dokąd wyjechać - przyznałam, czując się tak, jakby coś rozdzierało mi krtań. Była to prawda, z którą nie chciałam się pogodzić. Nie miałam już na całym świecie bezpiecznej przystani poza swoim i łomem w Savannah. Dwoje z trojga pozostałych członków Sabatu pragnęło mojej śmierci, a ten trzeci zwyczajnie chciał

kontrolować wszystkie moje myśli i ruchy. Naturi prześladowali mnie na każdym kroku.

Miałam więcej nieprzyjaciół, niż mogłam zliczyć, i za mało sojuszników.

- Wyjedź stąd, Miro. Znajdź sobie jakąś inną kryjówkę i zabierz ze sobą tych cholernych naturi. - Ręce Barretta znowu zacisnęły się na moich ramionach, pozostawiając sińce na bladej skórze.

- Nie możesz mnie stąd wypędzić - odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby. - To mój dom i są tu moi nocni wędrowcy. Mam prawo ich chronić.

- Tak samo jak ja mam prawo ochraniać wilkołaki przed wami i przed naturi. Możesz ocalić i moich

podopiecznych, i swoich: wyjedź stąd - przekonywał, a złość narastała w jego głosie, zaostając jego śpiewny południowy akcent tak, że samogłoski się zlewały.

- Jeszcze nie mogę wyjechać. Naturi pochwycili kogoś z mojej rodziny. Nie zostawię tej osoby w ich rękach, żeby ją torturowali. Muszę chociaż spróbować ją uwolnić. - To samobójcze zadanie, ale należało podjąć próbę. Choć tyle byłam winna Amandzie.

Zaproponowałam jej miejsce, w swojej rodzinie, obiecując rzekomą ochronę.

- Więc zrób to bez zabijania kolejnych wilkołaków. Zbyt wielu naszych już za was zginęło. Dlaczego nie próbujesz pozbyć się naturi, zamiast ukrywać się przed nimi?

- Nie jestem tchórzliwa, jeśli to właśnie sugerujesz, wilkołaku - warknęłam, odpychając go od siebie. Barrett zatoczył się do tyłu, a potem odwrócił się i uniosł górną wargę tak, że mogłam zobaczyć jego wydłużone, psie kły. - Walczyłam z naturi więcej razy, niż mogłabym spamiętać. Walczyłam z nimi i cierpiałam. Nocni wędrowcy ginęli, chroniąc twoją rasę, a także ludzi.

- A więc oczekujesz ode mnie wdzięczności? - zapytał z niedowierzaniem.

- Nie. Tylko odrobiny cierpliwości.

- Straciłem cierpliwość, kiedy zaczęli ginąć moi bracia. Odszukaj swoją zaginioną wampirzycę. Pozabijaj wszystkich naturi. Wyjedź stąd i nigdy już nie wracaj. Nie obchodzi mnie, co takiego zrobisz, ale jeżeli zginie ktoś leszcze z mojej sfory, to naturi już nie będą musieli nas przyzywać. Ogłoszę sezon polowania na ciebie i wszystkich nocnych wędrowców w Savannah.

Potem Barrett wyszedł z kostnicy, nie patrząc więcej na mnie ani na swoich zabitych pobratymców.

Osunęłam się po ścianie i usiadłam na zimnej posadzce i linoleum. Obejmując kolana, oparłam czoło na kolanach. Barrett miał rację. Tak samo jak naturi odpowiadałam za śmierć tych, którzy tu teraz leżeli. Nie powinnam była wracać. Należało znaleźć jakiś inny sposób, żeby uporać się z naturi, kiedy czekaliśmy na złożenie następnej ofiary i ścigaliśmy Rowe'a.

Obawiałam się jednak, że jeśli wejdę do Sabatu, to pozostali członkowie z ochotą wykorzystają mnie jako przynętę, aby zwabić tego jednookiego naturi.

Barrett chciał, żebym wyjechała i zamierzałam spełnić jego życzenie. I tak nie miałam wyboru. Kolejną ofiarę zamierzano złożyć już za kilka nocy. Ale jeszcze nie mogłam opuścić swojego ukochanego Savannah. Musiałam najpierw odnaleźć Amandę. Gdyby udało mi się ją uratować i zlikwidować naturi za jednym zamachem, mogłabym polem wyjechać z miasta ze spokojniejszym sercem. Jednak wcześniej musiałam namówić Danausa, żeby mi pomógł.

Rozdział 7

Mimowolnie westchnęłam, kiedy wysiadłam z taksówki i ruszyłam w stronę Ciemni.

Świt się zbliżał, a ja byłam zmęczona. Na szczęście to mój ostatni przystanek tej nocy; potem mogłam

pojechać do domu i trochę odpocząć.

Przed Ciemnią nie stała już kolejka, a nocny wędrowiec i zarazem wykidajło siedział

na czarnym stołku przed wejściem, z jakąś kieszonkową grą w swoich mocnych dłoniach. W

ciągu ostatnich paru miesięcy Ciemnia stała się spokojnym miejscem. Przestały tu przychodzić wilkołaki i pojawiało się coraz mniej nocnych wędrowców z obawy, że znajdą się w pułapce bez wyjścia, jeżeli nagle pokażą się tutaj naturi. Kiedy bramkarz w końcu mnie dostrzegł, zerwał się na nogi i wsunął grę do tylnej kieszeni spodni. Tylko się uśmiechnęłam i poklepałam go po ramieniu, przechodząc obok.

W korytarzu, między dwiema szatniami, pozostały na podłodze ślady krwi. Poszłam tam, dokąd prowadziły - przez salę taneczną, chwilowo opustoszałą, do jednego z pomieszczeń na tyłach. Sześcioro nocnych wędrowców siedziało w przyciemnionych boksach ze stolikami, rozmawiając szeptem o ostatnich atakach naturi. Zatrzymałam się i poleciłam barmanowi zmyć krew, zanim wyschnie, a potem poszłam na zaplecze. Co prawda plamy krwi nie przeszkadzały wampirom, ale wolałam nie pozostawiać tutaj śladów z DNA. Zbyt wiele lat poświęciłam na strzeżenie naszego sekretu, żeby teraz wszystko stracić z powodu głupiego niedopatrzienia.

Zaciskając zęby, weszłam do pokoju, gdzie już wcześniej wyczułam Knoxa. Stał z rękami na biodrach nad umierającym nocnym wędrowcem, ponuro zaciskając usta. Czarną koszulę miał przesiąkniętą krwią, lepiła się do jego ciała. Krwawa plama pozostała też na jego lewym policzku.

- Nic się nie da zrobić - powiedział, kiedy zamknęłam za sobą drzwi. Rozejrzałam się po pokoju i zobaczyłam trzech innych nocnych wędrowców pod tylną ścianą. Sześcioro ludzi, chorobliwie bladych, leżało na podłodze koło nich. Dawcy krwi. Dyszeli ciężko, a ich serca biły powoli z powodu utraty krwi.

- Zabierzcie ich do samochodów - rozkazałam. - Odwieźcie ich do trzech różnych szpitali. Muszą im tam podać krew. - Nie chciałam, żeby z powodu ostatniego ataku naturi zmarło także kilku ludzi.

Nocni wędrowcy wzięli się do roboty, podnosząc nieprzytomnych i wynosząc ich z klubu, a ja zajęłam się Knoxem i umierającym Kevinem.

- Nic nie możemy działać bez pomocy medycznej ludzi - stwierdził Knox, pocierając podbródek zakrwawioną ręką. - Ma prawie wyrwane serce z piersi. Rany są za głębokie i jest ich za wiele. Nie możemy podać mu tyle krwi, żeby się zaleczyły.

Innymi słowy Kevin miał nie przeżyć nadchodzącemu dnia. Kiedy słońce wzejdzie, dusza opuści jego ciało, a krew, którą Knox z takim staraniem wpompował w Kevina, wycieknie. Gdy słońce znowu zajdzie, dusza Kevina już nie powróci do ciała, a Kevin formalnie umrze.

Nie spytałam nawet, czy można było zrobić coś jeszcze i czy Knox spróbował

wszystkiego. Nie miało sensu przyprawianie tu kolejnych dawców krwi, póki słońce nie wyłoni się ostatecznie zza horyzontu. I Knox, i ja widzieliśmy już dość śmiertelnych ran w naszym długim

życiu, by wiedzieć, że dla Kevina nadchodzi koniec, a walka o jego ocalenie jest beznadziejna.

Kevin nawet się nie poruszył na zakrwawionej sofie. Mogłam wyczuć słaby trzepot jego duszy w kruchym ciele. Jego skóra już nabrała paskudnego, szarawego odcienia pod warstwą zaschniętej krwi. Do piersi i brzucha przyłożono mu ręczniki, żeby spowolnić krwotok, lecz przesiąkły krwią. Teraz można było już tylko patrzeć, jak Kevin umiera.

Sfrustrowana przeczesalam dłonią włosy i odeszłam od konającego na drugą stronę pokoju. Zżerało mnie poczucie bezradności. Nie pierwszy raz zastanawiałam się, czy mój powrót do Savannah rzeczywiście nie był pomyłką.

Usiadłam na jednym z krzeseł koło kanapy, pochylałam się do przodu i wsparłam łokcie na kolanach. Zamierzałam zostać tu tak długo, jak się da. Czuwać razem z Knoxem nad umierającym. Niestety, nie mogliśmy pozostawić tu ciała Kevina na czas dnia. Gdyby ktoś włamał się do Ciemni, gdy będziemy spać, i natknął się na zwłoki, wszyscy znaleźlibyśmy się w kłopotach. Wiedziałam, że jeśli Kevin nie umrze przez następną godzinę, to sama będę musiała go dobić, aby zdążyć zabrać zwłoki do kostnicy Archiego, zanim wzejdzie słońce. Będę zmuszona zabić Kevina; to moja powinność.

- Nie musisz tu zostawać - powiedział Knox, siadając na krześle blisko mnie.

- Dziś w nocy tu jest moje miejsce - odparłam cicho. - Dokończę dzieła, jak będzie trzeba.

- Wspominał o Tristanie, kiedy jeszcze był przytomny. Skoro Tristan był z nimi, to myślę, że teraz ty powinnaś znaleźć się przy nim - stwierdził Knox.

Zmarszczyłam czoło, patrząc na swoje okrwawione dłonie.

- Tristan aż tak bardzo nie ucierpiał. Bez trudu dociągnie do wieczora - urwałam i zwilżyłam językiem usta, zastanawiając się, ile Kevin zdążył opowiedzieć Knoxowi o stoczonych walce. Sama nadal nie wiedziałam o niej za wiele, ale pewnie o jednej sprawie Knox nie miał pojęcia. - Była też z nimi Amanda. Zabrali ją naturi.

- Jak to „zabrali”? - zapytał ostro, przesuwając się na krawędź krzesła.

- Porwali. Uprawdzili. Schwytali.

Knox zerwał się na równe nogi i przeszedł do przeciwległego kąta. W tym małym pomieszczeniu jego wzburzenie aż we mnie uderzało, mimo że Knox milczał. Był bystrym gościem. Zorientował się, że Amandę porwano, aby zwabić mnie. Wiedział też, że nie mogę narażać życia dla jednej wampirzycy, skoro muszę udać się na miejsce złożenia nowej ofiary i bronić wszystkich nocnych wędrowców przed naturi.

- Lubilem ją - powiedział w końcu jakby do siebie, nadal odwrócony plecami. W jego głosie pobrzmiwało przygnębienie. - Zawsze była trochę porywcza, ale nie taka znowu zła, słuchała poleceń.

- Nie mów tak! - rzuciłam, na co Knox odwrócił się szybko i na mnie spojrzał. - Ona jeszcze nie

zginęła. Zamierzam...

Przerwało mi energiczne pukanie. Zanim zdążyłam coś dodać, barman wetknął głowę przez drzwi.

- Miro, jest tu Barrett i chce się z tobą widzieć.

Zaskoczona nagłą wizytą tego wilkołaka, odruchowo omiotłam mocami cały bar i przekonałam się, że Barrett nie przybył sam. Towarzyszył mu co najmniej tuzin wilkołaków.

Zanosilo się na kłopoty.

Robiąc miny, poruszyłam kącikiem ust. Wstałam i poszłam za barmanem do głównej sali; Knox kroczył tuż za mną. Wilkołaki rozeszły się po całej sali, a Barrett stanął na środku parkietu. Najwyraźniej zwołał telefonicznie całą sforę. Nikolaś odstąpił trochę na bok i wydawał się lekko skrępowany. Miałam wrażenie, że obawia się, iż przyjdzie mu wybierać między sforą, do której teraz należał, a lojalnością wobec mnie za uratowanie mu życia.

Nocni wędrowcy, którzy siedzieli przy stolikach, wstali i zebrali się po przeciwnej stronie; wyglądali równie bojowo, jak wilkołaki. Nikt się nie odzywał. Nawet muzyka ucichła, a w klubie zapadło niezręczne milczenie.

- Barrett - powiedziałam, kiwając mu głową na powitanie i wychodząc ku niemu na parkiet.

- Przyszliśmy, żeby cię wywieźć z tego miasta - obwieścił. - Tylko z twojego powodu naturi są tutaj. Przez ciebie giną moi pobratymcy. Czas to zakończyć.

- Nie wyjadę.

Kiedy wypowiedziałam te słowa, wilkołaki stojące przy dwóch ścianach zaczęły wydawać z siebie coraz głośniejsze pomruki, na co nocni wędrowcy zareagowali syczeniem.

Napięcie w sali osiągnęło apogeum i balansowaliśmy na krawędzi, wyczekując, kto drgnie pierwszy.

- Przestańcie! - krzyknęłam, wystawiając w bok otwarte dłonie. - To przyniesie tylko kolejne ofiary, a nie możemy do tego dopuścić. Tu jest mój dom, Barrett. Moje wampiry są tutaj, a ja muszę zostać, żeby je chronić.

- Twój pobyt tutaj przynosi wam zgubę - warknął na mnie.

- Opuzczę Savannah za parę dni. Jest pewna sprawa, którą trzeba najpierw załatwić.

Jedna z moich wampirzyc została porwana i muszę ją uwolnić. - Opuściłam ręce i zacisnęłam pięści.

- Kiedy wyjadę do miejsca ofiarnego, naturi powinni pójść za mną.

- Nie możemy tak długo czekać. Chcę, żebyś wyjechała stąd jeszcze tej nocy i nigdy nie wracała - rzucił Barrett.

Ułożyłam usta w lekki uśmiech, patrząc na Barretta. Staralam się pamiętać, że utracił

dwóch braci i cierpi. Przypomniałam sobie, że stracił jedną trzecią swojej sfory z powodu naturi. Usiłowałam skupić się na tym, że jego wilkołaki są bezradne wobec ataków - a jednak Barrett stawiał żądanie niemożliwe do spełnienia.

- To mój dom - stwierdziłam spokojnie. - Nie dam się wykurzyć.

Barrett warknął na mnie, unosząc górną wargę i ukazując kły. Jego ciemnobrązowe oczy nabrały koloru miedzi - zwierzęca natura próbowała zawładnąć jego ciałem.

- Naprawdę tego chcesz? - zapytałam. - Wolisz narażać życie kolejnych wilkołaków ze swojej sfory, mimo że jestem gotowa wywabić stąd naturi już za parę dni?

- Ale potem wrócisz, a oni przyjadą za tobą, jeśli nie zginiesz. Jak będzie trzeba, zrobimy to za nich i przekażemy im twoje zwłoki.

Miro! - w moim mózgu rozległ się krzyk Knoxa.

On nie mówi tego serio. Jest zdenerwowany, odpowiedziałam mu szybko. Barrett próbował sprawić wrażenie, że stanął po stronie naturi, do czego jego rasa nie miała prawa.

Ale ja dobrze go znałam. Nigdy nie sprzymierzyłby się z naturi. Szukał tylko sposobu na pozbycie się ich ze swojego terenu, a najlepszym pomysłem na zapewnienie bezpieczeństwa jego ziomkom było usunięcie mnie.

- Skoro chcesz mojej śmierci - powiedziałam - to sam się o nią postaraj. Nie wciągaj w to reszty swojej sfory. I tak już ponieśliście spore straty.

Wokoło mnie zagrzmiało. Wilkołaki natychmiast zaprotestowały przeciwko takiemu ultimatum.

- Cisza! - wrzasnął Barrett i na sali od razu zapanowało milczenie.

To samobójstwo! - zauważył Knox. *Niedługo wzejdzie słońce. Jesteś osłabiona.*

Dam sobie radę.

- Tylko ty i ja - zaproponowałam Barrettowi. - Pokonaj mnie. Zabij mnie. I uwolnij ode mnie Savannah, póki naturi chodzą po tej ziemi.

- A jeśli przegram? - zapytał Barrett.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko, ukazując kły.

- Wtedy już coś wymyślę. Grunt, żeby nikt po żadnej stronie się nie wtrącał, bez względu na to, co się stanie. Zgoda?

- Zgoda.

Barrett ledwie wypowiedział to słowo i już się na mnie rzucił. Wycelował pięść prosto w moje serce, żeby zakończyć pojedynek tak szybko, jak tylko się da. Uchyliłam się i uderzyłam go w lewy bok, łamiąc mu dwa żebra. Syknął z bólu, ale nie zwolnił tempa.

Zamachnął się i zdzielił mnie w szczękę tak mocno, że aż odskoczyła mi głowa.

Wykorzystując moje chwilowe oszołomienie, trzasnął mnie z boku w lewą nogę. Zawylałam z bólu i upadłam na podłogę.

Po raz pierwszy ogarnął mnie strach. Byłam za wolna, zbyt słaba i wyraźnie nie doceniałam Barretta ani jego pragnienia, żeby ze mną skończyć. Jednak ból szybko przyćmił

lęk, który na krótko dał o sobie znać, budząc monstrum przyczajone w mojej duszy. Choć dotąd byłam spokojna, teraz krwawa żądza zaczęła mi rozsadzać pierś, błyszczeć w moich lawendowych oczach.

Barrett znowu chciał uderzyć mnie w twarz, ale tym razem złapałam jego pięść.

Zaciskając dłoń, zmiażdżyłam mu co najmniej dwie kości, równocześnie wstając i spychając go na ścianę na skraju parkietu. Balansowałam na prawej nodze, gdy lewe kolano powoli się goiło. Chociaż utykałam, odstąpiłam o krok, czekając, aż wilkołak zaatakuje mnie ponownie.

Barrett odepchnął się od ściany i natarł na mnie z niesamowitą szybkością, typową dla jego rasy, niemal rozplywając się w powietrzu. Z pogruchotanym kolanem nie mogłam zejść mu z drogi. Zablockowałam serię ciosów wymierzonych w moją twarz, w brzuch, nerki i żebra; żaden nie sięgnął celu, co jeszcze bardziej rozdrażniło wilkołaka.

Pot wystąpił mu na czole, a jego oczy zaczęły lśnić miedzianym blaskiem. Tracił

resztki opanowania. Wkrótce będzie musiał zmienić skórę, a wtedy łatwo go załatwię. Ale nie chciałam, żeby do tego doszło. Musiałabym go zabić, a wiedziałam, że jego sfora potrzebuje przywódcy.

Niestety, sama zaczynałam ulegać potworowi, który we mnie tkwił. Warknęłam i splunęłam, gdy monstrum zaczęło wspinać się w mojej piersi, oplatając się wokół serca.

Zapragnęłam krwi Barretta i tylko w jeden sposób mogłam zaspokoić tę żądzę.

Odrzuciłam go od siebie, aż przeleciał przez całą salę i uderzył o odległą ścianę. Tym razem zdążył wyrwać nogę z jednego ze stolików, które otaczały parkiet. Wreszcie miał broń, której mógł użyć przeciwko mnie - drewniany kołek.

Znowu się uśmiechnęłam i gestem zachęciłam go, żeby podjął atak. Skoro w ten sposób zamierzał podbić stawkę, to bez skrupułów mogłam upuścić mu trochę krwi. Barrett nie chciał jedynie zwyciężyć. Wyraźnie pragnął mnie zabić.

Natarł, wymachując kołkiem. Łatwo unikałam tych ciosów, kiedy chciał mi roztrzaskać głowę. Kusilo mnie, żeby podpalić kawałek drewna, który trzymał, ale się powstrzymałam. Obiecałam sobie, że powalczę honorowo, a nadnaturalne zdolności za bardzo przechyliłyby szalę na moją korzyść. Barrett zasłużył na uczciwy pojedynek.

Czułam w powietrzu, jak noc odchodzi. Traciłam siły. Pozostały niecałe dwie godziny do wschodu słońca. Wszyscy musieliśmy wkrótce trafić do swoich kryjówek albo zostaniemy na łasce wilkołaków, którym już nie wierzyłam, że zostawią nas w spokoju. Moim wampirom potrzebne było bezpieczeństwo i wiedziałam, że tylko ja mogę im je zapewnić.

Z cichym warkotem zbliżyłam się do Barretta, powoli spychając go na ścianę. Machał przede mną kołkiem, próbując mnie nim ogłuszyć. Uniosłam lewe ramię, kiedy przymierzał się do szczególnie silnego uderzenia. Drewno roztrzaskało mu się w dłoni, a drzazgi rozleciały po całej sali. Barrett zamierzył się w moje serce kawałkiem drewna, który został mu w ręku. W ostatniej chwili, zanim przebiło mi skórę, zatrzymałam je prawą dłonią.

Wykonałam szybki obrót i błyskawicznie znalazłam się za plecami Barretta. Fragment drewna przyciskałam teraz do jego piersi, tuż ponad sercem. Siłowaliśmy się, walcząc o ostrą, drewnianą szczapę.

Barrett był mocny i szybki, ale ja byłam od niego starsza o całe stulecia. Zawsze nad nim górowałam, jeśli chodzi o szybkość i siłę. Bez trudu mogłabym go teraz pokonać i wbić mu kołek w serce.

- Chcesz się przekonać, jak to jest, kiedy ktoś przebija cię palikiem? - szepnęłam mu do ucha. Tylko zawarczał i szarpnął się, żeby wyrwać mi kołek. Chichocząc ponuro, wolną dłonią złapałam go za włosy i odciągnęłam mu głowę do tyłu. Opanowała mnie żądza krwi.

Zatopiłam kły w gardle Barretta, a z jego ust wyrwał się wrzask. Jego krew spłynęła mi do krtani, dodając mi sił i ujmując ich jemu.

Wyczuwałam, że wokół nas wilkołaki zwierają szeregi i szykują się do ataku.

Trzymałam ich lidera w śmiertelnym uścisku. Mogłam bez trudu wykrwawić go na śmierć i one o tym wiedziały. Krąg ognia wystrzelił wokół, odgradzając i nocnych wędrowców, i wilkołaki. Niestety, ogień uruchomił system przeciwpożarowy i spłynęły na nas strugi wody.

Jednak płomień do końca nie zgasł, gdy piłam krew Barretta. Nikt się nie poruszał, wszyscy zastygli jak rzeźby w ulewnym deszczu.

Woda ostudziła moją rozpaloną głowę i puściłam Barretta, który rozluźnił uścisk na kołku, a jego ręka osunęła się bezwładnie wzdłuż boku. Upadł przede mną na kolana, powoli kręcąc głową, żeby usunąć przed oczu mgłę i zachować przytomność. Zdusiłam płomień, lecz woda nadal spływała, mocząc do suchej nitki wszystkich w klubie.

- Koniec walki. Mogłam go zabić, ale wolałam go oszczędzić - ogłosiłam. - Niech wszyscy stąd wyjdą, z wyjątkiem ciebie. - Wskazałam na pozostałego przy życiu brata Barretta, Coopera. - Ty zostaniesz i pomożesz bratu. Mamy sprawę do omówienia.

Patrzyłam, jak wszyscy powoli opuszczają klub. Barman wyszedł ostatni, bo musiał

wyłączyć system przeciwpożarowy. Pozostaliśmy tylko Cooper, Barrett, Knox i ja. Czas nocy mijał, ale zanim zajmę się innymi problemami, musiałam się przekonać, że nieporozumienia między mną a Barrettem zostały wyjaśnione. Wilkołak mógł w inny sposób wystawić do wiatru mnie i moją rasę.

Rozdział 8

Cooper zarzucił sobie ramię Barretta na kark i pomógł bratu przejść do pokoju na zapleczu, gdzie usadowił go na jednym z kilku krzeseł. Barrett zamrugał parę razy, aż wreszcie skupił wzrok na Kevinie. Ranny nocny wędrowiec westchnął cicho i zobaczyłam, jak zwija lewą dłoń w pięść. Walczył o swoją duszę, ale był to bój, w którym nie mógł

zwyciężyć.

- Czy on jest z parku? - zapytał Barrett.

- Tak - odparłam, podchodząc i stając koło Kevina. Chciałam ulżyć mu w bólu, żałowałam, że nie mogę od razu przerwać jego życia i nie patrzeć na agonię, dręczona świadomością, że koniec się zbliża. Jednak nie potrafiłam się na to zdobyć. Kevin zasłużył na te ostatnie chwile swojego życia - wszyscy musieliśmy je przeżyć do ostatniej sekundy.

- Nie żał mi go, bo sam muszę pochować brata - powiedział Barrett, zaciskając zęby i zerkając na mnie.

- Nie proszę cię o wyrazy współczucia. Chcę, abyś się przekonał, że nie tylko wy ponosicie straty.

- Ale tylko ty możesz z tym skończyć. - Barrett spróbował wstać, ale od razu się zachwiał i opadł z powrotem na krzesło, z trudem zachowując przytomność. - Przez ciebie giną nocni wędrowcy i wilkołaki.

- To naturi ich zabijają. Nie ja. Próbuję się ich pozbyć raz na zawsze. A ty co robisz, żeby mi pomóc? Co takiego robisz, żeby uratować nie tylko swoją rasę, ale też nocnych wędrowców i ludzi?

- Po prostu stąd wyjedź, Miro. Ocal nas wszystkich, opuszczając Savannah -

powiedział znużonym tonem Cooper, kręcąc przy tym głową.

- A czy ty byś wyjechał, Barrett? - spytałam, ściągając spojrzenie ciemnych oczu wilkołaka wpatrzonych w umierającego nocnego wędrowca. - Gdybyś był na moim miejscu, to wyjechałbyś stąd?

- Oczywiście.

Uśmiechnęłam się do niego i pokręciłam głową.

- Oboje wiemy, że to nieprawda. Zżyłeś się z Savannah tak samo jak ja. To nasz dom, jedyne miejsce, gdzie jesteśmy u siebie. Stanałbyś do walki, nie zważając na straty.

- Miro - wtrącił nagle Knox. Spojrzałam na swojego towarzysza, który stał oparty o drzwi, z rękami w kieszeniach przemoczonych spodni. - Już po nim.

Błyskawicznie przeniosłam wzrok z powrotem na Kevina. Szybko omiotłam jego ciało mocami i przekonałam się, że dusza go opuściła, chociaż została jeszcze ponad godzina do wschodu słońca. Nie czułam jego ducha w pokoju. Kevin umarł.

- Zawieź go do Archiego. Powiedz mu... - zaczęłam, a potem ugryzłam się w język.

Nie mogłam rozkazywać koronerowi. Był tylko moim przyjacielem, który wyświadczał mojej rasie różne przysługi. - Poproś Archiego, żeby natychmiast zajął się kremacją zwłok.

- A co z...? - zapytał, wskazując wzrokiem na Barretta i Coopera, stojącego wyczekująco tuż za plecami brata.

- Poradzę sobie. - Przez najbliższe parę godzin Barrett nie będzie miał sił, żeby mnie zaatakować, a Cooper wie, że jak tylko zrobi krok w moją stronę, to go podpale.

Knox, marszcząc czoło, wziął Kevina na ręce i wyniósł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Przysiadłam na oparciu sofy i popatrzyłam na Barretta. Przyjaźniliśmy się, odkąd ukończył zaledwie dwanaście lat. Znałam jego ojca, dziadka i pradziadka. Współdziałałam z każdym z nich, aby utrzymać mocne więzi między nocnymi wędrowcami a wilkołakami. I nie chciałam w tę jedną noc zmarnować wszystkiego, co wspólnie osiągnęliśmy. Niestety, w tym celu musiałam postawić swojego przyjaciela Barretta w bardzo niezręcznej sytuacji.

- Jutro w nocy ruszę na ratunek tej wampirzycy, którą porwali. Naturi wykorzystają wszystko i wszystkich, byle tylko pozbawić mnie życia. A ja zrobię co w mojej mocy, żeby zlikwidować tyłu, ilu się da. Zaraz potem polecę do Peru, żeby znowu z nimi powalczyć i utrzymać zaporę, która ich odgradza od reszty świata. Ci naturi, którzy jeszcze pozostali w Savannah, podążą za mną.

- Ale co będzie, kiedy wrócisz? - spytał Barrett.

Zaśmiałam się krótko i uśmiechnęłam do niego.

- Niewielka szansa, że przeżyję wyprawę do Peru i wrócę do domu. Ale jeśli mi się uda, to mało prawdopodobne, że naturi wrócą tu za mną. Wolę myśleć, że mój powrót do Savannah będzie oznaczał zwycięstwo, a naturi, którzy przeżyją, uciekną gdzie pieprz rośnie.

Nie ośmielą się zaatakować mnie znowu.

Barrett pokręcił głową, zerkając na swoje otwarte dłonie, które trzymał między kolanami.

- Przykro mi z powodu tego, co zaszło, Miro. Od dawna jesteśmy przyjaciółmi.

Wkurza mnie, że naturi nas skłócili.

- Tak, może się już nie uda naprawić takich szkód - przyznałam. Ścisnęło mnie w gardle, kiedy na niego patrzyłam. Wyglądał na całkiem zrezygnowanego, choć to wszystko jeszcze się nie skończyło. - Wygrałam pojedynek, Barrett. Więc jesteś mi winien co najmniej przysługę.

Poderwał głowę i wyprostował się na krześle.

- Każesz mi wyjechać z Savannah?

- Myślałam o tym, ale to nie rozwiązałoby mojego problemu.

- Przypuszczałem, że właśnie dlatego podesłałaś mi tego Gromienkę. - Miał na myśli Nikołaja. - To najwyraźniej alfa innej sfory. Pewnie chcesz, żeby stanął na czele watahy z Savannah.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy. Nikołaj jest tu dla własnego bezpieczeństwa. To nie ma nic wspólnego z tobą ani z twoją sforą. To sprawa między mną, Nikołajem i jeszcze jednym nocnym wędrowcem.

- Ale musimy go bronić, jeśli go napadną - odparł Barrett.

- Nie, nie musicie i oboje wiemy, że tak nie zrobicie. Wcale go nie zaakceptowaliście, nie przyjęliście do stada. Ani ty, ani twoje wilkołaki nie kiwniecie palcem, żeby mu pomóc.

Nie jestem głupia, Barrett. Nikołaj dobrze wie, że tylko ja go chronię.

Barrett odwrócił wzrok, wyraźnie zawstydzony. Zrobił z Nikołaja wyrzutka, bo sam czuł się niepewnie.

- On nie jest jednym z nas.

- Bo ty tak to widzisz. Ale to twój wybór. Nie jestem tu po to, żeby ci mówić, jak masz kierować swoją sforą, tak samo ty mi nie powiesz, jak zarządzać nocnymi wędrowcami. Od ciebie zależy, co zrobisz z Nikołajem, ale musisz zrozumieć, że mam obowiązek chronić go przed wszelkimi zagrożeniami.

- A więc i on stanie między nami. Nie wystarczy, że skłócili nas naturi?

- Sprawa Nikołaja nas podzieli, jeśli do tego dopuścisz - powiedziałam, wstając. -

Poza tym mamy inne problemy do omówienia. Jesteś mi winny przysługę. Od ciebie chcę usłyszeć tylko prawdę.

Ściągnął brwi, zmarszczki pojawiły się w kącikach jego ust i znowu poruszył się na krześle.

- Nigdy ci nie skłamałem.

- Ale masz poważne powody, żeby nakłamać mi teraz. Chcę się dowiedzieć, jak bardzo mnie zdradziliście. Na ile wilkołaki przeciwstawiły się nocnym wędrowcom.

- Zdrada? - spytał ostro Cooper, robiąc krok w moim kierunku. Ostrzegawczo uniosłam brew i cofnął się z powrotem. - Nigdy nie zdradziliśmy ani ciebie, ani innych nocnych wędrowców.

Zerknęłam z góry na Barretta, który obserwował mnie ze złością w oczach.

- Tej nocy zagroziłeś, że wydasz mnie w ręce naturi. A wszyscy przysięgaliśmy, że nie pomożemy naturi w żaden sposób. Dziś wydawałeś się całkiem chętny, żeby złamać tę przysięgę. - Skrzyżowałam ramiona na piersiach, aby się uchronić przed ogarniającym mnie chłodem. Ciepło, którego źródłem była jego krew, zaczynało się ulatniać, a świt zbliżał się coraz bardziej. Musiałam wkrótce stąd wyjść, jeśli miałam ukryć się gdzieś przed słońcem.

- Nie... nie to miałem na myśli - wyjąkał Barrett i zrobił się blady jak kreda.

- Nigdy dobrowolnie nie stanęliśmy po stronie naturi - przekonywał Cooper. Położył prawą dłoń na ramieniu brata i lekko ją zacisnął. - Nie jesteśmy zdrajcami.

- Powiedz prawdę, Barrett. Czy wydałbyś mnie albo jakiegoś innego nocnego wędrowca naturi?

- Nie!

- A czy rozkazałbyś komuś ze swojej sfory oddać wampira w ręce naturi?

- Nie!

- Czy przekazałbyś naturi Nikołaja?

- Nie! Nie! Nie! Nie zrobiłbym niczego, co sprzyja naturi. Nie sprzymierzyłbym się z nimi pod żadnym pozorem. Przecież wiem, Miro, że to przez nich mamy problemy. Nie pomogliby nam w niczym.

- Naturi to nie jedyny nasz problem - powiedziałam, sprawiając, że z Barretta uszło nieco złości. - Tego lata prosiłam cię, żebyś wyciągnął pewne świadectwa z bazy danych Przymierza Światła Dnia, dowody, które mogłyby mnie zdekspirować jako nocnego wędrowca. Nie pytałam cię o to, więc pytam teraz. Wydobyłeś te materiały?

- Tak, oczywiście.

- Zostały zniszczone?

Milczał.

Tak myślałam. Obawiałam się, że jego wilkołaki wykradły te informacje, wykasowały je w bazie danych Przymierza, a kopię zachowały dla siebie. Jako zabezpieczenie na czarną godzinę. Cóż, taka godzina właśnie nadeszła i nie mogłam sobie pozwolić na walkę z Przymierzem, równocześnie walcząc z naturi. Przymierze Światła Dnia było organizacją ludzi, którzy postawili sobie za cel tropienie i niszczenie wszystkiego, co nie jest ludzkie.

Uważaliśmy, że dotyczyło to wszystkich innych ras, ale jak dotąd Przymierze prześladowało głównie nocnych wędrowców.

- Nie chcesz wydać mnie naturi, ale nie zawahałbyś się wydać mnie Przymierzowi -
rzuciłam groźnie.

Barrett zerwał się na równe nogi i zdołał jakoś ustać.

- Nie zdradziłem cię!

- W takim razie zniszcz tamte dane. Siedzimy w tym oboje: przeciwko naturi i Przymierzowi. Obiecaliśmy sobie strzec się nawzajem przeciw Przymierzowi. Co takiego zrobiłam, że nastawiłeś się do mnie wrogo?

- Nic. Ja... po prostu chciałem ustrzec swoich braci. Jesteś potężna, Miro. Jesteś nie do pokonania, boją się ciebie na wszystkich kontynentach. A co, gdybyś nagle postanowiła zaatakować wilkołaki? Jak miałbym je obronić?

- Dlatego wybrałaś układ z Przymierzem? I dlatego zjawiliś się tu dzisiaj i zagroziłeś, że wydasz mnie naturi? Dotychczas nie miałam powodu, żeby zwracać się przeciwko wilkołakom. Powierzyłam ci Nikołaja, który dużo dla mnie znaczy, bo ufałam, że będziesz nad nim czuwał.

- Zniszczę te dowody! - powiedział szybko Barrett. Wyciągnął do mnie rękę, ale prędko odstąpiłam o krok, bo teraz nie zniosłabym jego dotyku.

Odkąd upiłam trochę jego krwi, odczytywałam jego myśli, znałam jego emocje - o czym nawet nie wiedział. Mówił prawdę. Bał się też bardzo, że rozpowiem wśród innych sfor o tym, jak szykował się do konszachtów z naturi oraz z Przymierzem. Barrett stąpał po kruchym lodzie i oboje o tym wiedzieliśmy. Nie chciałam wcale stawiać go w tak trudnej sytuacji, zwłaszcza dlatego, że Sabat też już próbował dogadać się z naturi. Sami nie graliśmy więc do końca uczciwie. No i nadal potrzebna mi była jego pomoc.

- Wierzę ci - odezwałam się półgłosem, żałując, że nie mogę bardziej podnieść go na duchu, ale nie miałam szczególnej ochoty na wyrozumiałość. - Jednak mam jeszcze jedno życzenie.

- Mów.

- Ktoś z wilkołaków już zaczął układać się z Przymierzem.

- Jesteś tego pewna? - zapytał Cooper, z niepokojem marszcząc brwi.

- Kiedy byłam w Londynie, natknęłam się na wiedźmę i wilkołaka, podróżujących razem z członkiem Przymierza. Zaatakowali Tristana i mnie. Mogli się wycofać, ale tego nie zrobili. Stanęli po stronie przeciwnika. Chcę, abyś ustalił, co się dzieje.

- Zrobię, co tylko się da - zgodził się Barrett.

- Ten wilkołak nazywał się Harold Finchley. Chcę się dowiedzieć, do jakiej sfory należy i czy przyłączyli się do niego inni. Muszę wiedzieć, czy doszło do zdrady.

- Ustalę to.

- Obaj to ustalimy - poprawił go Cooper, podchodząc i stając koło starszego brata.

- Dobra. Zajmijcie się Przymierzem, a ja pozbędę się naturi. A teraz wynoście się stąd.

Muszę odpocząć.

Barrett skinął głową, a jego brat wyprowadził go z klubu. Noc powoli się kończyła.

Opadłam na kanapę, kiedy tylko wyszli z klubu. Resztki sił wydawały się mnie opuszczać. Do świtu pozostała tylko godzina. Ledwie wystarczało mi czasu, żeby złapać taksówkę i pojechać do domu za miastem. Miałam dość krwi, bólu i zdrady jak na jedną noc.

Rozdział 9

Dopiero następnej nocy, parę godzin po zachodzie słońca, udało mi się spotkać z Danausem. Świt się zbliżał, kiedy noc wcześniej opuszczałam Ciemnię, więc było za późno, by zobaczyć się z łowcą. Poza tym musiałam się upewnić, że Tristan ma się dobrze i dochodzi do siebie, zanim o świcie sama położyłam się do łóżka. Po prostu brakowało czasu na wszystko. Zanim usnęłam, pocieszyłam się myślą, że dzień uchroni Amandę przed cierpieniami zadawanymi przez naturi. Mogli więzić jej ciało, ale jej świadomość była poza ich zasięgiem, więc tortury pozostawały bezskuteczne przynajmniej przez te parę godzin.

Naturi czekali jednak, aż Amanda przebudzi się w nocy. W głowie usłyszałam jej wrzaski, budząc się o zachodzie słońca. Wypuściłam moce i odnalazłam Amandę na południe od miasta, gdzieś na bagnach. Połączyłam się z jej umysłem na dość długo, by przekonać się, że jest na jakiejś wyspie. Na podstawie tego, co pospiesznie wychwyciłam z jej myśli, nabrałam przekonania, że chodzi o wyspę Blackbeard. Poleciłam Knoxowi i Tristanowi załatwić łódź. Tymczasem sama musiałam przekonać Danausa, żeby wziął z nami udział w tej akcji.

Jednak stojąc na ganku swojego domu w mieście, już z ręką na klamce, zaczęłam się zastanawiać, czy uda mi się go przekonać do tego szalonego przedsięwzięcia. W oczywisty sposób zastawiono na nas pułapkę. Celem naturi było pochwycenie mnie, a sama pchałam się w ręce nieprzyjaciół, którzy jako przynęty użyli mojej podopiecznej. Rozsądek podpowiadał, że naturi zabiją Amandę, jeszcze zanim po nią przyjedziemy albo jak tylko dotrzemy do wyspy. Nie liczyłam specjalnie na to, że uda nam się ją uratować. Ryzyko, jakie podejmowałam, nie miało sensu, a jednak uważałam, że Amanda należy

do moich bliskich i muszę ruszyć jej na pomoc. Zaprosiłam ją do swojej rodziny i nie mogłam odwrócić się od niej dlatego, że krzyżowało to moje inne plany.

Otworzyłam frontowe drzwi i przeszłam korytarzem, ale szybko się zatrzymałam, kiedy wyczułam, że Danaus nie jest sam. Była z nim jakaś kobieta. Zaciśnęłam zęby i zwinęłam dłonie w pięści. Zmusiłam się, żeby wejść do saloniku. Gdy tylko wkroczyłam do pokoju, Danaus i piękna blondynka zerwali się na nogi, przerywając cichą rozmowę.

- Przepraszam - powiedziałam kąśliwie, wbijając wzrok w łowcę. - Nie wiedziałam, że masz czas na randki. Najwyraźniej ci nie wyjaśniłam, w jak poważnej sytuacji się znaleźliśmy.

- To nie jest moja dziewczyna. To czarownica, o której ci opowiadałem - odrzekł

Danaus. - Zgodziła się wam pomóc.

- Cześć! - przywitała się kobieta. - Jestem Michelle French, ale możesz nazywać mnie Shell albo Shelly. Wszyscy tak na mnie mówią. Z wyjątkiem taty. On mówi do mnie Seashell

*, kiedy chce być dowcipny.

O mało nie rozdziawiłam ust w czasie tej gadatliwej prezentacji. Shelly była pełna animuszu, kipiała wprost optymizmem i pogodą ducha. Nawet jej ciuchy jaśniały; miała na sobie jasnożółtą koszulkę i białe szorty. Mogłam się założyć, że w szkole średniej - a może nawet na uczelni - była cheerleaderką, dopingującą szkolne drużyny na meczach.

- Tak - przytaknęłam powoli i znowu przeniósłam spojrzenie na Danausa, który patrzył

na mnie bez emocji. Shelly nie należała do osób, z którymi zwykle nas kojarzono. Najczęściej spotykaliśmy się z mrocznymi stworzeniami, które rozumiały podstawową zasadę, że w naszym świecie albo się zabija, albo samemu ginie. - Czy możemy porozmawiać na osobności?

- Och, jasne - odpowiedziała Shelly swoim słodkim, radosnym głosem. - Skoczę na górę do pokoju i skończę się rozpakowywać, a ty pogadaj z Danausem.

Shelly wyminęła mnie w podskokach i wbiegła po schodach na piętro. Poczekalam, aż zamkną się za nią drzwi do sypialni i odezwałam się znowu.

- Czyś ty upadł na głowę? Skąd ją wytrzasnąłeś, do cholery? - spytałam, przeczesując dłońmi włosy.

- Z Charleston - odpowiedział po prostu Danaus, złościąc mnie dodatkowo swoim opanowaniem.

- Czy w Charleston wszyscy są tacy?

- Radość życia i optymizm to nie zbrodnia, prawda?

- Nie dotyczy to naszego świata. Po co ją tu ściągnąłeś?

Danaus usiadł, patrząc, jak chodzę po pokoju, pomiędzy kanapą a niskim stolikiem.

- Powiedziałaś, że potrzebny ci ktoś, kto nauczy cię ziemskiej magii. Ona to potrafi.

- Jest ziemską czarownicą?

- Owszem, w dodatku taką, która nie stanęła po stronie naturi. Niełatwo o kogoś takiego, zwłaszcza jeśli wspomni się o tobie. A ona chce ci pomóc.

Żachnęłam się i zatrzymałam, zwrócona do niego twarzą, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

- Jakoś trudno mi uwierzyć, że uda jej się mi pomóc.

- A mnie trudno uwierzyć, że się zgodziła - stwierdził i Danaus, znów wstając i do

□ Seashell (ang.) - muszla (przyp. red.).

mnie podchodząc. - Poza Savannah mają cię za coś w rodzaju zarazy. Savannah stało się strefą wojenną i nikt się na pali, żeby tu przyjeżdżać. A ona przyjechała, więc na twoim miejscu spuściłbym trochę z tonu i dał jej szansę.

- Nie chodzi o moje ego, ty dupku. Chodzi o to, że ona może zginąć po pięciu minutach w tym mieście. Tu trwa wojna, a ona nie da sobie z tym rady. Nie chce mi się jej pilnować, kiedy mamy większe problemy na głowie.

- A co się stało? - spytał Danaus, gotów zakończyć spór i zająć się znowu kwestią przetrwania.

- Ubiegłej nocy, dość późno, naturi i wilkołaki napadli na Tristana i kilku innych.

Zginęło dwoje nocnych wędrowców, a Amandę wzięli na zakładniczkę. Jeszcze żyje, trzymają ją na wyspie na moczarach - wyjaśniłam, a potem przerwałam, odwracając od niego wzrok. Nie mogłam tego wypowiedzieć, patrząc na niego. - Chcę ją uwolnić.

- Miro - odezwał się cicho Danaus, ale już po chwili jego głos zabrzmiał stanowczo i dobitnie. - Nie możesz tego zrobić. To pułapka.

- Wiem, że to pułapka! - wybuchłam, bardziej niż słowami łowcy sfrustrowana całą tą sytuacją. - Naprawdę sądzisz, że nie wiem? Oczywiście, że to pułapka, ale nie mogę zostawić Amandy w ich rękach. Ona należy do mnie. Należy do mojej rodziny i przyrzekłam ją chronić. Muszę jej pomóc.

- A jak zginiesz, wszystkich nas trafi szlag. Nie uda nam się utrzymać zapory pomiędzy dwoma światami. Naturi wydostaną się na wolność i pozabijają nas wszystkich.

- Nie mam wyboru - powiedziałam szeptem.

Danaus ujął moje ramiona i lekko mną potrząsnął, zmuszając, żebym znowu spojrzała mu w twarz.

- Masz wybór. Możesz się w to nie wikłać. Masz do wyboru ocalenie jednej wampirzycy albo wszystkich nocnych wędrowców.

- Chodzi o coś więcej niż uratowanie jednej wampirzycy. - Odstąpiłam w tył, wyrrywając się z jego uścisku. - Stawką jest likwidacja wszystkich naturi na moim terytorium.

Z ich powodu w ciągu ostatnich paru miesięcy zginęło wielu wilkołaków. Zginęli nocni wędrowcy. Trzeba z tym skończyć. Nie mam wątpliwości, że wycofali się na tamtą wyspę, gdzie czekają na mnie. Możemy tej nocy pozabijać ich wszystkich i oczyścić okolice przed wyruszeniem do Machu Picchu.

- Machu Picchu?

Skinęłam głową i skrzywiłam usta, siadając na krawędzi sofy, Danaus zaś usadowił się naprzeciwko mnie.

- Zeszłej nocy Jabari pojawił się razem z Nikołajem. Starszy powiedział, że następna ofiara zostanie złożona w czasie najbliższego zrównania dnia z nocą w Machu Picchu.

Naturalnie wysłała nas tam.

- Naturalnie - mruknął, opierając łokcie na kolanach.

- Chodź ze mną, Danausie. Pomóż mi oczyścić rodzinne miasto z tych przeklętych naturi. Sfora Barretta poniosła przez nich wielkie straty. I my, nocni wędrowcy, też. -

Wiedziałam, że to nie najlepszy argument. Danaus pewnie wolałby, żeby całą naszą rasę wzięli diabli, ale chwilowo stanowiliśmy najlepszą ochronę przed naturi, którzy byli nieskończenie gorsi od nocnych wędrowców. Problem w tym, że nie mogłam ich pokonać bez jego udziału, o czym oboje wiedzieliśmy.

Danaus wydał z siebie jakby pomruk wyrażający niezadowolenie, ale jednocześnie zgodę. Wolał, żebym sama wyruszyła na tę samobójczą akcję, a oboje wiedzieliśmy, że powinnam dać sobie spokój. Ale nie mogłam. Jabari, Tabor i Sadira wyrwali mnie lata temu z rąk naturi. Jasne, zrobili to dlatego, że chcieli mnie kontrolować i posługiwać się mną jako osobistą bronią, ale wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wiedziałam tylko, że ktoś przyszedł mi na ratunek. Amanda zasługiwała teraz na to samo i nie miałam zamiaru jej opuścić. I Danaus też nie.

- Pomogę wam - rozległ się cichy głos od drzwi, w których stała Shelly.

- Nie! Absolutnie nie! - zawołałam, szybko wstając.

- Ona może się przydać - podsunął Danaus.

- Mogę się przydać - potwierdziła Shelly, zanim zdążyłam odpowiedzieć. - Nie tylko ty umiesz posługiwać się ogniem.

Strzeliła palcami i ognista kulka zawisała nad jej głową. Bez magicznych zaklęć, bez specjalnych gestów udało jej się wyczarować moc z ziemi. Zwyczajnie pstryknęła palcami - i już. Może rzeczywiście nie doceniałam jej zdolności.

- Będzie tam wielu naturi, którzy zrobią wszystko, żeby cię zabić - powiedziałam. -

Walczyłaś już kiedyś z nimi.

- Nie, ale toczyłam magiczne walki z innymi czarownicami, które chciały mnie uśmiercić. Przeżyłam. Tę też przeżyję. - Wyprostowała plecy, aby robić wrażenie nieco wyższej.

Spojrzałam spode łba na Danausa, który nadal siedział na krześle za mną. On też zmarszczył brwi, jednak nie odrzucił jej prośby, by mogła wyruszyć razem z nami.

Pomyślałam, że to błąd, ale błędem wydawało się też ratowanie Amandy, a na to byłam zdecydowana. Shelly mogłaby przynajmniej pomóc w starciu z wieloma naturi, którzy na nas czekali. A mnie zależało na czymkolwiek, co zmniejszyłoby ich liczebną przewagę.

- Przebierz się w jakieś długie spodnie. Będziemy przedzierać się przez bagna -

powiedziałam, kręcąc głową. Shelly błysnęła uroczym uśmiechem, a potem wbiegła na górę po schodach. Modliłam się tylko, żeby nie pożałowała swojej decyzji.

Rozdział 10

Jedna lampa oświetlała podest, gdzie czekali na nas Knox i Tristan. Na ciemnych wodach unosiła się bezszelestnie motorowa łódź, a jej przyszli pasażerowie kręcili się niespokojnie na betonowej przystani. Tristan aż się palił, żeby już wyruszyć na nocne poszukiwania Amandy, natomiast Knox stał oparty o słup, z miną, która nie wyrażała nic, i wpatrywał się w wodę obmywającą brzeg.

Podczas jazdy na przystań Danaus i Shelly byli wyjątkowo małomówni, a każde z nas pogrążyło się we własnych myślach, szykując się do nadciągającej bitwy. Kiedy wchodziliśmy do łodzi, Shelly przedstawiła się Tristanowi i Knoxowi szybko i bez dowcipkowania.

Knox zajął miejsce za kołem sterowym, kierując się na ciemne wody, a ja, na dziobie, zajęłam się obserwowaniem okolicy, ponieważ w nocy widziałam najlepiej z całej grupy.

Danaus znalazł się koło mnie; jego moce mnie owiały i rozeszły się po moczarach.

- Ilu? - zapytałam, tylko trochę głośniejszą od szumu silnika.

- Co najmniej z tuzin. Niektórzy zbliżają się do motorówki - odpowiedział.

Popatrzyłam na niego i zobaczyłam, jak wyciąga nóż z pochwy przy pasie.

- Harpie? - spytałam, przypominając sobie o naturi z klanu powietrznego, które zaatakowały nas w Wenecji I na Krecie.

- Nie. Są w wodzie.

Zdusiłam przekleństwo i natychmiast skupiłam uwagę na pozornie spokojnych wodach przed nami. Jeszcze nie miałam do czynienia z wodnymi naturi - wcześniej liczyłam, że przejdę przez życie nie napotykać ich, ale były to pobożne życzenia.

Myśli kotłowały mi się w głowie. Chciałam jakoś osi rzec pozostałych o niebezpieczeństwie, które nadciągało. Nie starczyło na to czasu. Nieoczekiwana fala podniosła się za sterburką, a Knox zakręcił sterem w ostatniej chwili, ratując łódź przed wywróceniem się do góry dnem. Shelly upadła na dno pokładu, a Danaus wstał i pomógł jej się podnieść. A oni tylko na to czekali.

Strumień wody przeleciał nad łodzią, uderzając w pierś Danausa, który stracił

równowagę. Próbowałam go podtrzymać, ale nie zdążyłam. Wypadł za burtę, w ciemną wodę, która natychmiast go wchłonęła.

- Zgaś silnik! - krzyknęłam na sekundę przed tym, jak sama wyleciałam z łodzi.

Chociaż powietrze było ciepłe, zimna woda aż mnie zmroziła, na moment dekoncentrując.

Zaraz wyczułam Danausa zaledwie kilka metrów dalej. Nie było tu głęboko, ale łowca mógł utonąć, gdyby naturi zdołali dłużej utrzymać go pod wodą.

Nie dostrzegałam Danausa, choć wyczuwałam jego obecność. Cały problem w tym, że nie widziałam ani nie czułam naturi, którzy też byli w wodzie.

Danusie! - zawołałam w myślach, płynąc w jego stront, i mając nadzieję, że nawiążę z nim nasz szczególnie kontakt telepatyczny.

Prędeż! - odparł krótko i ze złością. Wkrótce miało zabraknąć mu powietrza.

Ilu ich jest?

Dwójka ze mną. Jeden koło ciebie.

Ledwie się powstrzymałam, żeby nie przystanąć i nie zerknąć przez ramię w poszukiwaniu wroga. Płynęłam jednak dalej, przekonana, że i tak nie dojrzę naturi, który mnie ścigał.

Spieniona woda przede mną świadczyła o tym, że jestem już blisko, ale kiedy wyciągnęłam rękę, para szponów przeorała moje plecy. Obróciłam się w wodzie na lewy bok, aby zobaczyć napastnika, ale woda była zbyt mętna, żeby cokolwiek dojrzeć. Wyciągnęłam zza pasa nóż i chwyciłam go zębami - popłynęłam dalej, rozpaczliwie starając się dotrzeć do łowcy, zanim zabraknie mu tlenu.

Kiedy się odwróciłam, pazury zraniły mnie po raz drugi, rozszarpując skórę na łopatkach. Ale tym razem byłam na to przygotowana. Chwyciłam dłonią nóż trzymany w zębach i zamachnęłam się prawą ręką do tyłu, raniąc naturi, który za mną płynął. W wodzie rozległ się zdławiony krzyk, a więc go

trafiłam. Młócąc nogami, zwróciłam się w stronę naturi, trzymającego się za bok. W nikłym świetle stworzenie wyglądało całkiem po ludzku, jeśli nie liczyć błon między palcami rąk i nóg - choć nie było wcale rusałką czającą się wśród fal. Skrzela na jego szyi otwierały się i zamykały wraz z każdym chwytanym z trudem oddechem. Mając naturi w zasięgu ręki, mogłam wykorzystać swój talent. Nie miałabym szans w walce pod wodą. Byłam w wodzie zbyt wolna. Udało mi się zranić naturi, bo go zaskoczyłam, ale drugi raz to nie przejdzie.

Zaatakował znowu, sięgając błoniastymi dłońmi zakończonymi pazurami ku mojej twarzy i próbując wyłupać mi oczy. Uchyliłam się, a on pochwycił tylko moje włosy.

Zacisnął na nich rękę, szarpiąc moją głowę w tył. Otworzył usta, ukazując rzędy ostrych zębów, jakich pozazdrościć mu mogły piranie. Ściskając w dłoni nóż, wbiłam go głęboko w brzuch naturi. Natychmiast wycofałam ostrze i wepchnęłam rękę w ziejącą ranę, zanim naturi zdążył puścić moje włosy. Z palcami w jego brzuchu skoncentrowałam się z całych sił, żeby mu spalić wnętrzności. Rzucił się i kopał, rozpaczliwie próbując wyzwolić się z mojego ognistego uścisku, abym nie wyszarpała mu rozżarzonych narządów. Zamachnął się po raz ostatni na moją twarz i kopnął mnie w brzuch, przez co rozluźniłam nieco chwyt. A potem poruszył nogami jeszcze parę razy, zanim w końcu znieruchomiał. Powoli wypłynął na powierzchnię.

Miro! Brakuje mi powietrza! - w mojej głowie rozległo się ale paniczne wołanie Danausa.

Zagotuj im krew! - poleciłam, znowu płynąc w jego kierunku.

Nie mogę.

Zrób to. Nie mogę cię dostrzec. Mała szansa, że uda mi się pokonać dwoje naturi, zanim Danaus zasłabnie z braku tlenu. Czas uciekał, a z każdą chwilą Danaus tracił siły.

Znów popłynęłam tam, gdzie w wodzie aż kipiało. Zawahałam się przed atakiem - nie byłam pewna, która z postaci to Danaus, choć czułam jego moc nabrzmiewającą w wodzie.

Zabijał dwoje pozostałych naturi, gotując ich krew. Podpłynęłam bliżej i wtedy ktoś kopnął mnie w żebra. A potem woda całkiem się uspokoiła.

Danausie? - Nadal go wyczuwałam, ale coraz słabiej; nasz kontakt się rwał, jak gdyby Danausa gdzieś znosili. *Danausie!* - powtórzyłam, gdy nie odpowiedział. Energicznie poruszałam nogami, zbliżając się do miejsca, gdzie wyczuwałam łowcę. Woda była za ciemna, żeby dostrzec w niej cokolwiek poza jego potężną sylwetką.

Tutaj, rozległ mi się w mózgu szept. Danaus był wy-czerpany i brakowało mu powietrza. Chwyciłam go za nadgarstek i wypłynęłam na powierzchnię, ciągnąc go za sobą.

Kiedy się wynurzył, nabrał solidny haust powietrza, odkasłując wodę.

- Nic ci nie jest? - zapytałam, machając jednocześnie na Knoxa, żeby podpłynął do nas łodzią.

Danaus kiwnął głową, nadal z trudem łapiąc dech.

- Czemu od razu nie zagotowałeś ich krwi, kiedy tylko wpadłeś do wody? - pytałam ze złością. O mało nie zginął, a wtedy niewiele już mogłabym zrobić.

- Nie byłem pewien, czy skoczysz za mną... - powiedział, wciąż dysząc, nadal usiłując napełnić płuca powietrzem. - Wiedziałem, że zabraknie mi sił, żebym sam wypłynął, jeśli wykorzystam moc.

Miałam ochotę go kopnąć. Jak mogłabym nie wskoczyć za nim? Był nam potrzebny.

Nawet mi nie przeszło przez myśl, żeby pozostawić go samego w wodzie.

Knox zatrzymał koło nas motorówkę, a Tristan pomógł nam wydostać się z wody.

Bryza chłodziła mokre ubrania, które nas oblepiały. Nachyliłam się ponad burtą, żeby wyżyć włosy, a potem zajęłam swoje miejsce na dziobie.

- Twoje plecy! - przeraziła się Shelly, kiedy ją mijalam.

- Już się goją - odpowiedziałam, wzruszając ramionami. - Płynmy dalej.

Usadowiłam się na przodzie motorówki, a dalszy rejs ku wyspie przebiegł gładko.

Knox wpłynął łodzią na piaszczysty brzeg między dwie łódki naturi i wyłączył silnik.

Zerknęłam przez ramię na Danausa i zauważyłam, że oddycha już równo. Żałowałam, że nie mogę dać mu więcej czasu na odzyskanie sił, lecz naturi by na to nie pozwolili.

- Chodźmy - rzuciłam, wstając.

- Czekają na nas - powiedział Danaus, powstrzymując mnie. - I to w pobliżu.

- Nie wątpię - odezwałam się bardzo cicho, przeskakując przez burtę. Stopy zapadły mi się w wilgotnym piasku i przez chwilę miałam wrażenie, że wpadłam w potrzask.

Odeszłam zaledwie niecały metr od motorówki, kiedy dostrzegłam podpełzające aligatory.

- Shelly, zajmij się tymi gadami - poleciłam i ruszyłam w głąb wyspy.

- Jak... jak to? - spytała, wychodząc za mną na piasek.

- Chcą zaatakować nas od tyłu. Pozabijaj je, zanim one spróbują zabić nas. Knox i Tristan będą cię osłaniali.

Nie spuszczałam wzroku z postaci, które wyszły zza drzew.

- Ale...

- Zrób, co ci mówię! Knox!

- Już się robi - zawołał, wyskakując z łodzi. Kiedy wszyscy znaleźliśmy się na wyspie, dobiegł nas z tyłu głośny plusk. Odwróciłam się i zobaczyłam kobiecą postać w wodnym gejzerze. Jej skóra była blada, sinozielonkawa, i długie włosy miały odcień zielonych alg.

Zdumiało mnie, że wyszła z wody na suchy ląd. Wokół niej unosiła się gęsta warstwa mgły, umożliwiająca jej oddychanie poza wodą.

- Przypląnęłam po to, co do mnie należy - oznajmiłam, walcząc z pokusą, żeby wyciągnąć nóż z pochwy.

- Liczyliśmy na to - odrzekła naturi. Mgielka tłumiła trochę jej głos.

- Lepiej pomyśl o sobie i stąd odpłyn. - Uśmiechnęłam się do niej, żeby dostrzegła moje kły. Dawałam jej ostatnią szansę, choć, prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że z niej skorzysta. To byłoby za proste. Poza tym grałam na czas, żeby Danaus zdążył odzyskać siły.

- Nie - odparła naturi.

Chwyciłam nóż i uruchomiłam swoje moce, gotowa spalić wszystko, co się porusza, jednak atak nadszedł z nieoczekiwanej strony. Naraz noc przepełniły odgłosy ptaków, jakby tysiące tych stworzeń nagle się rozwrzeszczało, wzbijając się w powietrze. Jednocześnie dosłyszałam charakterystyczny trzask kłapiących szczęk. Ruszyły aligatory.

Odnajdź naturi z klanu zwierzęcego, rozkazałam Danausowi, kiedy wystąpił naprzód z długim nożem w rękę, gotowy rzucić się na nadciągających wrogów. Ci na razie zadowolili się działaniem z zaplecza, zlecając brudną robotę zwierzętom podporządkowanym ich woli.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - warknął do mnie.

Miałam już na końcu języka jakąś zjadliwą ripostę, ale nie zdążyłam jej wypowiedzieć. Ptaki zerwały się z drzew i sfrunęły na nas jak nurkujące bombowce, gotowe rozszarpywać i dziurawić dziobami i pazurami. Machnęłam ręką i ściana ognia przeszła przez wodne ptactwo, w jednej chwili paląc im pióra. W powietrzu ukazał się wielki obłok pomarańczowych i żółtych płomieni, a potem czarny dym. Ciała małych ptaków spadły na ziemię przed nami, a ich piski przesywały powietrze.

- Nie! - krzyknęła Shelly, ściągając na siebie mój wzrok. Knox, Tristan i Shelly stali w kręgu niskich płomieni, które trzymały aligatory na dystans. A jednak Tristan i Knox także wpadli w tę pułapkę - nie mogli pomóc nam w walce. Shelly wpatrywała się z udręką w ptaki konające u moich stóp.

- Zabij te aligatory i pomóż nam! - wrzasnęłam do niej, a potem znowu skupiłam się na naturi.

Wylegli zza drzew i rzucili się do ataku. Postawiłam ognistą zaporę między nimi a nami, lecz Danaus już parł do przodu, gotowy do starcia. Nie mogłam ryzykować, że ode mnie łowcy drogę odwrotu. Mruknęłam z niezadowoleniem, wystąpiłam naprzód i zamachnęłam się nożem na pierwszego zbliżającego się do mnie naturi. Ścisnęło mnie w żołądku.

Przeciwnik miał wielką przewagę liczebną i znalazł się za blisko, żebym mogła rozpaść ogień. Potrzebowałam przestrzeni i czasu na koncentrację. Gdybym teraz się zatrzymała, to całkiem prawdopodobne, że skończyłabym z nożem w plecach.

Danaus i ja ścinaliśmy kolejnych naturi, ale następni wciąż nadciągali. Shelly udało się trzymać zbliżające się aligatory z dala od moich stóp, ale Knox i Tristan byli odcięci obok niej. Nieprzyjaciel szybko zdobywał przewagę.

Ktoś za mną krzyknął z bólu. Spróbowałam odwrócić głowę, żeby zobaczyć, komu się dostało, ale ta chwila dekoncentracji drogo mnie kosztowała. Ostrze wbiło się w moją pierś, raniąc skraj serca. Jęknęłam, a wszystkie mięśnie napięły się z bólu, kiedy cenna krew zaczęła ciec z rany.

Danausie..., wyszeptałam, szukając łowcy.

- Miro! - zawołał, niedaleko od miejsca, gdzie powoli osuwałam się na ziemię. Naturi wyciągnął nóż z mojej piersi, kiedy upadałam na klęczki, potem złapał mnie za włosy i szarpnięciem odchylił mi głowę, odsłaniając moją szyję. Zamknęłam oczy i skupiłam się, by go podpalić. Jednak osłabłam i wątpiłam, czy uda mi się odciąć mu głowę.

A wtedy spłynęły na mnie moce Danausa. Energia przeniknęła do każdej żyły i rozpała wszystkie mięśnie. Krzyknęłam, a trzymający mnie naturi stanął w płomieniach.

Kilka sekund później Danaus już klęczał koło mnie, przykładając mi dłoń do piersi i starając się powstrzymać krwotok. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że naturi odstepili o kilka kroków, obserwując nas niespokojnie. W końcu udało nam się ich zaskoczyć i musieliśmy wykorzystać zamieszanie, jeśli chcieliśmy przeżyć tę walkę.

Pomóż mi ich zniszczyć, zaklinałam, kiedy Danaus zaczął wycofywać z mojego ciała swoje moce. Poczułam ogromną ulgę, ale nie tego chciałam. Pragnęłam uwolnić się od bólu, lecz jeszcze bardziej uwolnić się od naturi.

Nie w taki sposób, odparł.

To jedyna metoda, powiedziałam. Dotknęłam jego dłoni, utrzymując połączenie, a krew sączyła się między naszymi splecionymi palcami. *Oni zabijają nocnych wędrowców*.

Zabijają wilkołaki, a wkrótce zaczną zabijać ludzi. Bez ciebie nie jestem dość silna. Nie zniszczymy ich dusz. Pomóż mi skończyć z tym tej nocy.

Miro...

Proszę cię, mój przyjacielu.

Moc eksplodowała w moim ciele jak rwący nurt wody w wąskim kanionie. Aż się ugięłam pod siłą tej energii, która spłynęła na mnie z Danausa. Odchyliłam głowę i zamknęłam oczy, ale mogłam ich wyczuć - wszystkich naturi w okolicy, tak jak wtedy, gdy polowaliśmy na nich w Anglii. Skupiłam energię i skoncentrowałam się na ich ciałach z zamiarem spalania ich wszystkich. Ale się nie udało.

Spróbowałam znowu, docierając do ich gorączkowo bijących serc, lecz znowu nie zdołałam ich podpalić.

Próbowałam co rusz, wysyłając energię, która aż się ze mnie wrywała. Nie chciałam niszczyć dusz naturi, tak jak wcześniej w Anglii. Musiał być jakiś inny sposób na zwycięstwo, jednak brakowało mi czasu. Energię, którą wlewał we mnie Danaus, trzeba było wykorzystać, zanim zniszczy mnie, zanim zniszczy nas oboje. Przeklinając samą siebie, sięgnęłam po wiązki energii, które płynęły we wszystkich naturi, i je podpaliłam.

Nie było okrzyków bólu. Zginęli za szybko. Moc Danausa nadal przepływała przeze mnie, więc przesłałam ją poza moczary i pozabijałam wszystkich naturi na swoim terytorium.

Moi pobratymcy nie musieli się już niczego obawiać, przynajmniej przez kilka kolejnych nocy, a sfera wilkołaków z Savannah uwolniła się chwilowo spod kontroli naturi. Zginęły dwa tuziny naturi i czułam każde drgnienie ich unicestwianych dusz. Dwa tuziny kolejnych powodów, dla których potępiona znajdę się w piekle, kiedy moje życie dobiegnie końca.

Danaus wyszarpnął rękę z mojego uścisku i osunął się, upadając na mój brzuch.

Byłam zbyt zmęczona i obolała, żeby próbować się osłonić. Świat zaczernił się wokół mnie i z ulgą pogrążyłam się w pustce.

Rozdział 11

Otworzyłam oczy i ujrzałam Knoxa klęczącego przy mnie, gładzącego moje czoło.

Miał podarte ubranie, a na ciele całą kolekcję zadrapań i śladów po ukąszeniach, które powoli się goiły. Rozejrzałam się wokoło i zobaczyłam Tristana, który siedział obok na piasku i wyglądał mniej więcej tak jak Knox. Obaj siłowali się wcześniej z aligatorami, Shelly stała z boku z bladą twarzą, po której spływały łzy. Ręce jej drżały. Popełniłam straszliwy błąd, pozwalając jej tu przybyć.

- Dobrze się czujesz? - spytał Knox, przyciągając mój wzrok. Musiałam jeszcze zobaczyć Danausa, ale czułam, że jest blisko, a gniew wrze w nim po cichu.

- Bywało lepiej - mruknęłam, siadając powoli. - Znajdźmy Amandę i wynośmy się stąd, do cholery. Muszę się dziś w nocy pożywić.

Knox chwycił mnie za łokieć i pomógł mi wstać. Pozostał przy mnie, gdy ruszyliśmy w głąb wyspy, jakby się obawiał, że ugną się pode mną kolana. Doceniałam jego troskę, ale jednocześnie mnie to denerwowało. Nie lubiłam okazywać słabości przy innych nocnych wędrowcach, nawet jeśli Knox nie zamierzał wykorzystać sytuacji i ugodzić mnie w plecy. To nie było w jego stylu. Niemal czułam, jakby usiłował chronić mnie przed Shelly albo Danausem. Starał się odgradzać mnie swoim ciałem od łowcy, wciąż spoglądając na czarownicę, specjalistkę od ziemskiej magii, znajdującą się po mojej drugiej stronie.

- Tam ktoś jest! - zawołał Tristan, po czym rzucił się do przodu, pragnąc, aby Amanda znalazła się w

końcu pod naszą opieką.

- To nie ona - powiedziałam cicho, marszcząc brwi. Dostrzegłam kolor włosów tego stworzenia i nie był to jasny blond Amandy.

- To naturi! - zawołał Danaus; rozumiałam jego zdziwienie. Zabiliśmy wszystkich naturi w okolicy, zamieniając ich w szary popiół. Nie było mowy, żeby choć jeden ostał się żywy i w jednym kawałku.

Kiedy podeszliśmy bliżej do naturi leżącej na ziemi, zobaczyliśmy, że jest okryta kopułą energii. Obok niej w dołku w piachu była Amanda, zwinięta w kłębek i nieprzytomna.

- Czy ona żyje? - zapytał Tristan, gotowy wskoczyć do dołu, kiedy tylko uznam, że to bezpieczne.

- Śpi - odrzekła Shelly głosem cichym i drżącym. Ziemską czarownica podeszła i spojrzała w dół na dwie kobiety, tak różne jak dzień i noc. Amanda, blondynka, była blada, a ta druga miała ciemne włosy i opaloną skórę. - To bańka snu. Utrzymuje tego, kto jest w środku, we śnie i chroni go.

- Po co usypiać naturi razem z wampirzycą, trzymaną w niewoli? - spytałam, klękając naprzeciw naturi i zachowując bezpieczną odległość od bańki. - Czy ta naturi torturuje Amandę we śnie?

- Mało prawdopodobne. Obie śpią. I to głęboko. Nie mają myśli ani snów. Jak gdyby nie żyły.

- Obie zostały uwięzione - powiedział nagle Danaus. - Spójrz na jej nadgarstki.

Naturi znajdowała się w pozycji embrionalnej i przyciskała ręce do brzucha, ale widać było wyraźnie obręcze na jej szczupłych nadgarstkach i łańcuch łączący je razem. To śpiące stworzenie było więźniem, wrogiem mojego największego nieprzyjaciela. Uśmiech przemknął mi po twarzy.

- Interesujące - rzekłam cicho, głównie do siebie.

- Co zamierzasz? - spytał Tristan, odchodząc w końcu do Amandy. Sytuacja się skomplikowała. Nie chodziło tylko o obudzenie Amandy. Wydawało mi się, że aby ją zabrać, trzeba będzie pozbyć się bańki, a więc obudzić je obie.

- Jeszcze nie zdecydowałam - odparłam szczerze. - Naturi po prostu wpadła mi w ręce.

Co powinnam z tym zrobić?

- Oprócz zabicia jej? - rzucił Tristan. - Czy ten... urok szkodzi Amandzie? - zapytał, zwracając się do Shelly. Czarownica się pochyliła, aby przyjrzeć się znakom na ziemi wokół

bańki.

- Nie, ona jest zupełnie bezpieczna. Po prostu śpi.

- To uzdrawiający sen - wtrąciłam. - Którego teraz potrzebuje. Nie wiadomo, jak długo naturi ją dręczyli, zanim zdołaliśmy dotrzeć na wyspę. Pozwólmy jej spać, jeśli może.

- Czy zamierzasz utrzymywać ją w takim stanie z powodu naturi? - spytał Tristan, robiąc krok w kierunku dołu, w którym leżała Amanda, jakby chciał tam wskoczyć i ją wyciągnąć, nie zważając na urok.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale nic jej się nie stanie, jeśli poleży tak jeszcze parę minut.

- Podniosłam się i podeszłam do Tristana. Chwyciłam go za rękę i odciągnęłam kilka kroków dalej. - Musimy to przemyśleć. Nadarzyła się nam wyjątkowa okazja i musimy dobrze ją wykorzystać.

- Co masz na myśli? - zapytał, wysuwając dłoń z mojego uścisku.

- No właśnie, Miro - syknął Danaus. - O co właściwie ci chodzi?

- Mamy pod nosem uwięzioną naturi. Nie sądzicie, że w naszym interesie leży, żeby wyciągnąć od niej jakieś informacje?

- Nie zabijesz jej? - zdumiał się Tristan, wskazując na śpiącą naturi, jak gdyby był to wąż, pełznący w jego stronę po ziemi.

- Oczywiście, że ją zabiję, chodzi tylko o to, kiedy.

- Czy coś takiego miałaś na myśli, mówiąc kiedyś, że życie Danausa wisi na włosku? -

zapytał Knox, na co wykrzywiłam usta. Od miesięcy zapowiadałam, że zabiję łowcę, a jeszcze tego nie zrobiłam. Wciąż był za bardzo przydatny. Nie wydawało mi się, aby ta naturi okazała się aż tak pożyteczna.

- Niezupełnie - warknęłam. Podeszłam znów do naturi i przykucnęłam, aby przyjrzeć się jej z bliska. Wydawała się młoda, jakby była nastolatką, od piętnastu do siedemnastu lat, ale tylko tak wyglądała. Naturi starzeli się powoli, jeśli w ogóle. Mogła mieć kilkaset lat i wyglądać na młodą. Jej ubrania były brudne i miała siniak na skroni. Nie została potraktowana tak brutalnie jak Amanda, ale też nie stanowiła cennej zdobyczy.

- Może być wtyczką - powiedział Danaus, przerywając moją zadumę. - Naturi wiedzieli, że może cię zainteresować, i wykorzystali okazję, sądząc, że spróbujesz wyciągnąć od niej informacje. Może okazać się niczym innym, tylko szpiegiem.

Otrzepałam dłonie z piachu, wstałam i odwróciłam twarz w stronę łowcy. Nie brałam pod uwagę takiej możliwości. Z pewnością nie moglibyśmy jej ufać, gdybyśmy zadali sobie trud, żeby ją obudzić.

- To prawda, ale komu miałyby donosić? Zabiliśmy wszystkich naturi w okolicy. Nie ma nikogo, komu mogłaby przekazywać informacje, nawet gdyby się czegoś dowiedziała.

- Czy myślisz, że nocni wędrowcy to jedyne stworzenia obdarzone zdolnościami telepatycznymi? - odparł. - Założę się, że może się porozumiewać z każdym naturi, z jakim chce, bez względu na odległość.

- I co im powie? Gdzie mnie znaleźć? Oni już wiedzą, że Savannah to moje terytorium.

- To warte ryzyka - wtrącił Knox, wsuwając dłonie w kieszenie dzinsów. - Każda informacja, jaką możemy uzyskać w tej sytuacji, będzie cenna.

- Sądzisz, że ona powie prawdę? - zapytał Tristan.

- Nie od razu - odparł Knox. Wzruszył szerokimi ramionami, unosząc kącik ust w ponurym uśmiechu.
- Ale jestem pewien, że jak ją trochę poboli, to będzie gadać.

- Shelly, obudź je - poleciłam, odstępując o krok od połyskującej niebieskiej kopuły energii, w której leżały Amanda i naturi.

Czarownica podeszła do bańki i zatrzymała się, zerkając na mnie przez ramię, jakby pytała po raz ostatni, czy naprawdę tego chcę. Skinęłam ponaglająco głową. Ciężko wzdychając, Shelly wysunęła do przodu prawą nogę i czubkiem buta rozmazała krąg na piachu, otaczający Amandę i naturi. W powietrzu rozległ się cichy trzask i bańka przykrywająca je obie znikła zupełnie.

- I to wszystko? - spytałam zdziwiona.

- Pewnie. To tylko senny urok - odparła i cofnęła się, usłyszawszy, jak Amanda zaczyna się wiercić w swojej dziurze w ziemi.

- Czy w razie potrzeby potrafiłabyś go przywrócić?

- Dawno tego nie robiłam, ale myślę, że tak.

- Podszkol się w tym. Możemy tego potrzebować - powiedziałam, przenosząc znów uwagę na dwie postacie u moich stóp.

Cichy jęk wyrwał się z gardła Amandy, gdy powoli się przebudziła i poruszyła w dole.

Wciąż zerkając jednym okiem na naturi, która jeszcze nie drgnęła, podeszłam do dziury w ziemi, żeby Amanda mnie zobaczyła. Jej piękne jasne włosy były zmierzwiłone, ubrudzone krwią i piachem. Ubranie miała podarte, a prześwitującą przez nie skórę pokrywała zakrzepła krew. Przeszła przez piekło i przeżyła, ale mnie interesowało tylko, jak ją to zmieniło. Czas, jaki sama spędziłam z naturi, nie uczynił mnie lepszą.

- Mira? - wyszeptała spękany ustami.

- Jestem tu. Naturi już nie ma - odparłam cichym, kojącym głosem. Jeszcze nie otworzyła oczu. Kiedy w końcu to zrobiła, jęknęła boleśnie, widząc, że leży w czymś, co wygląda na świeżo wykopany grób. Knox pochylił się, wyciągając do niej rękę, a Tristan ujął

ją pod łokieć i obaj podnieśli ją powoli na nogi. Amanda zachwiała się raz, po czym wzięła głęboki wdech, wężąc w powietrzu. Wychwyciła zapach Shelly lub Danausa i poczuła głód.

Jej niebieskie oczy zabłyśły, gdy skupiła wzrok na młodej czarownicy, i uśmiech wygiął jej usta.

Zrobiłam krok do przodu i powstrzymałam Amandę, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Cichy ostrzegawczy pomruk wydobył się z głębi jej gardła, ale go zignorowałam.

- Amando, nie możesz się tutaj pożywić. Knox i Tristan ci pomogą - powiedziałam, po czym przeniosłam wzrok na Knoxa, który stał po jej prawej stronie. - Weźcie łódź i zabierzcie ją z powrotem do Savannah. Niech tam zapoluje. Wrócimy inną motorówką.

- Czy dasz sobie radę z...? - Knox wskazał głową naturi, która wciąż leżała na ziemi.

Pokiwałam głową, lekko krzywiąc kącik ust.

- Tak, poradzimy sobie. Idźcie.

Naturi w końcu zaczęła się wiercić, kiedy Tristan i Knox pomagali Amandzie dojść do łodzi. Poderwała się do pozycji siedzącej, a kajdany zadzwoniły, gdy uniosła ręce, aby mnie odgonić. Popatrzyła wokół wielkimi zielonymi oczami; szybko zauważyła mnie, Danausa i Shelly.

- Ich już nie ma. Są martwi - oświadczyłam swoim, jak sądziłam, najgroźniejszym głosem. Chyba trochę wyszłam z wprawy, bo ona tylko odetchnęła z ulgą. - Ty zostałeś z nami - podjęłam, czekając, aż wzbudzi to w niej strach lub przynajmniej palącą nienawiść.

- Kim jesteś? - spytała cichym głosem, który przypominał mi nieco wiatr. - Czy możesz pomóc mi to zdjąć? - Uniosła w moją stronę ręce zakute w kajdany, a ja się roześmiałam.

- Jestem nocnym wędrowcem - odparłam, sprawiając, że się skrzywiła.

- Och, chyba nie - wyszeptała, opuszczając dłonie na kolana.

Stałam przed nią z rękami na biodrach i z szeroko rozstawionymi nogami.

- A kim ty jesteś?

- Nazywam się Cynnia. Czy przyszedłeś, żeby uratować tę wampirzycę, którą przetrzymywali?

Zignorowałam jej pytanie. Wydawało mi się oczywiste, dlaczego tutaj jesteśmy.

- Czemu zakuli cię w kajdany? Jesteś więźniem?

- Tak.

- Dlaczego? - spytałam przez zaciśnięte zęby, kiedy nic dodała nic więcej.

- Oskarżyli mnie o zdradę - odrzekła cicho, opuszczając wzrok na żelazne kajdany na swoich szczupłych nadgarstkach.

- Mira! - rzucił Danaus.

Wiedziała, czemu nagle się zdenerwował. Jej słowa też mnie zaniepokoiły. To wydawało się zbyt dogodne, zdrajczyni naturi w rękach wroga. Tak jakby marzenia się ziściły, ale czuć było w tym podstęp.

- Przeczesz okolicę! - rozkazałam, nie patrząc wcale na niego.

- Mira? - spytała naturi, ponownie unosząc głowę. - Krzesicielka Ognia?

- We własnej osobie - odparłam z demonicznym uśmiechem. Zobaczyła wyraźnie moje kły i cofnęła się nieco, próbując odsunąć się ode mnie, ale nie miała dokąd uciekać.

Moc Danausa omiotła wyspę i okoliczne bagna. Wzdrygnęłam się, a ciało wciąż mnie bolało po naszym wcześniejszym zjednoczeniu. Nie spieszyło mi się, by znowu poczuć jego moce.

- W okolicy nie ma żadnych naturi - stwierdził Danaus.

- Gdzie jest Rowe? - spytałam, podchodząc o krok bliżej do Cynnii.

- Rowe? - Jej głos zadrżał, gdy spoglądała to na mnie, to na Shelly, a potem na Danausa.

- Tak, Rowe. Gdzie ten jednooki drań?

- Ja... nie wiem. Nigdy go nie poznałam - powiedziała, kręcąc głową.

Dopałam jej w jednej chwili. Klękając obok, brutalnie chwyciłam ją za włosy i gwałtownie odchyliłam jej głowę do tyłu. Przycisnęłam ostrze noża do jej długiej szyi i kropla krwi spłynęła po skórze.

- Gdzie jest Rowe? - warknęłam.

- Mówię prawdę. Nie wiem - odparła.

- Miro! - rzucił ostro Danaus, na co szybko odwróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć. Cichy pomruk wydobył się z głębi mojego gardła, a górna warga odchyliła się, tak że mógł ujrzeć moje kły. To było ostrzeżenie. - A co, jeśli ona rzeczywiście nic nie wie? -

zapytał z prawą ręką na rękojeści noża umocowanego przy pasie. Był gotowy do ataku, jeśli uzna, że posuwam się za daleko.

- Wtedy zginie w męczarniach - wyjaśniłam, zaciskając mocniej dłoń na jej włosach, aż cicho jęknęła.

- Proszę... Ja... ja nic nie wiem. Właśnie tu przybyłam, a oni powiedzieli mi, że zamierzałam zdradzić moją siostrę. Trzymali mnie w niewoli przez wiele dni. - Słowa wyływały z niej jak rzeka.

- Twoją siostrę? A kim ona jest? - spytałam, opuszczając nieco nóż.

- Aurora - wyszeptała.

Zerwałam się na równe nogi i odstałam o kilka kroków od naturi. Jednocześnie Danaus podszedł bliżej i stał teraz obok mnie. Przypuszczałam, że jego kłębiące się myśli zmierzają w tym samym kierunku co moje. Czy to możliwe? Czy naprawdę pojaliśmy siostrę królowej naturi? Chyba nie mogło mi się aż tak poszczęścić, ale mimo narastających wątpliwości trudno było zignorować fakt, że Cynnia wydawała mi się jakby znajoma. I wiedziałam dlaczego. Wyglądała jak Aurora. Widziałam ją przelotnie przed wiekami, kiedy walczyliśmy z naturi w Machu Picchu, i jej wystraszona piękna twarz wyryła mi się w pamięci. Nie mogłabym jej zapomnieć, a teraz widziałam klęczącą przede mną młodszą i bardziej bezbronną wersję królowej.

- Jesteś siostrą Aurory? - spytałam powoli. Czułam potrzebę, żeby wypowiedzieć te słowa głośno.

- Tak. - Skrzywiła się, być może uświadamiając sobie własną bezradność. - Kocham swoją siostrę. Nigdy nie zrobiłabym nic, co by jej zaszkodziło. Przybyłam tutaj, szukając brata. Trzeba powstrzymać tę wojnę i pomyślałam, że mój brat mógłby mi pomóc.

- Kim jest twój brat? - Powstrzymałam uśmiech. Czułam się jak Alicja z krainy czarów, wpadająca w króliczą norę. To wszystko wydawało się zbyt nieprawdopodobne.

- Nazywa się Nerian i ma brązowe włosy tak samo jak ja. On...

- Miał - przerwałam chłodno. - Nerian nie żyje.

Uniosła wzrok i spojrzała mi w twarz zielonymi oczami, ściągając kąciki ust.

- Ty go zabiłaś, prawda? - Pytaniu nie towarzyszył wybuch płaczu, jakiego się spodziewałam. Tak naprawdę Cynnia przyjęła wiadomość całkiem spokojnie.

- Tak - syknęłam, uśmiechając się od ucha do ucha. Nerian był moim prześladowcą w Machu Picchu, moim nieustannym koszmarem na jawie. Wprost nie mogłam wyrazić ulgi, jaką odczuwałam, pozbawiwszy go życia i usunąwszy z tej ziemi.

Cynnia pokręciła głową i spojrzała ponownie na swoje dłonie.

- Nigdy go nie poznałam.

- To masz szczęście. Był okrutnym, sadystycznym draniem. Zupełnie szalonym.

- I dobrym wojownikiem - dodał Danaus ku mojemu zdziwieniu. - Wierzył w sprawę twojej siostry. Nigdy by ci nie pomógł.

- Dlaczego tu? Czemu tutaj cię trzymali? - zapytałam, przyciągając jej uwagę.

- Nie wiem. Przywieziono mnie tutaj przez ocean. Wydawało mi się, że oni za kimś podążają.

- Podążali za tobą - powiedział Danaus. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, że łowca intensywnie wpatruje się w moją twarz. - Śledzili cię przez całą drogę z Europy do twojego domu.

To była interesująca teoria.

- W jakim celu? - spytałam cicho, wsuwając dłonie do tylnych kieszeni i ponownie spoglądając na naturi. Stanowiła dla mnie osobliwą zagadkę, którą musiałam rozwikłać, jeśli mieliśmy przeżyć kilka następnych nocy.

- Z dwóch możliwych powodów - odparł Danaus. Podeszedł i stanął obok mnie z rękami złożonymi na muskularnej piersi. - Spodziewają się, że ją zabijesz.

Co nie byłoby takie całkiem do mnie niepodobne. - Pokiwałam głową. Miałam skłonność, by najpierw zabijać naturi, a potem zadawać pytania. Lepiej spalić naturi na popiół, niż żeby biegali dookoła i sprawiali kłopoty. - A ponieważ to siostra ich królowej, mogliby liczyć na zjednoczenie całego swojego plemienia. Oto zła wampirzyca zabija słodką i niewinną młodszą siostrę Aurory, jednocząc ich przeciwko wspólnemu wrogowi.

Oczywiście zakładając, że ona mówi prawdę.

Cynnia uniosła głowę i otworzyła usta, by zaprotestować, ale słowa uwięzły jej w gardle, kiedy skierowałam w jej stronę nóż.

- Albo przypuszczają, że weźmiesz ją na zakładniczkę i będziesz torturować, żeby zdobyć informacje - ciągnął Danaus.

- To też by do mnie pasowało - przyznałam ze skinieniem. - Ale wtedy mogliby się spodziewać, że zechcę się posłużyć siostrą Aurory jako kartą przetargową. Weźmiemy ją ze sobą, a ona nas zabije, gdy zaśniemy.

Zmarszczyłam brwi i wsunęłam nóż z powrotem do pochwy u boku, patrząc na Cynnię i rozważając różne pomysły, jakie chodziły po głowie. Zabijając ją teraz, usunęłabym ze świata kolejną przedstawicielkę rodu naturi. Ale pozostawienie jej przy życiu dawało mi okazję, żeby się czegoś dowiedzieć. A jakie mogło być lepsze źródło informacji niż siostra Aurory?

- Co więcej, mogła tak naprawdę zwabić do mnie Rowe'a. Szybko zjawił się w Wenecji, kiedy wydawało się, że Sabat więzi kogoś z jego rasy. Gdyby doszła do niego wieść, że trzymam naturi jako zakładniczkę, zwłaszcza jeśli to siostra jego żony królowej, wtedy może w końcu by się ujawnił. A przerwanie impasu w konfrontacji naturi z nocnymi wędrowcami zależało od tego, czy Rowe wreszcie zginie.

Moglibyśmy wykorzystać ją do przyciągnięcia Rowe'a. Przesłałam tę sugestię do mózgu Danausa, by zachować swoje plany w tajemnicy przed Shelly i Cynnią. Ziemska czarownica zrobiła się chorobliwie zielonkawa na twarzy, wtedy przyłożyłam nóż do gardła naturi. Raczej nie liczyłam na to, że Shelly będzie trzymała język za zębami, gdybym zechciała uszkodzić tę schwytaną osobkę.

Czy myślisz, że on się po nią zjawi?

Nie wiem. Ale dotąd jakoś mnie nie załatwił, czemu więc nie spróbować czegoś nowego?

Musimy wkrótce wyjechać do Peru. Nie mamy czasu.

Zafrasowałam się. Miał rację, brakowało czasu. Ale nie chciałam marnować tej wyjątkowej okazji. Cynnia była pierwszą naturi, jaką spotkałam, która nie chciała od razu mnie zabijać ani wykorzystać. Musiałam znaleźć sposób na wydobywanie z niej paru informacji, zanim ją w końcu uśmiercę.

- Czy wciąż masz ten dom? Ten z piwnicą? - spytałam, spoglądając na łowcę kątem oka.

Pokręcił głową, wykrzywiając usta.

- Nie. Spalił się.

Nie zdziwiło mnie to. W tym domu zabiłam Neriana. Tamten budynek byłby idealny do przetrzymywania Cynnii przez dzień lub dwa, ale przypuszczałam, że Danaus sam dopilnował, by dom spłonął, chcąc zniszczyć wszelkie dowody istnienia zarówno swojego, jak i Neriana.

- W takim razie zabierzemy ją do mojego domu w mieście. Shelly, możesz przywrócić ten usypiający urok?

- Ten... usypiający urok? - zająknęła się, wpadając nagle w podenerwowanie. Załamana ręce, przenosząc spojrzenie ze mnie na obserwującą nas naturi. - Tak, mogę. To całkiem łatwe.

- Masz szczęście. - Uśmiechnęłam się szyderczo do Cynnii. Wyciągnęłam rękę, chwyciłam łańcuch łączący jej kajdanki i pociągnęłam gwałtownie, zmuszając ją do powstania. - Jeszcze trochę pożyjesz. A to, jak długo, zależy od tego, na ile okażesz się pożyteczna. Jeśli mnie okłamiesz, sama będziesz prosić, żebym cię szybko zabiła.

Miro, nie musisz być taka okrutna. Ona i tak jest przerażona, zbeształ mnie Danaus, podążając tuż za mną.

Roześmiałam się. Chyba jeszcze nie widziałeś prawdziwego okrucieństwa.

Rozdział 12

Danaus zaparkował mój samochód i siedział z rękami na kierownicy. Zajmowałam tylne siedzenie z Cynnią, dzieląc swoją uwagę między pojmaną a Danausa, który z każdą minutą stawał się coraz bardziej rozgniewany. Długa jazda w ciszy pozwoliła mu dokładnie przemyśleć to, co wydarzyło się na wyspie.

- Musimy porozmawiać - rzucił, wciąż patrząc przed siebie. Było jasne nawet dla Cynnii, że mówi do mnie. Podniosłam wzrok i spojrzałam w jego niebieskie oczy we wstecznym lusterku. Nie zapowiadało się najlepiej.

Otworzyłam usta, by zaprotestować, powiedzieć, że musimy pilnować Cynnii, kiedy warknął:

- Teraz!

Nie można było już uniknąć konfrontacji.

- Shelly, wprowadź Cynnię do środka. Daj jej coś do jedzenia i picia - polecił Danaus twardym głosem, który nie pozwalał na sprzeciw, ale to nie powstrzymało mnie przed syknięciem za jego plecami. Nie chciałam, żeby naturi poczuła się nagle gościem w moim domu, gdy tak naprawdę była jeńcem.

Kiedy Shelly zaprowadziła Cynnię do mojej wygodnej rezydencji, ruszyłam z Danausem ulicą do jednego z wielu niewielkich parków, którymi upstrzone było miasto. Po raz pierwszy od ponad miesiąca nie oglądałam się przez ramię, wypatrując naturi gotowych, by wbić mi nóż w plecy. Odeszli na krótko i moje miasto znowu było bezpieczne. Musiałam tylko poradzić sobie z gniewem Danausa spowodowanym tym, na co go namówiłam.

- Okłamałaś mnie! - warknął. - Tak bardzo chciałaś mnie przekonać, że nocni wędrowcy nie są źli, a jednak mnie okłamałaś. Zniszczyłaś ich dusze.

- Nie zwalaj wszystkiego na mnie. Wiedziałeś, co się dzieje. Mogłeś mnie powstrzymać w każdej chwili, ale tego nie zrobiłeś, bo byliśmy w rozpaczliwej sytuacji -

zaoponowałam, odsuwając się na kilka kroków od łowcy. Wciąż oboje byliśmy uzbrojeni. Nie chciałam być tą, która zadaje pierwszy cios, ale byłam na to gotowa, gdyby zrobiło się groźnie.

- Powiedziałaś, że nie zniszczymy ich dusz. Mieliśmy ich zabić! - zagrzmiął, odchodząc ode mnie i znowu powracając.

- Nie chciałam. Próbowałam. Czyżbyś nie wiedział? Byłeś w moim mózgu. Mogłeś mnie kontrolować. Nie rozumiesz, że się starałam? - Poczułam mdłości, przywołując w myślach ów krótki moment popłochu i wahania. Stałam wtedy przed paskudnym wyborem: zniszczyć dusze naturi lub pozwolić na to, żeby Danaus zniszczył mnie, jeśli podejmę z nim walkę. Albo jeszcze gorzej: Danaus mógł wycofać swoje moce przed zabiciem przeciwników, czyniąc nas słabymi i bezbronnymi.

Ale słusznie się wściekł. Decyzja o zniszczeniu ich dusz zapadła zbyt łatwo. Nie za długo się zastanawiałam, kiedy zawiodły moje próby spalenia ich serc, i bez wahania, nie wracając do Savannah, zabiłam wszystkich naturi na moim terenie.

- Trzeba z tym skończyć! - oświadczył.

- Wiem - odparłam drżącym głosem. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki, nierówny wdech. - Ale jeśli to nas przerośnie, gdy tylko nauczymy się nad tym panować?

- Panować nad tym? - Danaus wystąpił do przodu i chwycił mnie za oba ramiona. -

Nie da się tego kontrolować, Miro! To klątwa z piekła. Próbuję ocalić swoją duszę, nie ściągając na siebie ostatecznego potępienia.

- Nie idzie się do piekła z powodu tego, kim się jest. - Odtrąciłam jego ręce i oddaliłam się od niego.

- Udowodnij to.

Nie potrafiłam, ale to nie miało znaczenia. Uważałam, że nikt nie jest przeznaczony piekłu w momencie narodzin. Decydują o tym dopiero nasze świadome poczynania, a do tej pory podjęliśmy trochę naprawdę złych decyzji.

- Nie mieliśmy wyboru - powiedziałam cichym, opanowanym głosem, starając się rozpaczliwie wmówić to sobie tak samo, jak próbowałam przekonać jego. - Gdybyśmy tego nie zrobili, byłibyśmy teraz martwi. Nikt nie zdołałby powstrzymać Rowe'a w Machu Picchu za kilka nocy i naturi znowu chodziliby na wolności.

- Przede wszystkim nie powinniśmy byli tam jechać! - zawołał, wskazując na południe i w stronę moczarów. - Wiedzieliśmy, że to pułapka, i o mało nie zginęliśmy. Co gorsza, sami torujemy sobie drogę do naszego prywatnego piekła takimi stwierdzeniami jak: „Nie mieliśmy wyboru”.

- Nie mów mi o wyborach - warknęłam, stając na czubkach palców, abym mogła spojrzeć mu w oczy. - Nie musiałeś tam płynąć. To nie ty złożyłeś Amandzie obietnicę, że będziesz ją chronił. Ja to obiecałam i nie zamierzałam zostawiać jej na pastwę naturi, bo akurat nie pasowało nam to do naszych planów.

- Nie dałaś mi żadnego wyboru. Gdybym pozwolił ci popłynąć beze mnie, zabiliby cię, a wtedy wszystkich nas szlag by trafił!

- Nie będę żałować tego, co dziś zrobiliśmy! - krzyknęłam do niego, tracąc resztki opanowania, które pękało niczym skorupka jajka pod butem Danausa. - Nie masz pojęcia, co to znaczy wpaść w ich łapy. Noc po nocy niekończący się ból i tortury. I nawet nie wiesz, czy ktoś przyjdzie cię uratować, zastanawiasz się, czy ktokolwiek wie, gdzie cię znaleźć. W

końcu nie masz nawet pojęcia, po co w ogóle czekać na ratunek.

Krwawe łzy spływały mi po twarzy, ale nie mogłam zdobyć się na to, by je otrzeć.

Gotowała się we mnie wściekłość i dawne poczucie absolutnej bezradności. Sprawiały, że zaciskałam drżące dłonie w pięści. Nienawidziłam się za to, że traciłam opanowanie w obecności Danausa. Ale jego nie cierpiałam za to, że widział mnie w tej chwili słabości, bo zawsze chciałam mu pokazać - tak jak wszystkim innym, którzy szukali we mnie przewodnika w tym obłędzie - że jestem silna.

Ku mojemu zdziwieniu Danaus objął mnie ramionami i przyciągnął do piersi, burząc ostatnie mury otaczające wspomnienia mojej niewoli u naturi. Przez wszystkie te długie lata nigdy nie pozwoliłam sobie na płacz. Nawet wtedy, kiedy Jabari uratował mnie w dalekich górach, ani podczas długich stuleci, które przeminęły. Teraz jednak oparłam głowę o silną pierś Danausa i pozwoliłam łzom spływać ciurkiem pomiędzy zaciśniętych powiek.

Otworzyłam dłonie i przyłożyłam je do jego boków. Nie mogłam już utrzymać się na nogach pod

ciężarem wspomnień, które wirowały mi w głowie. Zbyt wiele nocy spędzonych pod nożem Neriana, zbyt wiele pustych miejsc w moim umyśle, wydarzeń, których nie potrafiłam sobie przypomnieć albo nie chciałam pamiętać - okropnych rzeczy, które mi się przydarzyły.

- Nienawidzę ich - wydusiłam przez zaciśnięte gardło. - Tak bardzo ich wszystkich nie znoszę. Nie cierpię ich za to, co robią moim braciom.

Danaus nic nie mówił, gdy tak stałam drżąca w jego ramionach. Nie musiał. Trzymał

Neriana w niewoli mniej więcej przez tydzień i naturi chętnie raczył go opowieściami o tym wszystkim, co mi uczynił. Łowca wiedział, jak długo mnie tam przetrzymywano i torturowano. Wiedział więcej niż ktokolwiek inny o mojej straszliwej przeszłości. Widział

nawet blizny na moich plecach. Przed Danausem nie mogłam niczego ukryć.

Po kilku minutach wyswobodziłam się wreszcie z jego ciepłych objęć i odeszłam parę kroków, ocierając łzy z twarzy. Czułam teraz na sobie jego zapach, aromat morza i słońca.

Czysty, jasny i pełen spokoju. Część owego ciężaru, który dźwigałam przez ponad pięćset lat, w końcu spadła mi z ramion, a kula gniewu w mojej piersi nieco przygasła.

- Co zamierzasz z nią zrobić? - spytał cicho, kiedy wreszcie doszłam do siebie.

Już miałam na końcu języka, że zrobię z nią to, co oni kiedyś ze mną, ale nie mogłam wypowiedzieć tych słów, bo wiedziałam, że to nieprawda. Zadawanie cierpień to mroczna ścieżka, z której już zesłam. Teraz, kiedy zabijałam, robiłam to szybko i bezboleśnie. Bez tortur, w każdym razie z pewnością bez takich, jakie sama przeszłam. Lubiłam myśleć, że nie mam już na to ochoty.

- Chcę zobaczyć, czy da się wyciągnąć z niej jakieś użyteczne informacje, a potem ją zabiję. Nic więcej - odparłam, odwracając twarz do łowcy. Nie mogłam jednak spojrzeć mu w oczy. Wsunęłam po prostu ręce do kieszeni i wpatrywałam się w chodnik przed sobą. - Nie wyobrażam sobie, jak można ją sensownie wykorzystać jako kartę przetargową w walce z naturą.

Danaus wsunął mi rękę pod podbródek, zmuszając do uniesienia wzroku i spojrzenia w jego przenikliwe oczy.

- A co, jeśli ona naprawdę nic nie wie?

- Wtedy czeka ją szybka śmierć.

- A jeżeli jest tą, za kogo się sama uważa, czyli zdrajczynią natury?

- Wtedy może się okazać, że natknęliśmy się w końcu na coś interesującego -

odparłam, zmuszając się do uśmiechu. Powoli zrobiłam krok do tyłu, wysuwając podbródek z jego delikatnej dłoni. - Popilnuj jej trochę. Muszę coś załatwić.

- Wrócisz tej nocy?

Zerknęłam na ciemne niebo, dostrzegając przeblyski gwiazd pomiędzy wędrującymi chmurami. Wciąż jeszcze mieliśmy kilka godzin do świtu.

- Naprawdę nie wiem.

Danaus pokiwał głową i odstał na bok, abym mogła przejść obok niego do samochodu. Gdy dotarłam do auta, wręczył mi kluczyki, a przez jego kamienną twarz przebiegł niepokój. Miałam wrażenie, jakby coś niedopowiedzianego wisiało w powietrzu.

Nie wiedziałam, co chciał mi powiedzieć, ale nie odezwał się słowem. Wszedł po frontowych schodach i zniknął we wnętrzu domu.

Wzdychając lekko, wsiadłam do samochodu i pojechałam szybko do swojego domu tuż poza granicami miasta, gdzie czekał na mnie Tristan. Wystarczyło, żebym tylko na moment zajrzała w jego myśli, by wiedzieć, że ten młody nocny wędrowiec miał trudną noc.

Kiedy wjechałam do garażu, otworzyłam swój umysł i podążyłam ścieżką prowadzącą do Tristana. Stał przed jednym z okien na piętrze, spoglądając na frontowe podwórze, a jego emocje stanowiły miksturę bólu, gniewu i pomieszania. Naturi nie tylko uprowadzili Amandę, ale skrzywdzili również Tristana.

Światło wpadało do pokoju przez okno, nadając jego bladej skórze delikatny blask.

Ręce miał skrzyżowane na piersi, ramiona sztywne, a całe ciało napięte.

Zafrasowana, obserwowałam młodego nocnego wędrowca w milczeniu. Nie mogłam go zostawić, pogrążonego w mrocznych myślach, które go dręczyły. Odkąd zjawił się na moim terytorium, nie widziałam, aby był naprawdę szczęśliwy. Wydawało się, że został w nim tylko sarkazm, zgorzknienie, niepokój i melancholia, mimo moich starań, by czuł się tu mile widziany. To jednak było zrozumiałe. Wciąż próbował uporać się ze swoją nową pozycją w Savannah, a także z przeszłością spędzoną z naszą stwórczynią, Sadirą. Wszyscy zmagaliśmy się z demonami, które nas dręczyły, a większości z nich niełatwo się pozbyć.

- Jak tam Amanda? - spytałam, wiedząc, że jest ona w pewnym sensie przyczyną jego ponurego nastroju.

- Nie mam pojęcia. Musisz zapytać ją samą albo Knoxa.

Mówiąc to, nawet na mnie nie spojrzał.

- Co się stało? - Weszłam do pokoju i stanęłam przy dużym łóżku, w którym jeszcze nigdy nikt nie spał.

- To sprawka naturi - warknął na mnie. - Uciekłem od Sadiry, która rujnowała mi życie, a teraz naturi dają mi popalić.

- Co ona powiedziała? - dopytywałam dalej, bojąc się tego, co mogę usłyszeć w odpowiedzi.
- Nie chce się do mnie zbliżyć - odparł Tristan. Odwrócił do mnie twarz, a jego niebieskie oczy połyskiwały w ciemności. - Tylko Knoxowi pozwala, żeby jej pomagał, tylko on może jej dotknąć.
- Wiele przeszła, Tristanie. Knox jest jej znajomym - tłumaczyłam, próbując go uspokoić.
- Nie! To dlatego, że nie udało mi się jej obronić przed naturi i wilkołakami. Kiedy zaatakowali, powinienem był poradzić sobie z sytuacją i powstrzymać naturi. Ale nie zdołałem. Zawiodłem i trafiła do niewoli.

Chwycił delikatną szklaną kulę z końca stołu i cisnął przez pokój, żeby roztrzaskała się o przeciwległą ścianę. Zrobiłam szybki krok w lewo i złapałam przedmiot niezgrabnie, a potem położyłam go ostrożnie na łóżku.

- Sadira nie pozwoliła mi się wzmocnić - mówił dalej ze złością, wyciągając przed siebie drżącą rękę.
- Wciąż jesteś młody - zaproponowałam.
- Jestem słaby jak na swój wiek. Nie zaprzeczaj temu! - odparł, przygważdżając mnie wściekłym spojrzeniem.
- Nie zaprzeczam temu - odrzekłam ze wzruszeniem ramion. - Jesteś słaby jak na nocnego wędrowca w twoim wieku. Ale to nie twoja wina. To sprawka Sadiry. Chciała, żebyś był słaby, ponieważ ją poparzyłam.

Tristan przecesał obiema dłońmi swoje brązowe włosy sięgające ramion i odwrócił się z powrotem w stronę okna.

- Jestem bezużyteczny - rzekł cicho. - I to przez nią.
- Przestań! - Mój głos smagnął jego ramiona niczym bicz, sprawiając, że Tristan się wzdrygnął. - To bzdura i wiesz o tym. Wcale nie jesteś do niczego. Nie marnuję czasu na bezużyteczne stworzenia.
- Dlaczego? - spytał, kręcąc głową i zwracając się ponownie w moją stronę. - Czemu uwolniłaś mnie od Sadiry? Nie rozumiem tego.
- Bo dostrzegłam twój potencjał, zrozumiałam, że możesz zostać kimś wielkim i chciałam, żeby ktoś taki był przy mnie - wyjaśniłam z zuchwałym uśmiechem, unosząc kącik ust. Pomyślałam, że Tristan to jednak nie taki znowu słabeusz, skoro udało mu się w końcu wyrwać spod przemożnego wpływu Sadiry. Wszyscy jednak byliśmy na swój sposób okaleczeni. Tristan musiał znaleźć sposób na to, by dzięki temu czegoś się nauczyć.
- A co z Amandą? - zapytał. Blask w jego oczach przygasł, a ramiona opadły pod ciężarem problemów. Gniew tymczasem znikł.

- Daj jej trochę czasu. Naturi wciąż dręczą ją w myślach - odparłam, przysiadając na brzegu łóżka.

- A jeśli mi nie wybaczy?

Westchnęłam ciężko, spoglądając na swoje puste dłonie. To wcale niewykluczone.

- Jeśli ona tak kiepsko cię rozumie, to w ogóle na ciebie nie zasługuje i lepiej będzie, jak się rozejdziecie.

- Mam nadzieję, że nie masz racji.

- I ja też, bo jeśli mam, to znaczy, że bardzo się co do niej pomyliłam.

Tristan wyjrzał znowu przez okno, przyciskając palce prawej dłoni do szyby. Przez kilka minut słychać było jedynie cichy szum klimatyzatora włączającego do domu chłodne powietrze. Oboje zatopiliśmy się we własnych myślach.

Potrafiłam zrozumieć, dlaczego Amanda była dla niego tak ważna. Chodziło o coś więcej niż tylko spotkanie z kimś, kto zwrócił na niego uwagę i wzbudzał jego zainteresowanie. O zdolność dokonania wyboru, czy kontynuować związek, czy odejść. O

radość wynikającą z powolnego rozwijania emocjonalnej więzi. Sadira kierowała dotąd wszystkimi jego relacjami - mówiła mu, kogo ma całować, dotykać i z kim powinien spać. W

końcu nawet zmusiła go do nawiązania kontaktu ze mną. Amanda to jego pierwszy samodzielny wybór od ponad stu lat. Mogłam zrozumieć, dlaczego nie chciał stracić swojej szansy.

- Zabiłaś ją? - spytał nagle, wdzierając się w moje myśli. Dopiero po kilku sekundach uświadomiłam sobie, że mówi o naturi, którą znaleźliśmy uwięzioną wraz z Amandą.

- Nie, jeszcze nie - odparłam, kręcąc głową. Położyłam lewą dłoń na kołdrze i bez celu wodziłam palcem po deseni.

Tristan odwrócił się od okna, z konsternacją marszcząc brwi.

- Żartujesz, prawda? Jak mogłabyś jej nie zabić?

- Ona jest potencjalnym źródłem informacji. Może będzie w stanie powiedzieć nam coś o planach naturi.

Tristan zbliżył się o parę kroków w moją stronę i pochylił do przodu, kładąc ręce na oparciu krzesła, które stało między nami.

- Sądzisz, że powie ci prawdę?

- Niezupełnie - przyznałam z lekkim wzruszeniem ramion.

- Po co więc ją trzymać? Po co ryzykować, że naturi po nią przyjdą? - Uśmiechnęłam się do młodego nocnego wędrowca, sprawiając, że w końcu parsknął śmiechem. - Przynęta.

- Nie tylko oni wiedzą, jak zastawić pułapkę - wyjaśniłam. - Tej nocy razem z Danausem oczyściliśmy okolice z naturi. Mamy trochę czasu i możemy wykorzystać Cynnię jako wabik, żeby przyciągnąć Rowe'a, albo po prostu ją zabijemy.

- Spodziewałaś się go już wcześniej, prawda?

Mój uśmiech zbladł, ustępując miejsca dezaprobacie. Spojrzałam znów na niebieskoszarą kołdrę. Oczekiwałam jednookiego naturi już od ponad miesiąca.

Przypuszczałam, że będzie śledził każdy mój krok. Zamiast tego wysłał małą armię, by nękać mnie w chwilach, gdy czuwałam, zniszczyć miejscową sforę wilkołaków i zdziesiątkować grupę nocnych wędrowców na moim terytorium. Nie atakował mnie sam, tylko starał się zwrócić przeciwko mnie moich sojuszników. Wkrótce mogłam nie być już bezpieczna w tym świecie i uważałam, że taki jest ostateczny cel działań Rowe'a.

- Rowe się tu nie zjawi. W każdym razie nie bez małej zachęty, jaką jest moja nowa zdobycz - odparłam.

- Zakładasz, że on chce ją z powrotem.

- Racja. - Westchnęłam, podnosząc się z powrotem na nogi. - Czy Amanda mówiła coś o tej naturi?

- Nie, niezupełnie. Pytała tylko, czy zamierzasz ją zabić. Powiedziałem jej, że tak. Czy okaże się, że się myliłem?

- Jeszcze nie zdecydowałam. Jak Amanda zareagowała na wiadomość, że ta naturi niedługo zginie?

- W ogóle nie zareagowała. Patrzyła tylko przed siebie. Może skinęła głową. Co masz na myśli?

- Na wyspie naturi z klanu wodnego nie była przywódczynią - rzekłam wolno, głośno myśląc. - Mogła kazać nas zaatakować, kiedy byliśmy na wodzie, ale nie wydawała rozkazów, gdy dotarliśmy na brzeg. Nikt tego nie robił.

- Co ci przyszło do głowy?

- A jeśli mamy ich przywódczynię?

- Tę naturi? Tę znaną z Amandą? To ma być ich szefowa? Czy myślisz, że zwróciliby się przeciwko niej? - spytał Tristan, prostując się.

- Nie, ale zdaje mi się, że ona jest szpiegiem. Muszę o tym pogadać z Danausem i Shelly. Jeśli będziesz rozmawiać z Amandą, zanim wrócę, zapytaj jej, czy wie coś o tej naturi, z którą ją trzymano - poprosiłam, kierując się do drzwi.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał Tristan, wychodząc za mną z pokoju.

- Jak była traktowana. Kto wydawał rozkazy na wyspie.

- Zapytam, jeśli się z nią zobaczę! - zawołał, gdy zbiegałam po schodach.

Poczułam, jak noc odchodzi, i ogarnęło mnie jeszcze większe zmęczenie. Po bitwie na wyspie powinnam się pożywić, ale brakowało na to czasu. Stłumiłam uczucie narastającego głodu i próbowałam ignorować znużenie ogarniające moje kończyny. Musiałam wrócić do Danausa i Shelly.

Rozdział 13

Kiedy dotarłam na parter i zwróciłam się w stronę tylnych drzwi garażu, wyczułam, że ktoś wchodzi do domu po frontowych schodach. Przystanąłam w rzadko używanej kuchni i przechyliłam głowę na bok. Tymczasem moje zmysły badały otoczenie z dala od ciała. To była Amanda.

Przebiegłam przez dom i otworzyłam gwałtownie frontowe drzwi w momencie, gdy uniosła rękę, by zapukać. Tristan też ją wyczuł, bo stał teraz na dole kręconych schodów, a jego emocje tworzyły kulę silnego niepokoju.

Młoda wampirzyca stała sama na ganku, przebrana w czysty strój, ale jeszcze nie wykąpana. Jej blond włosy wciąż były brudne i potargane po mękach, jakie przeszła, a policzki i nagie ramiona umorusane. Jej blada twarz niczego nie wyrażała i wydawało się, że Amanda spogląda przeze mnie pustym wzrokiem.

- Amando - powiedziałam cicho, wskazując gestem, by weszła. - Gdzie jest Knox?

Wkroczyła do środka i pokręciła lekko głową.

- Poszedł. Powiedziałam mu, żeby wrócił do domu.

Nie wyczuwałam już w niej przemożnego głodu, więc założyłam, że Knox pozostał

przy niej na tyle długo, by pomóc jej się pożywić; dopilnował, że nie zostanie popełniony żaden nieszczęsny błąd, zanim da jej nieco swobody. Zastanawiałam się jednak, dlaczego postanowiła zjawić się na moich schodach na krótko przed wschodem słońca.

- Powinnaś odpoczywać - upomniałam ją, zamykając za nią drzwi.

Amanda zmarszczyła brwi i wyczułam pierwszy bulgot złości.

- Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że przyjmuję twoją propozycję. Chcę należeć do twojej rodziny.

Na początku pomyślałam, że po prostu czuje się zobowiązana, by przyłączyć się do rodziny, ponieważ ryzykowałam życie, żeby ją ocalić, ale w jej tonie było coś takiego, co kazało mi w to wątpić.

- Ale ...? - Sprawiałam, że szybko odwróciła głowę w moją stronę. Uniosłam pytająco jedną brew. - Chyba wcale tego nie chcesz.

- Stałam się teraz celem ataków, bo widziano mnie z tobą i Tristanem. Dlaczego nie miałabym przyłączyć się do twojej rodziny, kiedy to jedyny sposób, żebym uchroniła się przed naturi? - spytała tak cichym głosem, że zabrzmiał niemal jak burknięcie.

- Kiedy spotkaliśmy się zeszłej nocy, ona cię ostrzegała, że staniesz się celem naturi -

powiedział Tristan. Choć rozumiałam jego dobre zamiary, to nie sądziłam, żeby uwaga w rodzaju „a nie mówiłem” mogła teraz pomóc Amandzie.

- Zeszłej nocy miałaś ochotę przyłączyć się do mojej rodziny. Teraz zetknęłaś się z naturi w tej okolicy i nie wiesz, czego chcesz - odparłam, idąc w stronę swojego gabinetu.

- Wiem, czego pragnę! - zawołała, tracąc w końcu opanowanie. - Nie chcę, żeby kiedykolwiek jeszcze tknęła mnie jakiś naturi. Nie masz pojęcia, jak to jest wpaść w ich ręce!

Znosić tortury, udręki i szyderstwa, czekając na bolesną śmierć.

W jednej chwili znalazłam się przy niej, a furia pochłonęła wszystkie moje myśli.

Chwyciłam ją za gardło i rzuciłam na drewnianą poręcz schodów, która pękła z trzaskiem. A potem cisnęłam ją na marmurową podłogę, aż Jęknęła.

Ku mojemu zdziwieniu Tristan ruszył do przodu i postawił jej stopę na brzuchu, łapiąc prawą ręką za włosy. Chciał utrzymać ją w bezruchu, abym mogła ją skatować. Kara była czymś, co sam dobrze poznał w czasie, który spędził z Sadirą. Gotów był odsunąć na bok swoje uczucia do Amandy i przytrzymać ją dla mnie. Tristan okazał się silniejszy, niż ktokolwiek przypuszczał.

Usiłując zapanować nad gniewem, zwinęłam trzęsące się dłonie w pięści po bokach.

- Podnieś ją - warknęłam na Tristana, a potem zwróciłam się do Amandy. - Nigdy więcej nie mów, że nie znam naturi. Wiem lepiej niż ktokolwiek, do czego są zdolni.

- Nie miałam wyboru - poskarżyła się, a z mojego gardła wydobył się stłumiony chichot. Wszyscy się tak żalili.

- Nikt ci nie każe wstępować do rodziny i wolałabym, żebyś tego nie robiła, bo czujesz się zmuszona - powiedziałam, a wściekłość i napięcie nieco we mnie zelżały.

- Ale jeśli tego nie zrobię, stracę swoją pozycję we wspólnocie. Przestanieś mnie chronić - odparła.

- To prawda, ale przecież możesz opuścić Savannah. - Kątem oka zobaczyłam, jak Tristan się wzdraga, robiąc gwałtowny krok do przodu, jakby nie chciał dopuścić, by moje słowa dotarły do jej uszu. - Wyjedź stąd, a jestem pewna, że naturi zostawią cię w spokoju.

Nie będziesz pierwsza, która uciekła stąd z ich powodu.

- Nie zamierzam wyjeżdżać - rzekła uparcie. Uśmiech zaigrał mi w kąciku ust. Nie tylko ja przywiązałam się do tego miasta, do miejsca zwanego domem.

- A teraz musisz zdecydować, czy chcesz stać się częścią mojej rodziny. Czy masz ochotę służyć i być mi posłuszna? Czy chcesz zmierzyć się ponownie z naturi?

- Pragnę przyłączyć się do twojej rodziny - odparła, podnosząc się powoli.

- Nie chcę cię, jeśli zależy ci tylko na własnej skórze.

- Tak nie jest. Przynależność do rodziny pozwoli mi chronić innych przed naturi -

wyjaśniła szybko, spoglądając krótko na Tristana, a potem znów na mnie.

Wredny uśmiezek wykrzywił mi usta. Skupiłam na niej wzrok.

- Tristan nie potrzebuje twojej opieki. Jest wystarczająco silny, żeby zmierzyć się z naturi. Osobiście tego dopilnuję. - Pokręciłam głową i odwróciłam się do niej plecami. -

Zmieniłam zdanie. Nie jesteś taka, jak sądziłam. Wycofuję swoją propozycję.

- Nie! - krzyknęła.

- Miro, proszę cię! - zawołał Tristan. Odwróciłam się i zobaczyłam, że stoi między mną a Amandą. - Ona przeszła piekło. Potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie. Nie myśli jasno. Proszę, rozważ to jeszcze raz. Ona należy do nas. - Nocny wędrowiec wyciągnął ręce i ujął w nie moją prawą dłoń.

- A więc powinna zostać w swoim domu i odzyskać siły po tej przygodzie, zamiast przychodzić tutaj i znieważać naszą rodzinę - rzuciłam.

- Przepraszam - powiedziała cicho Amanda. - Ja ... ja...

- Kto z naturi wydawał rozkazy, kiedy byłaś przetrzymywana? - zapytałam, szybko zmieniając temat. Nie chciałam wysłuchiwać teraz jej przeprosin. Znieważyla zarówno Tristana, jak i mnie, przychodząc do mojego domu z żalosnymi skargami i poczuciem, że wpadła w pułapkę.

- Ja nie ... nie rozumiem - odparła, odgarniając włosy z twarzy.

Ruszyłam do gabinetu, a oboje, Amanda i Tristan, podążyli za mną po marmurowej i drewnianej posadzce.

- Jeśli masz się znaleźć w tej rodzinie, musisz być dla mnie użyteczna - rzekłam z rozdrażnieniem. - Kto wydawał rozkazy?

- Nie jestem pewna. Knox mówił, że zabiłaś wszystkich na wyspie - odpowiedziała.

Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, że zatrzymała się w drzwiach. Choć zeszłej nocy chętnie poznawała każdy kąt w moim domu, teraz wahała się, czy wejść do tego świata i wytrzymać moje spojrzenie. Znowu się mnie bała i o to mi chodziło, ponieważ nie okazywała mi już pełnej lojalności, w odróżnieniu od Tristana.

- Prawie wszystkich - przyznałam. - Ta naturi, która była więziona, wciąż żyje. Czy ona była więzieniem, kiedy się tam znalazłaś?

- Tak. Bili ją, gdy tylko się odezwała. Zakuta w kajdany. Próbowali mnie zmusić, żebym napiła się jej krwi.

Stojąc obok biurka, odwróciłam posrebrzaną klepsydrę.

Możliwe, że to, co widziała Amanda, było prawdą, ale równie dobrze mogło to zostać zaaranżowane. Jeśli chodzi o naturi, nie ufałam Cynnii ani też nie wierzyłam w swoje szczęście. Nie powinnam liczyć, że udało mi się złapać kogoś, kto pomoże mi zbliżyć się do Rowe'a i, być może, do Aurory.

Czarny piasek przesypywał się z górnej części klepsydry nieprzerwanym strumieniem, tworząc kopczyk w dolnej komorze. Wszystkim nam brakowało czasu. Noc zbliżała się ku końcowi i musiałam podjąć decyzje co do Cynnii przed wyjazdem z Danausem do Peru.

Powinnam też podjąć kilka poważnych prób przyswojenia nieco ziemskiej magii, zanim pójdę w góry do inkaskich ruin.

Jednocześnie czułam, że powinnam wprowadzić Tristana i Amandę na uzdrawiającą ścieżkę. Co będzie, jeśli nie wrócę z Machu Picchu? Chciałam mieć pewność, że Tristan będzie bezpieczny i szczęśliwy w Savannah, a to byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby Amanda go szanowała. Zbyt wiele było do zrobienia w krótkim czasie.

Przesunęłam palcami po szklanym zbiorniku klepsydry, jakbym chciała spowolnić upływające sekundy.

- Zostań dziś tutaj. Tristan znajdzie ci jakieś bezpieczne miejsce do spania. Mam jeszcze trochę spraw do załatwienia.

- Robi się późno, Miro - upomniał mnie Tristan. - Czy to nie może poczekać do jutra?

- Kto wie, co będzie jutro? - Skrzywiłam się i odsunęłam dłoń od klepsydry. - Wrócę przed wschodem słońca.

- Naprawdę mi przykro, Miro. - Amanda spróbowała znów przyciągnąć moje spojrzenie, ale ja nie odrywałam wzroku od blatu biurka. - Nie chciałam cię obrazić. To ... to naturi. Ja ...

- To nie mnie powinnaś przeproszać - odparłam, po czym w milczeniu wyszłam z pokoju, pozostawiając Tristana i Amandę samych, by wreszcie przemyśleli zdarzenia, z których oboje jakoś wyszli cało.

Kiedy znalazłam Tristana w parku Forsyth, zajrzałam do jego umysłu i obejrzałam tamto starcie ze wszystkimi drastycznymi szczegółami. Walczył dzielnie, zabijając kilka wilkołaków, które go zaatakowały. Otoczyli go, oddzielając od Amandy, gdy schwytali ją naturi. Tristan poradził sobie dobrze, ale to nie wystarczyło, by uchronić Amandę. Winił

siebie za to, że ją pojмали, chociaż mało kto mógłby temu zapobiec. Ona musiała sobie uświadomić, że Tristan był tam dla niej, żeby ją ocalić, mimo że zdrowy rozsądek nakazywał

mu ją opuścić. Miałam wrażenie, że to ich jedyna szansa na zrozumienie tego, i życzyłam im powodzenia.

Rozdział 14

Lato zbliżało się ku końcowi, ale nie czuło się tego w Savannah. Powietrze nadal było gorące i lepkie, przepojone wonią kwiatów i ziemi. Dawno już minęła północ i ruch na ulicach prawie ustał. W barach przy brzegu rzeki z pewnością wciąż coś się działo.

Pozostałam jednak z dala od gwaru River Street, powracając do miejsca, o którym myślałam, że już go dzisiaj nie zobaczę: swojego własnego domu. Kiedy zostawiłam Danausa, przyrzekłam sobie, że nie wrócę wcześniej niż następnej nocy; sądziłam, że potrzebuję więcej czasu na odpoczynek po walce, na rozmyślanie i oderwanie się od naturi, która znalazła się w moich rękach.

Jadąc tam, wiedziałam, że do domu w mieście przyciąga mnie nie tylko potrzeba porozmawiania z Cynnią i przekonania się, czy moi towarzysze są bezpieczni. Musiałam też pogadać z Shelly. Stojąc przed frontowym gankiem, przejrzałam dom. Danaus znajdował się w głównym salonie, prawdopodobnie z Cynnią.

Zatrzymując się tam, podążyłam mentalnie „wydeptaną” ścieżką, łączącą mój mózg ze świadomością Danausa. Im częściej kontaktowaliśmy się ze sobą w myślach, tym łatwiejsze się to stawało. Choć wolałabym, żeby tak nie było, to nie mogłam zaprzeczyć, że zdolność porozumiewania się z nim w ten sposób okazywała się użyteczna.

Czy ta naturi jest z tobą? - zapytałam nagle w jego myślach.

Tak. Co się dzieje? - odparł natychmiast, jakby spodziewał się, że się z nim skontaktuję.

Nic, pomyślałam z lekkim westchnieniem. *Zaraz porozmawiamy dłużej.*

Nie czułam się szczególnie zadowolona z takiego układu, ale to było najlepsze rozwiązanie dla wszystkich. Wolałabym trzymać naturi zamkniętą w należącym do mnie magazynie w centrum miasta, ale dla nikogo z nas nie byłoby to wygodne. Danaus utknąłby tam za dnia, pilnując jej, a ja nie mogłabym zapewnić mu prywatności. Musiałam po prostu pamiętać, że to tylko tymczasowe rozwiązanie.

Z kolei Shelly była sama w ogródku za domem. Przemykając cicho przez żelazną furtkę, obeszałam budynek dookoła i zastałam ją siedzącą na ziemi z twarzą w dłoniach. -

Zawahałam się - oznajmiła jakby do siebie, zanim jeszcze zaczęłam się do niej zbliżać. Nie wydałam żadnego dźwięku, a mimo to wiedziała, że tu jestem.

- Zatkalo cię - poprawiłam, a jej mała sztuczka nie zrobiła na mnie wrażenia. Może coś w ziemi podpowiedziało jej, że nadchodzę. Weszłam do ogródka i stanęłam kilka kroków od miejsca, gdzie czarownica siedziała na trawie.

- Przepraszam - rzekła cicho, odwracając się, by na mnie spojrzeć. Jej wielkie oczy były zaczerwienione, a twarz zarumieniona od płaczu. Kiedy na nią patrzyłam, ścisnęło mnie w żołądku z poczucia winy i żalu. Intuicja podpowiadała mi wcześniej, że Shelly nie jest gotowa do walki z naturą, ale konieczność zaangażowania do tej sprawy ludzi przyćmiła mój zdrowy rozsądek. Obecność czarownicy stała się zagrożeniem dla wszystkich. Jeśli miałam przeżyć zbliżającą się bitwę pod Machu Picchu, musiałam zwrócić baczniejszą uwagę na to, kto należy do mojej drużyny, i mniej martwić się liczebnością swojej grupy. Ale z drugiej strony nie ja jedna uczyłam się na błędach.

- Nie mnie powinnaś przepraszać. Twoje wahanie i niezdolność do działania naraziły Tristana i Knoxa na poważne niebezpieczeństwo. Mogli zginąć, próbując cię bronić, podczas gdy powinni przede wszystkim ratować Amandę - wyjaśniłam.

- Wiem. To już się nie zdarzy - zapewniła Shelly, ocierając z twarzy ostatnie łzy.

Obróciła się na ziemi, zwracając przodem do mnie.

- Pewnie, że nie. Twoja pomoc nie jest już tu potrzeb - na - powiedziałam stanowczo, wsuwając dłonie do przed - nich kieszeni skórzanych spodni. - Możesz spokojnie wrócić do Charleston lub tam, skąd Danaus cię przywiózł.

- Co takiego? Nie rozumiem.

- Nie mogę pozwolić na to, żebyś narażała moich ludzi.

Rozprostowała nogi.

- Myślałam, że mnie potrzebujesz, żebym nauczyła cię stosować ziemską magię.

Wciąż mogę ci pomóc - przekonywała.

- Chcę się nauczyć wykorzystywać tę magię w sposób agresywny w walce. Nie wydaje mi się, żebyś wiedziała, jak to się robi.

- Wiem!

- Udowodnij to - burknęłam. W mgnieniu oka sięgnęłam do noża w pochwie przy pasku. Poruszyłam lekko nadgarstkiem i nóż spiralnym torem przeleciał w powietrzu w jej stronę. Postarałam się wycelować go tak, by wy - lądował krok przed nią, ale ku mojemu zdziwieniu Shelly sprawnie usunęła się z drogi i wstała. Machnęła ręką i w powietrzu pojawiły się trzy ogniste kule, po czym wy

- strzeliły w moim kierunku.

- Całkiem niezłe posunięcie - pochwaliłam, unosząc rękę, by złapać zbliżające się do mnie kule. - Ale ja jestem Krzesicielką Ognia. Ogień mnie nie powstrzyma.

- Racja, w takim razie może to - rzekła Shelly przez zaciśnięte zęby. Poruszyła lewą ręką, robiąc kolejny zamach, lecz ogień się nie pojawił. Przygotowałam się, by cisnąć własną ognistą kulą w tę małą czarownicę, kiedy nagle z ziemi wyskoczyły pnącza i owinęły mi się wokół kostek. Szybko pogrubiały i stały się niczym liny oplatające moje nogi aż do kolan, unieruchamiając mnie na kamiennym patio.

- Ładny początek, ale to i tak nie przytrzyma mnie na długo - odparłam z drwiącym uśmieszkiem. Ogień pochłoniął pnącza, szarpnęłam lekko i znowu byłam wolna.

Shelly stęknęła lekko, sfrustrowana; na każdy mój krok w jej kierunku usuwała się o krok do tyłu. Kiedy walka się zaczęła, otoczyłam ogród zasłoną, aby nie widział go żaden sąsiad, któremu akurat przyjdzie do głowy wyjrzeć przez okno. Nie chciałam marnować wieczora na usuwanie wspomnień z pamięci okolicznych mieszkańców, gdy - by ujrzeli ogniste kule lub żywe rośliny pełzające po trawniku na tyłach posesji.

- Nieźle się starasz, ale z takimi trikami nie zdecydujesz się zaatakować nikogo innego

- skomentowałam, zatrzymując się, gdy obie znalazłyśmy się na środku ogrodu. - Musisz być gotowa zabić stworzenie, które próbuje cię uśmiercić. Nie wszyscy mają taki instynkt.

- Mylisz się co do mnie - rzekła z szyderczym uśmiechem.

Nie zdążyłam zareagować. Pnącza wyskoczyły z ziemi, owijając się w jednej chwili wokół obu moich rąk i nóg. Całe moje ciało zostało uniesione i uderzyłam plecami o pień najbliższego drzewa. Gwiazdy pokazały mi się przed oczami i na moment straciłam zdolność widzenia, dekoncentrując się. Zanim zdążyłam pomyśleć o spaleniu pnączy, poczułam coś ostrego przy swojej piersi na wysokości serca. Spojrzałam w dół i ujrzałam nowy pęd uformowany na kształt ostrza, wycelowany prosto w moje serce. Jedno niewłaściwe słowo czy ruch, a Shelly mogła przebić mnie niczym kołkiem.

- No i co? - zawołała gniewnym głosem. - Mam cię.

Zamiast przyznać jej rację jak ktoś normalny, zaczęłam się śmiać. Głowa opadła mi do tyłu i uderzyła w pień drzewa, gdy śmiech wydobył się z mojego gardła.

- Tak, dopadłaś mnie! Czemu wcześniej nie spróbowałaś czegoś takiego?

- Oni zaatakowali nas przy pomocy zwierząt! Bezradne stworzenia. To nie była ich wina, że na nas napadły.

- A więc wolałaś pozwolić im nas zabić?

- Uważam, że trzeba znaleźć inny sposób oprócz zabijania, gdy walczy się z przeciwnikiem. Czy nie

ma innej metody?

- Nie, nie ma - rozległ się smutny głos od strony do - mu. Obie spojrzałyśmy w tamtym kierunku i ujrzałyśmy Cynnę stojącą w otwartych drzwiach i Danausa na patio, z długim nożem w ręku. - Mira ma rację: nie ma innego sposobu, żeby poradzić sobie z moją rasą. Aurora uważa, że jedyną metodą ocalenia ziemi jest całkowite wyćpienie wszystkich nocnych wędrowców i ludzi - mówiła dalej, zamykając za sobą drzwi i stając na patio obok Danausa.

- Co wy tu robicie? - burknęłam, ignorując fakt, że wciąż byłam zupełnie bezbronna, a moje położenie zupełnie nie pasowało do wydawania poleceń.

- Ona powiedziała, że wyczuwa tu kogoś, kto dość intensywnie stosuje ziemską magię

- odparł Danaus, zanim Cynnia zdołała się odezwać. - Pomyślałem, że może warto to sprawdzić.

- Shelly, opuść mnie na ziemię.

- Czy mogę z wami zostać?

Zamiast odpowiedzieć, zamknęłam oczy i skupiłam się na winoroślach oplatających moje ręce i nogi oraz na tym, które wciąż uciskało moją pierś. Nie chciałam tkwić w tej pozycji. Nie wiedziałam, do czego Cynnia jest zdolna, ale istniała możliwość, że wystarczy jedna jej myśl, a zginę. Pnącza natychmiast stanęły w płomieniach, które mnie otoczyły, ale ani moje ubrania, ani skóra nie zajęły się ogniem.

Strzepując resztki pyłu, spojrzałam na ziemską czarownicę, która stała, splatając przed sobą dłonie. Miała moc, jakiej wymagałam od kogoś, kto mógłby poradzić sobie z naturą, ale zdawało się, że brakuje jej zabójczego instynktu, jaki posiadali Danaus oraz nocni wędrowcy z mojego otoczenia. W niektórych okresach swojego życia nie uznałabym tego za nic złego, ale w tej sytuacji skutki mogły okazać się fatalne. Jeśli ona wolała nie zabijać stworzenia, którego jedynym celem było zniszczenie jej samej, bez wątpienia przyniosłoby jej to zgubę, a odpowiedzialność spadłaby na moje barki.

Jednakże jeśli wiedziała, czym to grozi, i nadal chciała tu zostać, mogłam jedynie liczyć, że Shelly zadba o siebie, zanim będzie za późno. Lepszej ochrony nie mogłam jej zaoferować.

- Miro? - ponagliła mnie cicho Shelly.

- Będziesz nas bronić, kiedy ci rozkażę, i zabijać, gdy ci powiem, że masz zabijać.

Jeszcze raz ściągniesz niebezpieczeństwo na kogoś z mojej grupy, a sama cię ukatrupię - zagroziłam. Na taką uległość wobec mnie mogła się zdobyć.

Idąc z powrotem w stronę domu, zatrzymałam się na skraju patio i spojrzałam na naturę.

- Słyszałam o tobie różne historie - oznajmiła niepytana, gdy uświadomiła sobie, że przyglądam się jej wyczekująco, chcąc wyczuć, jakie myśli kłębią się w jej głowie. -

Myślałam, że to tylko legenda, przerażająca opowieść, którą wymyśliła moja siostra Nyx, żeby mnie nastraszyć. Nie przypuszczałam, że jesteś realna.

- Nyx? Ile ty masz sióstr? - spytałam zirytowana. Nie byłam zbyt zadowolona z odkrycia, że stałam się dla naturi bajką na dobranoc.

- Dwie. Aurorę i Nyx.

- A Nerian był waszym bratem - dodałam cichym głosem, który zdawał się w żółtym tempie pokonywać dzielącą nas odległość.

- Tak - odparła, a mars zeszpecił jej młodą twarz. - Nerian cię skrzywdził. To on przyczynił się do tego, że tak nas wszystkich nie znosisz. - Moje spojrzenie odruchowo przeniosło się na Danausa, ale Cynnia się odezwała, zanim zdołałam wypowiedzieć oskarżenie, które miałam na końcu języka. - Nikt mi tego nie mówił. Słyszę to za każdym razem, kiedy wypowiadasz jego imię. Znam tylko jeszcze jedną osobę, która wyraża się z taką nienawiścią.

- Kto to taki?

- Aurora, kiedy wspomina o tobie.

Uśmiechnęłam się do młodej naturi, a moje oczy z pewnością zajaśniały od powstrzymanego rozbawienia. Królowa naturi nie tylko wie, kim jestem, ale też mnie nienawidzi. Była to myśl przyjemnie podnosząca na duchu.

- Co mam z tobą zrobić? - rzekłam głośno, choć raczej do siebie.

- Uwolnij mnie - zaproponowała Cynnia, unosząc ręce skute kajdanami. Widok żelaznych łańcuchów przypomniał mi, że choć należała do naturi, to była też więziona przez swoich ziomków. Choć nie określiłabym tej sytuacji jako takiej, w której „wróg mojego wroga staje się moim przyjacielem”, Cynnia mogła dostarczyć mi pewnych ciekawych informacji, by przedłużyć swoje życie.

- Dlaczego zostałeś zakuta w kajdany i zaklęta przez swoich? - spytałam.

- Nazwali mnie zdrajczynią. Powiedzieli, że chciałam zdradzić naszą rasę na rzecz ludzi i nocnych wędrowców - przyznała niechętnie. Opuściła wzrok na dłonie o długich palcach, którymi bawiła się żelaznym łańcuchem łączącym kajdanki na jej nadgarstkach.

- Czy to prawda? - zapytał Danaus, zanim zdążyłam się odezwać.

- Nie! To nie tak! - zawołała, unosząc raptownie głowę, by spojrzeć na niego i na mnie.

- A więc jak? Jak się tu dostałaś, skoro byłaś w innym świecie?

- W ostatnich latach Aurora odkryła, że mury odgradzające nasze światy stają się cienkie i kruche. Niektórym z naszych magików udawało się wybijać tymczasowe otwory w tej barierze. Mogliśmy wysłać przez taką dziurę jedną lub dwie osoby, ale nie wiedzieliśmy, czy naprawdę tutaj docierają -

wyjaśniła.

- A więc przybyłaś sama?

- Nie, był jeszcze ktoś - odparła Cynnia. Podeszła do krzesła i klapnęła na grubej poduszce. - Pewna mistrzyni czarów, bardzo potężna. Ufałam jej. Myślałam, że znajdzie sposób, aby mi pomóc, ale to wszystko okazało się kłamstwem. Podrzuciła mnie tym naturi, u których mnie znaleźliście. Powiedziała im, żeby mnie zabili.

- Ale tego nie zrobili - wtrącił Danaus, kiedy przerwała.

Cynnia powoli pokręciła głową.

- Chyba się bali. Ostatecznie jestem siostrą królowej.

- A więc woleli pozostawić to zadanie mnie - powiedziałam, składając ramiona na piersi. - To interesująca teoria, ale wyjaśnia tylko, jak się tu dostałaś. A teraz powiedz, po co tu przybyłaś?

- Myślę, że Aurora się myli - szepnęła, jakby się bała, że ktoś z jej rasy podsłuchuje.

- Co do czego?

- Tej wojny.

- Nie wierzę ci - warknęłam, zbliżając się do niej o krok.

- Miro ... - zaczęła Shelly, ale uniosłam rękę, przerywając jej.

- To zbyt naiwne. Naturi, która chce zakończenia tej wojny, trafia w ręce nocnego wędrowca, co może zniweczyć ich nadzieje na wolność - powiedziałam. - To pułapka.

- Jesteś pewna? - zapytał Danaus, zaskakując mnie.

- Zbliży się do mnie, bo uwierzę w jej biadolenie, i mnie zabije - wyjaśniałam, przenosząc uwagę na łowcę, który stał teraz obok mnie.

- To nie może być pułapka, bo ich plan już zawiódł - rzekła Cynnia. - Mieliście mnie zabić na wyspie, kiedy uratowaliście swoją przyjaciółkę.

- Wciąż mamy na to czas - przypomniałam jej, na co tylko się do mnie uśmiechnęła.

- Tak, ale jeśli mnie zabijecie, nie będę mogła wam pomóc.

- Czemu miałabyś to zrobić?

- Czy jest inny powód niż ten, że wolę lepszy sposób na zakończenie tej wojny niż unicestwienie wszystkich? - spytała, unosząc jedną cienką brew i spoglądając a mnie. -

Myślę, że moja siostra próbuje mnie zabić.

- A ja niby mam cię chronić? - zapytałam, unosząc głos w zaskoczeniu.

- Oczywiście, jesteś Krzesicielką Ognia. Ona nie może cię pokonać.

Spojrzałam na Danausa, który z trudem zachowywał poważną minę, czemu wcale się nie dziwiłam. To wszystko brzmiało dość zabawnie, ale na razie musiało mi wystarczyć.

Skrzywiłam się, nie wiedząc nagle, co robić z tą naturi. Nie wierzyłam jej, ale gdzieś w głębi umysłu dręczyło mnie pytanie: A jeśli rzeczywiście tak jest? Jeśli to prawda i posiadam moc zniszczenia rasy naturi przy pomocy tej młodej istoty i jej idealistycznych nadziei na coś innego niż wojna?

- Jeżeli mam ci pomóc, musisz ze mną współpracować - powiedziałam powoli.

- Nie pomogę ci wybić mojej rasy. Nie jestem zdrajczynią.

Uśmiechnęłam się i zrobiłam krok w jej stronę.

- Możemy uniknąć zabijania ich, jeśli uda nam się unikać ich. Ilu naturi jest w moim mieście?

- Nie wiem dokładnie - odparła, unosząc nadgarstki. Żelazne kajdany upośledzały jej zdolność wyczuwania przedstawicieli własnej rasy.

- Oni się nie wycofują, a ty z każdą chwilą przydajesz mi się mniej.

Cynnia westchnęła ciężko, a potem mnie ominęła i wy - szła do ogrodu. Usiadła na ziemi, ściągnęła swoje znoszone brązowe botki i położyła gołe stopy na trawie. Przy - mknęła zielone oczy i skupiając się, zmarszczyła brwi.

- Nie ma ich nigdzie blisko - oznajmiła cicho po mi - nucie. - Ani daleko ... Są na zachodzie i na odległym południu, za oceanem.

- Danausie? - zawołałam, zwracając się do łowcy w nadziei, że potwierdzi te informacje.

- Ja nie sięgam tak daleko jak ona - wykręcił się, a jego dudniący głos zabrzmiał jak cichy pomruk.

Jednakże zanim skończył mówić, poczułam, jak sięga swoimi mocami, wysyłając przeze mnie ciepłą falę energii. Dotyk ten był kojący i łagodził nieco napięcie ogarniające moje ciało.

- Nie ma innych naturi w najbliższej okolicy - rzekł wreszcie.

- A więc czego chciałabyś ode mnie? - spytałam Cynnę, stając nad nią, gdy tak siedziała na trawie. - Niech zgadnę. Chcesz, żebym pozwoliła na otwarcie wrót i zabiła twoją siostrę. - Była to historyjka, którą słyszałam już wcześniej od innych naturi, a także od Macaire'a, członka starszyny zasiadającej w Sabacie.

- Nie! Absolutnie nie! - Cynnia niezgrabnie podniosła się na nogi i zbliżyła do mnie o krok. - Chcę, żeby wrota pozostały zamknięte. Jeśli ona zostanie w swoim świecie, nie będzie mogła prowadzić tu wojny.

- A więc Aurora utknie w swojej krainie, a ty tutaj - powiedziałam i spojrzałam na nią, unosząc jedną brew.

- Zakładając, że pozwolisz mi przeżyć.

- Mało prawdopodobne - wtrącił Danaus, zanim zdążyłam się odezwać.

Uśmiech błąkał mi się na ustach, gdy przeszłam na tył ogródka i usiadłam na trawie niedaleko miejsca, które zaledwie przed chwilą zajmowała Cynnia. Przeczesałam palcami chłodną trawę, a przez głowę przebiegła mi ciekawa myśl. Wyczułam niezadowolenie Danausa, zanim jeszcze wypowiedziałam kolejne słowo. Ów plan z pewnością nie był bez wad.

- Wyznaczyłaś mi trudne zadanie - rzekłam, przeciągając samogłoski. - Nie tylko muszę powstrzymać Rowe'a, planującego uwolnienie twojej siostry i całej hordy naturi, ale też chronić ciebie przed Rowe'em i Aurorą, bo masz jakiś wspaniały pomysł zaprowadzenia pokoju i zakończenia tej walki. Jestem Krzesicielką Ognia, a nie bogiem. Wymagasz tego, co niemożliwe.

- Nie możesz zmobilizować armii?

- Mogę, ale tylko po to, żeby pokonać Rowe'a. Wampiry nie zrobią nic, żeby chronić twoją skórę.

- Co w takim razie? Czego chcesz ode mnie? - Wyciągnęła do mnie obie ręce z otwartymi dłońmi skierowanymi do góry. - Oferuję ci szansę na pokój. Czemu traktujesz mnie jak wroga?

- Nie robię tego. Jestem realistką. Dwa razy walczyłam z Rowe'em i ledwie przeżyłam. Muszę uzyskać przewagę.

Cynnia odstepiła o krok do tyłu, a łańcuchy przy jej kajdanach zabrzęczały cicho, gdy uniosła delikatną dłoń do szyi. Jej zielone oczy wpatrywały się intensywnie w moją twarz. -

Czego chcesz?

- Naucz mnie, jak stosować ziemską magię - powiedziałam z uśmiechem.

Naturi zaśmiała się lekko i powoli opuściła z powrotem ręce.

- To niemożliwe. Nocni wędrowcy nie mogą posługiwać się ziemską magią.

Podniosłam się zwinnie, stając zaledwie kilka kroków od niej. Wystarczyła jedna myśl i kula ognia rozkwitła pomiędzy nami. Powoli otoczyła Cynnię, po czym wróciła, by okrążyć mnie, tworząc idealną ósemkę - i przyciągając nas ku sobie.

- Podobno nie powinnam mieć władzy nad ogniem, a mam. Mogę zamknąć naturi w osobnym świecie.

A kilka tygodni temu odkryłam, że strumień energii z ziemi może przejść przeze mnie jak błyskawica przez piorunochron. - Podeszłam bliżej; ognista kula nadal wokół

nas krążyła, utrzymując innych na dystans. - Usłyszałam, jak wielka Matka Ziemia ryczy w mojej głowie, rozgniewana i potężna.

Cynnia próbowała się odsunąć, ale wirujący wokół ognisty krąg ją zatrzymywał.

Wpatrywała się we mnie z otwartymi ustami.

- Mam dostęp do mocy ziemi, kiedy jestem w pobliżu jej źródła, ale nie mam nad nią kontroli. Jeśli wkrótce nie nauczę się nad tym panować, pozabijam wszystkich wokoło, bez względu na to, czy będą po tej samej stronie co ja, czy nie.

- I panowanie nad tą mocą da ci przewagę, której potrzebujesz, żeby pokonać Rowe'a?

- spytała cicho Cynnia, krzywiąc swoją uroczą młodą twarz.

- Rowe chce uwolnić Aurorę. Zrobi wszystko, co trzeba, żeby to osiągnąć. Z tego, co widziałam, opanował już magię krwi, aby do tego doprowadzić. Nie wątpię, że zabije wszystkich, którzy staną mu na drodze: ludzi, nocnych wędrowców i naturi.

- Posługuje się magią krwi? - zdziwiła się Cynnia, bezmyślnie robiąc krok do tyłu.

Chwyciłam ją mocno za ramię i pociągnęłam do przodu, by nie poparzyła się ogniem, który wciąż nas otaczał. Wydawało się, jakby tego nie zauważyła. - To zakazane.

- Pewnie czuje się zdesperowany i nie obchodzi go teraz, co jest dozwolone.

- Ale żebyś mogła nauczyć cię ziemskiej magii, musiałabyś mi to zdjąć - powiedziała, ponownie unosząc kajdany w moją stronę.

Zachichotałam tylko i pokręciłam głową.

- Pięknie to sobie wymyśliłaś. Ale nie, będziesz mi dawać instrukcje za pośrednictwem naszej słodkiej Shelly - odparłam, wskazując na ziemską czarownicę, stojącą na skraju patio i przysłuchującą się całej rozmowie. - Zwerbowałam ją, żeby pomogła mi trochę w czarodziejskich sztuczkach, a teraz obie przejdziemy intensywny kurs ziemskiej magii w stylu naturi. A jeśli to nie zadziała, zabiję cię.

Cynnia zerknęła na Shelly, która błysnęła nieco zażenowanym uśmiechem, grożąc naturi palcem. Czarownica ani trochę nie wydawała się groźna, co mnie przygnębiało, ponieważ chciałam, aby teraz budziła postrach. Zamiast tego wyglądała jak milutka współlokatorka z akademika, którą wszyscy uwielbiają.

- Ja ... nie wiem - zająknęła się Cynnia, przenosząc spojrzenie z Shelly na mnie i na ziemię.

- Masz trochę czasu, żeby to przemyśleć. Za dwie noce wylatujemy do Peru.

Zacniemy lekcje przed wyjazdem albo zabiję cię w Cuzco.

Przeniosłam uwagę na Shelly, która wpatrywała się we mnie zaskoczona. Właśnie sobie uświadomiła że w moich planach ma do odegrania pewną rolę po tym: jak nawaliła na wyspie. No i, że uda się z nami do Peru, by pomóc mi z tą naturi. Nie byłam do końca zadowolona z tego pomysłu, ale zamierzałam w miarę możliwości trzymać Shelly z dala od udziału w walkach. Potrzebowałam nauczycieli ziemskiej magii, a Cynnia i Shelly musiały mi wystarczyć.

Machnęłam ręką i ognista kula okrążająca Cynnię oraz mnie znikła.

- Shelly, zabierz Cynnię do środka i rzuć na nią znowu senny urok. Obudzisz ją dopiero wtedy, gdy Danaus albo ja ci rozkażemy.

Patrzyłam, jak obie idą przez patio i nowa myśl zaświtała mi w głowie, gdy dostrzegłam poważny profil Cynnii. - Zaczekaj chwilę! - zawołałam, zatrzymując Cynnię w drzwiach. - Twoja siostra Nyx. Czy ona też jest tutaj?

- Nyx? Nie ... nie sądzę - odparła powoli. Przystanęła, skubiąc dolną wargę w zamyśleniu, zanim odezwała się znowu. - Przybyłam tutaj tylko z tą naturi, która rzuca czary.

Nyx i Aurora nie wiedzą nic o tym, że tu jestem. Myślisz, że ona po mnie przybędzie?

- Trzyma z tobą czy z Aurorą? - zapytał Danaus, wsuwając dłonie do kieszeni spodni.

- Z Aurorą - odparła szeptem Cynnia. - Moja siostra Nyx jest obrończynią naszego ludu. Poszłaby za Aurorą na koniec świata, żeby chronić moich rodaków, i zrobiłaby dla nich wszystko.

- Czy jest podobna do ciebie?

- Czemu pytasz? Widziałaś ją? - spytała Cynnia, zstępując ze schodów w moją stronę.

- Jak mogłabym ją widzieć, skoro nie wiem, jak wygląda? Chciałabym wiedzieć na wypadek, gdybyśmy spotkali ją w Peru.

Cynnia zatrzymała się, krzywiąc usta. Wreszcie westchnęła i podeszła z powrotem do drzwi prowadzących do domu.

- Nie, ona nie przypomina ani mnie, ani Aurory. Jest wysoka i wiotka jak wierzba, ma zupełnie jasną skórę i włosy czarne jak noc. Jej oczy są szare z niebieskim odcieniem, jak burzowe chmury.

- Czy jest z klanu wiatru, tak jak ty?

- Skąd wiesz, że ja ...

- Po odcieniu twojej skóry i budowie ciała. Domyśliłam się.

- Tak, obie jesteśmy z klanu wiatru. Aurora należy do klanu światła, a Nerian był ze zwierzęcego - powiedziała Cynnia z napięciem, zirytowana moimi natarczywymi pytaniami. -

Coś jeszcze?

- Jak to możliwe, czworo rodzeństwa należy do trzech różnych klanów? - zapytał

Danaus. - Czy mieliście różnych rodziców?

- Nie! - zawołała Cynnia, a jej twarz wykrzywiła się na moment w złości. - Mój ojciec należał do klanu ziemi, a matka do klanu światła. Przynależność do klanu nie zależy od rodziców, lecz od potrzeb ziemi. Jeśli Matka Ziemia potrzebuje więcej członków klanu wiatru, wtedy kolejne dzieci, które się rodzą, będą do niego należeć, i tak dalej.

- Wystarczy. Miłych snów - zadrwiłam.

Staliśmy w milczeniu z Danausem na zewnątrz domu, słuchając, jak Shelly i Cynnia przechodzą do jednej z sypialni na piętrze. Skupiłam się mocno na Shelly, śledząc jak cień jej myśli, które biegły z szybkością kilometra na minutę, gdy przypominała sobie wszystko, co przydarzyło jej się tego wieczora. A skoro nie potrafiłam wyczuwać naturi, był to dla mnie najlepszy sposób, by mieć Cynnię na oku, gdy Shelly rzucała na nią urok. Jednocześnie wiedziałam, że Danaus skupia się na Cynni, chcąc się upewnić, czy nie próbuje wykręcić jakiegoś numeru.

- Czy zabieranie ich ze sobą to dobry pomysł? - zapytał Danaus, gdy Shelly skończyła rzucać urok, usypiając Cynnię na jakiś czas.

- Postaramy się trzymać je obie w mieście z dala od Świętej Doliny. Shelly mogłaby nauczyć mnie paru rzeczy jeszcze przed ceremonią składania ofiar. Teraz każda nowa umiejętność mi się przyda - będę musiała radzić sobie z narastaniem mocy wokół Machu Picchu.

- A co z tą naturi?

- To przynęta na Rowe' a.

- Myślisz, że ona naprawdę cię czegoś nauczy? - zapytał, przeczesując dłonią swoje włosy do ramion i odgarniając je z twarzy. Jego lśniące niebieskie oczy odbijały nieco światła dochodzącego z wnętrza domu, przypominając mi noc, kiedy się poznaliśmy. Nie przypuszczałam, że nasza znajomość potrwa aż tak długo.

- Niezupełnie. Nawet jeśli ona pragnie pokoju dla swojej rasy, nie będzie ryzykować, żeby wzmocnić wroga, który im zagraża.

Danaus opuścił rękę wzdłuż boku i przez chwilę wpatrywał się w gwiazdy. Noc powoli dobiegała końca. Mu - siałam wrócić do domu, zapewniającego mi bezpieczeństwo.

Byłam wyczerpana i pragnienie krwi dręczyło mnie niczym ognie piekielne.

- Wierzysz jej? - spytał Danaus, wytrącając mnie z rozmyślań o krwi i śnie.

- Że chce zawarcia pokoju?

Łowca wydał z siebie ciche burknięcie, które uznałam za potwierdzenie.

- Nie ma znaczenia, czy jej wierzę, czy nie. Nasz plan jest jasny: wiemy, co zrobić, kiedy wylądujemy za kilka nocy na miejscu poświęcenia ofiar w Machu Picchu.

Powstrzymamy Rowe'a. Nie dopuścimy do złożenia ofiary. I w końcu odtworzymy pieczęć.

Nie możemy pozwolić sobie na luksus dyskusowania o takich rzeczach jak wojna i pokój.

Trzeba powstrzymać Rowe' a.

- Zgadza się z tym, ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Wierzysz jej? -

powtórzył.

Tym razem ja spojrzałam w gwiazdy, które mrugały na powoli rozjaśniającym się niebie. Zbliżał się świt. Czy ufałam Cynnii?

- Nie - oparłam cicho.

Ale problem nie polegał na tym, że jej nie wierzyłam.

Chodziło o to, że po raz pierwszy w życiu naprawdę chciałam uwierzyć, że słowa naturi są prawdziwe. Chciałam, żeby ona rzeczywiście pragnęła pokoju i szukała sposobu na to, by naturi i nocni wędrowcy żyli na tej planecie bez ciągłych walk. Marzyłam, aby to stało się możliwe. Ale nie było. Dopóki żyły takie istoty jak Aurora i Rowe, póki ja istniałam, nigdy nie będzie pokoju między nocnymi wędrowcami a naturi.

Rozdział 15

Następnego wieczora przyjechałam do swojego domu w mieście i zastałam Danausa w salonie przy stoliku, na którym rozłożył różne rodzaje broni. Przeglądał swój ekwipunek, który jakby się rozrósł od czasu przybycia łowcy do Savannah. Stojąc w drzwiach do salonu, z rękami na biodrach, spoglądałam na tę wystawę przypominającą mi niestety, że następnej nocy musimy lecieć do Peru.

- Nie porysuj stołu - powiedziałam, sygnalizując w ten sposób swoją obecność.

- One są w kuchni - odparł Danaus, nie unosząc na - wet wzroku znad broni, którą czyścił.

- Dziś w nocy zaczynają się lekcje magii. Spakuj swoje zabawki. Chcę, żebyś ze mną poszedł.

Uśmiechnął się znacząco, unosząc kącik ust, i w końcu na mnie spojrział.

- Za nic na świecie nie chciałbym tego przegapić.

Pokręciłam głową i ruszyłam korytarzem do kuchni.

- Och, czyż to nie uro...cze - powiedziałam, zająkując się na ostatniej sylabie, gdy mój wzrok padł na Jamesa siedzącego przy stole z Cynnią i Shelly, popijającego mrożoną herbatę.

Członek Temidy natychmiast skoczył na nogi, wygładzając krawat lewą ręką.

Niepewny uśmiech pojawił się na jego ustach. James był ostatnią osobą, którą spodziewałam się ujrzeć przy moim kuchennym stole. Mogłam tylko zgadywać, że czarownik Ryan coś wykombinował.

- Miro ...

- Czy Ryan też jest tutaj? - spytałam, przerywając mu niegrzecznie.

- Nie, przyjechałem sam.

- Chodź ze mną. - Wskazałam mu gestem, żeby podążył za mną korytarzem do gabinetu, gdzie gwałtownie zamknęłam za nim drzwi. Obracając się na pięcie, szybko skróciłam dystans między nami i go uścisnęłam. Poczulałam, jak wzdrygnął się pod moim dotykiem, ale nie przejęłam się tym.

- Tak się cieszę, że nic ci się nie stało. Doszedłeś do siebie po Krecie? - zapytałam, opierając mu dłonie na ramionach i trzymając go na odległość wyciągniętej ręki.

- T... tak, wszystko w porządku - odparł, wybałuszając ze zdziwieniem oczy za okularami w złotych, drucianych oprawkach. - Nie było żadnych komplikacji i szybko wyzdrowiałem.

- Ryan to taki łajdak - warknęłam, puszczając Jamesa i podchodząc do biurka po drugiej stronie pokoju. - Nie miał powodu przywozić cię na Kretę. Mogłeś tam zginąć.

- Chciałem jechać - rzekł James stanowczo, ale tylko pokręciłam na to głową.

- Ryan wiedział, jakie to niebezpieczne, a ty nie byłeś w ogóle przygotowany na taką sytuację. - Odeszłam znowu od biurka i opadłam na jedno z krzeseł, wskazując Jamesowi gestem, by zajął miejsce obok mnie.

- Nie chodziło tylko o naturę - rzekł, siadając powoli. - Miałem ci powiedzieć o Michaelu.

Pokręciłam głową, zwijając w pięści dłonie leżące na kolanach.

- Nie byłeś jego stróżem. - Myśl o tym, że martwe ciało Michaela gdzieś przepadło, wciąż wprawiała mnie w złość, która nie sprzyjała racjonalnemu zachowaniu, ale powoli odzyskiwałam kontrolę nad swoim gniewem. - W każdym razie nie pilnowałeś jego zwłok.

- Miałem zadanie troszczyć się o nich, kiedy byli w Warowni - powiedział.

- Jesteś rozgrzeszony - odparłam, machając ręką. - Moim głównym problemem są teraz naturi. To wielka szkoda, że tak się stało, ale, jak powiedział Ryan, Michael jest martwy.

Nie mogą go już skrzywdzić.

- Dzięki, Miro. - James poprawił okulary na długim, wąskim nosie.

- W każdym razie, co tutaj robisz? - spytałam, nie zwracając uwagi na jego podziękowania. Nie zasługiwałam na nie. Zniknięcie ciała Michaela to nie wina Jamesa. -

Zjawiłem się, aby ci powiedzieć, że następnym miejscem ofiary ma być Machu Picchu - powiedział, pochylając się w moją stronę podekscytowany.

- Tak słyszałam - mruknęłam, opierając się o tył krzesła i wyciągając do przodu nogi skrzyżowane w kostkach. - Słyszałaś już o tym? - spytał cicho, mocno zawiedziony.

- Dwie noce temu powiadomił mnie o tym Jabari.

- Och.

- Ale dziękuję, że Temida to potwierdza - powiedziałam, zmuszając się do uśmiechu. -

Miło się dowiedzieć, że Sabat mnie nie okłamuje.

- Cieszę się - odparł, choć wciąż wydawał się nieco rozczarowany, że to nie on pierwszy przyniósł tak ważne wieści.

- Oczywiście mogłeś po prostu zadzwonić, żeby nam o tym powiedzieć. Jaki jest inny powód twojego przyjazdu?

Na jego policzki wystąpił rumieniec; James spuścił wzrok i wpatrywał się teraz piwnymi oczami w swoje szczupłe dłonie.

- Przywiozłem też Danausowi czyste ubrania i trochę dodatkowej broni, która, jak sądzę, może mu się przydać w wyprawie do Peru. Już od jakiegoś czasu ciągle jest w drodze.

Pomyślałem, że może potrzebować nowych rzeczy.

Uśmiech zaigrał na moich ustach, ale powściągnęłam go, zanim mój rozmówca to zauważył. Choć James był pełnoprawnym badaczem z Temidy, to jego główne zadanie polegało na asystowaniu Danausowi i Ryanowi - zaspokajaniu ich różnych potrzeb, na przykład dostarczaniu broni, zdobywaniu informacji i organizowaniu wyjazdów. James był

gotów wyruszyć do walki wraz z Danausem, ale największą przeszkodę stanowiło dla niego to, że jako zwykły człowiek znalazł się w świecie potężnych stworzeń, w dodatku żądnych krwi. Mógłby się nam przydać do wielu zadań, ale na razie pozostawał tylko chłopcem na posyłki.

- Jestem pewna, że ucieszył się z nowych rzeczy - powiedziałam, zatykając niesforny kosmyk włosów za prawe ucho. - Czy Danaus często przebywa poza Warownią Temidy?

- Spędza więcej czasu poza Warownią niż w niej. Nie lubi przesiadywać zbyt długo w jednym miejscu - oznajmił James, opierając się na krześle.

- Dokąd wyjeżdża?

- Ryan przeważnie posyła go z jakąś misją - odparł, wzruszając jednym ramieniem.

- Jednak Danausowi nie zlecano zabijania za wielu nocnych wędrowców. Gdyby tak było, usłyszałabym o nim dużo szybciej i o wiele wcześniej zacząłby mnie ścigać. - No, chyba że Ryan z jakichś powodów ukrywał przed łowcą moje istnienie, ale nie powiem, żeby taka hipoteza wydawała mi się prawdopodobna. - Musiał mieć jeszcze jakieś miejsce, do którego się udawał, kiedy nie wykonywał żadnego zadania zleconego przez Temidę.

Kąciaki ust Jamesa uniosły się w uśmiechu; pokręcił głową, patrząc na mnie, i wyprostował się na krześle.

- Jeśli próbujesz wyciągnąć ode mnie jakieś informacje na temat Danausa, to nie usłyszysz nic ciekawego. Danaus ze mną nie rozmawia. Nie zwierza się nikomu. Z pewnością często jest tak, że nie wyjeżdża akurat z żadną misją, ale nie wiem, dokąd się wtedy udaje.

Wciąż usiłuję go przekonać do telefonu komórkowego, żebym mógł go namierzyć, kiedy jest potrzebny.

Westchnęłam i spojrzałam na biurko stojące dokładnie na wprost mnie. Za nim znajdowało się duże okno, wychodzące na plac pełen ogromnych dębów, których liście zasłaniały większość ulicznych latarni. Noc wokół zapadła, a ja traciłam czas, próbując wyciągnąć od Jamesa informacje dotyczące Danausa. To była tylko ciekawość, ponieważ mogłam się założyć, że wiem o Danausie więcej niż człowiek siedzący przede mną.

- Robi się późno - oznajmiłam, podnosząc się z krzesła dzięki swojej mocy. James również skoczył na nogi i lękliwie odsunął się ode mnie o krok, gdy zobaczył, jak wstaję i się poruszam, jakbym była z gumy. - Musimy się zbierać.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Nie pojedziesz do Peru. - Życie Jamesa już wcześniej bywało w niebezpieczeństwie i niemal utracił je na Krecie. Nie zamierzałam narażać go ponownie.

- Nie to miałem na myśli - powiedział, uśmiechając się nieznacznie. - Bardziej chodziło mi o transport, broń, zakwaterowanie i tym podobne sprawy.

- Mam kogoś, kto może się tym zająć - odparłam, kręcąc głową, po czym zamilkłam i spojrzałam na Jamesa, drapiąc się palcem wskazującym po czubku brody. - Gdyby jednak Temida zdołała namówić władze peruwiańskie do zamknięcia wjazdu na tamtą górę, byłibyśmy bardzo wdzięczni. Wolałabym

się nie martwić, że naturi pochwyca jakąś grupę turystów w drodze do ruin na szczycie.

- Zobaczą, co da się zrobić. - Wyciągnął do mnie rękę. - Życzę ci powodzenia. Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mieli okazję razem popracować. Myślę, że wiele mogę się od ciebie nauczyć.

Uniosłam kąciki ust, uśmiechając się złośliwie, i zmrużyłam oczy, ujmując jego dłoń.

- Byłbyś zdumiony, czego mogłabym cię nauczyć, mój przyjacielu. Życzę bezpiecznej drogi do domu.

James odprowadził mnie do frontowych drzwi, ale kiedy je otworzyłam, okazało się, że mam nowego gościa, który właśnie chciał zapukać. Stał tam Barrett, nieco wynędzniały.

Gdyby w mojej piersi wciąż biło serce, zabiłoby teraz szybciej. Alfa sfory z Savannah zawitał

w moich progach, a w mojej kuchni siedziała naturi, popijając herbatę. Nie było to coś, co mogłabym łatwo wytłumaczyć - w każdym razie nie w taki sposób, żeby w to uwierzył.

- Barrett! - zawołałam, zdziwiona podnosząc głos.

Wilkołak nie powinien był mnie zaskoczyć. Powinnam wyczuć, że się zbliża, ale byłam tak skupiona na Jamesie i jego nieoczekiwanej wizycie, że nie upilnowałam okolic domu.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Barrett skinął krótko człowiekowi stojącemu obok mnie.

- Jasne - powiedziałam, po czym szybko pożegnałam Jamesa i wprowadziłam Barretta do swojego gabinetu. Wilkołak powęszył w powietrzu, zanim pospiesznie zamknęłam drzwi i wskazałam gestem, by zajął jedno z krzeseł przed biurkiem.

- Czym mogę ci służyć? - spytałam, opierając się o biurko. Jakaś część mnie modliła się w duchu, żeby Cynnia i Shelly pozostały w kuchni do czasu, aż uda mi się po - zbyć wilkołaka z domu.

- Naturi wynieśli się z Savannah - powiedział, nie potrafiąc ukryć zdumienia czy też ulgi.

- Wszyscy, oprócz jednej sztuki. Odeszli - kluczyłam.

Mógł natknąć się tu na Cynnię, a nie chciałam, by przyłapał mnie na kłamstwie, zwłaszcza po tym, jak sama nieco wcześniej złapałam go na nieszczerości. Nadal chciałam, żeby ze mną współpracował.

- Ty się do tego przyczyniłaś?

- Owszem, ja i Danaus.

- Czemu nie zrobiliście tego wcześniej? - zapytał, a jego ulga zaczęła ustępować miejsca frustracji. Rozumiałam jego gniew. Stracił przez naturi dwóch braci w ciągu ostatnich paru miesięcy.

- Z powodu kosztów - odparłam cicho, spoglądając w dół na swoje nogi skrzyżowane w kostkach. - Zaatakowaliśmy ich zeszłej nocy, aby uratować Amandę. Przeważali nad nami liczebnie i o mało nie

zginęliśmy. Zdesperowana rzuciłam urok, który zmiotł niemal wszystkich naturi w okolicy. Mam nadzieję, że już nigdy więcej tego nie zrobię.

Barrett ściągnął brwi, gdy oderwał ode mnie wzrok, i wyrztał przez okno na ulicę.

Wiedział, że nie dostarczę mu więcej informacji poza tym, co już wyjawiałam. I tak naprawdę nie zamierzałam mu mówić, że ryzykowałam tę resztkę duszy, jaka mi pozostała, oraz duszą mojego towarzysza. To nie była jego sprawa.

- Coś jeszcze? - spytałam, starając się, by nie za - brzmiało to tak, jakbym go wypraszała.

- To nazwisko, które mi podałaś: Harold Finchley - powiedział Barrett, przenosząc na mnie swoje mroczne spojrzenie. - Nie mamy żadnego śladu, żeby istniał taki wilkołak.

- Może on nie jest ze Stanów.

- Sprawdziłem bazę danych z Ameryki i Europy. Nigdzie go nie ma.

- W takim razie to musiał być pseudonim - odparłam cicho, do siebie.

- Albo wilkołak, który nie należał do żadnej sfory. Samotnik, działający na własną rękę.

Spojrzałam na Barretta z niepokojem. To byłoby gładkie i ładne wyjaśnienie tego, co się stało. Jeśli po prostu jakiś wilkołak działał w pojedynkę, oznaczało to, że nie istniał

poważny spisek przeciwko nocnym wędrowcom, zawarty z Przymierzem Światła Dnia. W

takim wypadku wilkołaki nie złamały obietnicy, jaką wszyscy złożyliśmy, by chronić siebie nawzajem przed dekonspiracją i zagładą.

Niestety, fakt, że czarownica podróżowała z wilkołakiem i członkiem Przymierza, kazał mi się zastanawiać, czy tamten wilkołak rzeczywiście działał sam, czy raczej w większej grupie.

- Trzymaj rękę na pulsie - powiedziałam ze zmarszczonym czołem. - Mam kogoś, kto sprawdzi tę czarownicę.

- Czy jest jakaś szansa, żeby porozmawiać z Finchleyem? - zapytał Barrett, unosząc jedną brew.

- Bez pomocy czarów się nie obejdzie - odparłam, kręcąc głową. - Spieszyłam się wtedy i nie miałam czasu, żeby powierzyć jego sprawę komuś, kto zająłby się nim jak należy.

Prawo jest jasne. Współpracę z Przymierzem karzemy śmiercią.

- Nie krytykuję twoich poczynań - rzekł Barrett, unosząc obie dłonie, jakby chciał

odeprzeć moje stwierdzenie. - To wszystko jednak dałoby się załatwić o wiele prościej, gdybyś pozostawiła go przy życiu.

- No cóż, to nie wchodziło w grę. - Pukanie do drzwi przerwało mój tok myśli, kierując uwagę ku Danausowi stojącemu przed drzwiami do gabinetu.

- Co tam? - spytałam niegrzecznie, stając się tym bardziej niespokojna, im dłużej Barrett był w moim domu.

Danaus otworzył drzwi i wetknął głowę do środka. - Musimy się zbierać. Robi się późno.

- Wiem. Już prawie skończyliśmy. Pakuj się - odparłam, kiwając głową. Doceniałam tę uprzejmą interwencję Danausa. Nie miałam wątpliwości, że wyczuł mój niepokój i wykorzystał pierwszy z brzegu pretekst, by do mnie zajrzeć.

Niestety, zabrakło mi czasu. Barrett znowu powęszył w powietrzu, gdy drzwi się otworzyły. Do diabła z wilkołakami i ich wyczulonym węchem! Wydał z siebie cichy pomruk, a jego oczy zabłyśły, gdy ponownie na mnie spojrział.

- Ta ostatnia naturi, która pozostała, jest tutaj! - warknął, zrywając się z krzesła.

Wymaszerował z pokoju, przepychając się obok Danausa, a ja podążyłam tuż za nim.

- Tak, ona tu jest - przyznałam, próbując chwycić go za ramię, ale mi się wyrwał.

Wpadł do kuchni, gdzie Shelly i Cynnica wciąż siedziały przy stole. Obie kobiety podniosły wzrok i jakby skurczyły się na swoich krzesłach na widok wykrzywionej ze złości twarzy Barretta. Wilkołak wyciągnął ręce, by złapać Cynnicię, lecz Danaus dopadł go pierwszy i rzucił przez kuchnię, aż Barrett uderzył o drewniane szafki.

- Przestań, Barrett! - zawołałam, stając między naturi a wilkołakiem. - Potrzebuję jej żywej.

- Dopiero co oskarżałaś moją rasę o konszachty z Przymierzem, zabiłaś jednego z moich, a teraz ukrywasz tutaj naturi! - krzyknął, ponosząc się z podłogi. - Jak daleko sięga twoja zdrada?

- Nie zdradziłam cię, Barrett. - Sięgając za siebie, chwyciłam łańcuch kajdanków Cynnici i pociągnęłam, że - by wstała, chcąc pokazać wilkołakowi, że jest skuta. - To więźniarka. Pomoże mi skontaktować się z Rowe'em i ty - mi, którzy mogą wreszcie to wszystko zakończyć. Jeśli będzie trzeba, zaprowadzi mnie do Aurory.

- Czemu niby tak chętnie ci pomaga? - zapytał Barrett. - Dlaczego tak się pali do tego, żeby wystawić swoich do wiatru? Jak możesz jej ufać?

- Nie ufam jej, tylko nie daję jej żadnego wyboru. Musi mi pomóc, jeśli chce przeżyć.

- Nie wierzę ci - rzekł wreszcie, odpychając się od blatu, o który się opierał.

- Myślisz, że pomogę naturi? - spytałam, puszczając łańcuch Cynnici. - Po tym, jak tylu ich zabiłam, po tym wszystkim, co przeszłam, kiedy mnie złapali, sądzisz, że dopuszczę się zdrady?

- Tak.

Danaus zareagował, zanim zdołałam coś zrobić. Złapał Barretta za kołnierz koszuli i rzucił na lodówkę z nierdzewnej stali tak mocno, że wgniótł drzwi.

- Za dwie noce ona będzie nadstawiać za ciebie karku w Peru - warknął groźnym cichym głosem. - Może zginąć, żeby ocalić twoją nic nie wartą skórę. Narazi się dla wszystkich żalonych wampirów i wilkołaków, którzy chodzą po ziemi, bo uważa to za swój obowiązek. Mira chce uczynić wszystko, co się da, żeby ochronić swoich, nawet jeśli oznacza to znoszenie obecności naturi. A co ty zamierzasz zrobić dla swoich braci?

Na te słowa Danausa raptownie odstałam do tyłu o krok i dziwne uczucie ścisnęło mnie w piersi, tam, gdzie powinna tkwić moja dusza. Jakaś część mnie od dawna zdawała sobie sprawę, że mało prawdopodobne, bym wróciła do Savannah po złożeniu ofiary na Machu Picchu. Wiedziałam, że zrobię wszystko, by powstrzymać Rowe'a, nawet gdyby oznaczało to poświęcenie własnego życia. Ale słuchanie, jak ktoś wypowiada te słowa na głos, to zupełnie inna sprawa. Miałam wrażenie, jakby zgasiło to resztki ledwo tłącej się we mnie nadziei, pozostawiając uczucie zimna i pustki. Niepokoiło mnie, że Danaus ma świadomość, iż najprawdopodobniej szykuje się nasza ostatnia wspólna bitwa.

Puścił Barretta, pod którym ugięły się nogi. Wilkołak osunął się na podłogę, ale nie spuszczał wzroku z mojej bladej twarzy.

- Ja ... ja nie wiedziałem.

- Nie miałeś tego wiedzieć. Nikt nie miał się o tym dowiedzieć - powiedziałam ze wzruszeniem ramion. - Myślisz, że chcę robić zamieszanie na swoim terytorium? Poza tym jest niewielka szansa, że jednak uda mi się przeżyć.

Mój słaby uśmiech z pewnością był zupełnie nieprzekonujący, ale musiałam spróbować przemówić Barrettowi do rozumu. Nie potrzebowałam jego litości. Nie chciałam po prostu, żeby narobił kłopotów, rozpowiadając, że nocni wędrowcy zawierają układy z naturi, podczas gdy ja próbuję ich zniszczyć. Mogłam prowadzić tylko jedną wojnę naraz.

Podeszłam do Barretta i wyciągnęłam do niego rękę, żeby pomóc mu wstać. Zawahał

się, patrząc przez kilka sekund na moją upiornie bladą dłoń, zanim w końcu ją chwycił i pozwolił sobie pomóc.

- Wiem, że to nie wygląda dobrze, ale przyjaźnimy się od lat - powiedziałam, nie puszczając jego ciepłej dłoni. - Nigdy cię nie zdradziłam. I nie zamierzam tego robić teraz, kiedy najbardziej potrzebuję twojej przyjaźni. Jeśli nie po - wiecie nam się w Peru, wtedy możliwe, że zapanuje tutaj chaos. Spodziewam się, że Knox zajmie moje miejsce i zostanie Strażnikiem tego terenu. Chciałabym wyjechać ze świadomością, że ty go wesprzesz.

- Stanę przy Knoxie. Ale kto ciebie będzie wspierać?

- Łowca.

Barrett pokręcił głową.

- Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która otacza się wrogami, traktując to jako sposób obrony. Postaraj się wyjść z tego cało, Miro.

Wilkołak uwolnił swoją dłoń i w milczeniu wyszedł z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Kolana mi drżały i miałam ochotę osunąć się na podłogę. Moje dni z pewnością były policzone, a moje życie zakończy się w bólu. Najbliższy towarzysz zaś, ten, który miał mnie osłaniać, zabił więcej nocnych wędrowców, niż zdołałam zliczyć. Czemu tak łatwo zawierałam przyjaźnie z tymi, którzy pragnęli mojej zguby? Z Danausem, z Jabarim.

Wydawało się nawet, że mam więcej wspólnego z Ryanem chociaż czarownik kazał mnie zabić. Może rozwinęłam w sobie jakieś potajemne pragnienie śmierci. Zbyt wiele lat na ziemi sprawiło, że zmęczyła mnie moja żmudna dola. Obojętnie co sprawiło, że otaczałam się istota

- mi pragnącymi mojej krwi, końcowy skutek miał być taki sam. Postanowiłam, że pojedę do Peru i powstrzymam Rowe'a, z Danausem u swego boku i Cynnią, spełniającą moje rozkazy.

Rozdział 16

Jazda samochodem przez pustkowia Georgii przebiegała w nieznośnej ciszy. Danaus siedział na tylnym fotelu z Cynnią, a Shelly zajmowała miejsce pasażera z przodu obok mnie.

Kilka razy wiecznie pogodna czarownica brała wdech, by coś powiedzieć, ale szybko wypuszczała z powrotem powietrze. Najwyraźniej brakowało jej słów. Tak było lepiej. Nie chciałam, żeby drażniła mnie bezsensowna paplanina, gdy skupiałam myśli wyłącznie na tym, co miało nastąpić.

Zapuszczaliśmy się na lesiste tereny, gdzie mogłam być tak blisko przyrody, jak to tylko możliwe. Liczyłam, że ktoś zdoła nauczyć mnie czegoś o ziemskiej magii. Była to dla mnie ostatnia nadzieja na zdobycie przewagi nad Rowe'em i resztą natury; moja jedyna szansa na przeżycie, jeśli Aurora rzeczywiście wyszła ze swojej klatki. Jednak pod wpływem nastroju panującego w samochodzie zaczynałam wątpić, czy to, co chciałam zrobić, wystarczy, bym uratowała siebie i tych, którzy mnie otaczali.

Skręciłam z szosy szybkiego ruchu i przez ponad godzinę jechałam krętymi wiejskimi drogami, aż w końcu widać było tylko drzewa i pola uprawne. Wreszcie zjechałam na poślubioną koleinami polną drogę, która zdawała się zagłębiać w zagajnik. Kiedy samochód zniknął z szosy i nie mógł już przyciągnąć uwagi nikogo, kto przypadkowo wtedy przejeżdżał, wyhamowałam i wyłączyłam silnik.

- Wszyscy wysiadamy. Jesteśmy na miejscu - oznajmiłam, otwierając swoje drzwi.

- Czyli właściwie gdzie? - spytała Shelly, gdy wysiadła i spojrzała na mnie ponad dachem wozu.

- Na odludziu, w lasach - odparłam, błyskając drapieżnym uśmiechem. - Pomyślałam, że to najlepsze

miejsce do ćwiczeń, na wypadek, gdyby się zaczęło palić albo coś Jeszcze gorszego.

- Racja - przyznała cicho Cynnia, zamykając drzwi. Trójka moich beztrojskich towarzyszy podróży podążyła za mną w głąb lasu. Podczas gdy Danaus, Cynnia i ja świetnie widzieliśmy w nocy, to Shelly nie miała tyle szczęścia. Wlokła się za resztą i potykała o połamane gałęzie, usiłując wypatrzeć coś w zupełnych ciemnościach. Wreszcie Danaus ujął ją pod łokieć i poprowadził przez zarośla.

Zatrzymałam się nad wąskim strumieniem z wodą sięgającą do kostek, która płynęła po gładkich kamieniach pokrytych wodorostami. Stałam pośrodku strumienia i próbowałam nie zwracać uwagi na zimno ogarniające moje stopy. Woda opływała skórzane botki, gdy uniosłam ręce ponad głowę. Skupiając się, niemal zupełnie zamknęłam oczy i zagłębiłam się w sobie. Wokół nas pojawiło się pięć migoczących ognistych kul, które zawisły w górze, rozpraszając mrok.

- Oto moja moc. Wywołuję ogień i panuję nad nim - oznajmiłam swoim towarzyszom.

Mój silny, spokojny głos zdawał się odbijać echem po pustym lesie. - Potrafię to robić od czasów, kiedy byłam człowiekiem. Ta moc zasilana jest energią z mojej duszy. Gdy zużywam jej zbyt wiele, staję się zmęczona.

- I zachowałeś tę zdolność nawet po tym, jak przemieniłeś się z człowieka w nocnego wędrowca - stwierdziła Cynnia, sadowiąc się na brzegu strumienia i wpatrując w najbliższą ognistą kulę.

- Zachowałam duszę, a więc także i tę umiejętność. - Opuściłam ręce z powrotem do boków i zgasilałam dwie z pięciu kul. - Ale potem wszyscy nocni wędrowcy ograniczyli się do magii duszy albo krwi, powszechnie znanych moim pobratymcom. Tracimy powiązanie z ziemią, kiedy się odradzamy.

- Coś mi tu nie gra - powiedziała Shelly głośno. Ostrożnie zeszła na brzeg strumienia i stała teraz zaledwie parę kroków ode mnie. Tylko Danaus pozostał wyżej na wzniesieniu i spoglądał w dół na nas, częściowo ukryty w cieniu. - Jeśli nocni wędrowcy mogą korzystać tylko z magii krwi, dlaczego poprosiłaś nas, żeby nauczyć cię magii ziemi? Z tego, co mówisz, to niemożliwe, abyś mogła się nią posługiwać.

- Umiem to tylko ja spośród ludzi i wampirów - dodałam, unosząc brew. - Znasz jakiegoś człowieka, który potrafił stworzyć ogień? To zdolność wiedźm i czarnoksiężników, i to tylko tych bardziej uzdolnionych. Zaczęłam łamać zasady już w dniu, w którym się urodziłam.

- To nie znaczy, że możesz złamać je wszystkie - zauważył Danaus, a w tonie jego głosu wyczuwało się wyraźną ironię.

- I tak złamałam już następną - powiedziałam, przenosząc wzrok z łowcy na Cynnię. -

Podczas narastania mocy na Krecie mogłam wyczuć energię ziemi. Napierała na moją skórę, a kiedy użyłam swoich umiejętności, we - szła we mnie. Mogłam wykorzystać tę moc z ziemi do zasilenia ognia, zamiast posługiwać się energią swojej duszy.

- Zdumiewające - wydusiła Cynnia.

- Tak, ale nie potrafiłam jej kontrolować. To czysta, surowa energia, która znalazła ujście. Nie umiałam jej zatrzymać ani przekształcić w jakiś inny rodzaj zaklęcia. Czułam tylko potrzebę, żeby rozpaść ogień.

- Czy znasz jakieś inne czary? - zapytała Shelly.

- Nie.

- Cóż, w tym tkwi częściowo twój problem - zachichotała Shelly.

- Ale ja nawet nie wiem, jak właściwie panuję nad ogniem - odparłam. - Obudziłam się pewnego dnia i okazało się, że to umiem. Lata praktyki sprawiły, że nabrałam większej wprawy i dynamiki, ale wcale nie rozumiem tego lepiej.

- Miro - rzekła powoli Cynnia, odchodząc od brzegu strumienia w stronę Danausa. -

Ryzykując własne życie, zapytam cię, czy przypadkiem nie wzięłaś pod uwagę, że może wcale nie urodziłaś się człowiekiem.

- Byłam człowiekiem - warknęłam, robiąc krok w jej kierunku.

- Ale, jak sama powiedziałaś, ludzie nie potrafią panować nad ogniem tak jak ty.

Machnęłam ręką i ostatnie ogniste kule zgasły, pogrążając las w całkowitej ciemności.

- Kim w takim razie według ciebie byłam, skoro nie człowiekiem?

- Może czarownicą - wtrąciła szybko Shelly.

- Obie wiemy, że wiedźmy i czarownicy zdobywają wiedzę, a nie rodzą się z nią -

odparłam z werwą, nie spuszczać wzroku z natury, która zdawała się kulić u stóp Danausa. -

Nie, ty miałaś coś innego na myśli.

- To, co opisujesz, jest bardzo podobne ... do ... tego, jak posługują się ogniem członkowie klanu światła - zauważyła Cynnia, jękając się.

W jednej chwili wyskoczyłam z wody i wbiegłam na pagórek, ale natychmiast zatrzymał mnie długi nóż Danausa. Łowca rzucił się przed siebie, przykucając nad Cynnją, i przystawił mi nóż do gardła, trzymając mnie na dystans. Zareagowałam impulsywnie na tę straszliwą sugestię, a żadna prawdziwa myśl nie pojawiła się w mojej głowie. Nie byłam natury. Nie było we mnie ani jednego elementu, w którym tkwiłyby jakieś ślady tej rasy.

- Miro? - powiedział Danaus, a jego opanowany głos pomógł mi powściągnąć złość wywołaną

owym przypuszczeniem. Nie wątpiłam, że chciałby, aby okazało się to prawdą.

Miałabym wtedy własną mroczną tajemnicę, tak jak mój drogi Danaus miał swój sekret, związany ze źródłem jego mocy.

- To niemożliwe.

- Mnóstwo rzeczy związanych z tobą wydaje się niemożliwe - odparł cicho. -

Dlaczego tak jest?

Zaciskając zęby, zesłam ze wzniesienia, aż w końcu znowu znalazłam się w wodzie, pozwalając jej ostudzić moją złość i złagodzić napięcie, które wibrowało w moim ciele.

Machnęłam obiema rękami i kule ognia znowu pojawiły się w powietrzu. Tym razem jednak były nieco większe i trzaskały trochę głośniej, jakby stosownie do utrzymującego się we mnie gniewu.

- Gdybym miała w sobie choć trochę krwi naturi, zabiłoby to nocnych wędrowców, którzy mnie stworzyli. - Odzyskałam ponownie panowanie nad emocjami, gdy zastanowiłam się nad logiką tego argumentu. - Krew naturi jest trująca, nawet rozcieńczona. Poza tym twierdzicie, że naturi i człowiek mogą mieć wspólne dziecko, a to nie tylko wysoce nieprawdopodobne, ale niemożliwe. Mieszańcem najbliższym naturi jest wilkołak, prawda?

- Zgadza się - przyznała cicho Cynnia, spuszczać wzrok na trawę u swoich stóp. -

Cała ta sprawa wydaje się bardzo nieprawdopodobna, ale musisz przyznać, że podobieństwo jest uderzające.

- Uderzające - burknęłam, usuwając kopniakiem kamień ze swojej drogi. - Ale niemożliwe. Znałam swoich rodziców. Oboje byli ludźmi.

- W takim razie to jakiś rodzaj mutacji genetycznej - zasugerowała Shelly, najwyraźniej próbując złagodzić napięcie.

Przygryzłam wargę, powstrzymując się od kolejnej złośliwej uwagi. Shelly starała się być miła, ale sugestia, że byłam jakimś wybrykiem natury, wcale nie poprawiała sytuacji.

- Nie jestem naturi. Gdyby tak było, przemienienie mnie w nocnego wędrowca zabiłoby moich stwórców. - Sadira, Jabari i Tabor natychmiast zatruliby się moją krwią i umarli. Nigdy nie stałabym się wampirzycą.

Przeczesując włosy obiema rękami, odgarnęłam je z oczu i ponownie spojrzałam na swoich towarzyszy.

- Ale zbaczamy z tematu. Moje pochodzenie nie ma nic wspólnego z tym, co chcę zrobić dziś w nocy. Naucz mnie, jak posługiwać się ziemską magią. Jak kontrolować energię pochodzącą z ziemi.

- Potrafisz teraz ją wyczuć? - zapytała Cynnna, zsuwając się z powrotem na brzeg, kiedy znowu zaczęłam zachowywać się rozumnie.

- Nie.

- Zdejmij buty - poleciła.

Naburmuszona podeszłam do brzegu, brodząc w wodzie, i usiadłam na miękkiej ziemi, nie zwracając uwagi na to, że pobrudzę sobie skórzane spodnie. Pozbywszy się butów, wzdrygnęłam się pod wpływem zimnej wody i weszłam znowu do strumienia. Zamknęłam oczy i roztoczyłam swoje zmysły. Mogłam wyczuć Danausa i Shelly blisko mnie, a także innych ludzi odległych o kilometry oraz nocnych wędrowców zgromadzonych na wschodzie, na skraju mojego terytorium. Nie wyczuwałam jednak energii podobnej do tej, z jaką zetknęłam się na Krecie. Pod moimi stopami płynęła tylko zimna woda w strumieniu.

- Nadal nic - westchnęłam, zamykając oczy i skupiając się intensywniej, ale tam, gdzie powinnam poczuć energię, była tylko pustka.

- A gdybym tak podsunęła ci trochę ziemskiej energii? - zaproponowała Shelly, sprawiając, że natychmiast otworzyłam oczy.

- Jak?

Podniosła się i pstryknęła palcami, wytwarzając małą kulę ognia tuż nad czubkami palców. Szykowała się, żeby rzucić nią we mnie, a ja miałabym ją złapać. Coś podobnego przydarzyło mi się w Londynie z ziemską czarownicą, która mnie napadła. Wtedy poczułam przepływ energii, ale nie potrafiłam jej rozpoznać ani zrozumieć.

- Powiększ ją.

Machnęła ręką i ognista kula zaczęła rosnąć, aż osiągnęła wielkość piłki do koszykówki. Skinęłam głową i cisnęła ją we mnie. Wyciągając prawą rękę, złapałam kulę i pozwoliłam, by spłynęła w dół mojego ciała, poruszając się jak wąż, aż w końcu ogień dotknął wody i zgasł. Zetknięcie się ognia z wodą wywołało na moment głuchy ryk w mojej głowie. Usłyszałam przepływ mocy pod powierzchnią ziemi. Przez chwilę mrowiła mnie w palce stóp, a potem zupełnie znikła. Trwało to zaledwie sekundę, ale wreszcie coś poczułam.

- Jest! Wyczułam ją! Słabo, ale coś czułam - zawołałam. Wychodząc z wody na przeciwny brzeg, krzyknęłam: - Zrób to jeszcze raz!

Shelly powtórzyła zaklęcie i pozwoliła, by ogień obmył moje ciało i wniknął w ziemię. Doznanie okazało się teraz silniejsze, ale nadal nie było niczym więcej. W żaden sposób nie czułam się częścią tej energii, tak jak na Krecie. Zupełnie jakby moje istnienie było ziemi obojętne.

- Czuję to, ale nie mogę przechwycić samej mocy.

Przepływa tylko tuż obok mnie.

- Pod twoimi stopami? - zapytała Cynnia.

- Tak.

- Nie czujesz jej w powietrzu? - dopytywała Shelly, marszcząc nos i wpatrując się we mnie.

- Miro, ci, którzy posługują się magią ziemi, czerpią moc z powietrza. Tylko najstarsi i najzdolniejsi mogą rzeczywiście przyciągnąć ją z głębi ziemi, gdzie jest najsilniejsza i najtrudniejsza do przechwycenia.

- I tylko naturi są znani z tego, że stale czerpią moc bezpośrednio z nurtów w ziemi -

dodała Cynnia. - Potrafisz ją wyczuć, co oznacza, że jesteś wrażliwa jedynie na najsilniejsze punkty mocy. Szansa, że nauczysz się stosować ziemską magię, jest wyjątkowo mała, jeśli nie niemożliwa. Chyba że znajdziesz się w miejscu przyływu mocy, bo w przeciwnym wypadku nie zdołasz wyczuć magii, żeby się nią posłużyć.

Zaciskając zęby z poczucia bezsilności, klapnęłam na drugim brzegu i spojrzałam na swoich towarzyszy. Owszem, podobieństwa między moimi umiejętnościami a tymi, jakie prezentowali naturi z klanu światła, były uderzające, ale nic poza tym mnie z nimi nie łączyło.

Nie należałam do rasy naturi, nie miałam z nimi żadnych powiązań, tak jak nie czułam związków z przyrodą. Z jakiegoś powodu ziemia mogła wykorzystywać mnie jako niszczycielską broń, ale ja nie potrafiłam spożytkować ziemskich mocy.

- W takim razie naucz mnie jakiegoś nowego zaklęcia - powiedziałam cichym, znużonym głosem.

- Przecież nie możesz posłużyć się magią ziemi - sprzeciwiła się Shelly, spoglądając to na mnie, to na Cynnię.

- Widziałam pewnego czarownika rzucającego ochronny urok. Wzniósł fizyczną zaporę między sobą a atakującym. Czy możesz nauczyć mnie czegoś takiego? Jeśli zdołam to opanować, stosując magię krwi, może uda mi się połączyć ją z ziemską magią, kiedy będę w Peru.

Shelly znowu spojrzała na Cynnię, która wzruszyła ramieniem. Obie wyglądały na sceptycznie nastawione do całego pomysłu, ale wydawało się, że mają ochotę spróbować.

Próby trwały ponad cztery godziny. Pracowaliśmy przez noc, aż w końcu zaczęłam się trząść ze zmęczenia. Zużyłam sporo energii ze swojej duszy i stworzyłam ową magiczną barierę, która w końcu stała się na tyle mocna, by zasłonić mnie przed nożem Danausa. Jej moc nie była stała, ale to dopiero początek. Przypuszczałam, że łatwiej będzie mi nią manipulować, kiedy przez moje ciało prze - płynie więcej energii.

W końcu rzuciłam Danausowi kluczyki do samochodu i usadowiłam się obok kierowcy, ignorując błoto, które rozmazało się na skórzanych fotelach. Byłam zbyt wyczerpana, by się tym przejąć. Danaus zawiózł nas z powrotem na moje terytorium, do bezpiecznego miasta, daleko od ciemnego, obojętnego lasu.

Czy dostałaś to, co chciałaś? - usłyszałam w głowie jego szept, gdy moje powieki stawały się coraz cięższe.

Nie, ale to dopiero początek.

Miro ...

Nie należę do rasy naturi, Danausie. Gdyby tak było, tamci nie przeżyliby takiej transformacji, odparłam, mając na myśli troje swoich drogich stwórców oraz troskę, jaką okazali, przemieniając mnie w nocnego wędrowca Pierwszej Krwi.

Podobieństwo jest ...

Odrażające, dokończyłam. Zbyt odrażające.

Byłam pewna, że nie jestem naturi i nie mam żadnego powiązania z tą rasą. Jednakże po raz pierwszy w całym swoim życiu zostałam zmuszona do tego, by się zastano - więc, czy naprawdę urodziłam się jako człowiek. Niestety, wątpiłam, czy uda mi się znaleźć odpowiedź

na to pytanie, ponieważ nazajutrz w nocy lecieliśmy do Peru.

Rozdział 17

Budząc się, jednocześnie huknęłam się w głowę i uderzyłam w kolano i palec u nogi.

Zapomniałam, że spałam zwinięta w kłębek w kufrze, a nie wyciągnięta na łóżku w Savannah. Byliśmy gdzieś nad Atlantykiem, kiedy w końcu wcisnęłam się do kufra, który przywlokłam ze sobą przed wejściem na pokład samolotu tuż za miastem. Znienawidziłam to pudło, zanim jeszcze do niego weszłam. Było ciasne, a jedyny zamek znajdował się na zewnątrz. Wolałam swoją ognioodporną skrzynię ze stopu metali, z podwójnymi wewnętrznymi zamkami i jedwabną wyściółką. Niestety, znowu podróżowałam bez swoich ochroniarzy i nie chciałam martwić się o Danausa, gdyby miał coś zrobić z moją trumną, jednocześnie mając oko na Shelly i Cynnię. Gabriel zaoferował, że przyjedzie, ale oznaczałoby to zabranie ze sobą również Matsuiego, a ja nie byłam przygotowana na zasypianie w obecności nowego strażnika. Zaufanie rodzi się z czasem.

Teraz utknęłam w kufrze, w którym Houdini czułby się jak w domu. Ja jednak musiałam wydostać się z tego cholernego pudła, zanim nabawię się ostrej klaustrofobii.

Poruszając się w tej ciasnocie najsprawniej jak umiałam, oparłam się plecami o wieko i naparłam na nie powoli, sprawdzając, czy jest zamknięte na klucz. Miałam tyle siły, że i tak mogłam je otworzyć, ale nie chciałam uszkodzić zamka, który miał być w najbliższym czasie moją jedyną ochroną podczas dziennych godzin. Na szczęście pokrywa nie stawiała oporu.

Wstałam, wzdychając, i natychmiast walnęłam głową o metalowy pręt i drewnianą belkę. Z trudem powstrzymując potok przekleństw, które miałam na końcu języka, zgarbiłam się i potarłam czubek głowy, rozglądając się wokoło. Pomieszczenie było zdecydowanie małe, z wyjątkowo niskim sufitem, a para rozsuwanych drewnianych drzwi znajdowała się o kilka centymetrów od mojej

twarzy. W końcu zakłęłam ochrypłym szeptem, gdy uświadomiłam sobie, że stoję w szafie. Jakby nie wystarczyło, że przebudziłam się w kufrze.

Nie, Danaus wstawił mnie do szafy.

Z zaciśniętymi zębami wsunęłam palce w szparę między drzwiami a ścianą. Zamarłam jednak, odsuwając drzwi, bo usłyszałam dźwięk naciskanej klamki w pokoju. Ktoś nadchodził

i nie był to Danaus. Łowca już tutaj był i po odgłosie jego cichego, spokojnego oddechu zorientowałam się, że śpi w łóżku. Bezszelestnie odsuwając drzwi, uśmiechnęłam się na widok pomieszczenia pogrążonego w całkowitym mroku, przeciętego jedynie snopem światła. Obcy właśnie wchodził do środka.

Człowiek z krótkimi czarnymi włosami zamrugął w atramentowej ciemności, czekając, aż jego wzrok w końcu do niej przywyknie. Nie zamierzałam dawać mu tej szansy.

Przemierzyłam bezszelestnie pokój, złapałam go prawą ręką za gardło i rzuciłam na ścianę za jego plecami. Równocześnie zamknęłam drzwi, ponownie pogrążając pokój w zupełnym mroku. Wciąż wyraźnie widziałam przybysza i wiedziałam, że nie potrafi mnie dostrzec.

- Co tu robisz? - warknęłam.

- Ja ... przepraszam za spóźnienie - wystękał. Mówił z ciężkim akcentem, przez co jego słowa było trudno zrozumieć. - Miałem problemy, żeby wyrwać się z baru.

- Z baru? O czym ty mówisz? Na co się spóźniłeś? Kim jesteś?

- Zostaw go, Miro - wtrącił Danaus spokojnym głosem, zanim nieznajomy zdążył

odpowiedzieć.

Odwracając głowę w prawo, zobaczyłam Danausa klęczącego na łóżku z nożem w rękę. Nawet nie słyszałam wcześniej, jak się poruszył.

- Zakradł się do pokoju - poinformowałam. Dalej trzymałam obcego za gardło, nie zwalniając uścisku. Jeszcze trochę, a zmiażdżyłabym mu tchawicę.

- On jest z Temidy.

Choć nie była to zbyt pocieszająca informacja, wystarczyła, bym dała mu trochę czasu. Puszczając go, cofnęłam się, pstryknęłam światło i przeszłam na drugą stronę pokoju. -

Miro, to Eduardo, jeden z niewielu łączników Temidy w Ameryce Południowej i jedyny ulokowany w Peru - wyjaśnił Danaus.

Gdy dotarłam do odległego kąta pokoju, obróciłam się na pięcie, by stanąć przodem do intruza. Wiedziałam, że nie wyglądam najlepiej, mimo to nie spodziewałam się z jego strony jakiegś

agresywnej reakcji. Eduardo próbował się cofnąć, ale już był przy ścianie, więc jedynie uderzył się w tył głowy. Otworzył szeroko ciemne piwne oczy i szybko przeżegnał się drżącą ręką. Wylał się z niego potok słów, ale nie wypowiadał ich ani po angielsku, ani też po hiszpańsku. Mogłam tylko zgadywać, że to dialekt keczua lub jednego z górskich rejonów w Andach, ale nie miałam pewności. Wiedziałam tylko, że te ciche słowa drażnią moją pamięć o nocach spędzonych na Machu Picchu; brzmią bardzo podobnie do dialektu używanego przed wiekami przez Inków. Przyglądali się torturom, jakie zadawali mi naturi, a ich ciche rozmowy wirowały wokół mnie.

- Przestań! - krzyknęłam, przyciskając dłonie do uszu i żałując, że nie mogę równie łatwo odciąć wspomnień. - Zamknij się! - Zacisnęłam powieki i zaczęłam się cofać, aż dotknęłam plecami ściany. Chwilę później otworzyłam oczy. Słyszałam stłumione kroki.

Obok mnie stał Danaus z zatroskaną miną.

- Co się dzieje? - zapytał, gdy odsunęłam ręce od uszu.

- Po co on tu jest? - Zignorowałam jego pytanie. Nie musiał wiedzieć, że przestraszyłam się duchów z przeszłości.

- Miał mnie obudzić przed zachodem słońca - wyjaśnił Danaus. Na ustach wciąż błąkał mu się niepokój i dostrzegałam troskę w jego oczach. Znałam myśli Danausa bez wnikania w jego umysł. Zastanawiał się, czy przypadkiem w końcu nie zwariowała. Może rzeczywiście do tego doszło. Odliczanie ostatnich minut przed śmiercią każdego doprowadziłoby do lekkiego szaleństwa. Już za kilka nocy stanę znów na ustronnej górze Inków; z jednej strony będą naturi, z drugiej ustawieni rzędem nocni wędrowcy, a ja pośrodku. Byłam jedyną nadzieją nocnych wędrowców na zakończenie tej wojny. Tyle tylko, że prawdopodobnie miałam po drodze zginąć.

- Odeślij go! - rozkazałam, mimowolnie przymykając powieki. Nie padły żadne słowa.

Słysząc było jedynie szybkie szuranie nogami, szcęk kłamki i wreszcie trzaśnięcie drzwi.

Otwierając oczy, odepchnęłam się od ściany. Danaus zszedł mi z drogi, pozwolił przejść i osunąć się na jedyne krzesło w pokoju.

Siedząc na zapadającej się poduszce krzesła, obitej spłowiałym zielonym materiałem, rozejrzałam się powoli po maleńkim pomieszczeniu, podczas gdy Danaus spoczął na brzegu łóżka. Obok szafy stała rachityczna komoda, wykonana, jak mi się wydawało, z płyty pilśniowej, a nie z dębowego drewna, które próbowała udawać. Podobna w stylu szafka nocna przycupnęła przy łóżku, które najbardziej rzucało się w oczy z powodu krzykliwej pasiastej narzuty. Były tu jeszcze jedne drzwi, prowadzące prawdopodobnie do łazienki. Pokój był

zadbany i czysty, ale sprawiał wrażenie starego, jak - by w jego długiej historii przetoczyło się przez niego zbyt wielu gości. Jedyną zaletą, jaką zdawał się mieć, był brak okien.

- Wyglądasz okropnie - oznajmił Danaus, przerywając ciszę. Szybko przeniosłam na niego wzrok i zauważyłam, jak się krzywi.

- Prześpij się w kufrze schowanym w szafie, a zobaczysz, jak sam będziesz wyglądał -

burknęłam, nie dbając o zjadliwy ton. Zerknęłam na swoją bawełnianą koszulkę i skórzane spodnie. Z roztargnieniem spróbowałam je wygładzić, ale na próżno. Wydawało mi się, że zagniecenia zostaną już na stałe.

- Nie to miałem na myśli - odparł spokojnie, nieporuszony moim tonem. Mogłam sobie wyobrazić, jak wyglądam. Musiałam znowu się pożywić. Powinnam to zrobić, zanim weszliśmy do samolotu w Savannah, ale odrzutowiec miał problemy podczas startu. Byłam zmuszona wy - konać serię nieplanowanych telefonów, żeby wszystko znowu grało i abyśmy mogli szybko wystartować, no i nie zostało czasu na posiłek. Zbyt wiele godzin upłynęło od chwili, gdy ostatnio się pożywiałam. Nie pomogło mi również to, że zostałam ranna na wyspie Blackbeard - byłam potem wycieńczona i podenerwowana - ani też magiczny trening, jaki przeszłam poprzedniej nocy.

Strach również głęboko odcisnął swoje piętno na moim ciele. Gdybym nadal była żywa, oddychałabym zbyt szybko, a serce waliłoby mi w piersi. A tak zwalczyłam tylko odruch, żeby potrzebę dłońmi kolana, przecież już się nie pociłam. Wiedziałam, co ujrzał

Danaus. Upiornie zbladłam, a moje lawendowe oczy były szeroko otwarte i błyszczały niemal bez przerwy. Gdyby przyjrzał mi się dokładniej, zobaczyłby lekkie drżenie moich palców.

- Muszę się pożywić. - Próbowałam nie zwracać uwagi na uczucie, jakby pożar rozchodził się w moich żyłach, odcinając racjonalne myślenie. Z nieco przesadnym westchnieniem położyłam łokieć na podpórce krzesła i oparłam głowę na rękę. - Gdzie jesteśmy?

- W Cuzco.

- Co? - Siadając prosto, zsunęłam się na brzeg krzesła. Ten nagły ruch sprawił, że Danaus skoczył na nogi i instynktownie sięgnął po broń. Wzdrygnęłam się w obronnym geście i zmusiłam, by powoli oprzeć plecy. Moja wybuchowa reakcja oraz kiepski wygląd sprawiały, że łowca brał nade mną górę, pomimo zawartego między nami rozejmu. Albo też, co gorsza, wyczuwał mój głód. Zdradził, że to potrafi, kiedy byliśmy razem na Krecie.

Zauważył, jak uczucie głodu pojawia się także w jego umyśle, gdy jesteśmy razem. Oboje prowadziliśmy ryzykowną grę, współpracując ze sobą z desperacji i rzadko obdarzając się zaufaniem.

- Mamy być w hotelu u podnóża ruin Machu Picchu - podjęłam spokojnym głosem, kiedy Danaus z powrotem przysiadł na brzegu łóżka. - Lub przynajmniej w Aguas Calientes.

Powinniśmy być bliżej tamtej góry.

- Mamy szczęście, że jesteśmy tutaj - odparł, ze znużeniem zwieszając ramiona. -

Samolot został skierowany do Limy w ostatniej chwili z powodu burzy w Cuzco. Po trzygodzinnym opóźnieniu wyruszyliśmy do Cuzco. Lądowanie było trudne z powodu silnego wiatru. Kolejną godzinę zabrało nam wyjście z lotniska. Było późne popołudnie. Wszystkie pociągi do Świętej

Doliny powracały już do Cuzco.

- I nic innego nie jechało w stronę Machu Picchu?

- To nie Ameryka Północna - przypomniał mi ponuro. - Są tylko dwa pociągi do Aguas Calientes i oba wyjeżdżają przed siódmą rano.

- A może by tak pojechać wynajętym samochodem?

- Sprawdziłem. Droga prowadzi tylko do Ollantaytambo. Stamtąd trzeba wziąć pociąg, który jedzie dwie godziny do Aguas Calientes.

- Jak można żyć w takim kraju! - zawołałam, odpychając się od krzesła. Przeczesałam obiema dłońmi potargane włosy, chodząc po pokoju. Obcasy moich butów stuknęły po drewnianej podłodze, a dźwięk ten odbijał się od cienkich ścian. Z pewnością nasi sąsiedzi z pokoju obok zorientowali się, że narasta we mnie zdenerwowanie.

- Miro, z jednej strony mamy Andy, a z drugiej amazońską dżunglę. Poszczyliło się nam, że w ogóle tu jesteśmy - oznajmił cierpliwie Danaus.

Opuściłam ręce.

- Racja. - Mieliśmy inny problem, którym i tak trzeba było się zająć. - Gdzie Shelly i Cynnia?

- W pokoju obok - odparł, gwałtownie poruszając głową.

- Jakież kłopoty? - spytałam i skierowałam się do drzwi, a Danaus podążył tuż za mną.

- Żadnych. Obie zachowywały się bez zarzutu. Tyle że ... - zamilkł, zanim dokończył

myśl.

Przystanęłam obok niego na korytarzu, blokując mu drogę do pokoju, który zajmowały nasze dwie towarzyszki.

- Co?

Danaus zmarszczył brwi i odwrócił wzrok, a jego spojrzenie powędrowało wzdłuż holu, zanim znów zatrzymało się na jakimś punkcie tuż ponad moim ramieniem.

- Nie miałem wyboru. W końcu musiałem zdjąć jej kajdanki, żeby przeprowadzić ją przez kontrolę bagażową. Troszczyłem się głównie o to, żeby nie przeszukiwali kufra. Shelly nie zdołałaby przesłonić ich umysłów tak, żeby ukryć przed nimi zarówno żelazne kajdany, jak i kufer.

- A więc ją rozkułeś? - wydyszałam, starając się nie podnosić głosu. Miałam ochotę potrząsnąć Danausem. Czyżby stracił rozum? Rozumiałam okoliczności, w jakich się znalazł, ale przecież rozkuł naszą więźniarkę! Powstrzymałam chęć przeczesania palcami włosów i ze złością ruszyłam

korytarzem. Zadowoliliam się zaciśnięciem zębów i pięści.

- Nie miałem wyboru. Zachowywała się dobrze przez cały czas. Pomogła nas ukryć.

Dzięki niej szybciej przeszliśmy przez bramki.

- I bez wątpienia powiadomiła też swoich współbraci, że przybyła do Cuzco - rzuciłam zirytowana.

- Być może - przyznał Danaus ze wzruszeniem ramion, wyciągając z kieszeni klucz do drugiego hotelowego pokoju. - Ale pomyślałem, że o to nam chodzi. Mamy do - prowadzić do starcia z Rowe'em przed złożeniem ofiary? Jeśli poinformowała ich, że jest w tym kraju, powinni się po nią zjawić.

- I zjawili się?

- Naturi są gdzieś blisko. W mieście, ale z tego, co wiem, żaden nie zbliżył się do hotelu.

- Ty też spałeś.

- Bo nie sądzę, by powiedziała im, że tu jest.

- Niby dlaczego?

Zapukał raz w cienkie drzwi hotelowego pokoju, zanim włożył klucz do zamka.

Przekręcając gałkę, spojrział na mnie ponuro ponad ramieniem swoimi ciemnoniebieskimi oczami.

- Bo jest w jeszcze gorszym stanie niż ty.

Zaskoczona tą uwagą, bez słowa weszłam za nim do małego pokoju, który wyglądał

tak samo jak nasz, tyle że miał niewielkie okno naprzeciwko drzwi. Shelly siedziała na łóżku, oparta plecami o wezłowie, powoli szlifując pilniczką paznokcie lewej dłoni. Cynnica z kolei spoczywała na podłodze w kącie, tak daleko od drzwi i okna, jak tylko się dało.

Obejmowała rękami ugięte kolana, a ramiona miała nadmiernie sztywne. Żelazne kajdany znowu zdobiły jej szczupłe nadgarstki. Słychać było w powietrzu leciutkie brzęczenie metalu, jakby ręce jej drżały.

- Wciąż tutaj jesteś - stwierdziłam z nieznacznym zdziwieniem w głosie.

- A gdzie miałabym być? - jej ciche słowa brzmiały niewiele głośniejsze od szumu wiatru.

Zazwyczaj blada, perłowa skóra była teraz ziemista, niemal szara, a jasnozielone oczy wydawały się przygaszone, gdy spoglądała niespokojnie z jednego końca pokoju na drugi.

- Z tego, co słyszałam, mogłabyś uciec, żeby spotkać się ze swoimi. Pełzają po całej okolicy jak

chmara karaluchów. Powinnaś dołączyć z powrotem do swojego stada.

- Po co? Żeby trafić do kolejnej grupy która pragnie mojej śmierci? A jeśli Rowe wierzy w to, co o mnie mówią? Zabije mnie na miejscu. Albo jeszcze gorzej... - przerwała, przeczesując drżącą ręką swoje proste, brązowe włosy - ... przekaże mnie Aurorze, kiedy uda jej się przejść przez wrota.

- Po pierwsze, Aurora nie przejdzie przez wrota. Pozostaną zamknięte! -

powiedziałam, podchodząc i stając przed nią. Kiedy znalazłam się o niecały krok od niej, przykucnęłam i podparłam się na kostkach lewej dłoni, jeszcze bardziej, zapędzając Cynnę w kąt. - A po drugie, dlaczego miałabyś zostawać z naszą grupą, skoro też zamierzamy cię zabić?

- Dlatego, że ty przynajmniej nadal mnie potrzebujesz - odparła, unosząc lekko podbródek.

Cofnęłam się trochę, ale pozostałam na miejscu, przy - kucnięta, krzywiąc lekko kąciki ust.

- Nie na tyle, żebym sama tak bardzo ryzykowała. Nie mam powodu cię chronić i narażać siebie, a do tej pory niewiele dałaś mi powodów, żebym utrzymała cię przy życiu.

- Chroniłam cię, kiedy spałaś! - zawołała, wychylając się do przodu. - Słońce było wysoko, a tamci faceci mogliby zechcieć zajrzeć do kufra, który niósł Danaus, gdybym cię me osłoniła.

- Czemu to robisz?

- Czy chodzi ci o inny powód niż ten, że Danaus od razu wyrwałby mi serce, gdybym tylko wydała, gdzie jesteś? - Wykrzywiła brzydko usta. - Potrzebuję cię. Potrzebuję twojej ochrony przed resztą istot z mojej rasy. A zwłaszcza przed Rowe'em. To partner mojej siostry.

Jeśli ona próbuje mnie zabić, to przypuszczam, że on z radością spełniłby jej rozkazy.

Uśmiechnęłam się szeroko, ukazując moje idealnie białe kły.

- A więc potrzebuję od ciebie czegoś więcej niż tylko zwykłego ochronnego zaklęcia.

Cynnia westchnęła ciężko i pochyliła głowę tak, że czołem dotknęła kolan. Kiedy się odezwała, jej głos był stłumiony, ale i tak z łatwością zrozumiałam, co mówi.

- Tutaj są dziesiątki naturi. Ponad setka. Są w mieście i w górach. Wszędzie.

- Wyczułaś to, kiedy Danaus zdjął ci kajdanki?

- Potrafię to zrobić nawet w kajdanach. Wyczułam ich, kiedy moje stopy dotknęły ziemi. - Uniosła głowę i napotkała mój wzrok, ukazując szkliste zielone oczy. Patrzyła na mnie, ale miałam wrażenie, że tak naprawdę mnie nie widzi. - Ziemia jest tu przesiąknięta mocą. Czuję ją wszędzie. W ziemi, w powietrzu, w zwierzętach, które się czają w ciemnościach i w okolicznych lasach. Rowe ma wystarczająco dużo mocy, żeby otworzyć wrota pomiędzy naszymi dwoma światami. Może zupełnie zburzyć mury i zniszczyć klatkę, która nas więzi. Na górze zwanej Machu Picchu występuje

największe nasilenie mocy, ale cała dolina też jest przepelniona energią. Nocni wędrowcy nie mają szansy, jeśli planujesz zmierzyć się tutaj z naturą.

Przysiadłam na moment na piętach, spoglądając na Cynnę. Nie wydawała się triumfować, czego można by oczekiwać po kimś, kto przepowiada całkowite unicestwienie mojej rasy w starciu z naturą. Wydawała się raczej smutna, niemal załamana, gdy tak siedziała na podłodze, ze zwieszonymi ramionami i przymkniętymi oczami, w których w słabym świetle połyskiwały łzy.

- Danausie, czy wciąż masz te trzy zdjęcia, które mi pokazywałeś? - spytałam, nie odrywając wzroku od Cynnii. Zdawało się, że ona chętnie ze mną rozmawia i miałam wrażenie, że mówi mi prawdę.

- Co takiego?

Odwróciłam się, by spojrzeć na łowcę, który wpatrywał się we mnie ze zdezorientowaną miną, opierając pięści na biodrach. Wyglądał, jakby był gotowy do ataku, ale przez chwilę nie byłam pewna, kogo zamierza bronić, mnie czy Cynnii.

- Kilka miesięcy temu w barze pokazałeś mi plik zdjęć z symbolami na drzewach.

Masz je jeszcze?

- Tak, w torbie - odparł, wskazując kciukiem w stronę naszego wspólnego pokoju.

- Przynies je.

Danaus przez chwilę patrzył na mnie dziwnie, po czym wyszedł z pokoju. Usłyszałam, jak Shelly zsuwa się z łóżka i podchodzi do miejsca, gdzie Cynnii i ja wciąż siedziałyśmy na podłodze.

- Czy jest coś, co mogę zrobić? Po przyjeździe do hotelu Danaus powiedział, że mam nie rzucać sennego uroku na Nię.

- Na Nię? - powtórzyłam, przenosząc wzrok z Shelly na Cynnę, która uśmiechnęła się do mnie słabo, wzruszając jednym ramieniem.

- To taki przydomek - wyjaśniła i cicho westchnęła oraz pokręciła lekko głową. -

Właściwie tylko Nyx mnie tak nazywała. Nie mam nic przeciwko, żeby i Shelly tak do mnie mówiła - ciągnęła. - Jest dla mnie miła.

Zacisnęłam zęby i przymknęłam oczy, aby nie warknąć na nie zirytowana. Cynnii była więźniem. Wciąż to powtarzałam, ale wydawało się, że jestem jedyną osobą, która tak naprawdę wierzy w tę bajkę. Cynnii to nie szczeniak ani złota rybka, trzymane dla rozrywki.

Nie powinniśmy zaprzyjaźniać się z istotą, którą ostatecznie zamierzałam uśmiercić.

- Jeśli nie rzuciłaś sennego uroku, to co takiego wy - czuwasz teraz w powietrzu? -

zapytałam Shelly, kiedy już się upewniłam, że mój głos zabrzmiał cicho i spokojnie.

- Zaklęcie osłaniające.

- W takim razie nie działa. Od razu zobaczyłam Cynnę, kiedy weszłam do pokoju - powiedziałam, ściągając brwi.

- To nie jest zaklęcie, które działa na nocnych wędrowców. Ma wpływać tylko na naturę - wyjaśniła Shelly. - To specjalny rodzaj uroku.

- Nie widzę w tym sensu. Taki urok nie podziała na naturę. Kiedy się nauczyłaś zaklęcia, które działa wyłączone - nie przeciwko naturze?

- Nie nauczyłam się tego.

Odwrociłam raptownie głowę, by spojrzeć na naturę, która wciąż siedziała przede mną, a na jej bladych ustach widniał niepewny uśmiech.

- Potrzebowała pomocy - rzekła - a ja nie mogę całkowicie polegać na tobie, jeśli chodzi o moją ochronę. Znam kilka sztuczek. Skoro sama nie mogę ich stosować, chyba nie zaszkodzi, jeśli nauczę ich Shelly.

Nie do końca podobał mi się pomysł, żeby Cynnia uczyła Shelly magii, kiedy mnie nie ma w pobliżu. Ale właściwie nie miało znaczenia, czy byłam obecna, czy nie. Nie znałam się tak dobrze na magii, żeby rozpoznać, czy Cynnia rzeczywiście uczy Shelly zaklęcia osłaniającego, czy też może ułatwiającego tropienie. Gryzło mnie, że tak naprawdę muszę zaufać Cynnii, choć wcale mi to nie odpowiada.

Danaus akurat wszedł z powrotem do pokoju, dzięki czemu udało mi się powstrzymać od wypowiedzenia nie - grzecznej uwagi.

- Czy jacyś ludzie są w hotelu lub w jego pobliżu? - zapytałam, gdy tylko zamknął

drzwi i ponownie przekręcił klucz w zamku. Poczułam, jak jego moce wydostają się z ciała i wypełniają pokój, a potem przepychają się na zewnątrz i zalewają cały budynek. Zamykając oczy, wysłałam swoje moce, łącząc się z jego energią w taki sposób, że sięgnęłam poza hotel.

Nie mogłam wyczuć nic poza rozproszonymi w mieście tu i ówdzie ludźmi oraz nocnymi wędrowcami, ale musiałam poczuć ciepłą energię Danausa, żeby uspokoić swoje zszargane nerwy.

Powinnaś się pożywić, odezwał się w moim umyśle, gdy nasze moce się połączyły.

Wkrótce, odparłam szeptem; nie trzeba było mi o tym przypominać.

Głód zaczyna cię rozpraszać. Poradzę sobie z tym.

Nie tylko ciebie to dekoncentruje.

Coś we mnie miało ochotę się uśmiechnąć, gdy przypominałam sobie, że Danaus również może poczuć mój głód. Im bardziej narastało we mnie pragnienie krwi, tym trudniej było Danausowi przebywać obok mnie. Nigdy nie wyjaśnił mi dokładnie, jak to na niego wpływa, ale mogłam się założyć, że konsekwencje nie są przyjemne. Co do mnie, głód podsycił mój drapieżny charakter, sprawiając, że stawałam się bardziej agresywna i skłonna do podejmowania niepotrzebnie go ryzyka. A wtedy często posiłek zmieniał się w akt seksualny, gdy partner okazał się odpowiedni, choć nie był to warunek konieczny.

Bez żądy krwi tkwiącej w moim mózgu zaspokaja - nie głodu nie było niczym bardziej ekscytującym niż hamburger w barze szybkiej obsługi. Kiedy jednak otaczający świat pokrywała mgiełka krwi, pożywianie bywało wręcz ekstatyczne. A to zdecydowanie kazało mi pomyśleć o moim drogim Danausie.

- Parę przecznic dalej jest kilkoro naturi, ale w hotelu wyczuwam tylko Cynnę - rzekł wreszcie. - Właściwie nie do końca ją wyczuwam.

- Co z tymi zdjęciami? - Wyciągnęłam rękę w jego kierunku.

Wcisnął mi w otwartą dłoń plik kolorowych fotografii.

Ich brzegi pomarszczyły się i wytarły podczas podróży. Do tej pory przejechały z Savannah do Asuanu, Londynu, Wenecji, Iraklionu i z powrotem do Savannah.

Zdumiewające, że przetrwały.

- Danausie, chcę, żebyś wziął ze sobą Shelly i zorganizował jakieś jedzenie dla niej i dla Cynnii. Naturi zaczyna wyglądać trochę blado, a nie chcę, żeby umarła za wcześnie -

powiedziałam, nie spuszczać oka z wpatrującej się we mnie Cynnii.

- Nie podoba mi się to, Miro - rzekł, nie ukrywając dezaprobaty. Wyczuwałam jego niepokój i złość, smagające moje plecy, gdy stał tak blisko mnie.

- Nie oczekiwałam od ciebie słów uznania - rzuciłam. - Po prostu zrób to, co mówię, i to szybko. Obiecuję, że nie zabiję jej, kiedy cię tu nie będzie.

- Miro, proszę, nie mów tak. Nia zgadza się na wszystkie twoje żądania - wtrąciła Shelly. - Może znajdziemy jakiś inny sposób.

- Shelly, wynoś się stąd. Weź ze sobą Danausa. Jeśli chcecie mieć pewność, że Nia będzie bezpieczna, to proponuję, żebyście przestali się guzdrać.

Nikt już się więcej nie odezwał. Rozległ się tylko odgłos kroków i trzaśnięcie drzwiami. Uśmiechnęłam się znacząco do Cynnii, która patrzyła na mnie ze zmęczoną twarzą bez wyrazu.

- Wreszcie same - powiedziałam.

- Nie zabijesz mnie - oświadczyła śmiało Cynnia, unosząc podbródek w chwilowym przypiływie odwagi.

Zaśmiałam się z niej, odchylając głowę do tyłu i sadowiąc się z powrotem na podłodze ze skrzyżowanymi nogami.

- Oczywiście, że w końcu cię zabiję. Ale na razie wydaje się, że chcesz mi pomóc i, jeśli jeszcze na to nie wpadłaś, to zamierzam przyjąć tę pomoc, żeby trzymać twoją siostrę zamkniętą w jej świecie. Chętnie też skorzystam z twojego wsparcia w walce z Rowe'em, a więc wygląda na to, że jesteśmy po tej samej stronie.

- Tak jak ty i Danaus. On jest łowcą nocnych wędrowców, prawda?

- Tak, ale między tobą a nim jest bardzo wyraźna różnica. - Uśmiechając się ponownie, pochyliłam się do przodu, opierając łokcie na kolanach. - Nie odczuwam do Danausa nienawiści każdą komórką swojego ciała. To, co dzieje się między mną a nim, wciąż stoi pod znakiem za - pytania. Kiedy to wszystko się skończy, chętnie pozwolę mu odejść. A tobie? Nie za bardzo.

- A więc co mogę zrobić, żebyś pożyła dłużej?

- Spójrz na to. - Wręczyłam jej zdjęcia drzew, które Danaus pokazał mi kilka miesięcy wcześniej; te same, od których zaczęła się ta długa i straszna przygoda. Dwanaście fotografii, przedstawiających dwanaście różnych gatunków drzew. Na każdym z nich wyryto inny symbol. Ani Danaus, ani ja nie zdołaliśmy wykoncypować, co one oznaczają, ale teraz mieliśmy naturi do swojej dyspozycji. Ta tajemnica mogła w końcu doczekać się wyjaśnienia.

Cynnia poruszyła się powoli, krzyżując nogi przed sobą, aby łatwiej jej było rozłożyć zdjęcia na podłodze. Przejrzała je, zatrzymując wzrok na każdym z symboli przez niecałą sekundę, zanim przeszła do następnego.

- Drzewa - mruknęła. Mniej więcej tak samo zareagowałam na ich widok wcześniej, ale nie spodziewałam się tego po naturi. To było ich pismo. Musiało coś dla niej znaczyć.

- Też zauważyłam, że te znaki są na drzewach - zakpiłam, zaciskając zęby i trzymając nerwy na wodzy. - Miałam nadzieję, że nas oświecisz i wyjaśnisz, co oznaczają te symbole. -

Gdybym nie wiedziała lepiej, stwierdziłabym, że się ze mnie nabija.

- Nie jestem pewna.

- Co to znaczy, że nie jesteś pewna? Jak to możliwe? - Wzięłam z podłogi kilka zdjęć i potrząsnęłam nimi. - To wasz język, prawda? Wasze pismo?

- Tak, ale niektóre z tych znaków to symbole stosowane w zaklęciach. Nie jestem aż taka dobra w rzucaniu uroków. Umiem tylko chronić siebie, tylko tego mnie nauczyli.

Nagle wydało mi się to dziwne. Dlaczego Auroranie dopilnowała, żeby jej młodsza siostra była biegła w sztukach magicznych? Cynnia nigdy nie próbowała fizycznie nas zaatakować i współpracowała z Danausem, kiedy miała jedyną okazję do ucieczki, gdy zdjęto jej kajdanki. Czyżby Aurorze zależało, by Cynnia nie nabrała sił? Była to myśl, którą przez chwilę roztrząsałam.

Rozłożyłam dwanaście zdjęć na podłodze między nami w trzech równych rzędkach.

Powoli wciągnęłam powietrze, żeby się uspokoić. Tym razem poczułam swoisty zapach Cynnii, przebijający przez stęchłą woń kurzu i jakiegoś środka do mycia z pobliskiej łazienki.

Cynnia pachniała jak wiosenny deszcz i żółte tulipany.

- Czy możesz coś z tego odczytać? - zapytałam, czując się nieco spokojniej.

- Tak, niektóre z tych znaków to słowa, ale nie wiem, w jakim są porządku. - Wzięła zdjęcie drzewa przypominającego brzozę. - To oznacza „otworzyć”, a to „przywitać” -

mówiła dalej, biorąc kolejną fotografię przedstawiającą jakby palmę. Odłożyła te dwa zdjęcia na bok i zaczęła przeglądać resztę. - To tutaj odnosi się do „zmęczonego podróżnika” -

powiedziała, kładąc na bok fotografię świerku srebrzystego.

Kiedy wyciągała zdjęcia z trzech rzędów, ja starannie układałam je na nowo, aby wyraźnie je widziała. Jak dotąd nic nie miało dla mnie sensu, ale liczyłam, że kiedy lepiej rozgryziemy tę zagadkę, obraz stanie się jaśniejszy.

- Tego nie da się jasno przetłumaczyć z naszego języka na wasz - powiedziała, wyciągając zdjęcie z drzewem przypominającym klon.

- Możesz podać mi jakieś przybliżone znaczenie?

- Może ... „zapomniana ścieżka”. Albo „ukryta droga”.

Nie wydawało się to zbyt pocieszające i poczułam ucisk w żołądku. Musiałam jeszcze odgadnąć, po co naturi taki zbiór symboli, i czułam tym większy niepokój, im bardziej zbliżał

się wieczór zrównania dnia z nocą i czas złożenia ofiary. Rowe najwyraźniej miał coś specjalnego w zanadrzu.

Ułożywszy zdjęcia w dwóch rzędach po cztery sztuki, Cynnia przestała je wybierać i zmarszczyła w skupieniu brwi, przyglądając się im wszystkim. Co jakiś czas prze - stawiała je, układając w innym porządku, po czym znowu kręciła głową, jakby to, czego szukała, nie chciało się po - jawić.

- Czy jest tu jeszcze coś, co rozpoznajesz? Westchnęła, wędrując wzrokiem po pozostałych ośmiu fotografiach. Zauważyłam, że jej ręka zdrząła lekko, gdy sięgnęła po jedno zdjęcie, znajdujące się dalej, po mojej lewej stronie. Już od dawna mi się nie podobało.

Trudno było rozpoznać ten przyciemniony kształt, ale przypominał symbol wyryty w ciemnej, grubej korze żywego dębu, podobnego do setek dębów rosnących w historycznej dzielnicy mojego ukochanego Savannah.

- Ten oznacza „dom” - powiedziała Cynnia, po czym pokręciła głową. - Ale nie tylko w sensie miejsca, gdzie się mieszka. To taki dom jak Ziemia - nasz dom.

Kiwając głową, wzięłam od niej to zdjęcie i dorzuciłam do stosu tych, które już rozpoznała.

- A co z resztą?

- To tylko symbole magiczne. Według mnie nie oznaczają słów, pojęć ani zdań.

Stosowane są w jakimś zaklęciu.

- Zaklęciu? A nie wiadomości?

- Wątpię, czy to jakiś rodzaj przekazu, chyba że naturi z tej strony wrót opracowali własny rodzaj skróconego języka lub bazy symboli. To możliwe, ale wydaje się, że te drzewa pochodzą z różnych części świata. Trzeba by zobaczyć większą część wiadomości, jeśli nie całą, żeby znaleźć w tym sens. Te tutaj nie mają dla mnie sensu - przyznała. Podniosła jedno ze zdjęć, którego nie rozpoznała, i pokręciła głową, po czym położyła je z powrotem na podłodze. - Myślałam o symbolu, o tym, co przypomina, i możliwym powiązaniu z gatunkiem drzewa, na jakim się znajduje, ale nic nie przyszło mi do głowy. Dlaczego niektóre słowa są łatwo rozpoznawalne, a reszta wydaje się po prostu bez sensu?

- Potrzebuję odpowiedzi, Cynnio, a nie kolejnych pytań - rzuciłam, opierając głowę o rękę i kładąc łokieć na prawym kolanie.

- Przepraszam.

Spojrzałam na nią gniewnie, unosząc wargę, by ukazać jeden z moich kłów. Szybko uniosła ręce zakute w kajdany, jakby chciała mnie odeprzeć.

- Mówię poważnie. Przykro mi, że nie mogę ci w tym pomóc. Pomoc tobie oznacza, że pożyczę trochę dłużej.

- A więc jesteś skłonna sprzedać swoich, żeby tylko jeszcze trochę pożyczyć?

- Nie - odparła szybko i zmieszła się, spoglądając na żelazne kajdany na swoich nadgarstkach. - Niezupełnie. - Wciągnęła powoli powietrze i zamknęła oczy, powstrzymując łzy, które nagle napłynęły jej do oczu. - Nie powiedziałam ci nic, co zagroziłoby moim ziomkom. Rzucili jakieś czary, posługując się symbolami na drzewach, ale nie po - trafię ci powiedzieć, co to za urok. To naprawdę wykracza poza moją wiedzę.

- A gdyby nie wykraczało? Gdybyś potrafiła rozpoznać to zaklęcie, czy powiedziałabyś mi, co to takiego? - spytałam, prostując plecy i przyglądając się jej uważnie.

- Ja ... nie wiem - odparła Cynnica. - Nie mam pojęcia, co bym wtedy zrobiła. To moi bracia i wiem, że powinnam uczynić, co w mojej mocy, żeby ich chronić. A według naszego prawa oznacza to zabijanie wszystkich nocnych wędrowców i ludzi, jakich napotykamy. Oni jednak nazwali mnie zdrajczynią, kiedy wcale ich nie zdradziłam. - Pokręciła głową i spod prawej powieki wypłynęła jej łza, którą szybko otarła, brzęcząc łańcuchem. - Zostawili mnie, żebym zginęła z ręki osławionej Krzesicielki Ognia, bo bali się sami zabić siostrę swojej królowej. Zostawili tobie brudną robotę, nie mieli wątpliwości, że zapewnisz mi bolesny i koszmarny koniec.

- Pytam więc: czemu ich chronisz? - Było to pytanie, które w ostatnich kilku miesiącach musiałam wielokrotnie zadawać sama sobie. I za każdym razem zastanawiałam się, czy nie popełniłam błędu.

- Bo to właściwe.

Uśmiechnęłam się do niej, poruszając głową.

- A co to niby oznacza? To prawdziwa zagadka w tym całym bałaganie. Naprawdę życzę ci powodzenia w poszukiwaniu odpowiedzi. Ja sama jeszcze jej nie znalazłam.

Rozległo się pukanie do drzwi i moja ręka instynktów - nie powędrowała w stronę noża przy boku, choć wyczułam już, że zbliża się Danaus, a Shelly podąża korytarzem tuż za nim.

- Miro, nie okłamie cię - zapewniła szybko Cynnica, zanim Danaus wszedł do pokoju. -

Gdybym miała wyjawic ci coś, co zaszkodzi moim braciom albo ich zdradzi, i musiałabym cię oszukać, po prostu ci tego nie powiem.

- A wtedy cię zabiję.

- Ginie się czasem z gorszych powodów - odparła.

Rozdział 18

Po tym jak Shelly i Cynnica zajęły się jedzeniem, Danaus poszedł ze mną z powrotem do drugiego pokoju hotelowego. Trudno przyznać, że razem w nim mieszkaliśmy. Jemu przypadło łóżko, a ja, oczywiście, byłam skazana na swój kufer w szafie. Nie był to szczególnie sprawiedliwy podział, ale niestety konieczny.

- Potrzebna mi jakaś broń - stwierdziłam, kiedy zamknął za mną drzwi na klucz.

Skinął głową, wyciągnął spod łóżka swój czarny worek marynarski i rzucił go z hukiem na materac. Otworzył go i zaczął w nim grzebać. Wyjął różne noże w dopasowanych pochwach, które mogłam przypiąć do pasa albo przymocować do kostek pod nogawkami spodni.

- Dokąd się wybieramy? - spytał, kiedy obciągnęłam nogawkę, zasłaniając ostatni nóż.

- Ja idę coś przekąsić - powiedziałam, spoglądając na niego. Danaus zmarszczył czoło, nerwowo obracając w palcach srebrny nożyk i gapiąc się na łóżko.

- Miro, nie wiem, czy ja ... - zaczął, ale głos szybko mu się załamał. Wiedziała, co zamierza powiedzieć. Nie był pewien, czy może mi towarzyszyć w takiej łowieckiej wyprawie, ponieważ nadal nie potrafił mnie do końca zaakceptować. A jednak uważał, że powinien pozostać u mojego boku i starać się zachować mnie przy życiu.

Uśmiechnęłam się i podeszłam do niego. Ostrożnie wyjęłam mu z zeszywniałej dłoni nóż służący do rzucania, głównie po to, żeby przypadkowo nie zrobił nim krzywdy sobie lub mnie. Danaus popatrzył na mnie z góry, a jego ciemnoniebieskie oczy zwęziły się nieufnie.

- Wcale cię nie namawiam - odpowiedziałam cicho. - Nie chcę się martwić o to, czy dotrzymasz mi kroku.

- Z tym nie mam problemów, wampirzyco - rzucił, ale złościł się tylko na niby.

- Do tej pory nigdy nie było cię ze mną, kiedy polowałam - drażniłam się z nim.

Wyciągnęłam rękę i odgarnęłam kosmyk czarnych włosów, który opadł mu na czoło i częściowo przesłonił oczy. Danaus chwycił mnie za nadgarstek i mocno uścisnął, żebym tak łatwo się nie uwolniła.

- Nie chodzi o twoje łowy - powiedział miękko.

- Wiem.

- Ale o to, że Rowe na ciebie poluje.

- Liczę na to. Chcę go zwabić, żeby na mnie czekał. Muszę się z nim rozmówić jeszcze raz. - Poruszyłam lekko nadgarstkiem, ale Danaus mnie nie puścił, chociaż nieco rozluźnił uścisk.

- A ja nie chcę, żebyś spotykała się z nim sama. Mógłby cię zabić, zanim powiesz słowo.

Pokręciłam na to przecząco głową, choć ucieszyło mnie, że Danaus tak się o mnie troszczy.

- To nie w stylu Rowe'a. Mogę się założyć, że chce mnie pozostawić przy życiu, żebym zobaczyła jego zwycięstwo w ruinach Machu Picchu. Mnie zależy tylko na tym, żebym nie trafiła tam jako jeniec, a Cyn ni a daje mi gwarancję, że tak się nie stanie. Rowe będzie chciał ze mną pogadać.

Danaus powoli mnie puścił, pocierając delikatnie kciukiem mój nadgarstek. Dotykał

żyły, która pulsowała, gdybym nadal była człowiekiem. Łowcy nie bardzo odpowiadał mój plan, jednak pozwolił mi iść samej. W każdym razie tak stwierdził, chociaż nie miałam wątpliwości, że będzie czuwał z oddali i mnie osłaniał. Musiałam go czymś zająć.

- Jak się posilę i spotkam z Rowe'em, będę musiała porozmawiać ze wszystkimi nocnymi wędrowcami, którzy są w mieście - oznajmiłam.

- Z miejscowymi?

Cicho się zaśmiałam i pokręciłam przecząco głową, odstępując parę kroków od łowcy.

Kiedy znowu na niego zerknęłam, na mojej bladej twarzy pojawił się cień uśmiechu. - Tak się nie mówi w Ameryce Południowej. Żaden znany mi nocny wędrowiec nie nazywa tego kontynentu domem. To jest terytorium naturi. I zawsze było.

Wyczuwałam, jak wokoło nocni wędrowcy budzą się i zaczynają poruszać się po mieście. Wszyscy zostali tu przysłani przez Sabat w jednym celu, co wyjaśniało ich silne zaniepokojenie. Niestety, strach łatwo przeradza się we wściekłość i przemoc. Musiałam zapanować nad tą grupą, zanim zaczną ginąć ludzie.

- Musimy ruszać - powiedział Danaus, wsuwając dłonie w kieszenie. Wcześniej, w Savannah, nosił się dość swobodnie, ale teraz znowu ubrał się w czarne porządne spodnie, a jego czarny podkoszulek wyglądał na nowy.

- Czy znasz jakieś miejsce, gdzie mogłabym zwołać nocnych wędrowców? Duże, takie gdzie bywają ludzie.

- Jest pewien bar o parę przecznic stąd. Nazywa się Norton Rat's. Blisko głównego placu i dosyć spory. Eduardo tam pracuje.

- Dobrze. - Kiwnęłam głową, podeszłam do łóżka, a potem z powrotem do Danausa. -

Wybierz się tam i sprawdź, czy Eduardo pomoże ci zorganizować jakieś furgonetki lub autobus. Tej nocy musimy przebyć przynajmniej część drogi do Machu Picchu.

- A ty?

- Ja zapoluję, rozmówię się z Rowe'em i spotkam się z tobą w tamtym barze za niecałą godzinę - powiedziałam.

- Na pewno?

- Oboje wiemy, że nie pozwoliłbyś mi się pożywić, a muszę tej nocy coś upolować.

Sama. Poradzę sobie z Rowe'em i z naturi, których może na mnie napuścić - oznajmiłam stanowczo.

Jeśli Danaus chciał coś na to powiedzieć, to słowa uwięzły mu w gardle. Wiedziałam, co go niepokoi. W mieście byli naturi. Nie potrafiłam ich wyczuć, ale uwierzyłam Cynnii, kiedy powiedziała, że jest ich ponad setka. Cała okolica się od nich roiła.

- Dam sobie radę. Wierz mi, jak wpadnę w tarapaty, dowiesz się o tym. - Błysnęłam złośliwym uśmiechem, groźnie ukazując kły. Gdybym musiała, podpaliłabym pół tego miasta, żeby tylko zetrzeć garstkę naturi z powierzchni ziemi.

- Ten bar jest tuż przy Plaza de Armas. Dochodzi się do niego przez Hostal Loreto -

wyjaśnił Danaus, akceptując w końcu moją decyzję. Potem wyszedł z pokoju bez słowa. Nie zapytałam, ilu naturi jest w mieście, a on mi nie powiedział. Najwyraźniej uznał, że będzie lepiej, jak się nie dowiem, ilu ich tak naprawdę czai się w pobliżu.

Kiedy drzwi się zamknęły, otworzyłam szybko plecak z ciuchami i wysypałam jego zawartość na łóżko, żeby się przekonać, co takiego zabrałam w pośpiechu, zanim wy -

biegłam z domu, by załapać się na opóźniony lot. Zrzuciłam z siebie koszulkę, założyłam inną z głębszym dekoltem, potem koszulę z długimi rękawami, bardzo obcisłą, a na nią jeszcze jedną bluzkę, zapinaną na guziki. Chociaż w Stanach dopiero zaczynała się jesień, w Peru kończyła się zima i oczekiwano oficjalnego nadejścia wiosny. Zimno mi nie przeszkadzało, ale usztywniało mi mięśnie, a musiałam być maksymalnie zwinna, skoro miałam zmierzyć się z Rowe'em.

Pospiesznie przeczesalam włosy szczotką i upięłam je na czubku głowy, żeby nie wpadały mi do oczu. Tuż przed wyjściem z pokoju zatrzymałam się przed stertą ubrań, które wysypałam z plecaka. Po co się znowu pakować? Walka w Machu Picchu zbliżała się wielkimi krokami. Tam ciuchy nie będą już potrzebne; nie trzeba będzie się też zamartwiać, co założyć na powrót do domu. Tak, zamierzałam walczyć z naturi, z Jabarim i, jak będzie trzeba, także z Danausem. Jednak moje szanse wydawały się nieduże.

Warknęłam, odwróciłam się w ostatniej chwili i wpakowałam wszystkie ubrania z powrotem do plecaka. Działy się już dziwniejsze rzeczy. Do diabła, przecież naturi buszowali w głównej siedzibie Sabatu. Może więc uda mi się przeżyć i tę zadymę.

Nie minęła jeszcze ósma, kiedy wyszłam na ulicę. Noc dopiero się zaczynała, a mnie wprost skręcało z głodu. Wszystkie moje instynkty zaklinały, żebym zastosowała typowy dla siebie styl polowania i powoli podeszła ofiarę. Zazwyczaj w takich sytuacjach wtapiałam się w tłum ludzi, którzy nadal pozostawali na ulicach, i nasłuchiwałam ich myśli, aż w końcu coś przyciągnęło moją uwagę, ale tej nocy nie mogłam sobie pozwolić na taki luksus. Bez wątplenia gdzieś w tłumie mógł się zaciaić Rowe i mnie wypatrywał. Musiałam się solidnie pożywić, zachowując przy tym ostrożność. Bałam się tylko, że w pośpiechu schwytam jakiegoś naturi i napiję się zatrutej krwi.

Z czystej konieczności moje polowanie sprowadziło się do zajęcia możliwie wygodnego miejsca w zaciemnionej niszy między dwoma wysokimi kamiennymi budynkami i mentalnego przywoływania kolejnych ludzi. Wybierałam tylko postawnych mężczyzn, dwudziesto kilkuletnich lub tuż po trzydziestce. Musiałam być pewna, że nie zemdleją od utraty małej ilości krwi. Pożywiłam się na czterech facetach, a wszyscy odeszli bez śladu wspomnienia o tym zdarzeniu. Sama czułam się zbrukana całą tą przygodą, ale wyparłam z myśli wszelkie obiekcje.

Posilona, oparłam się o mur, przesuwając językiem po kłach. Odesłałam swoją ostatnią ofiarę, wymazując z jej głowy wspomnienia o naszym spotkaniu. Zerwał się wiatr i przelatował przez miasto, trzepocząc wściekle flagami. Drzewa się kołysały, a chmury kłębiły i przemykały po niebie, całkiem przesłaniając gwiazdy. Ziemia wydawała się rozgniewana.

Po opuszczeniu hotelu i wyjściu na ulicę od razu wyczułam tę moc, przed którą ostrzegała nas Cynnia. Nie była tak potężna jak w pałacu w Knossos na Krecie, ale znajdowała się i tu, uderzała we mnie,

próbując wnikać w moje ciało. Nadal przebywaliśmy wiele kilometrów od ruin Machu Picchu. Nie sądziłam, że poczuję ją tutaj, ale nie było wątpliwości, że Matka Ziemia roznieca tę energię, która niemal iskrzy w powietrzu wokół

mnie. Miałam wręcz wrażenie, że dzięki tej mocy naturi stają się jeszcze bardziej niebezpieczni. Zyskiwali świeżą siłę, z której mogli czerpać.

Pijąc krew swoich ofiar, zapoznałam się szybko z planem miasta i odkryłam, że jestem tylko o parę przecznic od placu, o którym wspomniał mi Danaus przed wyjściem z hotelu.

Pamiętając o tym, ruszyłam w przeciwnym kierunku, w stronę innego, mniejszego placu.

Odeszłam od tłumu i od miejsca, gdzie, jak wyczuwałam, zgromadziło się najwięcej nocnych wędrowców. Jeśli miałam w końcu wywabić Rowe' a, musiałam się znaleźć na osobności.

I wyczułam moment, kiedy to zadziało. Podeszłam do placu od południa, z rękami w kieszeniach skórzanych spodni, próbując rozgrzać trochę palce zeszywniałe od porywistego wiatru. Okrążyłam brukowany chodnik, który prowadził do placu, pośrodku którego stał

pomnik jakiegoś zapomnianego bohatera. Uschnięta trawa i patyki chrzęściły cicho pod gumowymi podeszwami moich butów; trzymałam się w pobliżu cienia drzew, gdzie nie było mnie wyraźnie widać, kiedy szłam w ciemnościach.

Nie wyczuwałam obecności nikogo - ani nocnego wędrowca, ani człowieka. I, oczywiście, żadnego naturi w okolicy. Trochę mnie kusilo, żeby z daleka porozumieć się z Danausem i zapytać, czy mógłby dla mnie przeczesać teren, ale szybko powściągnęłam tę chęć. Nie było sensu jeszcze bardziej denerwować łowcy.

Nagle coś ścisnęło mnie w żołądku, kiedy stanęłam między wejściem na plac a monumentem w jego centrum. Zmarznięta, powoli zwróciłam głowę w lewo i w prawo, jednocześnie opuszczając dłoń i ujmując nią nóż przy boku. Rozległ się szelest ubrania i w mgnieniu oka przeszłam do działania. Przetoczyłam się w lewo, wyciągnęłam nóż prawą ręką i na chwilę przerzuciłam go do lewej dłoni. Znowu się podniosłam i stanęłam oko w oko ze stworzeniem, które zakradało się od tyłu.

Rowe, jednooki naturi, uśmiechał się do mnie, trzymając swoje czarne skrzydła przy ciele, a w prawym ręku długi nóż. W srebrnym ostrzu odbijał się blask latarni, gdy Rowe poruszał nożem, wyczekując mojego następnego ruchu.

- Czekałam na ciebie - powiedziałam, żałując, że nie wzięłam ze sobą czegoś trochę dłuższego od trzech krótkich sztyletów. Rowe miał długi nóż, wobec czego nie mogłam się do niego zbliżyć i wyrządzić mu żadnej znacznej szkody, nie narażając przy tym siebie.

- Tak przypuszczałem - parsknął ironicznie, opuszczając nieco broń. - Błąkasz się sama nocą w mieście opanowanym przez naturi. Chyba się domyślasz, że jesteś okrążona. Nie masz szansy wydostać się stąd żywa.

Ku jego wyraźnemu zdziwieniu włożyłam trzymany w lewej ręce sztylet z powrotem do pochwy na

lewym udzie i odwróciłam się plecami do Rowe'a, uśmiechając się do siebie.

Podeszłam do pomnika na środku placu. Była to właściwie tablica pamiątkowa na marmurowej płycie. Nie próbowałam nawet odczytać tego, co na niej napisano, bo wszystkie zmysły skupiłam na zbliżającym się, zaciekawionym naturi.

- Padłeś w Knossos i się nie pozbierałeś - zauważyłam, jak gdyby ucinając beztroską pogawędkę. Ledwo słyszałam odgłosy jego kroków na kamiennym deptaku, gdy do mnie podchodził, i nie przestawałam się uśmiechać. - Podobno musieli cię stamtąd zabrać. Co się stało?

- Przewróciłem się i uderzyłem głową o krawędź jakiegoś roztrzaskanego głazu -

powiedział dziwnym głosem. Zatrzymał się o parę metrów ode mnie, stając prawie dokładnie naprzeciwko przy pomniku. Zmieszał się, zmarszczył brwi, i wykrzywił pełne usta, co pogłębiło blizny na jego dawniej przystojnej, jak pamiętałam, twarzy.

Jeszcze bardziej zmieszało go to, że nóż trzymany w prawej dłoni starannie włożyłam z powrotem do pochwy przy pasie i zapiełam jej sprzączkę; teraz nie mogłam już szybko dobyć broni. I chociaż nie byłam zupełnie nieuzbrojona, to, szczerze mówiąc, w tym momencie nie miałam w ręku nic do obrony. Z kolei Rowe zacisnął palce na swoim nożu i niepewnie cofnął się o krok.

- Jesteś otoczona, wiesz o tym? - powiedział głośno i dobitnie. Gdy to mówił, jego skrzydła rozpadły się w drobny czarny piasek, który opadł na kamienny bruk.

Przekrzywiłam głowę, pozornie nasłuchując wiatru.

W głębi duszy wiedziałam, że Rowe blefuje. Zawsze spotykał się ze mną sam na sam.

Bez względu na to, czy próbowaliśmy pozabijać się nawzajem, czy też chcieliśmy tylko pogadać, nikt inny się w to nie mieszał. Zaczynało mi się wydawać, że Rowe liczy, iż uda mu się to, co nie wyszło Nerianowi; chciał mnie złamać osobiście.

- Może z daleka - przyznałam, wzruszając szczupłymi ramionami i wsuwając dłonie do kieszeni. - Ale teraz, tu na placu, nie ma nikogo oprócz nas.

- Co ty kombinujesz, Miro? - Zamachał w moją stronę nożem. - Czy naprawdę uważasz, że nie zabiję cię od razu?

- Zabicie mnie rozwiązałoby wiele twoich problemów, prawda? - spytałam prowokująco, obchodząc monument od lewej strony. Rowe ruszył za mną, naśladowując moje ruchy i zachowując niezmienny dystans. - Już by mnie nie było, żeby powstrzymać was przed otwarciem wrót między światami. Nie mogłabym założyć nowej pieczęci i zatrzymać Aurory w zamknięciu. Nie pokrzyżowałabym kolejnych twoich świetnych planów. Cóż, głowę daję, że odnalazłbyś swoją zaginioną księżniczkę, gdybym zniknęła!

Rowe warknął nagle i spróbował szybko do mnie podejść, choć do tej pory trzymał się z daleka. Zaśmiałam się i cofnęłam, rozpalając wokół siebie ognisty krąg o półtorametrowej wysokości i

średnicy zaledwie pół metra. Chciałam mieć pewność, że znajdzie się w nim miejsce tylko dla jednej osoby.

Energia przepelniająca powietrze od razu naparła moc - niej na moją skórę, żeby wnikać mi w ciało. Na szczęście nie była tak potężna jak wcześniej, w Iraklionie. A jednak znalazłam się w niebezpiecznej sytuacji, pomijając już nawet to, że prowokowałam Rowe'a.

Gdyby energia z ziemi weszła w moje ciało jak wtedy na Krecie, nie potrafiłabym jej powstrzymać ani odepchnąć. Pewnie zabiłaby mnie równie łatwo, jak Rowe mógł to uczynić swoim nożem.

- Odsuń się, Rowe - ostrzegłam spokojnie. - Przyszłam tu, żeby porozmawiać. Proszę, pogadajmy w cywilizowany sposób.

- Gdzie ona jest, do cholery? - warknął. Czubek jego noża zatańczył między płomieniami niedaleko mojego serca. Stałam bez ruchu, uśmiechając się do niego i prowokując do wbicia mi ostrza w pierś. Jednak poważnie ryzykowałam. Mogłam się założyć, że żywa Cynnia była dla niego ważniejsza ode mnie martwej - przynajmniej na razie.

- Cofnij się - powtórzyłam.

Rowe zawarczał po raz ostatni, kiedy jego nóż przeciął płomień, lekko raniąc mnie w szyję, co uświadomiło mi, że jego cierpliwość się kończy. Jednooki naturi odstąpił, mocno ściskając w pięści nóż i złorzecząc w języku, którego nie rozumiałam.

W migoczącym świetle jego opalona skóra wydawała się prawie śniada, a blizny odznaczały się jeszcze wyraź - niej, jako białe, przecinające się linie na jednym z policzków, znikające pod skórzaną przepaską na oku. Czarne włosy Rowe' a opadały na ramiona, niemal przesłoniły twarz, kiedy odwrócił się ode mnie na sekundę, a potem znowu podszedł.

- Czy to ja ci to zrobiłam? - zapytałam cicho, na co on nagle zatrzymał się chwiejnie.

Gapił się na mnie zmieszany, a wtedy dotknęłam swojego policzka po tej stronie twarzy, którą Rowe miał tak strasznie poharataną.

- A co? Co cię to obchodzi?

- Nic, ale najwyraźniej nie pamiętam o tobie tylu rzeczy, a kiedy widzieliśmy się ostatnio, bardzo się starałeś odświeżyć mi pamięć. Powiedz, czy ja ci to zrobiłam.

- Nie, nie ty - rzucił, a potem odwrócił się tak, że widziałam wyraźnie tylko nienaruszoną stronę jego twarzy. - Dziwi cię, że są na tym świecie rzeczy groźniejsze i gorsze od ciebie?

- Nie, właściwie sprawia mi to ulgę - odparłam z uśmiechem.

- Gdzie ona jest? - spytał ostro Rowe, powracając do poprzedniego tematu naszej rozmowy. Wydawał się jednak trochę spokojniejszy niż kilka chwil wcześniej.

- W bezpiecznym miejscu.

- Bezpieczna będzie tylko wśród swoich. - Zamierzał jeszcze coś dodać, ale zaczęłam się z niego śmiać. Odchyliłam głowę i przez moment płomienie zadrgały, gdy pod wpływem śmiechu trochę się zdekoncentrowałam.

- Naprawdę wątpię, że mała Nia byłaby u was bezpieczna - zadrwiłam, rozmyślnie używając zdrobnienia, żeby ubodło go to jeszcze mocniej. - Szczerze się zastanawiam, czy nic by jej nie groziło w twoich rękach albo u jej kochającej siostrzyczki Nyx. To z nią widziałam cię wtedy w pałacu w Knossos, na kilka chwil przed złamaniem pieczęci.

Szczupła, ciemne włosy, srebrzyste oczy... to siostra Cynnii, Nyx, zgadza się?

Rowe nie odpowiedział, tylko znowu zaczął krążyć wokół mnie. Zacisnął mięsiste usta w cienką nienawistną kreskę, kiedy mi się przyglądał, szukając sposobu, żeby do - paść mnie przez zaporę z płomieni i się przy tym nie spalić. Wiedziałam, że jest szybki, ale musiał

brać pod uwagę, że ja umiem poruszać się równie prędko. A poza tym, gdyby zabił mnie przed odkryciem, gdzie przebywa Cynnii, to co by się z nią stało?

- Rozumiesz mój dylemat, prawda? - spytałam, uśmiechając się do niego od ucha do ucha i rozkoszując się każdą chwilą, w której miałam go w garści. Zaledwie przed miesiącami on dręczył mnie w taki sam sposób, a teraz role się odwróciły. I bardzo mi się to podobało. -

Wpadła mi w ręce bez większych problemów. Miałam ją wykończyć, kiedy ją znalazłam, a jednak tego nie zrobiłam: z czystej ciekawości. Teraz się zastanawiam, kto próbuje ją zabić.

- Niby zależy ci na jej dobru! Oddaj mi ją! - pieklił się Rowe. Odważnie podszedł do płomieni, a potem cofnął się znowu, stąpając jak tygrys w klatce, gotowy w każdej chwili do skoku.

- A jeśli nie, to co wtedy? - Zaśmiałam się trochę histerycznie. - Zabijesz mnie?

Będziesz mnie torturował, jak dawno temu Nerian na tamtej opuszczonej górze? Dlaczego nie miałabym się odegrać na Cynnii?

- Bo to jeszcze dziecko, do cholery! To tylko dziecko - krzyknął Rowe, przecinając płomienie nożem, ale nie wyrządzając mi żadnej krzywdy.

- Ja też byłam wtedy młoda - rzuciłam, powstrzymując strumień łez, które niespodziewanie napłynęły mi do oczu. Zaciskając zęby, wzięłam uspokajający oddech i roznieciłam wokół siebie jeszcze większy ogień, aż płomienie strzelały i trzaskały gorączkowo. - Poza tym nie wydaje mi się, że to takie dziecko. Sądzę, że chodzi przede wszystkim o jej królewskie pochodzenie, o pokrewieństwo z twoją ukochaną żoną królową. A już wiesz, jak traktuję waszą królewską rodzinę.

Nerian zginął z mojej ręki przed miesiącami, chociaż powinien był umrzeć już wieki wcześniej, gdybym tak bardzo nie wystraszyła się wtedy wschodu słońca. Ten jedyny brat królowej naturi skonał w parszywej, rozsypującej się piwnicy, gdzie rozprawiłam się z nim osobiście. Szalał prawie do

samego końca. Miałam nadzieję, że nigdy nie zobaczę takiego obłędu w oczach Cynnii.

Zaciskając zęby tak mocno, że mięśnie jego szczęki aż pulsowały, Rowe wsunął długi nóż w futerał przy boku.

Rozłożył ramiona, pokazując, że nie ma już broni w ręku, ale ja tylko się zaśmiałam i pokręciłam głową.

- Jesteś teraz tak samo nieuzbrojony jak ja? - zakpiłam.

- Czego ode mnie chcesz?

- Chcę, żebyś opuścił Machu Picchu. - Rowe pokręcił przecząco głową, ale zignorowałam to i podjęłam: - Opuścił Machu Picchu i porzucił swoje plany otwarcia wrót.

Razem z innymi wampirami zapieczętuję ponownie te wrota i już nie będzie mowy o uwolnieniu Aurory. Wystarczająco wielu twoich współbraci wydostało się na wolność.

Przestaniemy na was polować, a wy skończycie z polowaniami na nas. Obie nasze rasy zawrą rozejm.

- A co z Cynnią? Czy wtedy mi ją wydasz?

- Uwolnię ją. - Starłam się uniknąć odpowiedzi wprost, ale mi nie wyszło.

- Czy przekażesz ją mnie? - powtórzył ze złością, opuszczając ręce do boków.

- Jeżeli będzie chciała, pozwolę jej do ciebie odejść.

- Dlaczego miałaby nie chcieć do mnie wrócić? Co takiego jej nagadałaś? Jakie kłamstwa rozpowiadasz?

Wzruszyłam lekko ramionami i wsunęłam dłonie z powrotem do kieszeni.

- Żadnych, z tego, co mi wiadomo.

- Co jej naopowiadałaś? - pytał Rowe, znowu zbliżając się do płomieni. Podkręciłam buchający ogień, aż ból przeszył mi skronie. Wyczerpywały mi się siły, a moc z ziemi coraz silniej próbowała we mnie wnikać. Musiałam szybko skończyć tę rozmowę, bo inaczej groziły mi większe kłopoty niż te, które sprawiał wkurzony i silny naturi.

- Powiedziała jej, że jesteś lojalnym wojownikiem swojej królowej małżonki. Że słuchasz jej poleceń. Ona stwierdziła mniej więcej to samo na temat swojej siostry Nyx, nazywając ją obrończynią waszych współbraci. Czy to coś złego?

- Nie - mruknął Rowe, cofając się kilka kroków.

- To dobrze. A więc myślę, że doszliśmy do porozumienia albo przynajmniej ty i Nyx macie o czym podyskutować w trakcie następnych paru nocy - powiedziałam, zmniejszając nieco płomienie. - Zabiorę Nię do Machu Picchu na czas zrównania dnia z nocą. Jeśli cię tam nie będzie i nie złożycie ofiary, wtedy ją uwolnię. Odzyska wolność i sama wybierze sobie miejsce na tym świecie, z wami albo bez was, jak zechce. A jeżeli spróbujecie złożyć ofiarę, to ona zginie razem z resztą naturi wśród tamtych ruin w górach.

- Nie możesz tego zrobić!

- Nie pozostawiasz mi wyboru.

Rowe przecesał włosy lewą ręką, odgarniając je z oczu, gdy wzburzony podchodził do mnie i po chwili znowu nieco się oddalał.

- Nie mogę zaprzepaścić całych wieków starań dla życia jednej osoby.

- Wyobrażam sobie, że Aurora też by na to poszła, ale z drugiej strony po rozmowie z Cynnią zaczynam myśleć, że to część jej wielkiego planu. Nie wiem tylko, jak Nyx wpisuje się w to wszystko.

Machnięciem ręki ugasiłam płomienie, które nas dzieliły, znowu pogrążając cały plac w zupełnych ciemnościach. Rowe warknął na mnie cicho, a chrząst ostrza dobywanego z pochwy uprzedził mnie o ataku. Zrobiłam głęboki unik i sama wyjęłam nóż. Naturi drasnął

mnie w prawe ramię, a ja lekko zraniłam go w pierś, zanim znów się rozdzieliliśmy.

Przykucnął kilka metrów ode mnie, a z pleców wyrosły mu skrzydła - oznaka przynależności do klanu powietrznego. Prawie trzymetrowe, idealnie czarne, jakby skórzane.

Trzymał je przy ciele, szykując się do lotu na wietrze, który nadal omiatał miasto.

- Nie próbuj mnie śledzić - krzyknęłam do niego, wciąż mocno ściskając nóż. -

Zamierzam zobaczyć się z nocnymi wędrowcami. Nie spotkam się z Nią aż do zrównania dnia z nocą. A gdybym nagle znikła, Danaus ją zabije.

Na to Rowe tylko cicho mruknął, a potem rozpostarł skrzydła, chwytając w nie wiatr i unosząc się w czarną noc nade mną. Trochę mu nakłamałam. Liczyłam, że uwierzy w to kłamstwo, ponieważ dzięki temu mogłam przynajmniej zyskać nieco czasu.

Wkładając nóż z powrotem do pochwy, oparłam się o postument i przyjrzałam skaleczonemu ramieniu, które nadal krwawiło. Normalnie powinno się już zagoić, ale broń naturi zawierała truciznę, która spowalniała leczenie i szczypała jak ogień piekielny.

- Nie zrób jej krzywdy - rozkazał cichy głos w mroku.

Raptownie odwróciłam głowę i zorientowałam się zaskoczona, że wcale nie byłam z Rowe'em sama. Wymachując ramieniem, rozświetliłam ciemność pięcioma ognistymi kulami, nie dbając o to, że ktoś mnie zauważy - naturi albo człowiek. Musiałam zobaczyć, kto mi towarzyszy.

Żeńska naturi wkroczyła pomiędzy dwie kule ognia, które przeleciały koło niej. Miała na sobie ten sam miękki, szary strój, w jakim widziałam ją w pałacu w Knossos. Jej czarne włosy tańczyły na wietrze, a blada skóra wydawała się błyszczeć w świetle latarni. Była to siostra Cynnii, Nyx.

- Usłuchajcie moich życzeń - powiedziałam jej - a obiecuję, że Cynnia odzyska wolność cała i zdrowa.

Ku mojemu zaskoczeniu naturi skinęła głową i odrzekła:

- Zobaczę, co da się zrobić.

Wtedy rozwinęła swoje czarne skrzydła, inne od tych, jakie miał Rowe. Skrzydła Nyx nie były podobne do skóry, lecz obrastały je lśniące czarne pióra. Wiatr znowu się ze - rwał, a ona wzbiła się w nocne niebo.

Rozdział 19

Moje ramię przestało krwawić do czasu, kiedy doszłam do Plaza de Armas. Spory fragment rękawa był nasiąknięty krwią, a przez to drobne zranienie wyglądało znacznie gorzej. Jeśli mi się poszczęści, Danaus nie zauważy tego małego skaleczenia, pomyślałam.

Nie chciałam, żebym sama kręciła się po mieście, a teraz krew na moim ramieniu raczej nie przemawiała na moją korzyść.

Starałam się nie zwracać uwagi na ostry zimowy wiatr.

W mieście na wysokości ponad trzech tysięcy metrów ponad poziomem morza w nocy temperatura spadała do około zera. Przypomniałam sobie, że chociaż jest wrzesień, to w Peru powoli kończyły się zimowe miesiące. Zazwyczaj chłód mi nie przeszkadzał, chyba że brakowało mi krwi. Rana, jaką zadał mi Rowe, powodowała, że musiałam znowu się pożywić. Jednak większość turystów udała się już na nocleg do swoich hoteli. Musiałam więc wyczekać w ciemnym zaułku na jakiegoś pijaczka, aż wyjdzie z jednego z okolicznych barów, abym wtedy upuściła mu nieco krwi i sama się rozgrzała.

Plaza de Armas był rozległy, otoczony przez katedrę i dwa inne kościoły od północnego wschodu i jeszcze jeden, bardziej ozdobny kościółek, od strony południowo-wschodniej. Ze zmarszczonym czołem minęłam ten kwartet świątyń, żeby dotrzeć do Hostal Loreto. Idąc, rozpuściłam mentalne wici i odezwałam się do nocnych wędrowców z okolicy, informując ich, któredy idę, i przywołując ich do siebie. Gdy znalazłam się już w pobliżu Loreto, wyczułam, że zbliża się ze czterdzieści wampirów. Będzie tłoczno, pomyślałam.

Oczywiście obawy chwilowo zeszły na dalszy plan, kiedy przeszłam przez hol i zatrzymałam się przy wejściu do baru. Poczułam się zupełnie tak, jakbym przeniosła się z Peru z powrotem do Stanów.

Miejsce to przypominało wiele podobnych, jakie odwiedzałam w USA; był tam wielki kontuar, zatłoczone stoliki oraz telewizory, na których migały obrazy, wyłapywane przez anteny satelitarne. Mogłam się domyślić, że właściciel lokalu to fan motocykli, bo na ścianach wisiało pełno zdjęć, plakatów i pamiątek związanych z motorami.

Równie dużo było afiszy z meczów piłkarskich. Może te ostatnie nieczęsto zdobiły ściany północnoamerykańskich barów, jednak atmosfera tego miejsca pewnie kojarzyła się jankeskim turystom z ojczyzną.

Rozejrzałam się pobieżnie po sali i w głębi zauważyłam Danausa rozmawiającego z Eduardem. Przepisnęłam się przez tłum i dołączyłam do nich. Eduardo tylko na mnie spojrzał

i szybko wycofał się do kuchni. Wzruszyłam na to ramionami i usiadłam na krześle naprzeciwko łowcy.

- Zdaje się, że on może zorganizować kilka turystycznych mikrobusów - oświadczył

Danaus. - Jazda do Ollantaytambo trwa jakieś dwie godziny, a w nocy pewnie trochę dłużej.

- Ilu pasażerów zabiera taki wóz?

- Z dziesięciu.

- No to będą potrzebne co najmniej dwa - powiedziałam półgłosem, zerkając w stronę wejścia, przez które napływał nieprzerwany strumień nocnych wędrowców, kierujących się do naszego stolika. Żaden z tych wampirów nie wyglądał na tutejszego. Nie mogli wmieszać się w tłum miejscowej ludności, ale z drugiej strony liczyłam na to, że wywieziemy ich wszystkich przed świtem.

Zdusiłam przekleństwo i na moment przymknęłam oczy, kiedy zobaczyłam, że grupę wkraczającą do sali prowadzi Stefan. Choć był szczuplejszy i o kilkanaście centymetrów niższy od Danausa, i tak wyglądał imponująco. Brakowało mu tylko kilku lat, by zostać Starszym. Wydawał się jednak już należeć do tego elitarnego grona, bo jego moce przepelniały powietrze i odbijały się od ścian. Stefana, podobnie jak mnie, wychowywano starannie i cierpli - wie. Należał do wampirów Pierwszej Krwi i nosił się jak król. Nie miał

pojęcia, co to znaczy być „kolesiem” wśród nocnych wędrowców.

Co gorsza, jego wygląd dosłownie zapierał dech. Zasadniczo wszyscy nocni wędrowcy są atrakcyjni. Zupełnie jak gdyby zgodnie z zasadami ewolucji uroda była nam nie

- zbędna do przetrwania - tak jak białe futerko dla śnieżne - go zająca. Jak inaczej moglibyśmy wabić nasze ofiary? Ale Stefan był tak doskonale przystojny, że to niemal przerażało. Ciemnobrązowe obcięte dość krótko włosy zaczesał na bok nad lewym okiem, które miało chłodny, bezlitosny, jasnoszary odcień.

Sam Stefan był równie zimny, jak piękny. Mógłby natchnąć Oscara Wilde' a do napisania *Portretu Doriany Graya*, tyle że, jak sądziłam, Dorian miał lepszy charakter od Stefana.

Spotkaliśmy się poprzednio parę razy i Stefan okazy - wał mi coś w rodzaju niechętnego szacunku. Jego zdaniem należeliśmy do tej samej, elitarniej klasy. Oboje przeżyliśmy Machu Picchu, chociaż nie pamiętam go stamtąd. Naturalnie, jestem pewna, że podupałam w jego oczach, nieustannie zadając się z Danausem.

- Co za niespodzianka - powiedziałam, unosząc brew i patrząc na niego, kiedy zatrzymał się koło naszego stolika. - Nie przypuszczałam, że zobaczę cię ponownie w Peru.

Wzruszając zgrabnie szczupłymi ramionami, odparł:

- Byłem już kiedyś w tym prastarym mieście. Znam je.

Jego głos zatańczył po sali, melodyjny i jednocześnie uwodzicielski. Stefan sprawiał

wrażenie, jakby wybierał się na typowe nocne łowy po ulicach Paryża. Jednak mnie nie nabrał. Wprawdzie nie widziałam oznak niepokoju w jego tęsknych szarych oczach, ale nie dawałam się omamić. Przeżyli bardzo nieliczni nocni wędrowcy, którzy znaleźli się w Machu Picchu pięć stuleci temu. Wracając tu, kusiliśmy los.

- I Sabat rozkazał ci się tu zjawić. - Niemal drgnęłam pod wpływem niespodziewanej hardości swojego głosu.

- Zażyczyli sobie tego, a ja z wdzięcznością się na to zgodziłem - sprostował, a lekki francuski akcent zmiękczył jego słowa. Ton jego głosu nadal był zblazowany i znudzony, lecz w oczach Stefana coś przez chwilę błysnęło. Łatwo mogłam go przycisnąć, ale niechętnie dałam sobie z tym spokój. Nie było czasu na gierki.

- Czego właściwie zażądali?

Tym razem uśmiech szczerego rozbawienia poruszył jego usta i zaiskrzył w sennych oczach. Przez moment wydawały się błyszczeć z zadowolenia.

- Żeby cię chronić.

- Czegoś jeszcze?

- Konkretnie poproszono mnie, żebym ochraniał ciebie, Sadirę, Jabarię i jego, bez względu na wszystko - odrzekł, a jego głos stężał, kiedy został w końcu zmuszony do wspomnienia o Danausie.

- Tak myślałam - powiedziałam cicho. Jabari i Sadira jeszcze się tu nie pojawili i miałam przeczucie, że zrobią to dopiero w ostatniej chwili. - Przysiądziesz się do nas?

Wygląda na to, że musimy dopracować pewne kwestie logistyczne.

Po królewsku skinąwszy głową, Stefan zajął wolne miejsce koło mnie, a jakaś kobieta z krótkimi blond włosami usiadła obok Danausa. Trzeci nocny wędrowiec przy - sunął sobie krzesło i usiadł przy krawędzi naszego stolika. Zauważyłam, że inne wampiry, które weszły do baru, zajęły różne

miejsca w sali, ale niezbyt daleko od nas. Nie wątpiłam, że mogą dosłyszeć wszystko, o czym rozmawiamy.

- To jest George - powiedział Stefan, przedstawiając wampira przy stoliku i wykonując swobodny gest prawą dłonią. Błady, szczupły dżentelmen o wąskiej twarzy i włosach koloru cynamonu kiwnął głową mnie i Danausowi, rozsiadając się na krześle tak, jakby cały świat mało go obchodził. Z tego, co mogłam stwierdzić, miał za sobą co najmniej trzysta przeżytych lat i najprawdopodobniej jeszcze nigdy nie zetknął się z żadnym naturi. - A to Berta ciągnął Stefan, wskazując ręką zgrabną, drobną wampirzycę siedzącą obok Danausa.

Rozdziawiłam usta, zupełnie się zapominając. Po upływie pewnego czasu nawet ktoś w moim wieku przyswajał wampirze mity, jakie wpajaliśmy ludziom. Wampiry nie nosiły takich imion jak Bertha. Mieliśmy imiona niezwykle i rzadkie.

- Wiem, wiem - odezwała się pogodnie, chichocząc, kiedy w końcu zdołałam zamknąć usta. - Mam okropne imię. Próbowałam je zmienić, ale nic z tego nie wyszło. Możecie nazywać mnie po prostu Bert albo Bertie. Wszyscy tak do mnie mówią.

Drobna blondynka miała błyszczące, duże błękitne oczy i uroczy zadarty nosek. Na jej krągłych policzkach robiły się dołeczki, kiedy się uśmiechała. Nie mogła liczyć sobie więcej niż szesnaście lub siedemnaście lat, kiedy się odrodziła wśród wampirów. Na początku współczułam jej z powodu imienia, ale teraz uśmiechnęłam się do niej szeroko.

Przypuszczałam, że pewnie nie starała się za bardzo go zmienić. Jej fizjonomia świetnie ją maskowała. Kto by podejrzewał, że półtorametrowa blondyneczka o imieniu Bertie to zabójczy drapieżnik?

- Miło mi - powiedziałam, kiwając głową.

Kiedy mnie oceniała, w jej oczach na moment zamigotała wesołość. Potem jej usta o wiśniowej barwie rozciągnęły się w uśmiechu. Oszacowała mnie należycie. Wiedziałam, że nie będziemy się wzajemnie lekceważyć.

- To jest Danaus - podjęłam, spoglądając na ponurą twarz łowcy. Nie poruszył się i ledwie oddychał, kiedy noc - ni wędrowcy na niego popatrzyli. Po wzajemnej prezentacji i zajęciu miejsc zwróciłam się znowu do Stefana. - Ilu was tu zjechało?

- Prawie czterdziestu nocnych wędrowców, a Jabari obiecał przysłać kolejnych. Poza tym mamy ponad trzydziestu ludzi strażników.

- Nieźle. Mięso armatnie - mruknęłam, ale Stefana nie poruszyła ta uwaga. Co go to obchodziło? Ludzie byli łatwi do zastąpienia. - Tej nocy musimy dotrzeć do Sanctuary Lodge.

- Skrzyżowałam ramiona na piersiach. - Jutro, gdy tylko zajdzie słońce, musimy znaleźć się w Machu Picchu. Nie wiem, kiedy spróbują złożyć ofiarę, ale im szybciej zaatakujemy naturi na tamtej górze, tym lepiej.

- Niektórzy z nas potrafią latać - pisnęła Bertie. Ze spokojem pochyliła się nieco, splatając palce i opierając dłonie na stoliku.

- Ilu?

- Dziesięciu.

- Wobec tego tylko mała część dotrze dziś w nocy do tego hotelu - wtrącił Danaus, ponuro kręcąc głową. - Czy zaryzykujemy wyprawę w dzień? Oni wiedzą, że tu jesteśmy.

Nerwowo bawiłam się nożem i widelcem, które leżały owinięte w papierową serwetkę, kiedy siadałam przy stoliku. Odwinęłam serwetkę i powoli odwróciłam nóż czubkiem palca.

- Podróżowanie w ciągu dnia jest stanowczo zbyt ryzykowne - powiedziałam jakby do siebie, zastanawiając się, jak poradzę sobie z Cynnią w całym tym zamieszaniu.

- Możemy bardziej się stłoczyć albo zrobić parę kur - sów - odparła Bertie. - Dojazd do hotelu Sanctuary Lodge zajmuje najwyżej godzinę. Do świtu możemy przerzucić na górę wszystkich nocnych wędrowców.

- Ludzie mogą dojechać pierwszym porannym pociągiem - zaproponował Danaus i się nachylił, opierając przedramiona na blacie stolika. - Dotrą do hotelu na długo przed południem.

- Oznacza to, że pozostaniemy bez ochrony głęboko na terytorium naturi przez ponad pięć godzin - stwierdził ponuro George.

- Nie ma wyboru - wtrąciłam szybko, żeby uniknąć dyskusji. - Stefan, Bertie, zbierzcie tych nocnych wędrowców, którzy umieją latać. Niech wszyscy bardziej się stłoczą. Nocni wędrowcy wyruszą do Sanctuary Lodge jako pierwsi. Najpierw starsi, potem młodszy.

Pierwszy zespół niech zabezpieczy hotel.

- To zbyt ciche. - Stefan zerknął na mnie z góry i pobłażliwie się uśmiechnął. - Hotel zamknięto i opróżniono z powodu remontu.

- Doskonale. Danaus i ja razem z małą grupą pojedziemy furgonetką do Ollantaytambo. Po opuszczeniu Cuzco dwoje nocnych wędrowców może dołączyć do Danausa i do mnie. Ostatni z tej grupy powinni złapać pociąg z Ollantaytambo do Aguas Calientes, a potem, rano, przewieźć autobusem nasz bagaż do hotelu.

- Po co się wybierasz do Ollantaytambo? - zapytał Stefan.

- Jest coś, co chcę tam sprawdzić. Samochodem to tylko parę godzin stąd. Do czasu, kiedy ostatnia grupa dotrze do hotelu, powinniśmy być już gotowi do dalszej drogi. Poza tym lot stamtąd będzie krótszy, ktokolwiek się po nas zjawi - przekonywałam. Zacisnęłam dłonie na krawędzi stolika i starałam się nie podnosić głosu. Niepotrzebna mi była sprzeczka z Stefanem.

- Bertha i George tego dopilnują - powiedział sztywno. Wyraźnie chciał usłyszeć mój sprzeciw. - A ja pojedę z tobą i z łowcą do Ollantaytambo.

- Jak chcesz - zgodziłam się, błyskając uroczym uśmiechem, który go zaskoczył. -

Wybierz czterech ludzi, żeby nam towarzyszyli. Spotkamy się przed tym hotelem za parę godzin. - Energicznie wstałam, odsuwając krzesło, i skinęłam na trójkę nocnych wędrowców przy stoliku, by ze mną poszli. Nie podnosiłam głosu, jednak wiedziałam, że wszystkie wampiry w barze mnie słyszą.

- Cały bagaż trzeba podpisać i zostawić na dworcu kolejowym przed wyjazdem z miasta. Wasi strażnicy zabiorą go rano z autobusu.

Wyszłam z baru i na plac, z Danausem u boku.

Łowca nie odzywał się, póki nie odeszliśmy o kilka metrów od Hostal Loreto i nie znaleźliśmy się w miejscu, gdzie nikt nie mógł nas podsłuchać. Gdy wracaliśmy do obskurnego hotelu, w którym zatrzymaliśmy się razem z Shelly i Cynnią, złapał mnie za okrwawione ramię i uniósł je przed sobą.

- Widzę, że wszystko poszło dobrze.

- Po prostu żałujesz, że to nie ty mnie zraniłeś - droczyłam się, wyszarpując rękę z jego uścisku.

- Może i racja. - Błysnął jednym ze swoich rzadkich półuśmiezków, a potem znowu spowaźniał. - Czy twój ciemnowłosy znajomy znowu się odezwie?

- Na pewno, ale przynajmniej trochę dałam Rowe'owi do myślenia. Wie, że mamy Cynnię. Wie też, że ją zabiję, jeśli się do mnie zbliży. Oczywiście powiedziałam mu, że skończę z nią również, jeśli zdecyduje się na złożenie ofiary, więc ma przed sobą dosyć paskudny dylemat.

- Jak mamy ją ochraniać za dnia, kiedy już znajdzie - my się w hotelu? Naturi mogą łatwo zaatakować to miejsce, gdy nocni wędrowcy zostaną znokautowani. Rozprawią się bez trudu ze wszystkimi ludźmi, którzy mają niby strzec nocnych wędrowców. Swoją drogą, jak obronimy same wampiry za dnia? - Danaus nagle się zatrzymał i pokręcił głową, - Nie do wiary, że powiedziałem coś takiego.

Ze śmiechem wzięłam go pod rękę i zmusiłam, żeby znów ruszył w stronę hotelu.

- Wiedziałam, że w końcu nabierzesz rozumu.

- Miro - powiedział cichym, ostrzegawczym głosem.

Trochę przeginałam.

- Tylko żartowałam. - Przywarłam do niego jeszcze mocniej. Nie tylko promieniował

cudownym żywym ciepłem, lecz jego moce zataczały wokoło kręgi, kiedy nieustannie omiatał nimi okolicę. - Ilu? - spytałam, kiedy byliśmy już tylko o kilka metrów od celu.

- Trójka w pobliżu. Następny tuzin w całym mieście. Większość dość daleko stąd.

Zdaje się, że nieco dalej na północ, trochę niżej nad poziomem morza.

- A więc już są przy Machu Picchu - stwierdziłam. - Przekonamy się, czy pozwolą nam zorganizować placówkę w tamtym hotelu. Stoi u podnóża ustronia Inków.

- Jak właściwie mamy to zrobić?

- Myślę, że to nie będzie takie trudne. Przecież mamy ze sobą uzdolnioną naturę i ziemską czarownicę. Jestem pewna, że razem wymyślą coś, co nas ochroni.

Danaus znowu przystanął i ponuro zerknął na mnie z góry, niecierpliwie czekając, aż odpowiem mu na serio. Westchnęłam ciężko i pociągnęłam go za sobą, aż wreszcie z własnej woli ruszył w kierunku hotelu.

- Stefan też zna parę ciekawych sztuczek - powiedziałam. - Chociaż za nic nie przyznałabym tego przy nim. Ten drań i tak już strasznie zadziera nosa, a w tej chwili szczerze wątpię, czy uwielbia mnie najbardziej ze wszystkich na świecie.

- To twój były chłopak?

Wyrwało mi się dość prostackie zachnięcie, zanim zdążyłam je powstrzymać, i zacisnęłam pięść przy boku. Nie lubiłam Stefana. Nie przepadałam za takimi jak on. Stefan uważał, że każde stworzenie słabsze od niego, wliczając ludzi i nocnych wędrowców, jest na tej ziemi po to, żeby dostarczać mu rozrywki. Wilkołaki też go kusily, ale ponieważ przemieszczały się w sforach, trudniej było mu wyłuskiwać spośród nich ofiary. Co nie znaczyło, że od czasu do czasu nie załatwił również jakiegoś wilkołaka.

- Bynajmniej - rzuciłam z ironią w głosie; Stefan prawie należy do Starszych. Nie wątpię, że czuje już posmak przynależności do elity wampirów, a teraz zżera go zazdrość, że to ja zajęłam wolne miejsce w Sabacie: stanowisko, którego pragnął dla siebie.

- A więc mamy nowy powód, żeby mu nie ufać - powiedział Danaus półgłosem, spoglądając na moją uniesioną w górę twarz.

Uśmiechnęłam się do niego, niemądrze ciesząc się tą chwilą spokoju. Była to jedna z niewielu naszych rozmów, kiedy nie wrzeszczeliśmy na siebie. Danaus nie przeklinał mnie za to, kim jestem, i nie kombinowaliśmy, jak się nawzajem pozabijać. Stworzyliśmy zgrany zespół, mając przed sobą wspólny cel - uniemożliwienie natury otwarcia wrót. Miałam poczucie, jakby nikt nie mógł nas powstrzymać. Wiedziałam, że tak nie jest, ale przynajmniej łudziłam się przyjemnie, kiedy szliśmy razem ciemnymi i zimnymi brukowanymi ulicami Cuzco, otoczeni przez naturę.

- W innej sytuacji przyznałabym ci rację, ale teraz nikt nie ochroni mnie lepiej niż Stefan. Sabat wydał mu jasny rozkaz chronienia ciebie i mnie. Gdyby zaszkodził komuś z nas, miałby poważne kłopoty w Sabacie. W ostateczności zostałby stracony za niedopełnienie obowiązków.

Danaus zatrzymał się i zwrócił do mnie twarz. Wiatr przelatywał po wąskiej uliczce, uderzając go w plecy, a potem zawrócił i dmuchnął mi w piersi. Włosy zatańczyły mi wokół

twarży, jakby nagle ożyły, niczym węże mitycznej Meduzy.

- Sabat - powiedział, stojąc bez ruchu. Po chwili uniół obie dłonie i zacisnął je w pięści, które opuścił do boków w geście bezsilnej wściekłości. - Dlaczego? To znaczy, czy nie można było inaczej? A może powinienem ... - Jego głos ucichł, a Danaus próbował nazwać słowami wirujący w nim natłok myśli. Kusilo mnie, żeby po prostu zamknąć oczy, połączyć się z nim mentalnie i dzięki temu zobaczyć jaśniej, co go gryzie, postanowiłam jednak tego nie robić. O pewnych sprawach lepiej nie wiedzieć.

Powoli wysunęłam rękę i położyłam mu dłoń na sercu.

Biło miarowo, równo, w rytmie, w jaki chętnie wsłuchiwałam się przez całe wieki, tak kojąco na mnie działał.

- Nie dało się inaczej. Wejście do Sabatu może i było błędem, ale teraz już tego nie odkręcę. Postaram się radzić sobie jak najlepiej, nie stając się przy tym marionetką w rękach Jabariego.

- Albo celem ataków Macaire'a i Elizabeth - dopowiedział, kładąc rękę na mojej dłoni.

- Któregoś dnia obiecałaś, że dokończymy swój taniec. Nadal zamierzam cię zabić, wampirzyco.

Smutny uśmiech poruszył moimi ustami, kiedy dotknęłam czołem jego dłoni, która spoczywała na mojej.

- Boisz się, że ktoś cię w tym uprzedzi?

- Wygląda na to, że połowa mieszkańców ziemi chce twojej śmierci.

- Tak, ale dopiero kiedy sama nadstawię za nich karku. - Uniosłam głowę. - Weźmy się do roboty. Trzeba sprawdzić, co z naszymi dziewczynami. - Odstąpiłam od niego o krok i ruszyłam znowu ulicą, kończąc tę naszą krótką, szczerą rozmowę.

- Po co jedziemy do Ollantaytambo? - zapytał Danaus, który znowu znalazł się przy mnie, z rękami w kieszeniach. Nie widać było, żeby nosił broń, ale na pewno miał przy sobie wiele noży. Już chciałam go zapytać, ilu naturi kręci się w pobliżu, lecz milczałam. Łowca i tak był czujny i nieustannie rozglądał się wokoło. Gdyby coś nam teraz groziło, powiedziałby mi o tym.

- Od kiedy wspomniałeś o Ollantaytambo, ta nazwa ciągle pobrzmiewa mi w głowie.

Przywołuje jakieś ukryte wspomnienia. - Nie próbowałam nawet maskować frustracji w swoim głosie.

- Jakie?

- Nie wiem - westchnęłam. Porywisty wiatr przemykał przez miasto, rozdmuchując mi włosy tak, że kilka kosmyków zatańczyło na twarzy. Zaczesałam je dłonią za ucho, ale zaraz się stamtąd wymknęły.

- Byłam w Peru raz i myślałam, że tylko w Machu Picchu. Ale czuję, jakbym powinna coś wiedzieć o Ollantaytambo ... Może kiedyś już tam trafiłam albo ktoś mi wspomniał o tym miejscu. Nie wiem i chcę to sprawdzić.

- A więc po to ten mały wypad, kiedy będziemy czekać, aż pozostali dotrą do Sanctuary Lodge? - spytał Danaus.

- Możliwe - przyznałam, wruszając ramionami. - Załatw u Eduarda tę furgonetkę. Ja wracam do hotelu po nasze „skarby” i pogadam trochę z miejscowymi ludźmi. Może dowiem się czegoś o Ollantaytambo.

- Miro ... - zaczął Danaus. Domyślałam się, co chce powiedzieć. Coś o wielu naturi zaczajonych w całym Peru, w Cuzco albo w naszym hotelu. Nie odstępowali nas na dłużej, ale nie sądziłam, że Rowe od razu przystąpi do akcji. A przynajmniej myślałam, że Nyx nie pozwoli mu narażać życia swojej siostry - chyba że naprawdę pragnęła śmierci Cynnii, a w takiej sytuacji wszystkie moje plany były do niczego.

- Czy mam teraz jakiegoś naturi na karku? - spytałam ostro, zanim Danaus dokończył.

Zmarszczył brwi i spojrzał na mnie z niepokojem.

- Nie.

- No to nie chcę o nich słyszeć. Nie mów mi, jaką mają nad nami przewagę, jeśli sama o to nie zapytam.

Kiwnął głową, uśmiechnął się krzywo i skierował z powrotem w kierunku Hostal Loreto, żeby poszukać Eduarda. Sama powlokłam się do hotelu z rękami w kieszeniach, pochylając głowę przed wiatrem. Nie chciałam mówić Danausowi, że strach skręcał mi wnętrzności za każdym razem, kiedy słyszałam nazwę „Ollantaytambo”. Coś powinnam pamiętać o tym miejscu. Przypominałam sobie, że przebudziłam się pewnej nocy w Machu Picchu, a noc wcześniej byłam jeszcze w Hiszpanii. Nie wiedziałam, jak znalazłam się w Machu Picchu, i nigdy o to nie pytałam. Podczas tamtych długich nocy wraz z przytomnością pojawiał się ból, a myśli o takich drobiazgach jak ten, w jaki sposób przebyłam taką odległość, wydawały się nieważne.

Czy naturi mówili o Ollantaytambo, gdy mnie więzili? A może było jeszcze gorzej?

Znalazłam się tam kiedyś, tylko nie potrafiłam sobie tego przypomnieć? Musiałam się tego dowiedzieć. Pewnie nie miało to nic wspólnego ze składaniem ofiar i otwieraniem wrót oddzielających światy, wiedziałam jednak, że kolejna szansa, by to ustalić, już się nie nadarzy.

Jeśli nam się poszczęści, to zdołamy prze - mknąć przez Ollantaytambo niezauważeni, a potem zostaniemy przetrzuceni do hotelu. Tylko że kapryśny los jakoś się do mnie nie uśmiechał podczas kilku poprzednich miesięcy. Dlaczego miałoby się to zmienić teraz?

Rozdział 20

Shelly i Cynnia siedziały po turecku na łóżku i grały w karty, kiedy weszłam do pokoju, otwierając drzwi kluczem, który dostałam od Danausa. Shelly co chwila zerkała Cynnii w karty i chyba próbowała nauczyć naturi gry w remika - z nie najlepszym skutkiem.

- Musimy zmienić pokoje - powiedziałam, zatrzasnąjąc za sobą drzwi. Obie spojrzały na mnie trochę dziwnie, trzymając w dłoniach karty.

- No, jazda! Ruszać się! Oni mogą już być w hotelu - dodałam, kiedy się nie poruszyły. Wyrwałam Cynnii karty z rąk, rzuciłam je na łóżko i chwyciłam za żelazny łańcuch, którym miała skrepowane nadgarstki. Poczłapała za mną, gdy szarpnięciem zmusiłam ją, żeby wstała, a Shelly ruszyła za nami.

- Nie rozumiem - powiedziała Shelly. - Kto tu jest?

- Naturi - odparła Cynnia, zanim ja zdążyłam to zrobić.

- A gdzie Danaus?

- Wykonuje pewne zadanie. - Zatrzymałam się, kiedy doszliśmy do drzwi, i spojrzałam na nią. - Wyczuwasz ich? Są tutaj?

- Miro, w tych kajdanach niewiele mogę wyczuć - wyjaśniła Cynnia. - Potrafię poczuć moc w powietrzu, ale nie mogę jej wykorzystać do namierzenia naturi, kiedy jestem w hotelu.

- Ale wcześniej powiedziałaś, że ich wyczułaś.

- To było, kiedy stałam na ziemi podczas podróży - przekonywała. - W hotelu beton oddziela mnie od ziemi i mogę poczuć tylko energię w powietrzu.

- Pięknie, nie ma co. - Zlustrowałam pokój i zatrzymałam wzrok na oknie naprzeciwko ściany. - Shelly, chcę, żebyś pilnowała tego okna, dopóki ci nie powiem, że masz iść za mną.

Czarownica kiwnęła głową, a ja ruszyłam w stronę drzwi z Cynnią na holu.

Otworzyłam drzwi i szybko wymacałam dłonią nóż.

Rozejrzałam się po korytarzu na lewo i na prawo, prze - konałam się, że jest pusty, i poczułam, jak nieco napięcia uchodzi mi z piersi.

- Ktoś nas ściga? - zapytała Cynnia.

- Możliwe. - Szarpnięciem otworzyłam szerzej drzwi i wyciągnęłam Cynnę na korytarz; popchnęłam ją w stronę sąsiednich drzwi do pozbawionego okien pokoju, zajmowanego przeze mnie i Danausa. - Shelly, chodź tu!

- Dlatego jesteś ranna? Zaatakowali cię naturi - powiedziała Cynnia, próbując odsunąć się ode mnie

o krok, ale mocno trzymałam krępujące ją kajdany. Niestety, brakło mi wolnej ręki, którą mogłabym włożyć klucz do zamka. Nie chciałam chować noża, ponieważ czułam się z nim pewniej. W końcu, sfrustrowana, wbiłam czubek noża w drewnianą framugę, strasząc Shelly i Cynnię, i wyjęłam z kieszeni klucz do pokoju.

Otworzyłam drzwi, wyciągnęłam nóż z framugi i szybko wepchnęłam obie kobiety do pokoju. Shelly i Cynnia skuliły się blisko siebie przy przeciwległej ścianie, tymczasem ja zamknęłam drzwi na zamek i sprawdziłam dokładnie, czy jesteśmy same. Ten pokój odpowiadał mi bar - dziej - nie było tu okna i do środka prowadziło tylko jedno wejście; tylko jedne drzwi do pilnowania, gdyby ktoś wy - śledził, dokąd przeniosłam Cynnię.

- Co się stało? - zapytała Shelly, kiedy w końcu się przekonałam, że mamy pokój tylko dla siebie. - Masz zaschniętą krew na ręce.

Usiadłam na skraju łóżka, podczas gdy Shelly zajęła jedyne porządne krzesło, pozostawiając Cynnię przycupniętą na podłodze przy ścianie.

- Spotkałam swojego starego znajomego o imieniu Rowe. Sprawiał wrażenie, jakby bardzo chciał cię odnaleźć, Cynnio.

- Zamierza mnie zabić? - spytała, oplatając ramionami ugiętą nogę i prostując drugą.

- Nie wiem, ale postawiłam mu ultimatum. Jeśli zrezygnuje z ceremonii ofiarnej, puszcze cię wolno. A jeżeli nie, zginiesz. Pomyślałam, że obie tego chcemy.

- Ale ja nie chcę umierać!

- A więc on będzie miał powód, żeby z nami współpracować.

- Nie mogłaś wymyślić czegoś bardziej przekonującego od groźby, że mnie zabijesz?

- Nie, bo zamierzam to zrobić. Nie przydasz mi się na nic, jeśli nie pomożesz powstrzymać naturi od złożenia ofiary. Wtedy będziesz dla nas zwykłą naturą, która chce zabijać nocnych wędrowców i ludzi.

- To nieprawda! Przecież wiesz, że to nieprawda - zaoponowała. Rzuciła się naprzód i znalazła się przede mną na czworakach. - Mogę wam pomóc. Ja nie chcę tej wojny. Nie chcę walczyć z nocnymi wędrowcami i będę szczęśliwa, kiedy znajdzie się sposób na pokojowe życie z ludźmi.

- Niestety, wydaje się, że Rowe nie jest gotowy zrezygnować ze swoich planów tylko z powodu siostry królowej naturi. Zamierza złożyć ofiarę jutrzejszej nocy.

- Nie! Miro, proszę, możemy znaleźć jakieś inne wyjście. Mogę ci się przydać -

rozpaczliwie przekonywała Cynnia.

- Masz szczęście, bo pojawił się ktoś jeszcze, zanim wróciłam - powiedziałam, a Cynnia raptownie

uniosła głowę. - Najwyraźniej twojej siostrze zależy na tobie. I to do tego stopnia, że spróbuje pokrzyżować plany Rowe'a, aby uratować ci życie.

- Nyx chce, żebym przeżyła? - wyszeptała Cynnia.

Usiadła znowu, a łzy spłynęły po jej bladych policzkach. - Bałam się, że skoro tu jest, to nasłano i ją, żeby mnie zabiła. Ale Nyx chce, żebym żyła.

- Na to wygląda - skomentowałam półgłosem.

- Czy masz jakiś pomysł? - zapytała Shelly, przyciągając moją uwagę. Nie odzywała się za wiele podczas tej wyprawy. Zajmowała się Cynnią, kiedy Danaus i ja snuliśmy plany związane z Machu Picchu. Miałam nadzieję, że zablokuje ziemskie czary naturi.

- Jeśli nasza mała Nia chce przeżyć, to wydaje się, że może nam jakoś dopomóc, a przy okazji także swojej siostrze Nyx. - Przerwałam, żeby się upewnić, że Cynnia pilnie słucha. Wpatrywała się wielkimi, wilgotnymi oczami w moją twarz, rękawem koszuli ocierając łzy. - Musimy utrzymać wrota zamknięte.

- Zgoda. - Cynnia pokiwała głową. - Nie chciałabym, żeby coś złego stało się Aurorze, ale nie można jej pozwolić powrócić na ziemię.

- W takim razie musisz nauczyć Shelly i mnie posługiwać się ziemską magią.

- Ja już to potrafię - wtrąciła Shelly, przesuwając się na krawędź krzesła.

- Może, ale nie na takim poziomie, na jaki mogłabyś wznieść się teraz - odparłam, kręcąc głową. - Chcę, żebyś potrafiła wykorzystać ją w pełni. Święta Dolina jest przepelniona energią nawet bardziej niż Stonehenge i pałac w Knossos. To miejsce jest inne i musisz się przygotować, żeby zrobić z tego użytek.

- Przecież nocni wędrowcy nie mogą korzystać z magii ziemi - argumentowała Cynnią. - To wbrew wszelkim prawom.

Uśmiechnęłam się i wstałam z łóżka, żeby do niej podejść.

- Każde prawo można złamać. Rowe posługiwał się magią krwi. Znam pewnego czarownika, który stosował magię krwi i ziemi. Potrafię zapanować nad ogniem, co najwyraźniej daje mi jakąś przepustkę do czarów związanych z ziemią. Potrzebna mi tylko twoja pomoc, żebym nauczyła się je kontrolować.

- Nad tym nie ma kontroli. - Odepchnęła się od ściany za sobą i wstała. - To energia, którą można wykorzystać, ale uważamy, że tak naprawdę nie da się nad nią zapanować.

- Posłuchaj, Cynnio. Nie jestem w nastroju na słowne gierki. Chcę, żebyś nauczyła mnie korzystać z tej mocy, która przeze mnie przepływa. Musisz powiedzieć mi, jak zostać ziemską czarownicą.

- To nie takie proste, Miro - wtrąciła Shelly. Obróciłam się wokół, opadłam na krawędź łóżka i zrezygnowana ukryłam twarz w dłoniach.

- Zupełnie jakbyśmy rozmawiały w różnych językach ... Nie mamy na to czasu.

Ku mojemu zaskoczeniu Shelly zareagowała na te słowa. Wstała z krzesła, podeszła i uklękła przede mną, ujmując obie moje ręce w swoje ciepłe dłonie.

- Nie próbujemy ci wszystkiego utrudniać, ale to naprawdę kwestia znaczenia słów, przynajmniej do pewnego stopnia. Nie znam się na magii krwi, jednak czary ziemskie wypływają z jedyne go, żywego źródła. Ta moc ma swoją świadomość i jaźń. Nie można nad nią zapanować, bo ona nie chce poddawać się kontroli. Nie możesz się nią posłużyć tak jak mieczem, to coś innego.

- W takim razie jak ty jej używasz? - Lekko ścisnęłam jej dłonie, by dać wyraz swojej desperacji, zerkając przy tym na Cynnę. - Rzucasz uroki. Sprawiasz, że rośliny rosną.

Zwierzęta są ci posłuszne. A wszystko to osiągasz za pomocą ziemskiej magii. Muszę się tego nauczyć albo przynajmniej zrozumieć, jak to się odbywa. W walce, która się toczy, nie wystarcza, że jestem starym nocnym wędrowcem czy nawet Krzesicielką Ognia. Kiedy znajdę się w miejscu ofiarnym, będę zagrożeniem dla samej siebie i dla wszystkich dookoła.

Shelly cofnęła dłonie i usiadła na piętach przede mną; na jej ślicznej twarzy pojawiło się zmieszanie, blond włosy okalały jej policzki.

- Nie rozumiem - wyszeptała Cynnia.

- Potrafię wyczuwać tutaj ziemską moc - wyjaśniłam.

- Ale tu, czy kiedy jesteś w pobliżu narastającej fali? - spytała szybko Cynnia, a ja zmarszczyłam brwi na taki dobór słów.

- Narastającej fali? - zapytała Shelly, przerzucając spojrzenie na naturę.

- Chodzi o jedno z tych miejsc na świecie, gdzie skorupa ziemska jest najcieńsza. Moc z wnętrza ziemi wydostaje się tamtędy na powierzchnię. Prawdopodobnie właśnie w takich miejscach Rowe składa swoje ofiary. Czerpie z nich energię do złamania pieczęci i otwarcia wrót.

- Tak, kiedy jestem blisko takiego źródła, mogę wyczuć moc ziemi. - Przytaknęłam ruchem głowy. Splotłam palce, wyłamując je lekko. Nie byłam pewna, czy rozsądnie jest informować o tym wszystkim młodą naturę, ale w tamtej chwili raczej nie miałam wyboru.

Przechodziłyśmy już przez coś podobnego poprzedniej nocy w lesie, ale byłam zmuszona odejść stamtąd z jednym tylko marnym zaklęciem ochronnym w kieszeni. Kiedy obeszłam Cuzco i wyczułam moc w powietrzu, zrozumiałam, że potrzebuję lepszego planu działania, jeśli mam przeżyć starcie w Machu Picchu. - To nie wszystko. Czuję też moc z ziemi, która napiera na moją skórę, próbuje we mnie wnikać.

- Domyślam się, że pozwalasz na to - rzekła Shelly, wykrzywiając kąciaki ust.

- Nie, świadomie nie.

- Dlaczego nie, Miro? To cudowny dar, który posiadasz - stwierdziła Shelly, energicznie unosząc się na klęczki. - To tak, jakby ziemia wyciągała do ciebie ręce. Z

ziemskimi czarownicami jest inaczej. Same musimy się o to starać i chwytać energię z powietrza, jeśli na nią natrafimy. Tutaj powietrze jest aż gęste od mocy, więc to dla mnie łatwiejsze, ale jeśli ona sama ciebie poszukuje ... To wielkie wyróżnienie.

- Ale nie potrafię jej wyczuć z dala od źródła - odparłam.

- Powiedziałaś, że świadomie nie pozwoliłaś wniknąć tej mocy do swojego ciała, ale czy zdarzało się to wcześniej? - spytała Cynnica. Odsunęła się trochę od ściany i teraz siedziała bliżej mnie i Shelly.

- Kiedy wzniecam ogień w pobliżu źródeł, przechodzi przeze mnie moc ziemi. Nie potrafię jej powstrzymać! Ogarnia mnie, opanowuje bez reszty, tak że nie pozostaje nic innego. Jedyne sposoby, żeby jej się pozbyć, to rozpaść jeszcze większy ogień, ale wydaje się, że i to nie wystarcza.

- I nie wystarczy - powiedziała Cynnica, smutno kręcąc głową. - Jak ją w końcu powstrzymujesz?

- Dzięki magii krwi. Wypiera magię ziemi z mojego ciała - wyjaśniłam, przezornie nie wspominając o tym, że to Danaus, dzięki swojej naturze odziedziczonej po bori, służy mi za źródło czystej magii krwi. - Chcę nad tym zapanować. Chcę używać tej ziemskiej magii, która przenika moje ciało, ale muszę się też nauczyć odcinać od niej. Czy któraś z was potrafi mi w tym pomóc?

Cynnica się zawahała, za to Shelly szybko przemówiła, kładąc mi rękę na kolanie. - Ja potrafię.

Spojrzałam na Cynnice, która odwróciła wzrok.

- Coraz mniej się nam przydajesz.

- Proszę, zrozum mój punkt widzenia, Miro. - Powoli podniosła wzrok, aby spojrzeć mi w oczy. - I tak już krążą o tobie różne legendy wśród natury. Czy dzięki mnie masz się stać jeszcze potężniejsza? Bardziej niebezpieczna nie tylko dla mojej rasy, ale i dla całego świata?

- A co będzie, jeśli nie staniemy się silniejsi? - rzuciła ze złością Shelly, po raz pierwszy podnosząc głos na młodą naturę. - Twoja siostra Aurora wydostanie się na świat i pozabija wszystkich. Nie zawsze podobają mi się metody Miry, ale przynajmniej na świecie, o który ona walczy, znajdzie się miejsce dla ludzi.

- Bo na was żerują! - odparła gniewnie Cynnica. Zwinęła dłonie w pięści i próbowała rozdzielić je szarpnięciem, ale łańcuchy trzymały mocno. - Ludzie to dla wampirów bydło.

Shelly się wzdrygnęła, zupełnie jak gdyby Cynnica nie - spodziewanie dała jej w twarz.

Otworzyła usta, ale nie powiedziała ani słowa.

- To prawda, Shelly - przyznałam spokojnie. Tym razem to ja położyłam dłoń na jej ramieniu. Drgnęła pod wpływem chłodnego dotyku, ale nie cofnęłam ręki. - Nocni wędrowcy nie mogą żyć bez ludzi. Pożywiają się ich krwią, ale to nie jedyny powód, dla którego staramy się was chronić. Mamy wśród ludzi przyjaciół, przeciwników i kochanków. Bez względu na to, ile czasu jakiś nocny wędrowiec pozostaje w ukryciu, w końcu nawiązuje relacje z ludźmi.

Sami wywodzimy się z gatunku ludzkiego i nie całkiem wyzbyliśmy się jeszcze człowieczej natury.

- Oni na was polują - powiedziała Cynnia do Shelly przez zaciśnięte zęby.

- I zarazem was ochramiamy - dodałam ze spokojem. - Nie jesteśmy ani złoczyńcami, ani wybawcami. Po prostu żyjemy na tym świecie tak samo jak ludzie.

Cynnia wstała i zrobiła parę kroków w moim kierunku, potrząsając ze złości pięściami.

- A my zasługujemy na miejsce w świecie tak samo jak nocni wędrowcy.

- Nie mam nic przeciwko temu, o ile nie odbierzecie go innym rasom. Popatrz mi prosto w oczy i powiedz szczerze, że taki jest plan Aurory.

Cynnia wytrzymała moje spojrzenie przez sekundę, a potem zamrugła i odwróciła wzrok.

- Ona nie chce się z nikim podzielić - wyszeptała, a jej szczupłe ramiona opadły w poczuciu przegranej. - Nigdy nie zamieszka na świecie razem z ludźmi.

- I dlatego właśnie nie przestanę walczyć z naturi. Pokażcie mi takiego władcę naturi, który rozumie, co to znaczy współistnienie, a wtedy pomyślę o schowaniu miecza.

- Pomyślisz? - zapytała Cynnia i znowu się odwróciła, żeby na mnie spojrzeć, ze zdziwieniem unosząc przy tym brew.

- Twój brat i wielu innych naturi odpowiadają za wiele sprawek, których nigdy im nie daruję. Nie umiem tak szybko zapominać - powiedziałam lodowatym tonem.

- Myślałam, że wyznajecie zasadę „zapomnieć i wybaczyć”.

- Znam swoje wady. Nie ma mowy o wybaczeniu.

Westchnienie Shelly sprawiło, że znowu na nią spojrzałam. Znalazła się w pułapce między dwiema wojującymi rasami. Jej jedyną szansą było postawić na tych, którzy zapewnią jej ocalenie, dlatego sprzymierzyła się z nocnymi wędrowcami. Jednak Cynnia miała rację.

Ludzie byli dla nas niewiele ważniejsi od bydła. Wyładowywaliśmy na nich agresję, stanowili rodzaj niezdrowej rozrywki, kiedy nachodziła nas na nią ochota. Mniejsze zło nadal pozostaje złem.

- Z tego, co rozumiem, Miro - zaczęła powoli Shelly, odsuwając się od mojej ręki i nie odrywając wzroku od wytartego i spłowiałego dywanu pod nogami - próbujesz stać się kondensatorem energii, jaka przez ciebie przepływa, zamiast jej przewodnikiem.

- Niczego nie próbuję - stwierdziłam, nie chcąc, by zabrzmiało to tak, jakbym się tłumaczyła. - Parę pierwszych razy, kiedy to się zdarzyło, o nic się nie starałam. To zwyczajnie zaszło wbrew mojej woli.

- W takim razie ziemia pewnie uznaje cię za ujście dla swojej energii z powodu twojej umiejętności władania ogniem - wtrąciła niespodziewanie Cynnia. Wróciła na swoje miejsce na podłodze pod ścianą, oplatając rękami ugięte nogi. - Aby tak się nie działo, musisz po prostu unikać różnych miejsc nasilenia ziemskiej energii na świecie.

- Nia - powiedziałam cicho, najłagodniejszym głosem, na jaki tylko było mnie stać mimo narastającej frustracji. - Muszę zapobiec otwarciu tych wrót.

Ku mojemu zdziwieniu Cynnia zamknęła oczy, a po jej policzku spłynęła jedna duża łza.

- Wiem. - Wiedziała też, że wielu jej pobratymców miało zginąć w bitwie na Machu Picchu jutrzejszej nocy.

- Jak już mówiłam - podjęła Shelly, odciągając moją uwagę od zagubionej i załamanej naturi - działasz jak rodzaj akumulatora. Wygląda na to, że moc wpływa do twojego ciała, które próbuje skumulować energię, aż będziesz gotowa, żeby jej użyć. Niestety, nadmiar tej energii może cię w końcu zniszczyć.

- Zgadzam się z taką oceną - przyznałam półgłosem.

To przynajmniej tłumaczyło straszliwy ból, który odczuwałam, kiedy tylko energia we mnie wpływała, oraz ulgę po jej zużyciu. Zastanawiałam się też, dlaczego czułam podobny ból, gdy Danaus albo Jabari próbowali mną sterować. Czy po prostu gromadziłam ich moc w swoim ciele, dopóki nie podporządkowałam się ich życzeniom?

- Musisz stać się przewodnikiem energii - stwierdziła Shelly. - Powinnaś pozwolić jej nie tylko wpływać w siebie, ale też wypływać z powrotem na zewnątrz. Kiedy stosujesz magię ziemi, zwyczajnie wykorzystujesz moc, która w naturalny sposób przez ciebie przepływa.

- Więc jak mam to zrobić?

Na to pytanie Shelly przygryzła dolną wargę i spojrzała przez ramię na Cynnię, która tylko wzruszyła ramionami.

- Masz szansę udowodnić, że na coś mi się przydasz, uratować swoje życie, a ty odmawiasz! - krzyknęłam na naturi, wstając z łóżka i podchodząc do niej.

- Nie, nie o to mi chodzi. - Uniosła ramiona, żeby zatrzymać mnie z dala od siebie. -

Nie mam pojęcia, jak nauczyć cię tego, o co prosisz. Ta umiejętność powinna przychodzić naturalnie. Szczerze, gdybym tylko wiedziała, co trzeba zrobić, powiedziałabym ci. Nie chcę się zastanawiać, ile energii możesz w sobie zatrzymać albo jakich narobić szkód, wykorzystując taką moc. Już lepiej, żebyś przewodziła energię, tak jak mówiła Shelly.

Przystanęłam i zerknęłam na czarownicę, która kiwała potakująco głową.

- Nigdy nie zetknęłam się z takim problemem - wyjaśniła. - Sama musiałam czerpać moc z ziemi, wchłaniać ją w siebie, a ona potem w naturalny sposób wypływała ze mnie jak rzeka. Kiedy przepływa przeze mnie, zwyczajnie biorę tyle, ile potrzeba do zaklęć, jakie akurat rzucam.

- Cholera - mruknęłam, a potem wróciłam na dawne miejsce i klapnęłam na brzeg łóżka. Obiema dłońmi przeczesałam włosy, sfrustrowana odgarniając je z twarzy.

Rozpaczliwie szukałam jakiegoś, jakiegokolwiek rozwiązania tego problemu. Nie mogłam uniknąć przebywania blisko źródeł mocy. Tak naprawdę zamierzałam nawiedzać wszystkie te miejsca co do jednego, aż w końcu poradzę sobie z Rowe'em i jego załogą.

Nagle włoski na karku mi się zjeżyły i wyemitowałam z ciała moce, które przeleciały przez hotel jak horda zjaw, aż w końcu dotarły do Danausa. Łowca nadchodził. Nie miałam teraz czasu. Musieliśmy już wyruszać.

- Może pomożesz mi inaczej - zaczęłam, spoglądając na Cynnę. - Co wiesz o Ollantaytambo?

- Nic. - Pokręciła głową. - Nigdy nie słyszałam tej nazwy.

- To miejsce niedaleko Machu Picchu - naciskałam.

Potrzebne mi były wszelkie informacje, jakich tylko mogła udzielić, zanim wyruszymy na tę szaleńczą misję.

- Zdaje się, że jest tam jakaś stara świątynia Inków albo podobna budowla.

I znów Cynnia tylko pokręciła smutno głową.

- Wiem tylko o Machu Picchu, bo wspominać tę nazwę. My nazywamy je inaczej.

Słyszałam, że jest to ostatnie z miejsc, gdzie próbowaliśmy otworzyć wrota i prawie nam się udało.

- A jak nazywacie to miejsce?

Cynnia przemówiła w swoim śpiewnym języku; nie umiałam nawet powtórzyć tych słów, więc zerknęłam na nią spode łba.

- Oznacza to mniej więcej tyle co „Ogród Matki”. Tak samo nazywamy całą dolinę.

Danaus zapukał do drzwi sypialni. Pora wyruszać do Ollantaytambo. Niezupełnie miałam ochotę

udawać się do ruin, jakie pozostały po prekolumbijskich Inkach, ale czułam, że muszę tam pojechać. Coś z mojej przeszłości przyzywało mnie w tamto miejsce. No i wrota, które należało w końcu albo otworzyć, albo zamknąć - na głucho i na zawsze.

Rozdział 21

Tylko ludzie strażnicy odzywali się podczas jazdy samochodem do Ollantaytambo.

Jednak nawet oni mówili cicho, poszeptując do siebie łamanym hiszpańskim lub włoskim.

Siedziałam z przodu obok Danausa, który łaskawie zgodził się kierować wozem.

Zatrzymywał się na nielicznych skrzyżowaniach, stękał i wtedy w milczeniu oglądaliśmy mapę, którą dał nam Eduardo, a potem bez słowa ruszaliśmy dalej. Stefan rozsiadł się na fotelu tuż za Danausem i bezskutecznie próbował zdenerwować łowcę. Może nawet trochę działał mu na nerwy, ale Danaus, jak to on, nie okazywał emocji. Wydawało się, że tylko ja potrafię go wkurzyć. No i miałam wszelkie powody, by przypuszczać, że zamierza się kiedyś odegrać i wyrwać mi serce za wszystkie kłopoty, w jakie go wpędziłam.

Stefan starał się też trzymać tak daleko od Cynnii, jak to możliwe. Nie zareagował

zbyt dobrze na wiadomość, że zarówno ziemską czarownicą, jak i naturi pojedą razem z nami do Ollantaytambo. Wolałby wyszarpać Cynnii serce od razu, na środku miejskiego deptaku, i pozostawić jej zwłoki ludziom, jednak sprytnie odwiódłam go od tego, mówiąc, że użyjemy jej jako karty przetargowej podczas bitwy w Machu Picchu. Tymczasem Shelly odgrywała rolę kruchego ludzkiego bufora, siedząc między potężnym i pochmurnym Stefanem i, aż zanadto wyciszoną Cynnją, kiedy zmierzaliśmy w głąb Świętej Doliny w srebrzystym blasku malejącego księżyca. Chciałam spytać którąś z kobiet, Shelly albo Cynnję, czy wyczuwają, że moc w powietrzu narasta, jednak wolałam na razie nie niepokoić Stefana, wspominając o ziemskiej magii, którą pewnie uważał za bzdurę. Lepiej, by nadal myślał, że odnoszę się do Cynnii jak do jeńca. Nie musiał wiedzieć, że jestem zdana na jej wskazówki dotyczące kontrolowania - albo przynajmniej zastosowania - ziemskiej magii, która, jak się wydawało, rozpaczliwie pragnęła przeze mnie przepływać.

Gdy dojeżdżaliśmy do Ollantaytambo, wokół nas zaczęły się pojawiać wzniesienia, skrywając nikłe światło gwiazd. Księżyca już nie było widać. Zmniejszony do cienkiego srebrnego rogalika, ledwie śladu chwały księżyca w pełni, skrył się gdzieś, jakby zadowolony, że musimy błąkać się w przytłaczających ciemnościach. Zwierzęta obserwowały nas w milczeniu, przyczajone wzdłuż wąskiej, krętej drogi, ukrywając się za skałami i krzewami.

Po ponad dwóch godzinach jazdy opuściliśmy w końcu górzysty krajobraz z pojedynczymi drzewami i krzakami i wjechaliśmy w małą dolinę. Chociaż nie oddychałam, prawie mnie zatkało na widok Ollantaytambo. Miasto było niewielkie; kilka uliczek i parę hoteli. Nie stanowiło dużej atrakcji turystycznej. Niektórzy wybierali się tu na krótki, jednodniowy wypad, żeby obejrzeć ruiny na skraju miasteczka, ale potem ruszali dalej - do Aguas Calientes i Machu Picchu.

Kiedy jechaliśmy powoli główną ulicą, zauważyłam, że czterech ludzi, których wzięliśmy ze sobą,

umilkło. Z tyłu furgonetki dobiegały mnie odgłosy szeleszczących ubrań i cichy trzask odpinanych schowków na broń, aby w razie potrzeby dało się szybko dobyć noży i pistoletów. Wcześniej, przed opuszczeniem pokoju hotelowego, Danaus i ja ponownie się uzbroiliśmy. On miał krótki miecz, przypasany do pleców, oraz parę spluw, których nie umiałam rozpoznać. Łowca okazał się na tyle miły, że zaoferował mi pistolety marki Glock i Browning, jakich używaliśmy na Krecie. Nie przepadałam za bronią palną, ale te dwa rodzaje pistoletów poznałam na tyle, żeby jako tako się nimi posługiwać. Nie musiałam więc na nowo uczyć się obsługi nieznannej broni. Miałam także krótki miecz przy udzie. Liczyłam, że uda mi się uniknąć konieczności zastosowania swojej mocy w tym miejscu, ponieważ w powietrzu iskrzyło już tyle energii, że czułam się nieswojo.

Gdy wjechaliśmy do miasta, dostrzegłam, że poszczególne kwartały otoczone są wysokimi murami, jak w dawnych warowniach Inków. Za murami stały obok siebie małe ładne domki, pośrodku znajdował się dziedziniec. Była już prawie północ, a wszystkie domy pozamykano na głucho, wygasiwszy światła.

Danaus zatrzymał wóz na skraju głównej ulicy i popatrzył na mnie, oczekując dalszych wskazówek. Teraz, gdy znaleźliśmy się na miejscu, jakoś nie miałam ochoty nigdzie iść ani w ogóle się odzywać. Wyprawa do tej miejscowości wydawała się dobrym pomysłem, kiedy siedziałam w zatłoczonym barze w Cuzco, w otoczeniu innych wampirów. Nie, właściwie to nie tak. Nawet w Cuzco zakrawała na szaleństwo, a teraz, w tych ciemnościach, zrozumiałam, że to rzeczywiście czysty obłąd.

Miro? - zagadnął wyczekująco, kiedy nadal milczałam.

Te ruiny - odparłam cicho, ciesząc się, że głos mi nie drży. Jednak z piekielną siłą ścisnęłam przy tym klamkę na drzwiach samochodu i nie potrafiłam jej puścić. - Czy ktoś nas śledzi?

Nie miało sensu wyjaśnianie, o kim mówię. Tylko jedna rasa mogła nas tropić, niewykrywalna zwykłymi sposobami. Tylko jednej rasy obawialiśmy się teraz wszyscy -
naturi.

- Nie, ale są niedaleko - powiedział Danaus. Jego niski głos zabrzmiał niewzruszenie i spokojnie; był jak kojący balsam, pomimo złowieszczonego sensu słów. Odkąd opuściliśmy hotel, łowca nieustannie wysyłał pulsującą energię, przeczesując okolicę w poszukiwaniu wrogów. Te nieprzerwane fale omiały mnie i przepływały przeze mnie, przyciągając do Danausa. Dawniej mnie chroniły, choć jednocześnie mogły mnie zniszczyć, rozerwać na strzępy. Teraz chciałam, aby ustrzegły mnie nie tylko przed nadciągającymi nieprzyjaciółmi, ale także przed widmami minionych czasów.

Danaus wyjechał rozklekotaną białą furgonetką na szosę i pokonał krótki dystans dzielący nas od ruin. Ponieważ otaczały nas wzgórza, ruiny odznaczały się na ich tle.

Ujrzelśmy skomplikowane kamienne konstrukcje, wzniesione przed wiekami przez ludzi.

Łowca zatrzymał samochód na małym, żwirowym parkingu oddalonym o kilkaset metrów od podnóża góry. Oczywiście „góra” to określenie umowne, bo przecież już znajdowaliśmy się ponad trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Na oko droga na szczyt ruin liczyła mniej niż pół kilometra.

- No cóż, Miro - zaczął Stefan, przerywając ciszę, w której słyszało się tylko oddechy ludzi. - Jesteśmy na miejscu. Właśnie to chciałaś zobaczyć?

Odwrociłam się na siedzeniu i zerknęłam na naturę ciasno skuloną przy drzwiach wozu, odsuwając się od Stefana.

- Cynnio? Masz mi coś do powiedzenia? - spytałam, chwilowo ignorując Stefana.

- Nie. Nigdy wcześniej tu nie byłam. Nie mam pojęcia, dlaczego to miejsce ma być ważne, poza tym, że w powietrzu jest tu mnóstwo energii.

Temu nie mogłam zaprzeczyć. Powietrze zdawało się aż gęste od energii - lepkie, jak w upalny i wilgotny dzień. Energia w tej okolicy była namacalna, jakby domagała się rozpoznania. Cóż, byłam gotowa to zrobić.

- Idziemy na szczyt - rzuciłam, zdopingowana przez beczelny ton Stefana. Jeśli ten nocny wędrowiec wyróżniał się czymś szczególnym, to zdolnością zachodzenia innym za skórę jak kleszcz. - Ludzie zostaną tutaj i przypilnują wozu.

- Miro? - Cichutki głos Shelly przerwał ciszę, która zaległa w aucie.

- Ty nie będziesz odstępować Cynnii. Nie spuszcza jej z oczu. Nie pozwól jej dojść do ruin, bo tam może nam uciec - poleciłam, bardziej na użytek Stefana niż Shelly. Nie przypuszczałam, że Cynnia podejmie tu szaleńczą próbę ucieczki, skoro obawiała się lojalności natury, których napotka. Na razie była bezpieczniejsza w naszych rękach.

- Jesteś pewna, że poradysz sobie z ...

- Da sobie radę - rzuciłam w odpowiedzi na pytanie Stefana.

Nie czekając na dalsze uwagi i spory, otworzyłam drzwi wozu i wysiadłam. Musiałam przystąpić do działania. Grupa nocnych wędrowców powinna przybyć w ciągu niecałej godziny i przerzucić nas do hotelu u podnóża ruin. Była to moja ostatnia szansa, żeby ujrzeć to miejsce. Cóż, najlepsze plany muszą uwzględniać nieprzewidziane przeszkody.

W chwili kiedy obutą stopą dotknęłam żwirowego podłoża, kolana ugięły się pode mną. Całe szczęście, że nadal trzymałam klamkę, dzięki czemu nie wylądowałam na tyłku.

Całym ciężarem ciała napałam na drzwi furgonetki, otworzyłam je na oścież i wydostałam się na zewnątrz. Moja druga stopa znalazła się na ziemi i wtedy kolejna fala mocy przepłynęła przeze mnie, aż cicho jęknęłam. Chwyciłam mocno klamkę obiema rękami i oparłam głowę o drzwi samochodu, czekając, aż to minie. Nie potrafiłam zmusić nóg do pracy. Były jak miękkie, bezużyteczne kluchy. Ból przepełniał mnie potężnymi, nieskończonymi falami, kiedy moc ziemi napierała na moje ciało i smagała je od stóp po czubek głowy.

- Miro? - Stefan położył mi dłoń na ramieniu; pytał, ale tonem wolnym od typowej dla niego zimnej obojętności. Nie dosłyszałam nawet, jak otwierają się drzwi z drugiej strony wozu, przez które

Stefan wy dostał się z furgonetki.

- Nie czujesz tego? - wydusiłam przez zaciśnięte zęby.

- Niby czego?

To pytanie przeraziło mnie tak, że zmusiłam się do otwarcia oczu. Odwróciłam się, by spojrzeć przez ramię, i zobaczyłam, że Stefan stoi za mną, najwyraźniej w znakomitej formie.

Wtedy uniosłam głowę i spostrzegłam, że Danaus obchodzi wokoło auto. W powietrzu było tyle energii, że dosłownie aż dusiła. Jak oni obaj mogli jej zupełnie nie dostrzegać?

- Shelly?

- Czuję ją, ale mi nie dokucza - odparła, podeszła i stanęła obok mnie. - Wydaje mi się, że mnóstwo energii po prostu przepływa przeze mnie, zupełnie jakbym stała w rwącym strumieniu.

- Energia nie przepływa przez nią tak jak powinna - stwierdziła Cynnna, podchodząc do mnie. - Próbuje w nią wniknąć. Nawet mimo łańcuchów czuję, że ta energia wiruje wokół

Miry i ją zalewa. Chce w nią wejść.

- Co się dzieje? - zapytał Stefan ponad szumem rozmów i domysłów. - O jakiej energii mówicie?

- O energii z ziemi - wymamrotałam, bo nikt inny nie palił się, by udzielić mu jasnej odpowiedzi. - Wyczuwam ją.

- Czy wobec tego na nic nam się nie zdasz? - ciągnął typowym dla siebie, dość ponurym tonem.

- Danausie? - Znowu zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na tym, żeby mocno trzymać się klamki. W tej chwili nie musiałam sobie zawracać głowy Stefanem i jego cynicznym nastawieniem. Musiałam znaleźć sposób, żeby działać w takich warunkach.

Gdyby teraz zaatakowali nas naturi, okazałabym się bezużyteczna dla naszej grupy jak kula u nogi.

Nasłuchiwałam chrzęstu żwiru pod stopami Danausa, który podszedł bliżej. Oparł

swoją dużą rękę na moich plecach i aż jęknął zaskoczony. Cofnął dłoń; otworzyłam oczy i zobaczyłam, że mój ponury towarzysz wpatruje się we mnie zmieszany.

- Co to takiego? - warknął.

- Ziemia - wyszeptałam. - Podnieś mnie.

Trzymałam się drzwi wozu coraz słabiej, a brakowało mi sił, żeby wgramolić się z powrotem do środka. Zresztą nie wchodziło to w grę. Musieliśmy dotrzeć na górę do ruin, zanim przybędą inni nocni wędrowcy.

Bez słowa sprzeciwu łowca wziął mnie na ręce. I od razu napływ energii się urwał.

Przez moment moje osłabione kończyny drżały, lecz nawet i to szybko ustało. Objęłam go ramieniem za szyję i roztarłam sobie skroń nasadą drugiej dłoni, żeby rozproszyć mgłę w mózgu. Nie miałam pojęcia, dlaczego energia jest tutaj taka mocna. Nie tu naturi chcieli złożyć ofiarę, aby otworzyć wrota. Wszyscy wiedzieliśmy, że dojdzie do tego w Machu Picchu. Ale z jakiegoś dziwnego powodu w tym miejscu energia aż wirowała i musiałam się dowiedzieć, dlaczego tak jest, zanim udamy się do hotelu Sanctuary Lodge. Jeśli to miejsce było ważne dla naturi, to musiałam się przekonać, zanim je opuścimy.

- Ruszajmy - poleciłam ostro i choć poczułam się niezręcznie, wydając rozkazy niesiona przez Danausa, to jak zwykle użyłam tonu nieznoszącego sprzeciwu. - Kiedy dotrą tu pozostali?

- Już są w drodze - odpowiedział sztywno Stefan. Danaus już wyruszył, a nocny wędrowiec musiał dać parę susów, żeby nas dogonić. - Przecież on nie może cię zanieść na sam szczyt.

- Jeszcze nie wolno mi dotknąć nogami ziemi. W tej okolicy jest za dużo energii. Albo Danaus mnie wniesie, albo ty przetransportujesz nas w powietrzu na szczyt - rzuciłam gniewnie. Nie ufałam Stefanowi. Nie pozwoliłabym mu przerzucić mnie do hotelu i pozostawić Danausa, żeby dołączył do nas rano. Nie chciałam tracić kontaktu z łowcą. W

każdym razie dopóki nie powstrzymamy złożenia ofiary. Był jedyną osobą, której zależało na tym samym co mnie: na poskromieniu naturi.

- Nie ma czasu na takie bzdury - zrzędził Stefan, a jego jasnoszare oczy lśniły z bezsilnej wściekłości.

- Po co tu przyjechaliśmy? - wtrącił gładko Danaus, zupełnie jak gdyby wmiótł

Stefana razem z jego zastrzeżeniami pod dywan. - Co takiego pamiętasz?

- Nic. - Przeniosłam spojrzenie ze Stefana na ścieżkę przed nami. Wędrowaliśmy pod górę, powietrze wokoło wydawało się drgać.

- Oni wspominali o tym miejscu? - dopytywał się Danaus.

- Nie. - Zaczęłam kręcić głową, gdy coś przyciągnęło moją uwagę. - Zatrzymaj się! -

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jednego z wielkich głazów tworzących skalną ścianę. Na dwóch szarych kamiennych blokach widać było trzy wyryte linie. Dwie z nich przebiegały równoległe do siebie, ukosem, a trzecia, poprzeczna, je przecinała. Nie był to symbol naturi, ale z pewnością te znaki nie powstały naturalnie.

- Postaw mnie na ziemi - powiedziałam chrapliwym głosem, odpychając się od piersi Danausa. Powoli dotknęłam stopami gruntu. I znowu moc wpłynęła we mnie, aż nogi się pode mną ugięły. Uderzyłam kolanami o podłoże, wydając z siebie cichy jęk i nadal dotykając kamienia.

Zacisnęłam zęby, mentalnie omiotłam okolicę i poszukałam w pobliżu wszelkich istot obdarzonych duszą. Jeśli magia ziemi miała atakować moje ciało, aż znajdzie do niego wejście, to musiałam tak napełnić się magią krwi, aby powstrzymać ten napór. Wokół

wyczuwałam energię bijącą od Shelly i ludzi w furgonetce. Ważniejsze jednak, że nawiązałam połączenie z Danausem. Teraz mogłam wyczuwać jego emocje tak wyraźnie jak swoje własne. Wiedziałam, że gdy trochę się wysilę, zdołam także usłyszeć jego myśli, ale przezornie wolałam ich nie poznawać.

Moc wpłynęła we mnie, chłodna i kojąca; pomagała mi odeprzeć tę intensywną energię, pod której wpływem drżały mi kończyny. Ból nadal przenikał moje stawy i pulsował

ciężko w skroniach, a dwa rodzaje energii walczyły o moje szczupłe ciało. W tej chwili jednak ból się nie liczył. W końcu przypomniałam sobie, dlaczego Ollantaytambo jest takie ważne.

- To ich wejście - oznajmiłam, starając utrzymać się na nogach.

- Co to znaczy? - zapytał Stefan. Stał blisko i chwycił mnie za łokieć, pomagając zachować równowagę.

Zamiast mu odpowiadać, odwróciłam się tak, żeby spojrzeć na Cynnię, która jakby się skurczyła pod wpływem mojego wzroku, częściowo chowając się za Shelly.

- Możecie się przemieszczać dzięki tej energii, co? - zapytałam surowym tonem.

Cynnia przytaknęła ruchem głowy, a brązowe włosy, opadając, przesłoniły jej twarz.

- W ten sposób potrafimy szybko się przenosić z jednego miejsca na ziemi w inne.

Wymaga to trochę ćwiczeń i dużo opanowania, ale podobno większość naturi to umie.

- A ty?

Młoda naturi parsknęła i odstąpiła o krok od Shelly.

- Oczywiście, że nie. Jestem na ziemi od niedawna, a nikt jakoś mi nie powiedział, jak to się robi. Pewnie bym się zabiła, gdybym spróbowała.

- Na twoim miejscu nie robiłabym tego - ostrzegłam. - Stanowczo wolelibyśmy cię nie stracić.

- A więc to tutaj jest wejście? - wtrącił Danaus, przerywając moje groźby. Naprawdę miał talent do psucia mi zabawy.

- Wielka energia płynie pod spodem jak gigantyczne podziemne rzeki. Naturi potrafią wykorzystywać je do podróżowania po całym świecie - wyjaśniłam, mój głos nabierał siły, kiedy szłam w górę ścieżką. Jedną ręką przesuwałam po ścianie skalnej, żeby zachować równowagę. - Ale te podziemne nurty mają tylko kilka wyjść. Najbliższe Machu Picchu znajduje się tutaj, w Ollantaytambo. Dlatego

tu byłam; dlatego pamiętam to miejsce.

- To ich sposób na przerzucanie posiłków do Machu Picchu - powiedział Stefan, zaciskając dłoń na moim łokciu. - Musimy to zniszczyć.

Wyrwał mi się gorzki śmiech, po czym się opamiętałam.

- Nie da się tego zniszczyć, tak samo jak nie da się powstrzymać nadchodzącego świtu

- powiedziałaam zjadliwie. - Tak jak życia ziemi i wszystkiego, co na niej wzrasta.

- Czy możemy zablokować to wejście? - spytał Danaus, przyciągając moje spojrzenie.

Wpatrywał się we mnie, a jego chłodne błękitne oczy zdawały się odbijać nikły blask gasnących gwiazd. - Przynajmniej chwilowo. Zyskać trochę czasu.

- Może. Czy oni tu są? - Skupiałam się tak bardzo na energii sączącej się z ziemi i na otworze na szczycie Ollantaytambo, że prawie zapomniałam, że naturi też tu nadchodzą.

- Na razie nie, ale się zbliżają.

Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam, że Stefan pilnie się przysłuchuje naszej rozmowie.

- Jak długo jeszcze? - spytałam.

- Bertha i kilku innych powinni tu wkrótce dotrzeć - odparł.

- W takim razie musimy już ruszać. Taka okazja więcej się nie powtórzy. -

Przyspieszyłam nieco kroku. Nogi mi drżały i trudno mi było skoncentrować się na gromadzeniu energii, której potrzebowałam, by powstrzymać magię ziemi, która rozpaczliwie próbowała we mnie wnikać.

Cichy jęk zawodu, jaki wyrwał się Stefanowi, był dla mnie jedynym ostrzeżeniem i wcale nie zyskałam przez to dość czasu na reakcję. Objął mnie w talii mocnym ramieniem i przyciągnął tak, że przylgnęłam plecami do jego piersi, a potem znaleźliśmy się w powietrzu.

Zazdrościłam mu umiejętności latania, tej możliwości ucieczki od zbliżającego się świtu, z której mógł skorzystać. W innych okolicznościach pewnie powiedziałabym coś miłego o dotyku chłodnego powietrza wokół nas. Niestety, nie byłam w odpowiednim nastroju. Stefan robił się nieznośny, a ja miałam już dosyć stworzeń, który usiłowały mną kierować.

W chwili gdy znowu dotknęłam stopami ziemi, próbowałam stuknąć go łokciem w brzuch, ale nie pomyślałam zawczasu o źródle mocy, jakie na mnie czekało, kiedy znaleźliśmy się na szczycie góry. Nogi od razu ugięły się pod mną i zawisłam bezwładnie w ramionach Stefana.

- Czy tu jest gorzej? - zapytał.

- Tak - wydusiłam, starając się powstrzymać moc, z powodu której nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Wyszukałam mentalnie wszelkie żywe stworzenia, do których tylko mogłam dotrzeć. Mój umysł powędrował do osady Ollantaytambo oraz jej uśpionych mieszkańców.

Ich energia zawirowała wokół i przepłynęła przeze mnie, z pozoru znów mnie oczyszczając.

- Dlaczego ja jej nie wyczuwam?

- Bo nie podążyłeś z jej nurtem - odparłam, stawiając nogi tak, żebym mogła się od niego odsunąć. To było kłamstwo, ale Stefan chwilowo powinien się nabrać. Nie miałam pojęcia, czemu potrafię wyczuć magię ziemi, poza tym, że mogłam posługiwać się ogniem.

Niestety, dręczyło mnie ponure przypuszczenie, że obie te zdolności mają ze sobą niewiele wspólnego. Pewnego dnia coś innego okaże się w tej sprawie; coś, co zacznie mnie prześladować, jednak na razie pomyślałam, że dzięki małemu kłamstwu każdy poczuje się trochę lepiej.

Stefan powoli mnie puścił i równie wolno wycofał ręce, zupełnie jakby się spodziewał, że upadnę w chwili, kiedy się odsunie.

- Dzięki temu prądowi w ziemi naturi zdołali kiedyś przewieźć mnie w jeden dzień z Hiszpanii do Machu Picchu - wyjaśniłam. - Tylko tak mogli to zrobić.

Przemilczałam, że teraz już przypominałam sobie tamten pobyt w Ollantaytambo.

Niejasno pamiętałam słońce i moje płonące ciało, gdy naturi spieszyli się, żeby ukryć mnie przed nim, swoją ceną zdobycz, zanim spalę się na kupkę popiołu. Pamiętałam, jak krzyczałam i myślałam, że w końcu spadłam do piekła. Nie umiałam jednak wyjaśnić, dlaczego tamtego dnia zachowałam przytomność - chyba że był to uboczny efekt przepływu energii. Odpędziłam jednak od siebie te straszne wspomnienia. - Naturi są tutaj -

powiedziałam wśród zimnego nocnego powietrza.

- Jesteś tego pewna? - zapytał Stefan, marszcząc brwi. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, w ciszy rozległ się pojedynczy wystrzał. Jakby z wahaniem ziemia zdawała się brać oddech, a potem w dolinie pod nami rozległ się huk serii z broni maszynowej.

- Tak, całkiem pewna - odparłam, nasączając każdą z sylab gryzącą ironią. Nim rozległ

się odgłos pierwszego strzału, wyczułam wśród ludzi poruszenie. Niepokój splotywał na nich, jak gdyby czuli, że coś obserwuje ich w ciemnościach. Przyciągając ich energię, odbierałam też ich emocje. Poczulałam, że lęk przeradza się błyskawicznie w przerażenie, gdy uświadomili sobie, że mają przed sobą stwory, których nie potrafią pokonać.

Znowu zapadła cisza. Bez sprawdzania wiedziałam, że czwórka ludzi, których przywieźliśmy tu ze sobą, nie żyje. Naturi usuwali wszystko, co stało im na drodze do nas.

Zabicie tych ludzi to tylko rozgrzewka przed jatką, jaką chcieli urządzić na szczycie góry w

Ollantaytambo.

Odgłosy kroków na skraju płaskowyżu pobudziły do działania Stefana i mnie, ale szybko się rozluźniliśmy na widok biegnącego truchtem Danausa, za którym podążały Shelly i Cynnia.

- Ilu? - spytałam szorstko.

- Ośmiu - odparł łowca i już chwycił za broń. Wyciągnęłam browninga z kabury pod pachą i ujęłam pistolet w obie dłonie, czekając na przeciwników.

- Tylko tylu? - Byłam dziwnie rozczarowana niewielką liczebnością sił naturi.

Oczywiście, po stoczeniu bitwy z całą ich hordą w Londynie i z następną armią na Krecie spodziewałam się licznych zastępów czekających, by zniszczyć mnie w Peru.

- Następni są w drodze - odburknął Danaus, tak jakby chciał mi w ten sposób dogodzić.

- Ty i Stefan zablokujcie wejście. Ja zajmę się naturi - rozkazałam, przerzucając spojrzenie z łowcy na nocnego wędrowca. Żaden z nich nie wyglądał na szczególnie zadowolonego, ale też się nie sprzeciwili.

A co ze mną? - spytała Shelly. Po raz pierwszy od dłuższego czasu przypominałam sobie o niej i o Cynni. Prawie zapomniałam, że wciągnęłam młodą naturi i ziemską czarownicę w ten koszmar. Może powinnam raczej zostawić je w Savannah, żeby grały sobie w karty, jednak teraz brakowało już czasu na takie rozważania.

- Miej Cynnię na oku! Nie wolno jej zejść z góry bez Danausa lub beze mnie.

- Nie ucieknę z nimi, Miro! - zawołała Cynnia. - Ci naturi są prawdopodobnie od Rowe'a, a ja wolałabym na razie nie spotykać się ze swoim szwagrem. Do czasu, aż któreś z nas wymyśli jakiś plan.

- Mam ją chronić? - zapytała Shelly, kiedy akurat zwracałam się w stronę Danausa i Stefana. Przenosiłam wzrok z naturi na czarownicę i z powrotem, a w głowie kłębiły mi się myśli, które nie miały sensu w chwili, gdy szykowałą się bitwa.

- Chronicie się nawzajem - odezwałam się w końcu. Cynnia uniosła ręce skute kajdanami, na co pokręciłam przecząco głową.

- W powietrzu jest wystarczająco dużo energii. Jestem pewna, że coś wykombinujesz.

- Miro! - krzyknął Danaus, aż spojrzałam znowu na niego i Stefana. - Gdzie to wyjście, o którym mówiłaś? Gdzie ono jest?

- Tam - powiedziała Cynnia, wskazując miejsce za nimi. Obróciłam się na pięcie i ruszyłam za Cynnią i Shelly w kierunku zagłębienia w ziemi, o kilka metrów na zachód od nas. - To tu - potwierdziła naturi.

Danaus i Stefan spojrzeli na mnie, powątpiewając w prawdziwość jakichkolwiek słów kogoś, kto wywodzi się spośród naszych wrogów. Skinęłam głową. Dokładnie to miejsce sama bym wskazała. Energia była tu najgęstsza. Ziemię porastała gęsta zielona trawa, jak gdyby rosła na najżyźniejszej glebie i była codziennie podlewana. Poza tym okolicę pokrywał

piach, pośród którego rosły kępki trawy i zielska, poprzątkane dużymi kamieniami. Wejście znajdowało się tutaj.

Wzięłam głęboki wdech, skupiłam swoje moce i spróbowałam stworzyć ognistą kulę, aby zawisła nad wgłębieniem w ziemi. Zamiast tego wyszło mi dwadzieścia kul gniewnego, strzelającego ognia, które rozproszyły się po płaskowyżu.

- Hm... - mruknęłam. Zamierzałam powiedzieć coś w rodzaju „cholera jasna” w języku starogreckim, ale usta mi zeszywniały. Gapiłam się w migające ognie o rozmiarach piłek do koszykówki. Nie przypominały moich zwykłych uroczych świetlnych boi wielkości piłek do baseballa. Naturalnie, utknęłam między dwoma różnymi źródłami mocy, a oba szukały ujścia. Moc z ziemi od razu wlała się we mnie, ale nie mogła mnie rozerwać, ponieważ nadal czerpałam dużo innej mocy z energii duszy tego obszaru. Miałam tylko nadzieję, że naturi nie postanowią zlikwidować pobliskiej wioski, zanim zajmą się nami.

Danaus rzucił mi ponure spojrzenie, lecz roztropnie zachował uszczypliwe uwagi dla siebie. Był ze mną od kilku dni i wiedział, że nie to zaplanowałam. Podeszłam razem z nim i ze Stefanem, ale zatrzymałam się parę metrów od źródła, nie chcąc zbliżyć się bardziej.

Wyjście miało jajowaty kształt o średnicy około metra, nieznacznie zapadało się w ziemię i porastała je gęsta, zielona trawa, która odcinała się na tle piasku i skał.

- Jak je zamkniemy? - zapytał Stefan.

- Wy tego nie zrobicie - powiedziała Cynnia, cofając się o pół kroku. Stałam tak blisko nurtu, że po skórze przebiegały mi ciarki, jakby tysiące mrówek weszło mi pod ubranie.

Wyciągnęła ręce w stronę ujścia, jak gdyby ogrzewała je nad ogniem. Nie wątpiłam, że czuje wylewającą się stamtąd energię, która ją nęciła, ale na razie zachowywała się poprawnie.

- Możecie je tylko zablokować, żeby naturi z niego nie korzystali - wyjaśniła.

- Przynieście z tych ruin trochę głazów i zasypcie nimi ujście! Usypcie z nich kopiec albo coś w tym stylu. Wszystko mi jedno - zawołałam. Złapałam Cynnię za ramię i odciągnęłam ją na bok. Wolałam nie martwić się nią i tym obfitym źródłem mocy, chociaż żelazne kajdany powinny utrudniać stosowanie magii. Tak naprawdę wątpiłam, czy żelazo w zupełności blokuje jej magiczne zdolności, zwłaszcza kiedy w powietrzu przepływało tyle energii.

- A naturi tego nie rozwalą? - spytał Danaus, dając w końcu upust sarkazmowi.

- Z pewnością, ale mam nadzieję, że nie dojdzie do tego przed nowiem - warknęłam na łowcę. - Po

prostu będziesz musiał ściągnąć tu paru chłopaków z Temidy, żeby ochraniaли to miejsce za dnia.

Danaus otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz wystrzelony przez naturi grot, który przeleciał w powietrzu, oszczędził mi słuchania argumentów łowcy. Danaus pochylił głowę w ostatniej chwili, unikając zatrutej miniaturowej strzały.

Najpierw na płaskowyż wyległo troje naturi uzbrojonych w małe kusze. Strzelali, licząc, że sparaliżują swoje ofiary, zanim zadadzą im zabójczy cios. Uchyliłam się przed dwiema strzałami wymierzonymi w moje serce i strzeliłam z browninga do atakujących, zanim przeszli do kolejnej fazy ataku.

Naturi odnieśli paskudne rany, ale nadal oddychali. Celowałam beznadziejnie -

powinnam nauczyć się porządnie strzelać. Rzuciłam opróżniony z naboji pistolet, który upadł

na ziemię z głuchym hukiem, wyciągnęłam z pochwy krótki miecz i pobiegłam w stronę naturi. Kilkoma szybkimi cięciami odrąbałam im głowy, które odtoczyły się od ciała, a mnie opryskała ich świeża krew.

Jęk na skraju płaskowyżu przyciągnął moją uwagę. Cynnia stała za Shelly, zerkając ponad jej ramieniem. Jej wielkie zielone oczy połyskiwały w blasku ognia. Przez chwilę poczułam spokój. Cynnia w końcu ujrzała we mnie monstrum, jakim naprawdę byłam; potwora, za którego jej rasa uważała mnie od wielu wieków. Zalana krwią jej pobratymców, z mieczem w ręku i płomieniami migoczącymi wokół byłam Krzesicielką Ognia.

- Uważaj! - krzyknęła Shelly. Obróciłam się, uchylając, i zdołałam zablokować cios miecza wymierzony w moje plecy. Kilka razy starłam się z napastnikiem, ledwie unikając ran.

W końcu natrafiłam na równego sobie w walce na miecze, ale nie to obchodziło mnie najbardziej. Największy problem polegał na tym, że trwające starcie dało naturi czas, żeby opanować płaskowyż. Jedna z naturi próbowała mnie ominąć i skierować się w stronę Danausa i Stefana. Blokując następne uderzenie, wyciągnęłam zza pasa nóż i rzuciłam nim w tamtą, przebiegającą obok. Nóż trafił ją w plecy, ale równocześnie zostałam zraniona w brzuch, bo nie zdołałam zablokować kolejnego sztychu przeciwnika.

- Tym razem nie wygrasz, wampirzyco - zadrwił naturi, rzucając się na mnie z kolejną serią ciosów, które ledwie odpierałam. ..

Chciałam mu jakoś dowcipnie odpowiedzieć, lecz gdy próbowałam cofnąć się o krok i uchylić przed następnym atakiem, prawa stopa mi w czymś ugrzęzła. Nie mogłam spojrzeć w dół, szarpnęłam nią i stwierdziłam, że coś owinęło mi się wokół obu kostek. Najwyraźniej do walki weszli naturi z klanu ziemskiego.

- Pomogę ci, Miro! - zawołała z tyłu Shelly.

- Nie! Zostań z Cynnią! - odkrzyknęłam, starając się nie spuszczać oka z drania przede mną, który

próbował wyciąć mi serce.

- Cynnia? - wyszeptał.

Nie miałam nic przeciwko temu, że się zdekoncentrował. Szybkim pchnięciem wbiłam mu krótki miecz w serce, zaskakując go. Upadł przede mną na kolana, a wtedy pozbawiłam go głowy.

- Miro! - zawołał Danaus. Odwróciłam się i zobaczyłam, że walczy z naturi. Trzymał

to stworzenie za nadgarstki, usiłując nie dopuścić, by tamten wbił mu sztylet w pierś, a tymczasem inny naturi podszedł go od tyłu. Obezwładniali nas.

- Ja to zrobię, Miro! - zawołała Cynnia ku mojemu zdumieniu. Nie było żadnego ostrzeżenia; najmniejszej szansy, żeby ją powstrzymać. Z bezchmurnego jeszcze przed kilkoma chwilami nieba strzelił piorun i natychmiast spalił naturi skradającego się do Danausa. To zaskoczyło drugiego, który walczył z łowcą. Oderwał się od Danausa i próbował

zrobić kilka kroków do tyłu, ale nie uszedł daleko. Druga błyskawica natychmiast spaliła go na wiór. Odwróciłam się i ujrzałam Cynnię na czworakach, z trudem łapiącą oddech.

Podbiegłam i uklękłam koło niej, a Shelly przyklękła z przeciwka.

- Nic jej się nie stało? - zawołał Danaus, kierując się w naszą stronę.

- Zajmę się nią. Ty nas osłaniaj! - krzyknęłam i odgoniłam go machnięciem ręki.

Ośmiu naturi, a niech to!

Może i było ośmiu w najbliższej okolicy, ale postarali się, żeby w drodze do Ollantaytambo rozbudzić tutejszą przyrodę.

Za plecami usłyszałam trzask i zgrzyt ciężkich głazów, spadających na siebie.

Powstawał kamienny kopiec, ale jego ukończenie wymagało jeszcze czasu. Musiałam też postawić na nogi Cynnię, jeżeli miała nam pomóc w obronie naszych pozycji. Na razie jednak ciągle pozostawała na czworakach, wymiotując. Shelly stała obok w milczeniu, odgarniając Cynnii włosy z twarzy i jedną dłonią delikatnie masując jej plecy i kark.

- Jesteś ranna? - zapytałam, kiedy Cynnia w końcu odetchnęła, ocierając usta ubrudzonym rękawem.

- Ja ... Ja ich zabiłam - odparła drżącym głosem. - Pozabijałam swoich.

Wiedziałam, że to byłby smutny komentarz do mojego własnego życia, gdybym zgodnie z pierwszą myślą powiedziała jej, żeby do tego przywykła, ale przezornie wolałam przez chwilę się nie odzywać. Wśród nocnych wędrowców upowszechniła się praktyka zabijania swoich współbraci. U ludzi też. Ale nie każda rasa pogrzyżyła się tak głęboko jak my.

- Uratowałaś życie Danausowi i dziękuję ci za to - powiedziałam cicho i w końcu na mnie spojrzała.
- Coś ci się stało, kiedy rzucałaś to zaklęcie?

- Tak - syknęła, jak gdyby nagle odczuła przeszywający ból. Spojrzałyśmy w dół i zobaczyłyśmy, że jej nadgarstki są poparzone i pokryte bąblami w miejscu, gdzie kajdany stykały się ze skórą. Żelazo utrudniało naturi rzucanie zaklęć, ale w odpowiednich warunkach najwyraźniej nie było w stanie jej powstrzymać. Postanowiłam to sobie zapamiętać.

Podniosłam wzrok w samą porę, by dostrzec kolejnych naturi wspinających się na płaskowyż. Krótka chwila wytchnienia dobiegła końca i musiałam znów zatroszczyć się o swoich pobratymców.

- Nie wychylajcie się i pilnujcie się wzajemnie. Danaus i Stefan już prawie skończyli -
powiedziałam, mając nadzieję, że to prawda.

Zachwiałam się, kiedy znowu wstałam. Wyczerpanie ogarniało moje kończyny i ciążyło mi na barkach. Nadal czerpałam duchową energię z pobliskiej wsi oraz nieco od Shelly, starając się nie wpuszczać do swojego ciała ziemskiej magii, ale walka ta skazana była na niepowodzenie. Ogniste kule, które dzięki moim staraniom świeciły wokół płaskowyżu i oświetlały pole bitwy, powiększyły się. Iskrzyły i trzaskały, jakby miały własne dusze i kipiały ze złości.

Danausie? Zbliżacie się już do końca? - zapytałam w myślach swojego towarzysza, od którego uzależniłam się na liczne sposoby.

Niedługo.

Chyba będzie mi potrzebna twoja pomoc.

Nadszedł czas, by użyć magii ziemi. Walka mnie zmęczyła, a w tamtej chwili ziemskie czary były potężniejsze i liczniejsze od magii duszy, której tak rozpaczliwie się uczepiłam.

Machnęłam ręką, a wielkie kule ognia spadły na ziemię i potoczyły się główną ścieżką prowadzącą do ruin. Kiedy tak się turlały, pochłaniając każde napotkane po drodze stworzenie, przyłapałam się na tym, że nucę melodię z *Ucznia czarnoksiężnika* - zupełnie jak gdyby te ogniste kule były posłusznymi mi miotłami. Odchyliłam głowę i wpatrywałam się w gwiazdzistą kopułę nieba, która pojawiła się znowu, kiedy Cynnia przestała rzucać zaklęcia związane z pogodą. Śmiech dudnił mi w piersi, kiedy słuchałam wrzasków naturi. Było to prawie zadośćuczynienie za noce tortur z ich rąk, jakie przeszłam przed stuleciami. I niemal wynagradzało świadomość, że jutrzejszej nocy zostanę zabita albo przez naturi, albo przez Jabariego. Niemal, ale nie do końca.

Odwróciłam się i stwierdziłam, że Danaus i Stefan ułożyli już z górskich kamieni piramidkę o podstawie szerokiej na ponad trzy metry i dwuipółmetrowej wysokości. Teraz już tylko Stefan mógł dorzucić głazy na jej czubku, bo potrafił wznieść się w powietrze.

- Są jacyś naturi w okolicy? - zawołałam, a głos mi zadrżał, gdy starałam się utrzymać w sobie ruchliwą energię szukającą ujścia. Pomyślałam wcześniej, żeby wygasić prawie wszystkie ogniste kule, poza tymi dwiema, przy których pracowali Danaus i Stefan, ale migoczące płomienie były

jedynym sposobem, żeby uspokoić moc ziemi. W przeciwnym razie rozdarłaby mnie na strzępy.

Danaus pokręcił przecząco głową i otarł z czoła pot wierzchem dłoni, sapiąc głośno z wysiłku. Byłam gotowa się założyć, że próbował dotrzymać kroku Stefanowi. Tak, Danaus był szybki i w połowie pozostał bori, jednak Stefan to nocny wędrowiec i w dodatku już prawie Starszy.

Jestem ci potrzebny? - zapytał łowca, robiąc krok w moją stronę, zanim jeszcze odpowiedziałam, ale pokręciłam głową i odpędziłam go machnięciem ręki. Musiałam znaleźć inny sposób kontrolowania tej mocy, aby mnie nie zniszczyła. Nie mogłam polegać na tym, że Danaus i Jabari zawsze będą w pobliżu i ocalą mój tyłek, kiedy znajdę się w sytuacji, której nie zdołam opanować.

Podeszłam w kierunku Cynnii i Shelly i pochyliłam się do przodu, obejmując się ramionami w pasie. Trawa pod moimi stopami skurczyła się i szerniała. Byłam chodzącym źródłem płomieni i potrzebowałam pomocy młodej naturi, aby sama się ugasić.

- Pomóż mi - powiedziałam chrapliwie, przyklękając na ziemi przed nimi. - Nie mogę jej powstrzymać. Tej mocy. Jest we mnie. Przenika mój mózg.

- Wypuść ją, Miro. - Shelly położyła mi rękę na ramieniu, ale szybko ją cofnęła i chwiejnie zrobiła krok w tył. Wiedziałam, że poczuła wyładowanie energii płonącej we mnie, szukającej ujścia. Potrząsnęła dłonią i popatrzyła na mnie zdziwiona.

Moc ciągle we mnie narastała, a drzewa wokół płaskowyzu stały w płomieniach, jak sucha podpalka zbyt blisko buchającego ogniska. Ognisty krąg wystrzelił wokół nas i wzniósł

się na dwa metry.

- Miro! - zawołał Danaus, wyraźnie zaniepokojony. Ledwie go wyczuwałam na peryferiach swojego umysłu, czekając, aż nie zostanie mu nic innego i zainterweniuje. W

przeszłości wtłoczył we mnie własne moce, które z kolei wyparły moc ziemi. Ale biorąc pod uwagę energię i ból, jakie mnie wtedy paliły, nie miałam pewności, czy okażę się na tyle silna, żeby znowu w taki sam sposób odzyskać samokontrolę.

- Musisz uwolnić tę energię, Miro - powiedziała spokojnie Cynnia. - Musisz wyprzeć ją z ciała i oddać ziemi.

- Myślisz, że nie próbuję?! - krzyknęłam, ale głos mi się załamał pod ciężarem narastającego bólu. - Wpycham tę energię z całych sił, ale jedynym sposobem, w jaki udaje mi się jej pozbyć, jest wytwarzanie ognia, a to i tak za mało. Żeby ze mnie uszła, musiałabym chyba podpalić cały świat.

- Dlaczego ta energia w niej utknęła? - spytała Shelly. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Shelly wpatruje się w Cynnę, która z kolei zerka na mnie spod zmarszczonych brwi.

- Bo jest wampirzycą - odezwała się cicho naturi. Dudnienie energii i trzask ognia sprawiał, że ledwo ją dosłyszałam. Jednak wkurzyły mnie nie tyle jej słowa, ile ton jej głosu. -

Nie znajduje ujścia dla magii ziemi, jaka przez nią płynie. Ogniste czary, jakimi włada, przyciągają tę magię, ale nie mają innego ujścia jak tylko przez ogień. Potrzebne jej ujście do ziemi.

- Ale jak je znaleźć?

Zamiast odpowiedzieć, Cynnica uklękła przede mną i sięgnęła po jeden z noży w pokrowcu przy moim pasie. Powoli rozpięła sprzączkę i przytrzymując mnie ręką za ramię, wyjęła nóż z pochwy. Napotkała moje spojrzenie, a jej wielkie oczy poruszały się ze strachu.

- Proszę, nie dopuść, żeby mnie zabili - wyszeptała, a potem wbiła mi sztylet w serce.

Równie szybko go wyciągnęła, a ja upadłam na ziemię. Huknęłam o nią z głuchym łoskotem, gdy nowa fala bólu przepłynęła przez całe moje ciało. Ogień wokół zgasł z nagłym sykiem; Stefan i Danaus rzucili się w mgnieniu oka na Cynnicię. Shelly stała nieco z tyłu, z trudem łapiąc powietrze w płuca. Leżałam na ziemi i czułam, jak krew wypływa ze mnie na trawę pod moimi piersiami, a wraz z nią w końcu wydostaje się ze mnie ziemską moc.

Obróciłam głowę na tyle, żeby długa trawa nie wchodziła mi w usta.

- Nie róbcie Cynnici krzywdy - wymamrotałam tak głośno, jak tylko mogłam. Na szczęście miałam przy sobie stworzenia obdarzone wyjątkowym słuchem.

- Próbowwała cię zabić! - przekonywał Stefan, a jego głos dobiegał gdzieś z góry.

- Uratowała mnie - odparłam, krzywiąc się, kiedy Danaus pomógł mi odwrócić się na plecy. Rana kłuta serca nie mogła zabić nocnego wędrowca, choć zdecydowanie spowalniała każdego z nas. Nic, poza odcięciem głowy albo wyrwaniem serca - no i złożeniem w ofierze, co jednak nie było mi pisane - nie unicestwiała wampira.

Spoczywając na kolanach Danausa, zamknęłam oczy i skupiałam się na różnych energiach, jakie czułam teraz w sobie, wokół siebie oraz tych, które przeze mnie przepływały.

To energia duszy czy też krwi decydowała o moim życiu. Była chłodna i kojąca, przepełniała mnie, gdy goiłam ranę w sercu. Moce Danausa też na mnie spłynęły, ostrożne i niespokojne, ale nie próbowały wnikać w moje osłabione ciało. Danaus zatrzymał je na zewnątrz i czekał

na zachętę albo przynajmniej jakiś znak, że nie powracam do zdrowia tak szybko, jak on tego oczekuje.

- Miro? - zapytał Stefan zimnym głosem, przywracając mnie do rzeczywistości i przypominając o dylemacie do rozwiązania.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Stefan trzyma Cynnicię za włosy, przyciskając ostrze noża do jej gardła tak mocno, że strużka krwi ściekała po jej szyi. Zastanawiałam się przez moment, czy Cynnica nadal jest nam potrzebna żywa. Rozwiązała mój problem z magią ziemi i miałam wrażenie, że teraz Shelly mogła mnie nauczyć, jak posługiwać się tymi czarami. Podejrzywałam też, że zachowanie Cynnici przy życiu nie pozwoli mi wyrzucić wystarczającego nacisku na Rowe'a, aby powstrzymał się

od złożenia ofiary. W tym wzglądzie musiałam zdać się na Nyx.

- Nie próbowałam cię zabić! - krzyknęła, zanim w ogóle się poruszyłam. -

Potrzebowałaś związku z ziemią. Nocni wędrowcy tracą tę więź, kiedy się odradzają. Twoje przywiązanie opiera się wyłącznie na magii duszy i bori.

Poczułam, jak pode mną Danaus drgnął mimowolnie, ale nie ruszył się ani nie odezwał nawet słowem. Łowca i ja wciąż mieliśmy kilka spraw do omówienia na temat naszego pochodzenia, ale teraz nie było na to czasu.

- A więc krew prosto z mojego serca wylała się na ziemię i na nowo mnie z nią połączyła - powiedziałam, zamykając oczy i próbując zebrać siły. Rana nie była zbyt głęboka i w dużym stopniu już się zagoiła. Niestety, wcześniejsza walka, poskramianie dwóch energii i utrata krwi wyczerpały mnie i potrzebowałam świeżego posiłku. - Udało ci się to odgadnąć -

dodałam cicho, uśmiechając się półgębkiem.

- Wcale nie zgadywałam! - zaprotestowała.

- Stefan, możesz ją puścić. Nie zabiła mnie - poleciłam znużonym głosem.

Otworzyłam oczy i ujrzałam, że Cynnica rozciera sobie szyję, a dłoń ma umazaną krwią.

- W każdym razie nie całkiem było to przypuszczenie - przyznała z kwaśną miną. -

Wiedziałam, że potrzebujesz sposobu, żeby oddać krew ziemi. Trzeba było otworzyć to ujście. Miałam tylko nadzieję, że to cię przy okazji nie zabije.

Zareagowałam gardłowym śmiechem, przymykając powieki. Z westchnieniem i z nawyku przeczesalam okolice, mając oko na wszystkich w pobliżu. Byłam nadal osłabiona.

Wtedy uświadomiłam sobie coś dziwnego. Poczułam, jak Cynnica się porusza; jak odchodzi ode mnie i zbliża się do Shelly, utrzymując dogodny dystans między sobą a Stefanem.

Chciałam krzyczeć z radości i śmiać się jak wariatka. Ale opanowałam się, uścisnęłam dłoń Danausa, przygryzłam dolną wargę i usiadłam prosto, wciąż nie otwierając oczu.

Co jest? - zapytał Danaus w myślach.

Nie wiem, o co ci chodzi, zaprzeczyłam, lecz zabrzmiało to jak słowa jakiejś trzpiotki.

Coś cię cholernie uradowało.

Pewnie to, że nadal żyję.

Nie. Powiedz mi albo sam się dowiem, powiedział, grożąc spenetrowaniem moich myśli. *Nie*

wiedziałam, czy naprawdę to potrafi, ale w stanie takiego osłabienia wolałam tego nie sprawdzać.

Wyczuwam Cynnię poprzez Shelly, przyznałam, wymownie pocierając zamknięte oczy.

Danaus milczał przez parę sekund, a potem niespodziewanie zacisnął swoją dłoń na mojej. *Potrafisz ją wyczuwać? Bez mojej pomocy? Innych też?*

Nie wiem. Jestem zbyt zmęczona, a może to tylko chwilowa umiejętność związana z nietypowymi warunkami, jakie tu panują. Otworzyłam oczy i zwróciłam głowę w stronę łowcy, z uśmiechem na bladej, okrwawionej twarzy. *Ale czy nie byłoby wspaniale, gdybym naprawdę to potrafiła?*

Rozdział 22

Bertha była zalana krwią, kiedy przybyła do Ollantaytambo kilka minut później.

Wyglądała na bladą w słabym blasku gwiazd, a jej oczy lśniły głębokim błękitem. Jej piękne blond włosy zlepiła krew, a na ubraniu miała pełno świeżych dziur i rozdarć.

- Zaatakowali nas naturi. Próbują wykurzyć nas z hotelu! - zawołała, zanim jej stopy dotknęły ziemi tuż przed Stefanem. Następny nocny wędrowiec, w jeszcze gorszym stanie, wylądował tuż za nią. Łatwo było się zorientować, że bitwa o Sanctuary Lodge nie przebiegała pomyślnie.

Podniosłam się przy pomocy Danausa i podeszłam do trójki nocnych wędrowców.

- Co się stało? - zapytałam, puszczając ramię łowcy i próbując ustać na własnych nogach. Byłam osłabiona, ale musiałam zebrać resztkę sił, jaka mi pozostała, przed czekającą nas walką.

- Zaatakowali zaraz po tym, jak zjawiliśmy się w hotelu - wyjaśniła Bertha; rzuciła okiem na plamy krwi na przodzie mojej koszuli, zanim znowu napotkała moje spojrzenie. -

Dwa razy starali się podpalić to miejsce. Udało nam się ugasić pożar, ale nasze siły są na wyczerpaniu.

- Musimy opuścić budynek - wtrącił drugi nocny wędrowiec. - Do wschodu słońca pozostało tylko parę godzin, a nie mamy szans utrzymać hotelu za dnia. Pozabijają nas, kiedy uśniemy.

Popatrzyłam przez chwilę na Danausa, wiedząc, że gotów był mnie bronić w czasie mojego snu. W przeszłości chronił mnie za dnia, ale znakomity łowca nie mógł się równać hordzie naturi, która na nas czekała. To tłumaczyło, dlaczego tylko ośmiu naturi skierowano tutaj, żeby się przekonali, co takiego robimy w Ollantaytambo. Skupili się głównie na zniszczeniu naszej grupy wysłanej do Sanctuary Lodge.

- Nie możemy się wycofać - powiedziałam, machając ręką. - Jeśli spróbujemy zająć i utrzymać jakiś inny punkt poza Świętą Doliną, za nic nie dotrzemy na szczyt Machu Picchu na czas, żeby powstrzymać złożenie ofiary. To właśnie ich plan. Zatrzymać nas albo przynajmniej spowolnić.

- Nie da się jej jakoś wykorzystać? - spytał Stefan, wskazując głową w stronę Cynnii.

Młoda naturi cofnęła się o krok, chowając zakrwawione dłonie.

- To naturi? - zapytała Bertha. Mówiąc to, uniosła górną wargę, błyskając białymi kłami.

- Jest moja - powiedziałam, stając pomiędzy Berthą a Cynnią. - To nasza karta przetargowa, którą mam nadzieję wykorzystać trochę później.

Bertha od razu się wycofała, robiąc krok w tył i unosząc ręce, aby pokazać, że mi się nie sprzeciwia.

- Może zabraknąć na to czasu. Niby kiedy mamy zagrać taką kartą?

- Myślę, że ona jeszcze może się przydać. - Pokiwałam głową, a potem spojrzałam przez ramię na Stefana. - A ty będziesz mi w tym potrzebny.

Okrutny uśmiech wykrzywił mu usta i Stefan skłonił głowę.

- Czego ode mnie oczekujesz, o wielka Starsza?

Odwzajemniłam jego uśmiech i ukłon. Nie miałam zamiaru powoływać się na swój status członka Sabatu, ale skoro Stefan tak postąpił, weszłam w tę rolę.

- Chcę, abyś roztoczył Skazę w hotelu, jeśli nie będzie innego wyjścia.

Stefan raptownie się cofnął, zwijając dłonie w pięści. Berthę też zatkało, ale nie zaskoczyło mnie, że drugi, przybyły z nią nocny wędrowiec nie zareagował. Był za młody, żeby wiedzieć, czym jest Skaza - od stuleci nie słyszałam, by ktoś próbował ją roztaczać.

- Miro, ja ...

- Wiem, że sobie z tym poradzisz, Stefanie. Kształciłam się pod okiem Jabariego i przez wieki słuchałam poleceń Sabatu. Znam z imienia każdego nocnego wędrowca, który potrafi wytworzyć Skazę. Mogłabym to zrobić sama, ale znam tylko technikę. Nigdy tego nie robiłam. A ty owszem, i to z powodzeniem.

Zacisnął kanciastą szczękę, przez co jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w kamieniu.

- Jeżeli nie będzie innego wyjścia? - zapytał w końcu.

- Mam w zanadrzu jeszcze parę innych sztuczek. - Błysnęłam kwaśnym uśmiechem. -

Ale teraz trzeba już ruszać. Noc się kończy, a wszystko musimy załatwić przed wchodem słońca.

- W takim razie w drogę - oznajmił, wsuwając silne ramię pod moją nogę i biorąc mnie na rękę. -

- Ale nie bez Danausa! - krzyknęłam, lecz już wzbiliśmy się w powietrze. Próbowałam wyszarpnąć się z objęć Stefana, jednak trzymał mnie mocno, poza tym moje położenie było cokolwiek niezręczne.

- Spokojna głowa - zadrwił z mojego zaniepokojenia. - Bertha już zadba, żeby łowca dotarł do hotelu cały i zdrowy.

- A Shelly i Cynnia?

- Wszyscy znajdują się tam chwilę po nas - wyjaśnił spokojnie, szybując po nocnym niebie.

Powietrze było chłodne. Nasze ubrania łopotały, a wiatr rozwiewał mi włosy, gdy przemierzaliśmy wielką mroczną przestrzeń, kierując się do oblężonego hotelu.

- Dziwi mnie, że chcesz wciągać innych w swoje plany związane ze Skazą - odezwał się Stefan po chwili milczenia. - Wyraźnie ci na nich zależy. Albo przynajmniej chcesz, żeby jeszcze troszkę pożyli.

- Można się postarać, żeby nie stała im się krzywda - odparłam, mocniej oplatając ramiona wokół jego szyi i wtulając się w jego postawne ciało, by choć trochę osłaniało mnie przed wiatrem. - To ryzykowne, ale w tej sprawie nie mamy innego wyjścia.

- Słyszałem, że masz takie same zdanie na temat swojego miejsca w Sabacie. - Jego francuski akcent stawał się wyraźniejszy, gdy pod pozorami spokoju Stefan wrzał z gniewu. -

Że w tej kwestii nie miałaś wyboru.

Zachnęłam się, a on spojrzał na mnie mrocznymi, srebrzystymi oczami.

- Nie chciałam tego. I nadal nie chcę. Zrobiłam to, co, jak sądziłam, musiałam zrobić dla ochrony naszej rasy. Gdybym mogła przekazać ci teraz to stanowisko, oddałabym je, ale nie mogę. Jabari nigdy by do tego nie dopuścił.

- Krążyły pogłoski, że ty i Jabari się ... rozeszliście - dodał po dłuższej pauzie, jak gdyby szukał właściwego słowa na opisanie mojej nienawiści do Starszego.

- Tak, „rozeszliśmy się”, ale Jabari znalazł dla mnie nowe zajęcie, wprowadzając do Sabatu. I pozostanę tam, aż ktoś mnie zabije albo ... - urwałam, pozostawiając to zdanie niedokończone, zawieszony w powietrzu.

- Albo...? - podjął Stefan, obejmując mnie mocniej. Znałam odpowiedź. Wiedziałam, jak bardzo sam chciał wejść do Sabatu.

- Albo zginie Macaire - dokończyłam.

- Ach ... A więc o to chodzi - zaśmiał się Stefan, rozluźniając nieco chwyt.

- Jesteś zaskoczony?

Wojna między Jabarim a Macaire'em najwyraźniej trwała już od wieków. A co najmniej od czasu,

kiedy stałam się nocnym wędrowcem. I ostatecznie to może ja sama byłam powodem tego rozłamu pomiędzy Macaire'em a Jabarim. W każdym razie konflikt miał się zakończyć dopiero wtedy, kiedy jeden z tych nocnych wędrowców zginie. A jeśli chodzi o Sabat, moim jedynym celem było to, żeby nie stać się ofiarą tej wojny; nie podzielić losu Tabora, wampira, którego stanowisko zajęłam.

Rozmowa ze Stefanem dobiegła końca, gdyż zbliżaliśmy się w ciemnościach do hotelu. Ognie płonęły wokół budynku i w miejscu, które wyglądało na ogród, skąd widać było wspaniałe miasto Inków. Hotel Sanctuary Lodge był zapewne uroczą oazą pośród ożywionego przez bujną roślinność pejzażu, ale w ciągu kilku godzin przekształciliśmy ją w pole walki.

- Zrzuć mnie tutaj! - poleciłam, kiedy dolatywaliśmy do budynku.

Stefan od razu mnie posłuchał, ponieważ dwójka naturi z motylimi skrzydłami rzuciła się na niego, dobywając mieczy. Stefanowi potrzebne były wolne ręce.

Kiedy spadłam na ziemię, szybko wyciągnęłam krótki miecz oraz mały nóż i rozciąłam pierwszego napotkanego naturi. Zabiłam jeszcze dwóch następnych, kiedy poczułam, jak Danaus ląduje na ziemi obok mnie. Nie wygrywaliśmy tej bitwy. Naturi byli za liczni i za silni. Moc z ziemi dodawała im szybkości i zabijało się ich trudniej niż kiedyś.

Potrzebna nam była jakaś nowa sztuczka, jeśli wreszcie mieliśmy z tym skończyć.

Gdzie Cynnia? - zapytałam Danausa, jednocześnie unikając ciosu, który miał rozplatać mi głowę.

Shelly wprowadza ją do środka.

Idź po nią. Muszę pogadać z Rowe'em.

Danaus nic nie odpowiedział, tylko odszedł, a jego miejsce u mojego boku niespodziewanie zajął Stefan.

- Rowe! - krzyknęłam, kiedy wykończyłam ostatniego naturi spośród tych, którzy mnie atakowali. Kładąc dłoń na szerokiej piersi Stefana, zmusiłam go do cofnięcia się o krok.

Sekundę później ognisty krąg wystrzelił wokół budynku, przecinając ogród i oświetlając zwirowy parking. Wykorzystałam moc łatwiej, niż się spodziewałam. Energie ziemi i duszy przepływały przeze mnie stałym strumieniem, przez co ogień był gorętszy i jaśniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Naturi, którzy znaleźli się w ognistej pułapce, szybko polegli z rąk mojej ekipy, ale padło też kilku nocnych wędrowców, którzy pozostali poza kręgiem płomieni.

- Chcę mówić z Rowe'em! - zawołałam znowu. Mój głos rozbrzmiewał dźwięcznie w rześkim, górskim powietrzu, gdy odgłosy bitwy ucichły.

- Jestem tutaj - oznajmił jednooki naturi, wychodząc przed gromadę swoich pobratymców, stojących tuż za płomiennym kręgiem. Ogień nie powstrzymywał tych z klanu powietrznego, bo mogli bez trudu przelecieć ponad półtorametrowymi płomieniami. Ale przecież rozejm był tylko chwilowy, aby obie strony mogły się trochę postraszyć, zanim wrócą do walki.

- Chyba mówiłam, żebyś nie ściągał swoich do Machu Picchu - powiedziałam, w duchu przeklinając Danausa za opieszałość.

- Wrota zostaną otwarte - stwierdził Rowe. - A my chętnie wykończymy was tej nocy, jeśli będziecie się upierać. Chyba nie sądzisz, że te ogniki nas powstrzymają, co? - Kiedy to mówił, dwie naturi z jasnymi włosami wystąpiły naprzód i uniosły ręce. Płomienie wokoło budynku zamigotały i zmniejszyły się, jak gdyby miały zgasnąć.

Warcząc, sięgnęłam głębiej, przyciągając do swojego ciała więcej ziemskiej energii i spowalniając jej sptywanie do gruntu. Płomienie wystrzeliły ponownie, osiągając poprzednią wysokość, a potem wzbily się jeszcze o trzydzieści centymetrów wyżej. Czułam, że te dwie naturi z klanu światła walczą ze mną, tłumią ogień i próbują go ugasić.

Przymknęłam oczy i sięgnęłam jeszcze głębiej do wnętrza ziemi niż wcześniej. Jej moc nabrzmiała we mnie, łącząc się z moją wrodzoną zdolnością władania ogniem. Skupiając całą uwagę, przygasiłam płomienie wokół budynku tylko na sekundę. Równocześnie machnęłam obiema rękami w kierunku dwóch jasnowłosych naturi. Te żeńskie istoty, o szczupłych, gibkich ciałach i oczach jak migdały, natychmiast zaczęły się palić, a Rowe wrzasnął i odskoczył od nich.

W następnej chwili płomienie wokół hotelu zahuczały znowu. Udało mi się zaskoczyć tamte dwie naturi, bo przypuszczały, że zużyję całą swoją energię do obrony, zamiast je zaatakować. Miałam nadzieję, że Rowe nie zechce już poświęcić kolejnych członków klanu światła, ponieważ wątpiłam, czy taka sztuczka wyjdzie mi jeszcze raz. Byłam teraz silniejsza, ale nie na tyle mocna, żeby dalej atakować naturi ze świetlnego klanu.

- Ten ogień na razie was powstrzyma - powiedziałam z ponurym uśmiechem. - Naślij tylko na mnie swoich z klanu światła, a spalę ich jak chrust.

- Zaczyna ci brakować czasu! - Rowe postanowił zmienić taktykę, kiedy się połapał, że bezpośredni atak nie zadziała, bo opanowałam nową umiejętność. - Niedługo wzejdzie słońce.

- Racja. - Pokiwałam głową, a potem wyciągnęłam za siebie rękę, chwytając Cynnę, którą przyprowadził Danaus. - A przez ciebie będzie to ostatni wschód słońca, jaki ujrzy siostra Aurory.

Pociągnęłam Cynnę, aż stanęła obok mnie. Blask ogni tańczył na jej zgrabnej postaci i bladej skórze. Była umazana krwią, a jej strój był brudny i podarty.

- Nia! - usłyszałam kobiecy krzyk. Potem Nyx precyzyjnie się przez tłumek naturi i stanęła koło Rowe'a, z obłędem w szeroko otwartych oczach.

- Nyx! - zawołała Cynnia, robiąc raptowny krok do przodu. Brutalnie schwyciłam ją za włosy i przyciągnęłam z powrotem do siebie.

- Zaproponowałam układ - powiedziałam. - Wy zrezygnujecie z ofiary, a ja uwolnię małą Nię.

- Miro! - wrzasnął Rowe z bezsilną wściekłością. Pod wpływem wzburzenia zadrżało ostrze, które trzymał w ręku, ale nie powiedział już nic więcej. Nie wątpiłam, że Nyx naciskała go wcześniej, by

wymyślił jakiś sposób na uwolnienie Cynnii, i przejrzałam jego plan, kiedy tylko spojrział ku niebu. Zamierzał po prostu wyczekać chwili, a potem odbić Cynnię.

Danaus stanął obok mnie, z bronią w obu rękach, gotowy wznowić atak, jednak i on wiedział, że do następnej napaści dojdzie dopiero po wschodzie słońca. A wtedy będzie sam z Shelly przeciwko całej armii naturi, którzy poszatkują wszystkich nocnych wędrowców, aż nikt z nas nie pozostanie przy życiu, i uwolnią swoją zabłąkaną księżniczkę.

Nie mamy wyboru. Jego słowa zatańczyły w moim mózgu jak ciepły wietrzyk, zaskakując mnie. Sądziłam, że przyjdzie mi go przekonywać. Myślałam, że trzeba będzie błagać i zaklinać łowcę, aby użył naszych mocy do zniszczenia naturi, którzy czekali tylko, by nas pozabijać.

To zabije też Cynnię powiedziałam bez słów, zanim zdążyłam powstrzymać tę myśl.

Już zaczynałam przywykać do obecności tej młodej naturi. Uratowała mi życie tego wieczora, upuszczając krew z piersi. Oswajałam się z myślą, że może naprawdę oddam jej wolność i pozwolę żyć dalej w samotności i spokoju pośród niektórych jej ziomków.

- Zabierz Cynnię z powrotem do środka - polecił Danaus, oglądając się przez ramię.

Shelly odprowadziła roztrzęsioną naturi.

Nie chcę robić tego znowu, przyznał w końcu Danaus. Nadal ścisnął w obu dłoniach ostrza, gotowy natrzeć na naszych wrogów, jeśli obniżą ognisty krąg choćby o centymetry.

Jeżeli zniszczymy ich teraz, nie dojdzie do złożenia ofiary. Nie trzeba będzie zamykać na nowo żadnych wrót...

Danaus wypuścił nóż z lewej ręki i chwycił mnie za ramię. Kątem oka dostrzegłam, jak Stefan groźnie występuje naprzód, aby wkroczyć pomiędzy mnie a łowcę. Skinieniem dłoni zatrzymałam go na miejscu, lecz usłuchał tego gestu z wahaniem. Chciał dotrzymać danego słowa, że ochroni i mnie, i Danausa, jednak to nie znaczyło, że me miałyby przy okazji nieco poturbować łowcy. Coś jeszcze, poza słowami Danausa, wibrowało mi w głowie.

Odczuwałam jego przerażenie i odrazę, gdy myślał o tym, co wydarzyło się wcześniej na wyspie Blackbeard. Byliśmy wtedy zdesperowani. Zapędzeni w kozi róg i otoczeni przez naturi, zgodziliśmy się wówczas po raz ostatni użyć naszych mocy. Danaus ujął wtedy moją dłoń, właczając swoje moce w moje ciało, władając mną jak jakąś piekielną bronią. W

siedzibie Temidy wszystko wydarzyło się przypadkiem. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, na co nas stać. A jednak na tamtej wyspie, schwytani w pułapkę i przerażeni, już wiedzieliśmy, co robimy, zabijając ich wszystkich. Czuliśmy, jak każda z dusz obraca się w smętną, chłodną nicność. Zniszczyliśmy ich dusze.

Nie. Ja też tego nie chcę, wyznałam cicho, opuszczając głowę tak, że widziałam tylko jego pierś.

Już nigdy więcej.

Możemy to zrobić, naciskałam. Nadal byłam przekonana, że jest jakiś inny sposób wykorzystania tej więzi, jaka nas łączyła. Musiał być. Musiał istnieć jakiś sposób użycia tej mocy poza niszczeniem dusz naturi. Liczy się opanowanie. My potrafimy nad tym zapanować.

Miro ...

Czułam, jak zaczyna się wahać. Wiedział, że to dla nas najlepsze wyjście i jedyna szansa na przetrwanie tego dnia. *Trzeba to zrobić. Jeśli powstrzymamy ich tej nocy, obejdzie się bez jutrzejszej wyprawy do Machu Picchu.*

Danaus puścił moje ramię, ale nie odstępował i nie spuszczał ze mnie wzroku. Nie chciał mnie w swojej głowie, gdy rozważał moje słowa. Miał gdzieś to, czy Jabari albo ktoś inny z Sabatu zamierza mnie zabić po tym, jak wykonam zadanie, które mi powierzyli. Jasne, mógł zechcieć, żeby to jemu przypadł honor pozbawienia mnie głowy, ale to pewnie miało dla niego mniejsze znaczenie. Wolałam jednak myśleć, że on też zdaje sobie sprawę, iż nasza jedyna szansa na pokonanie naturi to atak teraz, bez prób podejmowania ofensywy na Machu Picchu.

- Zrobimy to powoli - powiedział w końcu Danaus.

- Nie ma sprzeciwu - odrzekłam, starając się nie okazywać zbyt wielkiej ulgi.

- I tylko naturi w Peru - podjął.

Pilnowałam się, żeby nie wybuchnąć śmiechem z powodu jego tonu. Danaus próbował uciszyć własne sumienie.

- To ty pokierujesz. Ja będę tylko bronią. - W moje słowa wkradła się nuta gorczy.

- Miro, co jest grane? Co wy kombinujecie? - wtrącił się nagle Stefan. Zapomniałam, że nocny wędrowiec stoi w pobliżu. Jednak teraz nie miało to znaczenia. Stefan się nie liczył.

Liczyli się tylko Danaus i naturi.

- Pozbywamy się naturi - odezwałam się półgłosem, unosząc rękę, tak że zawisała w powietrzu między mną a Danausem.

Biorąc głęboki wdech, łowca oplótł mi dłoń swoimi długimi palcami. Przez moment czułam tylko jego ciepło. Siła tej dłoni, która mnie trzymała, działała uspokajająco, dodając mi pewności w jakiś głębszy sposób, z jakim od dawna się nie zetknęłam. Przez tych kilka sekund świat i wszystkie jego nieszczęścia gdzieś odpłynęły, bo miałam kogoś, kto był gotów przy mnie trwać.

I wtedy wrzasnęłam. Ból był zniewalający i zapłonął jaśniej od ognia, który mnie otaczał, jaśniej od słońca, które dopiero teraz zaczynałam sobie przypominać. Plecy mnie rozbolewały, a kończyny drżały, gdy mięśnie i kości rozłupywały się we mnie i pękały.

Poczułam moc Danausa, ale i moc ziemi domagała się we mnie miejsca. Obie wniknęły we mnie

głęboko, walcząc o dominację. Nie mogłam się skupić na kruchych duszach naturi wokół nas. Był tylko biały, oślepiający ból.

Skup się! - rozkazał Danaus, ale ledwie go słyszałam przez ryk w swojej głowie.

Wysłałam energię i zobaczyłam naturi stojących w płomieniach przede mną, ale nie tak, jak to zaplanowaliśmy. Moc stawała się zbyt intensywna. Wyszarpnęłam dłoń z ręki Danausa i upadłam na kolana. Gwiazdy zatańczyły mi przed oczami i starałam się zachować przytomność. Płomienie przede mną zrobiły się gorętsze, nabierając przerażającego, niebieskawego odcienia. Energia, która przeze mnie płynęła, musiała gdzieś ujść.

- Co się stało? - zapytał Danaus, klękając przede mną. Szorstko schwycił mnie za ramiona i zmusił, żebym spojrzała mu w oczy, którymi mnie świdrował. - Czułem to inaczej ... Nie panowałem już nad tym ... coś w tobie ze mną walczyło. Cynnia ci to zrobiła? -

Ostatnie pytanie wypowiedział szeptem, ale nie wątpiłam, że Stefan je dosłyszał.

- Nasza ostatnia próba nie wyszła - wymamrotałam, a potem przekrzywiłam głowę, żeby zerknąć na Stefana, który stał za mną. - Pozostała nam ostatnia deska ratunku.

- Skaza.

Wyciągnęłam rękę w jego stronę.

- Pomogę ci w tym.

Rozdział 23

Długie i chłodne palce Stefana oplotły się wokół mojej dłoni w powolnej pieśczoce, a potem pomógł mi się podnieść. Stał tak, trzymając moją dłoń w milczeniu przez krótką chwilę, a potem mnie puścił.

- Trzeba się przygotować - powiedział. - Obejść granice. A potem ...

- To się załatwi - przerwałam mu nagle, całkowicie świadoma, że wszystko to trzeba będzie zrobić w niezwykle krótkim czasie. - Danausie, idź poszukać Shelly. Powiedz jej, żeby znowu uspiła Cynnię za pomocą zaklęcia. Tylko tak uda nam się ją ustrzec.

Łowca wyraźnie się zawahał i nie winiłam go za to. Naturi czaili się tuż za ochronną ścianą błękitnych płomieni, słońce wkrótce miało wzejść, a ja próbowałam rzucić jakieś dziwne zaklęcie razem z nocnym wędrowcem, za którym specjalnie nie przepadałam. W

końcu jednak Danaus zniknął we wnętrzu budynku, aby poszukać ziemskiej czarownicy i księżniczki naturi.

Odwrociłam się w lewo i wsunęłam palce prawej dłoni w płomienie, zupełnie jakbym wetknęła je pod strumień wody. Równocześnie Stefan ujął moją lewą rękę i razem przeszliśmy wokół granic

obszaru otoczonego płomieniami. Wojownicy naturi postępowali za nami. Gdy któryś zbliżał się za bardzo, ogień tryskał między nami i nasi przeciwnicy znowu się cofali.

Idąc, deptaliśmy wątle orchidee i gęste paprocie, które porastały ogród. Szliśmy tam, gdzie pojawiał się ogień, a nasze moce, czerpane z magii krwi, przepelniały powietrze.

Ustanowiliśmy granicę, której naturi nie będą mogli przekroczyć, gdy słońce znów wzniesie się nad horyzontem.

- Rozumiesz, z czym się to wiąże, prawda? - zapytał Stefan, gdy zbliżaliśmy się do naszego punktu wyjściowego.

- To zaklęcie pozostawi ślad na mojej duszy - powiedziałam, kiwając głową.

- Skazę, która będzie widoczna dla wszystkich bori - dorzucił złowieszczym tonem.

Błysnęłam uśmiechem, który Stefan tak bardzo chciał wywołać swoim dramatycznym tonem. Zaklęcie, do którego się szykowaliśmy, oficjalnie nazywano Zasysaniem Dusz.

Zostało stworzone przed wiekami przez nocnych wędrowców dla ochrony ich dziennych legowisk przed ingerencją naturi. Każde stworzenie, które wchodziło w wytyczony krąg, traciło całą duchową energię i w końcu ginęło. To zaklęcie żywiło się samo - im więcej dusz pochłaniało, tym stawało się silniejsze. Teraz właśnie na to liczyliśmy, biorąc pod uwagę, że aż tylu naturi czekało, by nas zaatakować zaraz po wschodzie słońca.

Zaklęcie zyskało miano Skazy w czasach, kiedy bori chodzili jeszcze po ziemi. Im więcej istot od niego ginęło, im więcej dusz pochłaniało, tym wyraźniejszą skazę pozostawiało na duszy tego, kto go użył. Dla śmiertelnie groźnych bori był to znak, że mają do czynienia z potężnym nocnym wędrowcem. Istniała też teoria, że twórca zaklęcia zwanego Skazą dostawał również dawkę mocy z dusz zmarłych. Osoba rzucająca to zaklęcie gromadziła duchową energię - a bori nie tylko jej łaknęli, ale i dzięki niej żyli.

Kiedy bori byli na ziemi, Skaza była zaklęciem rzucanym w ostateczności, czyli wtedy, gdy byliśmy w sytuacji bez wyjścia, obawialiśmy się dekonspiracji po nastaniu świtu.

Choć chroniło nas to za dnia, nocą znajdowaliśmy się w zasięgu mrocznego wzroku bori, czego żaden wampir sobie nie życzył. Nikt nie chciał stawać twarzą w twarz ze swoim stwórcą ani chodzić na smyczy, którą ten trzymał w ręku.

Upłynęło jednak dużo czasu od ostatniego razu, kiedy rzucono takie zaklęcie.

Zaprzestaliśmy tego, gdy bori i naturi zostali wyparci z tego świata i mogliśmy korzystać z dogodniejszych i bezpieczniejszych sposobów, żeby się chronić za dnia. Poza tym z zaklęciem zwanym Skazą wiązało się też pewne zagrożenie - otóż bez wyboru spadało ono na wszystkie istoty w jego zasięgu - naturi, zwierzęta i ludzi.

Teraz, kiedy zamknęliśmy krąg ochronny, podeszła do nas Bertha, a tuż za nią pojawił

się George.

- Podobno chcecie rzucić zaklęcie Zassania Dusz - powiedziała, przez sekundę zatrzymując wzrok na naszych złączonych dłoniach.

- To jedyny sposób, żeby ochronić nas za dnia. Nie możemy teraz się stąd wydostać.

Wschód słońca nadejdzie za niecałą godzinę.

- A jeśli podpalą to miejsce? - zapytał George.

- Na to też coś mam - odparłam, widząc, jak Shelly wychodzi z budynku, a za nią podąża Danaus. - Zajmiesz się przygotowaniami? - spytałam, zerkając na Stefana. - Mam parę spraw, które muszę załatwić.

- Nie rozumiem, co zamierzasz z nim zrobić - powiedział Stefan, wysuwając rękę z mojej dłoni. - Wydrenować energię z nich obojga i modlić się, żeby zostali tu aż do świtu?

- Niezupełnie - rzuciłam ironicznie i ruszyłam w stronę budynku, gdzie czekali pozostali.

Napięcie w powietrzu narastało z każdą chwilą. Słońce podpełzało do linii horyzontu, a wszyscy nocni wędrowcy wyczuwali zbliżający się kres nocy. Ci, którzy przetrwali pierwszy atak naturi, zaczęli przemieszczać się w pobliże hotelu, bo rzucał cień chroniący przed promieniami słońca, choć jednocześnie stanowił śmiertelną pułapkę.

W tym samym czasie naturi skupili się w pobliżu Rowe'a, który stał o kilka metrów od migoczących błękitnych płomieni. On sam nie odrywał ode mnie wzroku, kiedy poruszałam się po niewielkim terenie odgrodzonym przez ogień. Zastanawiałam się, czy wie, co zaplanowałam. Czy kiedykolwiek był świadkiem rzucania tego zaklęcia? A nawet jeśli tak, to czy zamierzał skierować na nas wszystkich naturi, jakich miał pod ręką, w nadziei, że pozabija nas w chwili, gdy będziemy najbardziej bezbronni? Modliłam się, żeby było inaczej.

Rodzaj mocy wzbudzonej przez to zaklęcie z pewnością będzie świecił jak latarnia dla tego, co tkwi na ziemi, mroczne i przerażające.

Poblada Shelly drżała w zimnym nocnym powietrzu, kiedy w końcu znalazłam się koło niej. Mijający czarownicę nocni wędrowcy zerkali na nią zmrużonymi, wygłodniałymi oczami. Mieli za sobą długą noc, długą batalię, a ona kojarzyła się im z szybkim, ciepłym posiłkiem.

- Cynnia jest bezpieczna i śpi w piwnicy - powiedziała Shelly. - Pomyślałam, że będzie najlepiej, jeżeli umieścimy ją możliwie najdalej od nich.

Obdarzyłam ją zjadliwym uśmiechem i kiwnęłam głową, powściągając pokusę poklepania jej po ramieniu. Od starcia w Ollantaytambo i od chwili ustanowienia strefy działań wojennych wokół Sanctuary Lodge, w której się znalazła, z pewnością czuła się nadmiernie obciążona.

- W porządku. Nie martw się. Zrobiłaś już niemal wszystko, co do ciebie należało.

Chcę tylko, żebyś wykonała dla mnie jeszcze parę zadań.

- A co potem? - zapytała, cofając się o krok i częściowo chowając się za masywną postacią Danausa.

- Potem pójdziesz spać. Po prostu się wyśpisz. To była długa noc i zasłużyłaś na trochę odpoczynku - odpowiedziałam uspokajająco. Mój głos nabrał hipnotycznego tonu, wprowadzając myśl o śnie w głąb jej umysłu. Wiedziałam, że nieco później będę musiała wywołać tę zakodowaną sugestię.

- Och. - Wyszeptała to jedyne słowo, ale zauważyłam, że się nie poruszyła i nadal stoi za plecami Danausa.

- Chcę, żebyś rzuciła ochronne zaklęcie na cały ten hotel; dopilnowała, żeby nie spłonął - poprosiłam. - Chyba znasz takie zaklęcie.

- Oczywiście. - Shelly zrobiła krok naprzód i lekko zadarła podbródek pod wpływem sugestii, że może nie znać jednego z podstawowych uroków. Chodziło tylko o parę magicznych słów i symbol wypisany w popiele na miejscu, które miało nie spłonąć. Było to na tyle proste, że nawet ja wiedziałam, jak to zrobić. Podobnie jak wszyscy nocni wędrowcy.

To zaklęcie miało nie dopuścić, żeby ten budynek się spalił.

- To dobrze. Przejdź się po całym hotelu, od góry do dołu. Weź ze sobą kilku nocnych wędrowców, żeby ci pomogli. Musimy to zrobić szybko. - Trochę podniosłam głos, aby usłyszały mnie wszystkie wampiry w promieniu kilku metrów. - Nie martw się. Nikt cię nie tknie. - Przynajmniej na razie, skoro jej to głośno obiecałam i nasączyłam te słowa nutą groźby.

Shelly nerwowo kiwnęła mi głową, a potem się odwróciła i weszła z powrotem do słabo oświetlonego budynku.

- To wystarczy? - spytał Danaus, kiedy niemal przez minutę staliśmy koło hotelu w milczeniu. - Chodzi mi o te zaklęcia.

- Zaklęcie ognia nie pozwoli naturi podpalić tego miejsca, a zdaje mi się, że to może być dla nich ostatnia deska ratunku - odpowiedziałam powoli. Rozjaśniające się niebo sprawiało, że stawałam się coraz bardziej wyczerpana i nagle zatęskniłam za własnym łóżkiem w Savannah. - Przede wszystkim spróbują odzyskać Cynnię żywą, więc będą chcieli ominąć zaklęcie Zasysania Dusz, które rzucam ze Stefanem.

- Czyli Skazę? - spytał.

Skinęłam głową, a potem nakazałam mu gestem, żeby wszedł ze mną do budynku.

- Zassanie Dusz wysączy energię z każdej istoty, która znajdzie się w ognistym kręgu utworzonym przeze mnie i Stefana. Kiedy słońce wzejdzie, ogień zgaśnie, ale krąg pozostanie.

- I to powstrzyma aż tylu naturi? - dopytywał się, schodząc za mną do piwnicy.

- Tak. Nabierze mocy po zniszczeniu każdego kolejnego. Po pewnym czasie Rowe się opamięta i przestanie ich na nas nasyłać. Zorientuje się, że nie ma innego wyjścia, jak tylko spalić budynek na popiół, a przed tym ochroni nas właśnie Shelly.

Zatrzymałam się przed Cynnią, która leżała zwinięta w kłębek na zimnej betonowej posadzce. Shelly za pomocą niebieskiej kredy zakreśliła wokół niej krąg i wypisała odpowiednie symbole. Ponad młodą naturi wisiała kopuła w podobnym kolorze, strzegąc jej i jednocześnie nie pozwalając jej się poruszać do czasu, kiedy ją uwolnimy.

- Nie sądziłem, że nocni wędrowcy korzystają z magii - powiedział Danaus, stając obok mnie.

- Na ogół nie. Mamy dostatecznie dużo szczególnych umiejętności, takich jak siła, zdolność szybkiego poruszania się i widzenia w ciemnościach, dzięki którym przewyższamy naszych wrogów. Przekonaliśmy się jednak, że dla własnego dobra powinniśmy nauczyć się niektórych ochronnych czarów. Większość z nas potrafi ustrzec się przed podpaleniem w ciągu dnia albo na przykład wznosić obronne zapory, takie jak te, których Cynnia i Shelly niedawno mnie nauczyły. Nie zwracamy sobie głowy nauką magii, która pozwala atakować innych.

- Dlaczego nie?

- Bo taka magia wyczerpuje nasze dusze. Osłabia nas. Czary ochronne łatwiej stosować niż agresywne. Poza tym, czy nie uważasz, że nocni wędrowcy i tak mają przewagę w walce?

- Nie w starciu z czarownikiem.

- I dlatego nie zadzieramy z wiedźmami i czarownikami - stwierdziłam z uśmiechem, spoglądając na Danausa.

- Co chcesz, żebym zrobił? - spytał, kładąc ciężką dłoń na rękojeści noża przypasanego do biodra. Był gotów rzucić się na każdego naturi, który zdołałby się przebić przez zakłęcie Zasysania Dusz. Nie rozumiał, że to niemożliwe. Wykluczone. Cóż, właściwie pierwszych kilku naturi mogło przedostać się przez krąg i dotrzeć do schodów wiodących do budynku, ale szczerze wątpiłam, czy komuś z nich uda się wdrzeć do środka. Tym bardziej, że gdy tylko padnie pierwsza piątka czy szóstka, ich dusze zostaną wyssane z ciała.

Wzięłam głęboki wdech i powoli wypuściłam powietrze z płuc. Prawą ręką wskazałam na pusty kawałek podłogi nieopodal śpiącej Cynni.

- Chcę, żebyś nie odchodził stąd na krok - powiedziałam powoli, lękając się każdego z tych wypowiedzianych słów.

- Chcesz, żebym pilnował tej naturi? - Zmarszczył brwi. - Czy Shelly też tu ma zostać? A ty?

- Tak, Shelly zostanie tutaj z tobą. Większość z nas się tu stłoczy, jak przypuszczam. -

Na moment oderwałam spojrzenie od Danausa i zwilżyłam językiem wargi. Musiałam zebrać się w sobie i to wyznać: - Zakłęcie nie odróżni naturi od ludzi. Obejmie wszystko, co się porusza -

wyjaśniłam, spoglądając ponownie na człowieka, który nie ufał mojej rasie; a przecież właśnie go prosiłam, żeby w decydującej chwili okazał mi takie zaufanie. - Chcę, żeby Shelly uspiła cię czarami, tak jak Cynnę.

Twarz Danausa wykrzywiła się z przerażenia i wściekłości.

- Nie! Nic z tego! - krzyknął, oddalając się ode mnie. Odgłos jego kroków na betonowej posadzce odbił się od ścian, przepelniając pomieszczenie jego gniewem. - Musi się znaleźć jakiś inny sposób. Ja nie zostanę bezbronny za dnia!

- Witaj w moim świecie - zakpiłam z odrobiną goryczy. - Jestem bezbronna za dnia od ponad sześciu stuleci i jakoś przetrwałam. A ciebie proszę tylko o jeden dzień.

- Nie jestem wampirem! - rzucił. Odpiął pokrowiec, na którym trzymał rękę, i wyjął

noż. Ucieszyłam się, że jesteśmy tu, na dole, sami, bo inaczej ten spór mógłby przybrać jeszcze gorszy obrót. - Jestem łowcą od zawsze. Nie położę się koło swojego wroga, kiedy naturi chcą nas wszystkich zabić.

Już miałam na końcu języka słowa, że był łowcą za długo, ale zostawiłam je na inny czas i inną konfrontację.

- Nie mamy wyboru.

- To twoja jedyna odpowiedź na wszystko! - Podszedł o krok z wyciągniętym nożem, ale się nie poruszyłam. Nie miałam zamiaru robić czegokolwiek, co sprowokowałoby go do walki, do której teraz rwał się ze strachu. - Znaleźliśmy się w pułapce. Jesteśmy otoczeni.

Naturi biją nas na głowę. Połączmy nasze mocy i zniszczmy ich dusze! - zawołał.

- Cóż, w takim razie powinno cię ucieszyć, że tym razem mamy inne wyjście -

stwierdziłam spokojnie. - To zaklęcie tylko ich zabije. Ich dusze odejdą w zaświaty w chwili, kiedy zaklęcie przestanie działać. Z tego, co rozumiem, taka śmierć nie jest zbyt bolesna.

Przypomina senność, z której nie można się otrząsnąć.

- Urocze! Humanitarna śmierć - rzucił sarkastycznie.

- Czy widzisz jakieś inne rozwiązanie? - warknęłam, tracąc w końcu cierpliwość. -

Próbowaliśmy ich zabić inaczej, ale nie wyszło. Możesz postawić na swoim, ale pewnie nowa okazja się nie nadarzy po tym, co zrobiła mi Cynnia. Sama nie wiem. Wiem tylko tyle, że w chwili, kiedy słońce wzejdzie nad horyzontem, wszyscy naturi, którzy czekają tuż za ognistym kręgiem, rzucają się na ten budynek, żeby pozbawić głów wszystkich nocnych wędrowców, jakich znajdą w środku. Władasz mieczem po mistrzowsku i jesteś niezrównanym wojownikiem, ale nie możesz pokonać tylu naturi.

- Nie dam się uśpić na czas dnia.

- Będziemy chronieni przed naturi - zapewniłam, w końcu zbliżając się do niego o krok.

- Nie jestem w stu procentach człowiekiem. Wiesz o tym. Może to zaklęcie mi nie zaszkodzi - stwierdził nagle. Myślałam już o tym wcześniej i taka możliwość niezbyt mi się spodobała. Mogło się wydarzyć coś nieoczekiwanego, ponieważ Danaus wywodził się z bori -

a to też nie wprawiało mnie w zachwyty. Uśpienie go było najprostszym rozwiązaniem.

- Jesteś wystarczająco ludzki - westchnęłam ciężko. - Co oznacza, że zniszczenie cię potrwa parę minut dłużej, a im więcej będziesz się poruszał, tym zaklęcie szybciej zadziała.

Wszystko się do tego sprowadza, Danausie. Albo pozwolisz Shelly rzucić usypiające zaklęcie, które cię uchroni, albo spróbujesz wymknąć się z hotelu otoczonego przez naturi. Masz większą szansę przeżycia, pozostając tutaj.

- Nie chcę być bezradny! - powtórzył, lecz w jego głosie nie usłyszałam już takiego jadu.

Pokonałam dystans, jaki nas dzielił, i położyłam rękę na jego dłoni, która nadal mocno ścisnęła nóż. Kiedy dotknęłam Danausa, poczułam bijący od niego lęk, podobny do strachu, jaki odczuwałam przez kilka pierwszych nocy, spędzonych sam na sam z łowcą. Wtedy byłam bezradna za dnia, narażona na niebezpieczeństwa, które mogły się pojawić, gdy spałam.

- Wszyscy będziemy chronieni przed naturi.

- A co się stanie, kiedy zajdzie słońce? - zapytał, rozluźniając nieco palce, trzymane na rękojęści.

- Wtedy się zbudzisz - zapewniłam go.

- Nie tak jak ty. Będę uwięziony w sennym uroku. Ktoś będzie musiał mnie przebudzić.

- Nikt cię nie tknie! - zapewniłam nagle, dochodząc w końcu do istoty problemu. Nie chodziło tylko o to, że nie chciał zapaść w sen otoczony przez naturi za dnia; bał się przede wszystkim, że znajdzie się bezbronny wśród nocnych wędrowców, gdy przebudzi się następnej nocy. Wyciągnęłam ręce i ujęłam jego twarz w zimne dłonie, odgarniając palcem jego gęste, czarne włosy. - Nikt cię nie tknie! Zabroniłam tego. Jesteś mój i tylko mój.

Pierwsza znajdę się przy tobie i sama cię obudzę. Żaden nocny wędrowiec ani naturi cię nie tknie, przyrzekam.

Kiedy to mówiłam, ocknęła się we mnie mroczna, dzika żądza. Zapragnęłam przyciągnąć Danausa do siebie i wysączyć trochę krwi z jego szyi. Chciałam poczuć jego krew w swoich żyłach, zawładnąć nim w ten sposób. Pragnęłam, by wszyscy w świecie nocnych wędrowców dowiedzieli się, że nikt nie dostanie tego łowcy. Był mój.

Ugryzłam się w policzek na tyle mocno, aby poczuć smak krwi, puściłam Danausa i oddaliłam się o

kilka kroków. Przeczesałam dłonią włosy potargane przez wiatr i gwałtownie wciągnęłam powietrze przez nos, dławiąc w sobie te zaborcze uczucia. Danaus nie musiał nic wiedzieć o moich pragnieniach. Były typowe dla nocnych wędrowców - dziwna potrzeba posiadania i panowania. Jednak Danaus jeszcze do mnie nie należał; w każdym razie nie był

moim przyjacielem. Był jedynie wrogiem, z którym zawarłam tymczasowy rozejm.

- Pozwolisz Shelly rzucić na siebie zaklęcie? - zapytałam, kiedy znowu zapanowałam nad emocjami.

- Pytasz tak, jakbym miał jakiś wybór - odparł ze spokojem.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Bo masz. Możesz się zgodzić i załatwimy to bez nerwów. Albo pójdziemy na udry, skopię ci twój niezbędny tyłek, a potem Shelly i tak rzuci swoje zaklęcie.

- Przecież już prawie wschodzi słońce. Macie czas tylko na jedną z tych rzeczy.

- Proszę cię, Danausie, nie popełniaj samobójstwa ze strachu. Do tego wszystko się sprowadza. Wolisz zginąć, bo boisz się zasnąć na kilka godzin.

- Będę wtedy bezbronny.

- Ale i pod ochroną. Po chwili pełnej napięcia ciszy, gdy łowca obracał nóż w dłoni, wyczułam, że zbliża się do podjęcia decyzji, choć nie byłam pewna, czy przypadnie mi ona do gustu.

- Zróbcie to - rzucił nagle, zaskakując mnie. Myślałam już, że mnie zmusi, abym go ogłuszyła.

- Czy jestem wam teraz potrzebna? - spytała Shelly, schodząc cicho do piwnicy po kamiennych schodach.

- Tak - odezwałam się, zerkając znowu na Danausa. - Potrzebne jest kolejne senne zaklęcie.

Nikt nic nie powiedział, kiedy Danaus wsunął nóż z powrotem do pochwy i usiadł na betonowej podłodze koło Cynnii. Skrzyżował ramiona na piersi i wystawił nogi do przodu.

Nie spuszczał ze mnie swoich ciemnobłękitnych oczu, gdy przed nim stanęłam. Spoglądałam i na łowcę, i na Shelly, która wyciągnęła kawałek niebieskiej kredy i wyrysowała krąg wokół

Danausa. Na jego obrębie widniały symbole, których znaczenia nie rozumiałam i pewnie nigdy nie zrozumiem.

- Będziesz bezpieczny - powiedziałam tuż przed tym, jak Shelly wymamrotała ostatnie słowo zaklęcia. Piękne, niebieskie oczy Danausa przymknęły się, a głowa mu opadła, gdy podbródkiem dotknął piersi. Jego oddech stał się miarowy i poczułam, jak łowcę ogarnia głęboki spokój. Część mnie chciała nachylić się nad nim i odgarnąć kosmyki ciemnych włosów, które zsunęły mu się na twarz, ale nie mogłam przecież przekroczyć ochronnej bariery. Coś we mnie pragnęło zawsze

widzieć go takiego, wrażliwego na świat, wrażliwego na mój świat.

- Co mam teraz zrobić? - spytała Shelly, odciągając moją uwagę od łowcy. Nerwowo obracała kredę w dłoni, czekając na polecenie, żeby rzucić następne zaklęcie. Opuszki palców miała czarno-niebieskie, ubrudzone popiołem i kredą, którymi posługiwała się w hotelu, by ochronić nas w czasie snu.

- Przypuszczam, że nie możesz rzucić tego zaklęcia na siebie - powiedziałam, marszcząc brwi. Pokręciła przecząco głową i wsunęła kredę do kieszeni wytartych i brudnych dżinsów. - I nie mamy czasu, żebyś mnie tego dobrze nauczyła.

- A więc co chcesz ze mną zrobić?

Westchnęłam. Wiedziałam, że do tego dojdzie, ale nie mieliśmy wielkiego wyboru.

Dręczyła mnie świadomość, że postawiłam ją w tej niebezpiecznej sytuacji po tym wszystkim, co zrobiła, by nas ochronić, lecz nic innego nie potrafiłam wymyślić.

- Musisz zasnąć na czas dnia razem z innymi - odparłam. Kiedy otworzyła usta, pewnie po to, żeby zaprotestować przeciwko temu, co zamierzałam jeszcze dodać, powstrzymałam ją gestem dłoni. - Musisz przespać cały dzień, nie ruszając się stąd, albo zginiesz. Właśnie, dlatego rzuciłaś senne zaklęcia na Cynnię i Danausa. Chcę, żebyś zasnęła razem z nimi, a mogę cię uspić jedynie za pomocą hipnozy.

- Czemu nie zrobiłaś tego z Danausem? - spytała, cofając się ode mnie o krok.

- Ponieważ poważnie wątpię, czy hipnoza by na niego podziałała - odparłam, nie wspominając o tym, że nie napiłabym się jego krwi. Może i chciałam odcisnąć na nim swoje piętno, ale Danaus wywodził się z bori, więc najlepiej gdybym w ogóle wystrzegą się kontaktu z jego krwią. Zresztą i tak było bardzo mało prawdopodobne, że łowca pozwoliłby mi napić się swojej krwi.

Shelly cofnęła się o kolejny krok, wyciągając rękę, aby mnie powstrzymać.

- Skąd mam wiedzieć, że nie próbujesz mnie po prostu zabić? Sprawiałam ci zawód na wyspie. Twoje wampiry mogły tam przeze mnie zginąć. Nie przydałam ci się tak, jak powinnam. Jestem dla ciebie tylko ciężarem. Masz okazję ze mną skończyć. - odsunęła się ode mnie jeszcze dalej.

Szłam za nią krok w krok i w końcu złapałam ją za wyciągniętą rękę. Jej palce drżały w moim uścisku.

- Gdybym chciała twojej śmierci, pozostawiłabym cię na pastwę zaklęcia, które przygotowuję razem ze Stefanem. Poświęciłabym twoje życie, żeby ratować nas wszystkich.

A jednak staram się zachować cię przy życiu, żebyś pomogła mi jutro w nocy strzec Cynnię tak długo, jak tylko się da. Nie próbuję cię zabić.

- Och. - szepnęła. - Czy to będzie bolało?

- Obiecuję, że niczego nie zapamiętasz.

Zanim zgłosiła kolejne obiekcje, wciągnęłam ją w swoje objęcia i jednocześnie wniknęłam w jej umysł jedynym, szybkim skokiem. W zamieszaniu i strachu pozostawiła swoje myśli otwarte, pozwalając mi łatwo je opanować. Gdy moje kły zatopiły się w jej szczupłej szyi, przepelniłam jej ciało poczuciem bezpieczeństwa i spokoju. Shelly wyobraziła sobie, że jest w swoim domu, we własnym łóżku, owinięta grubą, ciepłą kołdrą. Wtuliła się we mnie i cicho westchnęła, kiedy jej krew spływała do mojego gardła cudownymi falami.

Musiałam się pożywić, zanim wraz ze Stefanem dokończę rzucanie uroku zwanego Skazą.

Piłam tak łapczywie, jak tylko mogłam. Musiałam osłabić Shelly na cały dzień, żeby pozostała w hipnotycznym transie, w jaki zamierzałam ją zaraz wprowadzić. Gdybym Jednak przy tym za bardzo ją osłabiła, nie mogłaby następnej nocy sprawnie działać.

Śpij mocno, Shelly. Rozkazuje ci spać dziś głębokim snem, powtarzałam w jej mózgu, zagrzebując to zdanie w jej umyśle, aż zagłuszyło wszystkie inne. Prześpisz cały dzień, aż słońce zajdzie za horyzontem. Pozostaniesz uszpięta, póki cię nie wezwę. Nie poruszysz się ani trochę. Nawet nie drgniesz. Będziesz spała, aż cię przywołam.

Szybko zagoiłam ranę na jej szyi, wzięłam Shelly na ręce i ułożyłam na podłodze obok Cynnii i Danausa. Wokoło nich stały rozmaite pudła z hotelowym sprzętem, zasłaniały ich i tworzyły rodzaj kartonowej fortecy. Nic lepszego nie dało się teraz wymyślić. Zanim noc się skończy, miałam dołączyć do tej uszpiętej trójki w ciasnej piwnicznej niszy i własnym ciałem chronić innych przed naturą.

Nieco ożywiona krwią Shelly wybiegłam na górę i zastałam Stefana na frontowych schodach, prowadzących do wnętrza hotelu. Błękitna ściana płomieni zaczynała się chwiać, tu i tam stawała się cieńsza. Noc prawie się skończyła, a moje powiązanie z magią krwi i ziemi słabło. Musieliśmy szybko dokończyć zaklęcie, jeżeli w ogóle miało się nam udać.

- Zaopiekowałaś się naszymi biedactwami? - spytał zjadliwie Stefan.

- Już śpią. Czy George i Bertha zebrali wszystkich w budynku?

- Wszyscy zostali rozlokowani.

- A co z ludźmi? - spytałam ostro, przypominając sobie nagle o strażnikach, którzy mieli przybyć rano. Jeśli wejdą do budynku, zginą tak samo jak natura.

- Porozumiałem się telepatycznie z kilkoma z nich - odparł zdawkowo Stefan, lekceważąco machając dłonią. - Kazałem im zostać w Aguas Calientes do zachodu słońca.

Mają przekazać to polecenie pozostałym.

Byłam zdziwiona, że w ogóle wykazał taką troskę, jednak z drugiej strony mogłam się domyślić, że w grupie ludzi pewnie był ktoś, do kogo Stefan miał słabość. Jak to mawiają, trudno o dobrego

pomocnika. A wyszukanie człowieka, któremu można zaufać, że zadba o codzienne potrzeby wampira, wymaga, co najmniej kilkuletnich poszukiwań.

- W takim razie zrobmy to - powiedziałam, wyciągając do niego rękę.

Stefan uśmiechnął się, przyjmując moją dłoń, i wyprowadził mnie na otwarte podwórze przed hotelem.

- W twoich ustach zabrzmiało to dość tragicznie. Naprawdę obawiasz się skazy na swojej duszy?

- Nie przypuszczaliśmy, że naturi znów masowo wylegną na ziemię - powiedziałam, gdy przystanęliśmy. - Nie zastanawiasz się, czy są tu może też jacyś bori? Nie chciałabym stać się czymś w rodzaju światła przewodniego dla takiego stworzenia.

Stefan zwrócił twarz w moją stronę i wziął mnie za rękę.

- Tak, powiedziałbym, że już ściągnęłaś na siebie sporo uwagi.

Nic dodać, nic ująć. Miał rację. Już stałam się światłem przewodnim dla wszystkich mrocznych i żalonych stworzeń buszujących po nocach. Nie powinnam przyciągać uwagi nikogo więcej, a tym bardziej bori. Bori, istoty bardziej już mityczne niż realne, to strażnicy duszy. Czerpali moce ze wszystkiego, co miało duszę, a jeśli wziąć pod uwagę liczbę ludzi, którzy teraz chodzili po ziemi, to pozostali przy życiu bori musieli być bardzo potężni. O ile wilkołaki spotkał wątpliwy zaszczyt związany z tym, że zostali stworzeni przez naturę, to, zgodnie z legendą, każdy nocny wędrowiec, który przyjmował do wiadomości oczywiste fakty, dobrze wiedział, że to bori stworzyli nocnych wędrowców, aby ci im służyli. Przed wiekami przy pomocy wilkołaków wyzwoliliśmy się z niewoli swoich panów i bynajmniej nie spieszyło nam się, by powrócić do wcześniejszego stanu. Bori może i zostali wykluczeni z tego świata, lecz naturę już udowodnili, że to najwyższy przejściowy układ. Nie chciałam Skazy na swojej duszy, wzywającej wszelkich bori do powrotu. Miałam wystarczająco wielu mistrzów, u których chodziłam na pasku.

Gdy złączyliśmy ręce, zamknęłam oczy i otworzyłam umysł, żeby łatwo usłyszeć myśli Stefana. Wyczuwałam jego niepokój i głęboko skrywaną frustrację, wynikającą z tego, że musiał mnie chronić, podczas gdy o wiele bardziej wolałby mnie zabić i zająć moje miejsce w Sabacie. Wyczuwałam także jego zmieszanie z powodu Danausa; zaciekawienie, kim naprawdę jest łowca i dlaczego tak mnie fascynuje.

To zaklęcie nie wymagało wypowiedziania słów. Obywało się bez nich. Po tym, jak oboje się zrelaksowaliśmy i otworzyliśmy umysły, kosmyki naszych dusz mogły swobodnie się przemieszczać i łączyć ze sobą. Energia narastała między nami i rozlała się wewnątrz całego ognistego kręgu, otaczając nas całkowicie. Równocześnie oboje zaczerpnęliśmy nieco zimnego, nocnego powietrza, wciągając z powrotem dusze do naszych ciał. To była pierwsza faza zaklęcia. Gdyby ktokolwiek obdarzony duszą znalazł się w tym kręgu, jego ciało natychmiast zostałoby pozbawione energii. Potem Stefan i ja zrobiliśmy powolny wydech, tworząc między nami niewidzialną bańkę. Tam energia miała zostać przechowana do czasu, aż uwolnimy ją następnej nocy - dusze miały wtedy ulecieć w przynależne im zaświaty.

Zmarszczyłam brwi, kiedy powoli otworzyłam oczy i napotkałam spojrzenie Stefana.

On też się skrzywił, wyczuwając to samo. Gdy rozpoczęliśmy rzucanie zaklęcia, nasze dusze złąły się ze sobą, a kiedy wciągnęliśmy je z powrotem do naszych ciał, nie oddzieliły się do końca, wbrew naszym oczekiwaniom. Nadal czułam zimny dotyk jego duszy w swoim ciele i pewnie on podobnie odczuwał obecność mojej.

- Zupełnie jakby coś płonęło mi w piersi - wyszeptał, wpatrzony we mnie.

- A ja mam teraz w sobie bryłę lodu - odparłam.

- Ciekawe.

- Czy to spowoduje jakieś problemy ze Skazą? Stefan pokręcił przecząco głową i poprowadził mnie z powrotem do budynku, nadal trzymając za rękę.

- Przypuszczam, że to raczej wzmocni zaklęcie. Nigdy wcześniej nie próbowałam takiego Zasysania Dusz z kimś innym. I nie spodziewałam się, tego.

Przystanęłam w drzwiach i spojrzałam do tyłu na niebieskie płomienie, które nas otaczały. Zamrugałam i uśmiechnęłam się, a ogień zgasł dokładnie w chwili, gdy zamknęłam nogą wejście do budynku. Zaklęcie już działało. Niech no tylko przyjdą.

Stefan i ja trzymaliśmy się za ręce, póki nie zeszliśmy do piwnicy. Tam nasze palce powoli się rozłączyły, uwalniając niewidzialną bańkę, dzięki której byliśmy względnie bezpieczni w tym podziemnym pomieszczeniu. Wyczuwałam ją zawieszoną w powietrzu, ale nic poza tym nie zdradzało jej obecności.

Gdy przestałam skupiać się na zaklęciu, zachwiałam się i wpadłam w wyciągnięte ramiona innego nocnego wędrowca. Piwnica aż roiła się od wampirów. Wyczuwałam kilku na wyższej kondygnacji; pewnie woleli schować się w szafie w jakimś zaciemnionym pokoju albo w wannie w łazience pozbawionej okien. Większość jednak była w piwnicy ze Stefanem i ze mną. Gdyby wybuchł pożar, liczyliśmy na to, że dotrze do nas na samym końcu, dając dostatecznie dużo czasu na ucieczkę.

Wyczerpanie zaczynało dawać się we znaki mnie i wszystkim pozostałym. Nocni wędrowcy ulokowali się na podłodze, nie zważając na brud i kurz. Zwinęli się w kłębki jak koty i schowali za stertami pudeł. Nie widziałam, gdzie usadowił się Stefan, ponieważ sama skierowałam się do kąta najwyraźniej omijanego przez inne wampiry - tam, gdzie spali Danaus, Cynnia i Shelly. Ułożyłam się na podłodze dokładnie naprzeciwko Danausa.

Oparłam się plecami o ścianę, skrzyżowałam nogi w kostkach i wpatrywałam się w niego, czekając, aż słońce w końcu wzejdzie.

Czułam, jak coś z bańki wiszącej w środku pomieszczenia przyciąga moją duszę.

Naturi się zbliżali, badali krąg na ziemi wypalony przez ogień. Wątpiłam, czy przekroczą tę linię, zanim słońce ostatecznie wzejdzie; chcieli nadejść w najdogodniejszej dla siebie chwili.

Kiedy zamknęły mi się oczy, senny uśmieшек poruszył kącikiem moich ust. Przez moment zastanawiałam się, czy Rowe znajdzie się wśród tych, którzy zaryzykują wtargnięcie do budynku po swoją utraconą księżniczkę. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziałam, czy chcę, aby to zrobił.

A potem nie miało to już znaczenia. Słońce wzeszło ponad widnokregiem, a mnie już jakby nie było. W ostatniej chwili poczułam ostre szarpnięcie duszy, kiedy zakłęcie ostatecznie zaczęło działać. Nadchodzili naturi i nie mogłam zrobić nic więcej, aby ochronić siebie albo Danausa.

Rozdział 24

Obudziłam się z kolejnym wrzaskiem, który utknał mi w piersi. Usiadłam gwałtownie i wciągnęłam głęboko powietrze do pustych płuc, szykując się do krzyku. Kiedy otworzyłam usta, otoczyła mnie para silnych ramion, przyciągając mocno do szerokiej piersi. Mrugając, wyrывałam się tylko przez chwilę, zanim do moich nozdrzy dotarł zapach zeschniętych liści.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam trzymającego mnie Stefana. Nigdy przedtem nie zauważyłam, że przypomina mi samą jesień.

- Nic ci nie jest? - zapytał, powoli uwalniając mnie z objęć, kiedy w końcu przestałam się szarpać i rozluźniłam napięte ramiona.

Skinęłam głową, pocierając czoło nasadą dłoni, gdy się ode mnie odsunął. Zaraz po przebudzeniu usłyszałam kilkanaście głosów, krzyczących w bólu i przerażeniu. Teraz, kiedy już obudziłam się zupełnie, uświadomiłam sobie, że to odgłosy dusz zmarłych, uwięzione w bańce zasysającej dusze, powiązanej z moją własną duchową energią.

- Czy możesz powiedzieć, ilu zginęło? - zapytałam, opierając się plecami o ścianę.

Moje myśli wydawały się mgliste, a w głowie rozlegało się dziwne buczenie, jak gdyby coś usiłowało wedrzeć się do umysłu, ale nie mogło znaleźć klucza.

- Nie, ale było ich dużo - odparł Stefan, kręcąc głową.

Wydawało się, że ma takie same problemy jak ja. Rozejrzałam się wokoło i zobaczyłam, że żadni inni nocni wędrowcy w piwnicy nie zaczęli się jeszcze poruszać.

Wstałam powoli, przytrzymując się ręką ściany.

- Przebijmy tę bańkę i uwolnijmy ich dusze, żebyśmy mogli znowu zająć się obroną wrót.

- Dobrze. - Stefan również się podniósł i podszedł do prawie niewidzialnej bańki wiszącej w powietrzu - białej mgielki, która wirowała i pływała w owalnym tworze pośrodku piwnicy; były w niej dusze zmarłych.

Biorąc głęboki wdech, oboje wyciągnęliśmy ręce i przesunęliśmy paznokciami po delikatnej bańce, niczym koty drapiące meble. Rozległ się głośny trzask i zimny wietrzyk przeleciał przez nieruchome powietrze, gdy dusze zmarłych wreszcie uciekły na wolność.

Czułam, jak przepychają się przeze mnie i obok mnie, niosąc ze sobą strach i złość, a nieliczne z nich również ulgę.

Energia płonęła mi w piersi, wypełniając mnie tak, że wszelkie pozostałości bólu, napadów głodu i zmęczenia zostały wymiecione. Spojrzałam na Stefana i zobaczyłam, że jego oczy płoną jasnym światłem. Odchylił głowę do tyłu, chłonąc moc pochodzącą z dusz zmarłych. Upajał się nią, podczas gdy ja tylko drżałam ze strachu. Kiedy ta energia mnie wypełniła, miałam wrażenie, jakby na mojej duszy odcisnął się znak wzywający bori, aby przybyli i mnie odnaleźli. Stefan uważał, że nie pozostali już żadni bori, którzy mogliby nam zagrozić, ale ja wiedziałam lepiej.

Kątem oka ujrzałam błękitną kopułę zakrywającą Danausa, ale nic poza tym. Coś złowieszczonego ścisnęło mnie w żołądku, gdy podeszłam powoli do łowcy. Nie przesunął się ani o centymetr od miejsca, gdzie go pozostawiłam w chwili, kiedy zaczął działać senny urok.

Włosy okalały mu twarz, a podbródek spoczywał na piersi, unoszącej się miarowo z każdym głębokim oddechem. Wciąż spał. Coś jednak było nie tak.

- Wszyscy się obudzili? - spytałam, zerkając ponad ramieniem na Stefana, wciąż stojąc przodem do łowcy.

- Tak. Czemu pytasz?

- Niech przyjdą na górę albo wyjdą na zewnątrz. Sprawdźcie, czy w okolicy nie ma żadnych żywych naturi. Zobaczcie, czy nie wdarli się do hotelu, zanim Skaza w końcu ich załatwiła. Ja obudzę tych troje.

- Dlaczego ...

- Do roboty! - krzyknęłam do wszystkich w pobliżu, również na Stefana, nie zważając na to, jak irracjonalnie to zabrzmiało. - Zabezpieczcie teren!

Rozległ się cichy odgłos drobnych kroków, gdy nocni wędrowcy z piwnicy pospieszyli spełnić moje rozkazy. Być może nie cieszyłam się zbytnią sympatią swoich pobratymców, ale byłam członkiem Sabatu i sprawną zabójczynią. Podążali za mną i słuchali mnie ze strachu.

Poczekaliśmy, aż zostanę w piwnicy zupełnie sama, po czym zmusiłam się, aby zrobić tych kilka ostatnich kroków i podejść do Danausa śpiącego przy ścianie. Kiedy wcześniej decydowałam się na ten plan działania, obawiałam się, że łowca nie przeżyje tego dnia, a senne zaklęcie nie wystarczy, by ochronić go przed Skazą. Teraz bałam się go obudzić, bo martwiłam się, jak Skaza mogła wpłynąć na część jego duszy, która wciąż należała do bori.

Czubkiem buta rozmazałam jasnoniebieską kredową linię, otaczającą łowcę i przekłułam błękitną bańkę, która chroniła za dnia. Przez chwilę myślałam, że wszystko będzie w porządku. Danaus wziął głęboki wdech, całkowicie wypełniając płuca powietrzem i przebudził się z drzemki.

- Pora wstawać, śpiochu. - Zmusiłam się do beztroskiego tonu, wciąż czekając z niepokojem, aż się okaże, że wszystko jest naprawdę w porządku.

Jednak nie było. Jego drugi oddech był inny. Danaus wychwycił jakiś zapach i teraz za nim węszył. Nagle uniósł szybko głowę, a jego niebieskie oczy zaświeciły w ciemności.

Nigdy wcześniej tak nie płonęły. Zrobiłam kilka kroków do tyłu, żeby się od niego odsunąć, ale było już za późno.

Przyciskając obie ręce do ściany, odepchnął się od niej i rzucił się na mnie. Nie zauważyłam nawet, kiedy wstał. Dopadł mnie w mgnieniu oka, jedną potężną dłonią złapał za gardło, a drugą przycisnął mi do piersi i przygwoździł do ściany.

- Czuję ich zapach - warknął niskim, nieprzyjemnym głosem. Opuścił głowę, tak że jego nos znalazł się niemal między moimi piersiami. - Zabijasz naturi. Bardzo wielu naturi.

- Danausie... - wystękałam, ale dalej ścisnął mnie za gardło i nie pozwalał mówić.

- Mordujesz też ludzi - dodał. Uniósł głowę i znowu popatrzył mi w twarz. Po jego spojrzeniu widać było, że mnie nie rozpoznaje, jakby nie widział - i nie sądzę, by rzeczywiście mnie dostrzegł. Bori, który tkwił w Danausie, był przyciągany przez Skazę, świecącą teraz jasno w mojej duszy. - Wezwij ich z powrotem, zanim zawędrują za daleko.

Przycisnął mi mocniej rękę do piersi i poczułam, jak wciska się we mnie energia, przyciąga z powrotem do mojego ciała wszystkie dusze, które uciekły z bańki. Do Danausa i bori, który nim zawładnął.

Krzyk uwiązał mi w gardle, gdy wbiłam paznokcie w przyciśniętą do mojej piersi rękę, lecz ta nawet się nie poruszyła. Dusze wciąż wnikały we mnie jedna za drugą, a potem w Danausa, gdzie mroczna energia zbierała się i narastała.

- Stefan! - zawołałam jednocześnie na głos i w myślach. Naparłam na Danausa, ale łowca okazał się nagle silniejszy ode mnie. Nie drgnął nawet i dalej przypierał do ściany.

Wyrwał się spod kontroli. Nie panował nad sobą i łaknął mocy, którą wyzwoliliśmy.

Nie usłyszałam, jak Stefan podchodzi, ale nagle znalazł się obok mnie. Oderwał

Danausa i rzucił go na przeciwległą ścianę małego pomieszczenia, a wielka stopa łowcy ledwie ominęła głowę Shelly. Ziemską czarownicę jeszcze się nie przebudziła i miałam nadzieję, że tak pozostanie, aż doprowadzę Danausa z powrotem do stanu, w którym odzyska opanowanie - jeśli to w ogóle było możliwe.

- Co się dzieje? - spytał Stefan, ale jego dalsze słowa zagłuszył niski pomruk wydobywający się z krtani Danausa.

- Ty też zabijasz naturi - rzekł łowca i okrutny uśmiech uniósł kąciki jego ust. Nigdy dotąd nie widziałam takiej miny na jego przystojnej twarzy i po moim kręgosłupie przebiegł

dreszcz przerażenia. Co takiego w nim wyzwoliłam? - Moje dzieci, wykonałyście dobrą robotę, ale musimy przywołać te dusze z powrotem do mnie.

- Danausie, musisz nad tym zapanować!

- Nad czym zapanować? O co tu chodzi? - dopytywał się Stefan, przenosząc swoje jasne spojrzenie ze mnie na łowcę.

Nie miałam czasu na wyjaśnienia ani nie wiedziałam, jakich użyć słów, nawet gdybym mogła sensownie odpowiedzieć. Danaus znowu próbował nas dosięgnąć, wyciągając rękę w naszą stronę. Wrażenie, że coś przesuwa się w moim ciele, powróciło i poczułam dusze zmarłych przemykające przez moje plecy i wydostające się z piersi, przyciągane w stronę Danausa. Dzięki temu, że byliśmy połączeni, czułam narastającą w nim moc, ciemność rozchodzącą się jak zaraza po jego pięknej duszy.

Warcząc, odrzuciłam jego rękę i pchnęłam go na przeciwległą ścianę. Stefan szybko do mnie dołączył, bo stało się jasne, że nie zdołam utrzymać łowcy w miejscu. Danaus zamachnął się na mnie pięścią i uderzył mnie w szczękę. Padłam na ziemię jak szmaciana lalka. Stefan zrobił unik przed pierwszym ciosem, ale drugi trafił go w brzuch i nocny wędrowiec padł na kolana przed łowcą.

- Miro? - warknął.

- To nie jego wina! - krzyknęłam, powoli wstając. Kolana mi się chwiały, energia dalej przepływała przez moje ciało i wytrącała mnie z równowagi. - To z powodu Skazy.

- Skaza nie powinna na niego wpływać! - zawołał Stefan, również wstając. Oboje zaatakowaliśmy Danausa równocześnie - rzuciliśmy go na ścianę i przygwoździliśmy mu ręce obok głowy. - Nie powinna, chyba że ...

Nie spojrzałam na Stefana. Nie mogłam. Nie miałam wątpliwości, że zobaczę przerażenie błyszczące w jego jasnych oczach. Wiedział teraz, że Danaus jest w jakiś sposób powiązany z bori i że ja wiedziałam o tym wcześniej, zanim jeszcze rzuciliśmy urok.

Zignorowałam na razie nocnego wędrowca i całą swoją uwagę skupiłam na łowcy, który próbował się uwolnić.

Danausie! Posłuchaj mnie! Musisz to zwalczyć! - zawołałam bezpośrednio w jego myślach, bo nie miałam już szansy dotrzeć do niego głosem.

Miro? - Jego zmieszany głos dotarł do mnie z oddali.

Danausie, demon przejął kontrolę nad twoim ciałem. Niszczy dusze. Musisz go powstrzymać.

Miro? Gdzie jesteś? Nie mogę cię odnaleźć.

- Nie dostaniesz go z powrotem! - zawołał do mnie Danaus. Oswobodził jedną rękę i złapał mnie wielką dłonią za szyję. Jego palce zacisnęły się z niezwykłą siłą na moim gardle i byłam pewna, że

zaraz przetrąci mi kark.

Podążaj za dźwiękiem mojego głosu, poleciłam mu telepatycznie, nie zwracając uwagi na kontrolującego go bori. *Dotrzyj do mnie. Proszę, Danausie, ocal siebie. Ocal nas.*

Rozległ się ryk, który zdawał się zatrząść przegrodami w piwnicy, a my wszyscy, bori, Danaus i ja, wrzasnęliśmy, jakby rozrywano nas na strzępy. Danaus został przyparty do muru, a Stefana i mnie odrzuciło na drugą ścianę. Łowca osunął się do pozycji siedzącej, ja natomiast upadłam na czworaki i zwymiotowałam krwią, która utworzyła kałużę między moimi rękami. Ostatnie dusze wydostały się z mojego ciała w eter. Stefan ukląkł koło mnie, kładąc mi drżącą rękę na ramieniu. To zaklęcie pozostawiło coś więcej niż tylko skazę na duszy. Posłużyło bori za wrota, by przyciągnąć dusze zmarłych i wykorzystać ich energię.

Ocierając usta wierzchem dłoni, uniosłam wzrok i zobaczyłam nad sobą Stefana z mieczem wycelowanym w pierś Danausa. Łowca był blady i przerażony, próbował w myślach przetrwać wszystko, co właśnie wydarzyło się między nami.

- Odlóż miecz - powiedziałam ochryplym, skrzeczącym głosem, wydobywającym się z gardła zmiażdżonego przez wielką dłoń Danausa.

- Jak on mógł to zrobić? - zapytał Stefan, nie odsuwając miecza wymierzonego w pierś łowcy.

- To był wypadek. Jakieś zamieszanie spowodowane sennym urokiem - skłamałam na poczekaniu. - Wszystko już w porządku.

- Ja też czułem te dusze, Miro - oznajmił Stefan. Szorstko chwycił mnie za łokieć i pociągnął, żebym wstała. - Nasze dusze związały się ze sobą po tym zaklęciu. Teraz i na zawsze. Też czułem to wyciąganie dusz. Coś je przywoływało.

Odgarnęłam z twarzy parę kosmyków, ignorując to, że moje włosy były lepkie od krwi, którą zwymiotowałam.

- W części duszy Danausa utkwily pewnie niektóre dusze uwięzione przez zaklęcie.

Coś w tym sennym uroku musiało się poplątać. Ale już wszystko w porządku.

- Nic nie jest w porządku! - zawołał Stefan, aż skuliłam się pod wpływem jego złości.

Nie chciałam, żeby jego krzyki usłyszeli nocni wędrowcy na wyższych kondygnacjach. - On jest...

- Nie, nie jest...! - odkrzyknęłam, rozpaczliwie próbując zapobiec wypowiedzeniu słowa „bori”, które wywołałoby panikę.

Przy tak wielu nocnych wędrowcach nie byłabym w stanie ochronić Danausa. Poza tym wciąż mieliśmy tego wieczora zmierzyć się z naturą. Nie mogłam tracić energii na wewnętrzną potyczkę, skoro czekała mnie inna walka.

- On nie jest... - powtórzyłam, ścisząc głos. - Jeden został związany z jego duszą.

Reaguje na Skazę. Miałam nadzieję, że tak nie będzie, ale się myliłam. Danaus teraz znowu odzyskał nad tym kontrolę. Wciąż jest przede wszystkim człowiekiem.

- Kogo ty wprowadziłaś do naszego grona? - spytał szeptem Stefan; czubek jego miecza drżał. Nocny wędrowiec patrzył na Danausa spoczywającego bezwładnie na podłodze.

- Nasz największy wróg siedzi tutaj przede mną, a ty każesz mi wierzyć, że wszystko jest w porządku.

- On nie próbuje nas kontrolować. Nie usiłuje wykorzystać nas jako swoich pomocników.

- Nie, chce tylko naszej śmierci! - rzucił Stefan.

- Ale dzisiejszej nocy jest skłonny narażać swoje życie, żeby obronić nas przed naturą.

Nadal potrzebujemy go żywego.

- Miejmy tylko nadzieję, że zależy mu na tym, żebyśmy pozostali przy życiu, aby go chronić - powiedział wampir przez zaciśnięte zęby.

Stefan przyglądał się długo mojej szyi, która bez wątplenia była zaczerwieniona i posiniaczona w miejscu, gdzie chwycił mnie Danaus, a potem znowu spojrzął na łowcę.

Powoli odłożył miecz i rozluźnił uścisk na moim łokciu.

- Gdybym nie wiedział, uznałbym, że to jakiś bori przywołał te dusze z powrotem. Ale oboje wiemy, że coś takiego jest niemożliwe - rzekł, po czym ruszył ciężkim krokiem po kamiennych schodach, zostawiając mnie samą z roztrzęsionym Danausem.

- Po prostu oddychaj głęboko - poleciłam. - Wszystko będzie w porządku.

Było to kłamstwo, prawdopodobnie największe, jakie kiedykolwiek wypowiedziałam.

Stefan wiedział teraz, że Danaus to częściowo bori. Jeśli ów nocny wędrowiec nie poleci od razu do Sabatu z tą interesującą wiadomością, to z pewnością będzie trzymał mnie w szachu przez resztę mojej żalosnej egzystencji. A ta nie zapowiadała się na szczególnie długą, skoro natura czaiła się na Machu Picchu.

A jeśli Sabat odkryje prawdę o tym, co dzieje się w Peru, to mogłam się spodziewać, że zostanie usmażona w promieniach słońca. Oto wielka Krzesicielka Ognia nie tylko wlecze ze sobą młodszą siostrę Aurory jako jeńca albo współwinnego, ale też chroni bori. A może tylko trzyma go przy sobie w roli pupila i spiskuje, by obalić Sabat. Niemal słyszałam, jak Stefan wypowiada dokładnie takie słowa, co pewnie robi, jak tylko uda mu się wymknąć stąd chyłkiem i poprosić Sabat o audiencję. Wpadłam i zasługiwałam na to.

Współpracowałam zarówno z naturą, jak i bori. Jedną z tych ras pragnęła nas wszystkich pozabijać, a

druga chciała po prostu nami rządzić, tak jak człowiek rządzi psami i kotami.

Żadne z tych rozwiązań nie było do przyjęcia. A Sabat urwie mi głowę, gdy to wszystko odkryje.

- Miro ...

- Nie możemy rozmawiać tutaj ani teraz, Danausie. Słońce zaszło i naturi będą przygotowywać się do złożenia ofiary. Musimy dostać się na szczyt Machu Picchu.

Wiedziałaś! - To oskarżycielskie słowo tłuło mi się po głowie i powstrzymało przed rozmazaniem nakreślonej kredą linii, co rozproszyłoby senny urok, rzucony na Cynnię.

Wiedziałam, co się stanie? Że mnie zaatakujesz? Nie, mogę z całą szczerością stwierdzić, że nie miałam o tym pojęcia, odpowiedziałam mu w myśli. Zanim zdołał

zareagować, rozmazałam czubkiem buta linię wyrysowaną niebieską kredą i sprawiłam, że pękła mała kopuła energii otaczająca Cynnię. Naturi przeciągnęła się i ziewnęła, a ja przeniosłam uwagę na czarownicę.

Coś we mnie się spięło, gdy przykucnęłam obok niej i uniosłam jej ramię. Czulałam, że żyje, zanim jeszcze Danaus mnie zaatakował, wiedziałam więc, że przetrwała tę noc, ale nie miałam pojęcia, w jakim jest stanie. Wyczułam palcami jej tętno, silne i miarowe.

- Shelly, pora wstawać. Słońce zaszło. Już noc. Czas, żebyś się obudziła. -

Powstrzymałam się przed pstryknięciem palcami jak jakiś uliczny magik. Odczułam jednak wielką ulgę, gdy zaraz zaczęła się poruszać. Hipnoza podziałała.

Ignorując ponure spojrzenie Danausa, pogoniłam Cynnię i Shelly. Musieliśmy znowu się zbierać. Potrzebny był plan.

- Shelly, zabierz Cynnię na górę. Zajrzyjcie do kuchni i zobaczcie, czy nie znajdzie się tam coś do jedzenia. - Popchnęłam je w stronę schodów.

Odgarniając włosy z twarzy, odwróciłam się, by za nimi podążyć, ale Danaus zaszedł

mi drogę. Jego masywna postać zagroziła przejście między przegrodami; szedł w moją stronę, aż wycofałam się do ściany.

- To nie demon - powiedział cichym głosem. Spojrzałam na niego zafrasowana, opierając się plecami o ścianę, Mieliśmy to teraz wyjaśnić. Nie było czasu, ale Danaus zasługiwał na odpowiedź na pytanie, kim jest, a ja to przed nim ukrywałam.

W Wenecji łowca ujawnił mi, że jego matka była wiedźmą. Oczekując jego narodzin, zawarła układ z demonem, aby zyskać większą moc, potrzebną jej do pewnej zemsty. Przez całe swoje życie Danaus myślał, że jego dusza jest powiązana z demonem. Ja orientowałam się lepiej, ale nie zawracałam sobie głowy wyprowadzaniem go z błędu, ponieważ nie sądziłam, że wiem wystarczająco dużo. I

dlatego, że stchórzyłam.

- To nie demon - powtórzyłam. Zagryzając dolną wargę, wpatrywałam się w pierś Danausa, byle tylko uniknąć jego ognistego spojrzenia. - Z tego, co wiem, nie ma żadnych demonów. Istnieją jednak bori. Wiele lat temu zabawiali się ludźmi, żeby mieć dostęp do ich dusz, do ich energii. Są źródłem starych legend o aniołach i diabłach.

- A więc jestem częścią...

Czyjś krzyk przeszył powietrze i słowa utkwiły łowcy w gardle. Oboje odwróciliśmy się jednocześnie i przebiegliśmy przez piwnicę. Danaus dotarł do schodów pierwszy, a ja podążałam tuż za nim. Zobaczyliśmy Cynnię stojącą u szczytu schodów, zakrywającą twarz drżącymi rękami i spoglądającą na naturi wyciągniętego na drodze wiodącej do piwnicy.

Dotarli blisko. Zbyt blisko.

Chwytnąc Cynnię za ramiona, pociągnęłam ją szybko za sobą przez cały hotel, aż w końcu dotarliśmy do kuchni na tyłach. W tym zaciszu z chromowanej stali nie było żadnych martwych ciał, więc uznałam to miejsce za bezpieczne, by zostawić ją tam na razie pod okiem Shelly.

- Tylu martwych. Tyle trupów - powtarzała. Słowa te dręczyły mnie, gdy przechodziłam przez budynek. Doliczyłam się dwudziestu czterech zwłok w samym hotelu i kolejnych dwunastu na frontowym trawniku i w ogrodzie. Rowe posłał na śmierć blisko czterdziestu naturi, usiłując zabić mnie i uwolnić Cynnię, zanim w końcu dał za wygraną.

Stojąc na zewnątrz, spojrzałam na szczyt budynku. Poczerniał trochę i tlił się nieco, ale ochronne zaklęcie Shelly zadziałało. O dziwo, wszyscy przeżyliśmy ten dzień i nadszedł

czas przygotowania planów na noc. Zaczynało mi się jednak wydawać, że to, co do tej pory przeszliśmy, było tylko dość niegroźnym wstępem.

Rozdział 25

Odór palących się ciał ze stosu pogrzebowego, który wznieśliśmy przed hotelem, wnikał przez zamknięte okna do sypialni. Spoglądając w górę na Machu Picchu, próbowałam w miarę możliwości nie zwracać uwagi na ten swąd, ale w żaden sposób nie potrafiłam odpędzić obrazu olbrzymiego stosu zwłok, który pojawiał się w mojej głowie. Trzydzieści sześć ciał naturi leżało na terenie hotelu. Wały się wszędzie; w ogrodzie i w samym budynku. Oprócz naturi życie straciło też dwunastu ludzi. Pięciu z nich to strażnicy, którzy przybyli wraz z nocnymi wędrowcami, a siedmiu pozostałych było turystami - z tego, co zdołaliśmy ustalić.

Naturi zdążyli wypatroszyć trzech ludzi i wyrwać z nich niektóre narządy wewnętrzne.

Były to ich następne żniwa. Rowe dowiódł po raz kolejny, że ma skłonność do posługiwania się magią krwi, do której potrzebne były niekiedy organy żywych stworzeń. Zagryzłam zęby, powstrzymując narastający gniew. Pewnie pozabijał tych ludzi po prostu po to, by udowodnić, że to

potrafi; by dowieść, że ja nie umiałam ich obronić, choć bardzo się starałam.

Kiedy się przebudziłyśmy, pozostali naturi wycofali się na Machu Picchu. Tej nocy wypadła kolej na nas, abyśmy zaatakowali ich twierdzę i pokrzyżowali im plany.

Za moimi plecami Danaus rzucił na łóżko swój wysłużony czarny worek z bronią, aż sprężyny ugięły się ze zgrzytem. Jeden z ludzi, z którymi skontaktował się Stefan, był na tyle sumienny, by oddzielić worek od innych bagaży, które ze sobą przywieźliśmy. Moja niewielka torba z ubraniami zaginęła, ale nie przejmowałam się tym. Kilka sztuk odzieży, okulary słoneczne, szczotkę do włosów i szczoteczkę do zębów z łatwością można było zastąpić - zakładając, że przeżyję następną parę godzin na Machu Picchu.

- Zrealizujemy początkowy plan - oznajmił Danaus, przerywając ciszę, zbyt długo panującą w pokoju. Spojrzałam na łowcę przez ramię i zobaczyłam, że przegląda pospiesznie swój arsenał, by wybrać broń, którą weźmie ze sobą. - Wejdziemy na szczyt Machu Picchu i powstrzymamy, naturi przed otwarciem wrót.

Słaby uśmiech rozciągnął mi usta, kiedy się odwróciłam i oparłam ramieniem o zimną okienną szybę, tak że kątem oka mogłam też widzieć rozkwitającą noc. Noce w Peru stawały się coraz krótsze, starały się wyzwolić z mrocznego uścisku zimy i w końcu powitać wiosnę.

Dziś była równonoc wiosenna, tutaj, w Peru, na południe od równika - czas nowych początków. W moim domu w Savannah to pierwsza noc jesieni - początek końca i przyspieszonego rozpadu. Tak czy owak, był to najlepszy czas na powrót Aurory. Tej nocy zamierzała przejść triumfalnie przez wrota, wykorzystując zmianę pór roku jako znak początku swojego panowania na ziemi.

Na ironię zakrawał fakt, że wybawcami ludzkości miały zostać istoty, które od stuleci zapełniały człowiecze koszmary. Ale nawet takie interesujące zrządzenie losu nie mogło poprawić mi nastroju. Tej nocy nie było czasu na bez troskę, a ja chciałam w końcu mieć już to wszystko za sobą.

- A potem powrócimy do zabijania się nawzajem - powiedziałam, zwracając się twarzą do Danausa i starając się przełamać lęk.

Krzywy półuśmiešek wygiął mu usta. Danaus rzucił mi kaburę, którą podarował mi parę miesięcy wcześniej, kiedy lecieliśmy z Londynu do Wenecji.

- Jak Bóg przykazał - odparł cicho.

Przez kilka następnych minut przesuwałam nerwowo palcami po różnych paskach i sprzączkach, sprawdzając, czy naramienna kabura trzyma się mocno i czy miecz na moich plecach nie wysunie się w czasie marszu. Raz po raz czyniłam te same poprawki. Dzięki temu nie musiałam spacerować po wąskim pokoiku, którego większą część zajmowało podwójne łóżko, rachityczna komoda i dwa podniszczone krzesła z wysokimi oparciami. Po wystawnym przepychu naszego apartamentu w hotelu Cipriani ów niewielki pokój wydawał się prosty i surowy ze swoimi okopconymi pomarańczowymi ścianami i wytartym dywanem. Był jednak odpowiedni dla naszego krótkiego pobytu i prostych potrzeb.

Cynthia siedziała na podłodze w kącie; opierała na ugiętych kolanach dłoń zakute w kajdanki i kołysała się powoli w tę i z powrotem. Widok jej martwych pobratymców odebrał

jej mowę po pierwszym wrzasku, jaki wydała z siebie u szczytu schodów prowadzących do piwnicy. Shelly zaś przysiadła w milczeniu na brzegu łóżka. Wskazującym palcem lewej ręki wodziła po znaku nieskończoności na kołdrze. W tych ostatnich godzinach wszyscy byliśmy pogrążeni we własnych mrocznych myślach.

Niespodziewane pukanie do pokoju spowodowało, że aż podskoczyłam. Nie oczekiwałam niczyjej wizyty. To dobrze, że akurat nie trzymałam miecza, bo prawdopodobnie niechcący uciąłabym sobie nim palec. Kiwnęłam na Danausa, który wstał z brzegu łóżka, żeby otworzyć drzwi.

Gdy gmerałam przy browningu, do pokoju wkroczył Stefan, starannie omijając wzrokiem Danausa. Ten przystojny nocny wędrowiec miał na sobie džinsy i czarny golf, chroniący go przed zimnym wiatrem, choć nie sadzę, by dokuczał mu właśnie chłód.

- Widzę, że w końcu zebrałaś swoją grupę - zadrwił. - Jesteśmy gotowi do wymarszu.

Przeniosłam spojrzenie na Danausa, który patrzył gniewnie na plecy Stefana.

- Ilu jest naturi? - spytałam. Potrafiłam niejasno ich wyczuwać, ale musiałam jeszcze doszlifować tę umiejętność, którą Danaus najwyraźniej doprowadził już do doskonałości.

Stefan odwrócił się w końcu i spojrzał na łowcę, czekając na jego odpowiedź. Danaus nadal piorunował wzrokiem wampira, lecz poczułam, jak jego moce wydostają się z pokoju, odsuwając na bok moce Stefana niczym jakiegoś nieproszonego gościa. Stefan nie poruszył

się ani trochę, nawet się nie wzdrygnął. Czy naprawdę byłam jedynym nocnym wędrowcem, który potrafił wyczuwać energię Danausa? Nie chciałam dokładnie wiedzieć, jak głęboko sięga to nasze połączenie, ale zdawałam sobie sprawę, że nie przyniesie nic dobrego.

- Prawie pięćdziesięciu - odparł głosem dobiegającym jakby z oddali.

- Nie tak źle - stwierdził Stefan, nieporuszony tą wiadomością.

- Nie licząc dwudziestu czterech wilkołaków, których wezwali w góry - wtrąciłam, opadając na jedno z krzeseł z wysokimi oparciami.

- Martwisz się o wilkołaki? - W jego słowach pobrzmiwało rozbawienie. Wygiął

ciemną brew i spojrzał na mnie.

- W Londynie wysłali naturi z klanów wiatru i ziemi - powiedziałam. - Będą gotowi, gdy zaczniemy wspinać się na górę do ruin. Posyłają wilkołaki dla zabawy, żeby zmusić nas do zabijania naszych własnych sojuszników.

- A z kim się teraz zetkniemy? - zapytał Stefan.

Spojrzałam na Danausa, ale ten pokręcił głową.

- Nie wiem, jaki to klan. To po prostu banda naturi zebrana na górze.

Ze wzrokiem wbitym w splowiały dywan w kolorze wina gorączkowo grzebałam w pamięci. Spędziłam wieki na studiowaniu folkloru i legend, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, szukając jakiegoś ziarna prawdy w tym całym nonsensie. Cenne informacje, jakie znalazłam w dziennikach przechowywanych przez Jabariego i kilku innych Starszych, zawierały nie tylko opowieści kilku nocnych wędrowców, którzy napotkali naturi i przeżyli, ale także wiadomości dostarczone przez samych naturi. Najwidoczniej byliśmy kiedyś sprzymierzeni z tymi ziemskimi stworzeniami.

- Nie wiem, kogo napotkamy. Z tego, co zdołałam się dowiedzieć, Aurora należy do klanu światła, a jej małżonek, Rowe, jest członkiem klanu wiatru. Tak więc przypuszczam, że większość naturi na górze będzie pochodzić z tych dwóch klanów.

Odwracając się, spojrzałam na Cynnę, która nadal wpatrywała się w pustą przestrzeń, nie zwracając uwagi na nikogo w pokoju. Uklękałam przed nią, złapałam ją za lewe ramię i lekko potrząsnęłam.

- Cynnio! - zawołałam. - Kto na nas czeka tam, na górze?

Jej rozproszony wzrok przesunął się w końcu na moją twarz; błędził po niej przez chwilę, zanim w końcu mnie rozpoznała. Wydeła górną wargę z niesmakiem i wyszarpnęła ramię z mojego uścisku.

- Dlaczego niby mam ci pomagać? Zabiłaś ich. Zabiłaś moich rodaków.

- A jaki miałam wybór? - warknęłam. - Chcieli tu przyjść za dnia i wymordować nas wszystkich. To był jedyny sposób, żeby obronić i nas, i ciebie. Sama mi mówiłaś, że uważają cię za zdrajczynię i chcą cię zabić. Czy nie uratowałam ci życia?

- Ale czemu aż tylu musiało zginąć? - dopytywała, a łzy spływały jej po twarzy. - Czy nie można było zrobić tego w jakiś inny sposób? Nie mogłaś ich chociaż ostrzec?

- Co? Krąg z błękitnych płomieni nie był dla nich wystarczającym ostrzeżeniem, żeby trzymali się z dala od hotelu? Tak, Cynnio, zastawiłam śmiertelną pułapkę, żeby nas ocalić.

Ale Rowe posyłał w nią jednego naturi za drugim. Wysyłał ich dalej nawet wtedy, gdy stało się jasne, że nie uda im się sforsować zapory. A na koniec postanowił zabić siedmiu bezbronnych turystów, ot, tak sobie. Zamordował ludzi, żeby wyrównać porachunki z nami.

- Ale ...

- Nie! - krzyknęłam na nią. Oparłam dłonie o ścianę po obu stronach jej głowy, żeby mi nie uciekła. - Nie ma żadnych „ale”. Owszem, zabijam naturi. Zabiję ich tylu, ilu będę musiała, żeby ocalić, co moje, ale to, co stało się za dnia, to był wybór Rowe'a. Jego możesz winić za poświęcanie życia waszych braci.

Shelly poruszyła się nerwowo, przyciągając moją uwagę, którą skupiałam na roztrzęsionej naturi.

- Dlaczego poświęcił aż tylu? - spytała.

Uśmiech pojawił się na moich ustach i przesunęłam językiem po kłach, patrząc na Danausa i Stefana.

- Bo jest zdesperowany - odparłam, powoli wstając. Stefan pokiwał głową, wsuwając ręce do przednich kieszeni spodni.

- Musimy wyruszać. Może już zaczęli.

- Racja - przyznałam. - Pamiętasz, jak znaleźć to inne wejście na Szlak Inków?

- Tak.

- Zabierz tam połowę nocnych wędrowców i ludzi.

- A ty gdzie będziesz? - zapytał, zbliżając się o krok.

- Danaus i ja poprowadzimy resztę grupy szlakiem dla turystów - odparłam.

- Moim zadaniem jest cię chronić. To wszystko. - Mówiąc to, Stefan wyprostował się nieco i spojrzał na mnie z góry. Jeśli myślał, że w ten sposób mnie zastraszy, to się grubo mylił.

- Musimy zaatakować ich z dwóch stron - zdecydowałam. - Będą się starać nas powstrzymać do czasu, aż otworzą wrota i przepuszczą przez nie posiłki. Poprowadzisz swoją grupę Szlakiem Inków do głównej bramy. Stamtąd skierujcie się na wschód i spotkamy się przed Świątynią Kondora. Tam kiedyś składano ofiary z ludzi.

Stłumiłam dreszcz, gdy przypomnieli mi się ludzie powoli zabijani na kamiennej płycie, których krew zbierano do kadzi.

- Czy to tam mają otworzyć wrota?

- Nie wiem - odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby. - Wydaje mi się, że albo tam, na Świętym Placu, albo na Placu Głównym. Sprawdziłam okolicę tak dokładnie, jak się dało.

Mają ponad dwunastu swoich w całym mieście, a więc sprawa pozostaje niejasna. - Zostanę z tobą - oświadczył Stefan, kręcąc głową. Odeszłam od Cynnii i zbliżyłam się do niego. Za Stefanem, tuż ponad jego prawym ramieniem, dostrzegłam Danausa przyjmującego czujną postawę, ale wiedziałam, że się nie poruszy, dopóki nie dam mu znaku.

Stojąc tak blisko Stefana, z łatwością mogłam spojrzeć mu w oczy, ale wampir nie należał do tych, którzy schodzą komuś z drogi. Oboje zanadto przywykliśmy do stawiania na swoim.

- Jesteś tutaj najstarszy - powiedziałam - i jako jedyny znasz zarówno miasto, jak i naturi. Chcę, żeby tę drugą grupę prowadził ktoś inteligentny. - Spoglądał na mnie w milczeniu, starannie rozważając

moje słowa. Nie podpuszczałam go. Niewielu udałoby się przejść na drugą stronę góry. Stefan być może mnie nie lubił, ale nie miał problemów z unicestwianiem naturi. - Jeśli zaatakujemy ich z dwóch stron, podzielą się na trzy grupy, żeby walczyć z nami, a jednocześnie bronić magicznego miejsca. Będziemy w stanie zniszczyć ich więcej.

Uśmiechnął się do mnie lekko.

- Rozumiem, czemu wszyscy byli tacy pewni, że zajmiesz wolne miejsce w Sabacie.

Wydawanie poleceń przychodzi ci łatwo.

- Nigdy nie pragnęłam stanowiska w Sabacie - warknęłam. Ale było już na to wszystko za późno. Zostałam członkiem Sabatu i przyszła pora, bym zaczęła o tym pamiętać, zanim zginę. Teraz jednak martwiłam się głównie o to, jak przeżyć następne dwadzieścia cztery godziny i wrócić na swoje terytorium w Savannah.

- Dobrze - odparł, uśmiechając się dość szeroko, by ukazać kły. Było tak, jak myślałam. Stefan po prostu pragnął gorąco dożyć tysiąca lat. Postawił sobie za cel zajęcie miejsca po Taborze i zastąpiłby mnie bez skrępowań, gdybym tej nocy poległa w walce z naturi.

Zachichotałam i odwróciłam się do niego plecami, podchodząc z powrotem do swojego krzesła. Przystanęłam obok niego i położyłam bezwładnie rękę na oparciu.

- Będzie z ciebie wspaniały Starszy.

Stefan natychmiast przestał się uśmiechać, jakby się zastanawiał, czy się z niego nabijam.

- Miro. - Głęboki głos Danausa przypomniiał mi o zadaniu, jakie na nas czekało.

Spojrzałam na łowcę przez ramię i energicznie skinęłam głową. Żadnych więcej rozmów.

Żadnego ociągania się w nadziei na jakiś cud z ostatniej chwili.

- Chodźmy.

Byłam zaskoczona. Mój głos zabrzmiał stanowczo i mocno, a nawet pewnie. Byłam lepszą kłamczuchą, niż sądziłam. Może i ze mnie też wyrośnie niezła Starsza.

Rozdział 26

Było lato 1468 roku, kiedy po raz pierwszy ujrzałam białoszare kamienie Machu Picchu, ponad sześćdziesiąt lat przed tym, jak Inkowie zostali niemal zmieceni z powierzchni ziemi przez hiszpańskich konkwistadorów. Skończyli właśnie budować swoje podniebne miasto z ponad czterdziestoma rzędami schodów na zboczu góry i licznymi budynkami krytymi strzechą. Ogromne głazy idealnie przycięto i zestawiono ze sobą jak złożoną układankę, zaprojektowaną przez bogów, a potem wykonaną przez ludzi. Wysoko w chmurach Inkowie upajali się rozległą panoramą wielkich gór, czcząc słońce i oddając hołd księżycowi.

Jednak tamtego roku władca Inków, Pachacuti, zauważył z niepokojem dziwne istoty, które nagle zeszły do jego górskiego ustronia. Ich brązowe włosy, złocista skóra i zdumiewające moce szybko zyskały im miano dzieci boga słońca, Wirakoczy. Pachacuti był

wielce szczęśliwy, mogąc zaspokajać potrzeby dzieci słońca, nawet jeśli domagały się ofiar z ludzi. Ale te wspaniałe istoty postawiły go też w niezręcznej sytuacji. Przetrzymywały w niewoli córkę księżycy. Kiedy dzieci słońca wylegiwały się w komfortowych warunkach wokół Machu Picchu, potomkowie księżycy byli przez cały czas skuci łańcuchami i mieli przepaski na oczach.

Za dnia byłam trzymana w ciemnej wilgotnej jaskini połączonej ze Świątynią Księżycy na zboczu góry, ukrytej przed wzrokiem innych oraz dalekosiężnymi promieniami słońca. A kiedy budziłam się co noc, zanoszono mnie na skałę ofiarną, gdzie zadawano mi tortury aż do kolejnego świtu.

Teraz, po ponad pięciu wiekach, znowu znalazłam się w cieniu Machu Picchu i czułam się przerażona. Sanctuary Lodge był jedynym hotelem, od którego dało się dojść na piechotę do inkaskich ruin. Większość turystów przywożono tutaj z Aguas Calientes po długiej wędrówce z Cuzco. Jak dotąd władze kraju ograniczyły rozbudowę okolicy, aby zachować ją w nienaruszonym stanie i kultywować jej historię. Byłam jednak pewna, że to wszystko wkrótce się zmieni. Miejsce to stawało się atrakcyjne dla turystów, a kraj szukał sposobów na wykorzystanie ich rosnącego zainteresowania.

Stefan i ja rozdzieliliśmy się, wyruszywszy w drogę. Czułam wahanie tylko przez moment, kiedy moja stopa dotknęła ziemi przed hotelem, ale nie było tam mocy czekającej, by wkraść się do mojego ciała. Cynnica przywróciła mi poczucie równowagi pośród różnych mocy wiszących w powietrzu. Ziemia wciąż drżała, wibrowała i huczała od energii, która jednak nie była już we mnie uwięziona. Ziemska energia pulsowała w moim ciele, powodując rwący ból w kościach i w tyle głowy, ale nie przypominał on ani trochę cierpienia, jakiego doświadczyłam wcześniej w pałacu w Knossos albo w Ollantaytambo.

Kiedy Stefan skierował się na południe na stary szlak, wyczułam, że podążyła za nim spora część grupy nocnych wędrowców oraz ich ludzcy strażnicy. Ci, którzy pozostali, przyglądali się w milczeniu, pozostając w cieniu, pełni napięcia. Stawali się niespokojni w pobliżu Danausa i Cynnii. Shelly, ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu, musiała zostać w hotelu, skąd miała o świcie wrócić prosto do Cuzco, a stamtąd do Stanów Zjednoczonych, bez oglądania się za siebie. Spisała się świetnie, pilnując Cynnii, gdy Danaus i ja byliśmy zajęci, ale w żaden sposób nie poradziłaby sobie w nadchodzącej walce. Pomimo jej protestów, sumienie po prostu nie pozwalało mi zabrać jej ze sobą. I wiedziałam, że Danaus również by się na to nie zgodził.

Przechodząc przez wejście dla turystów, wyciągnęłam browninga i glocka z kabur pod pachą, choć tak naprawdę miałam ochotę chwycić za miecz, wciąż przypięty do moich pleców. Chłodny ciężar obu pistoletów, jaki poczułam w swoich dłoniach, wprowadził mnie w zdumiewająco dobry nastrój. Broni palnej być może brakowało stylu i finezji, ale mimo to stanowiła zabójczy oręż. Dzięki niej odzyskam kontrolę nad swoim życiem; wystarczyło wystrzelić po jednym naboju.

Szlak prowadzący w górę zbocza był wąski, zmuszał nas do wędrówki gęsiego. Szłam z przodu, a zaraz za mną Cynnica oraz Danaus, który trzymał w jednej ręce bułat, a drugiej krótki prosty miecz.

Miał też pistolet w kaburze nad pośladkami, a w innych miejscach przypięte różne rodzaje sztyletów i noży. Huczała w nim ledwie kontrolowana energia.

Nachodziła mnie ochota, żeby warknąć na niego, aby trzymał ją w ukryciu, ale ugryzłam się w język. Zazwyczaj ciepło jego energii działało kojąco, ale tej nocy przypominało mi jedynie, jak to się może skończyć, jeśli będę spowita jego mocą, a tamci spróbują rozerwać mnie na strzępy.

Powoli podążaliśmy szlakiem w górę. Jedyнным odgłosem w chłodnym nocnym powietrzu był chrzęst zwiru pod stopami. Zerknęłam na czarne niebo i się skrzywiłam.

Księżyc nie świecił. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, jak samotna jest noc bez niego, rzucającego swoje czarowne, srebrzyste światło. W okolicy panowała całkowita ciemność i tylko na szczycie góry widać było słaby blask płonącego ognia. W powietrzu wyczuwało się iskrzenie wzbudzonej magii, ale nie na tyle silne, by sądzić, że naturi już zaczęli rzucać swoje zaklęcie.

Danaus chwycił mnie nagle za ramię i zatrzymał. Stał nieruchomo, marszcząc brwi w skupieniu. Spoglądając za niego, zauważyłam, że inni nocni wędrowcy również bacznie mu się przypatrują.

- Naturi? - spytałam, powoli omiatając wzrokiem okolicę. Właśnie weszliśmy pomiędzy wysokogórskie poletka. Były to rzędy tarasów, wykorzystywane niegdyś przez mieszkańców Machu Picchu pod uprawę zbóż oraz innych roślin. Trochę roślinności wegetowało tam i teraz - przypominała gęstwinę w mroku.

- Nie, ale ...

- Wiem - odparłam. Ja też mogłam ich wyczuć. Zbliżali się.

Jak na komendę pierwszy wilkołak zawył do bezksiężycowego nieba. Wkrótce zawtórował mu chór jego braci i sióstr, a ich żałosne wycie wypełniło powietrze. Nie pozwoliłam sobie na luksus badania okolicy, by przekonać się, czy jest wśród nich Alex. Jeśli tam była, wiedziałam, że wycuję ją na moment przed tym, jak ją zabiję.

Szybko włożyłam z powrotem pistolety do kabur i wyciągnęłam miecz. Naboje nie były posrebrzane. A postrzelone nimi wilkołaki tylko by się wkurzyły. W tym samym czasie cienie rzuciły się do przodu, zbliżając się do mojej małej armii.

- Miro? - odezwała się nerwowo Cynnia, trzymając się tuż za moimi plecami, gdy wciąż się obracałam, poszukując nadchodzących napastników.

- Potrafisz nad nimi zapanować? Zdołasz ich powstrzymać? - spytałam.

- Jestem naturi z klanu wiatru. - Chwyciła rąbek mojej spódnicy jak cień poruszający się obok mnie. - Nie potrafię zapanować nad zwierzętami.

- W ogóle?

- Ani trochę.

- Nie będę cię chroniła na tej górze, jeśli nie wykażesz odrobiny przedsiębiorczości!

Ciche pomruki z obu stron przetoczyły się w ciszy, a potem się zaczęło. Jakiś cień skoczył na mnie, jednak zrobiłam unik, machając przy tym mieczem i przecinając napastnikowi bok. Ostro ryknął i uderzył ciężko o ziemię. Gdy próbował podnieść się na cztery łapy, zadałam kolejny cios i pozbawiłam go głowy.

Zakręciłam się, tnąc mieczem w powietrzu przed meksykańskim wilkołakiem o czerwonawoszarym i rudym futrze. Jego ostre kły i silne szczęki wycelowane były w moje gardło. Opadając na kolana, szarpnęłam Cynnię za spódnicę i pociągnęłam za sobą na ziemię.

Wilkołak przeleciał w powietrzu i wylądował po drugiej stronie szlaku, wzbijając w górę chmurę pyłu i żwiru. Szybko się odwrócił i natarł na mnie ponownie. Próbowałam znowu wykonać unik, ale moja stopa trafiła na ciało wilkołaka, którego przed chwilą zabiłam, i ugrzęzła w nim. Atakujące stworzenie zacisnęło zęby na mojej lewej ręce, i niemal zważyło mnie na ziemię. Obracając się, zatopiłam miecz w jego żebrach i płucach. Skomląc, wilkołak puścił mnie, wyszarpując mi zębami kawałek ciała. Próbował się wycofać, żeby zaleczyć ranę, którą mu zadałam, ale już go dopadłam i odcięłam mu głowę.

Nacięcie na mojej ręce wciąż bolało, ale się goiło. Krew przestawała ciec i wiedziałam, że wkrótce zakrzepnie. Nie miałam o co się martwić. Nie mogłam zarazić się wilkołactwem. Wampiry były odporne na tę chorobę. Niestety, zapach mojej krwi w powietrzu mógł przyciągnąć inne wilkołaki. Podeszłam trochę w górę ścieżki, ciągnąc Cynnię za sobą i starając się zachować niewielki dystans między nami a Danausem. Droga była zbyt wąska, by wilkołaki nas otoczyły, ale też nocni wędrowcy znaleźli się tutaj w potrzasku.

Walka się przeciągała, ponieważ staraliśmy się nie skrzywdzić zbyt wielu wilkołaków

- naszych dawnych sojuszników.

W powietrzu rozległy się krzyki i odgłosy wystrzałów. Większość ludzi wyposażona była w noktowizyjne gogle i broń automatyczną. Grad pocisków spowolnił nieco wilkołaki i zmusił do leczenia ran. Ta dodatkowa chwila pozwoliła wampirom łatwiej ich unieszkodliwiać, ale równocześnie ginęli ludzie, rozrywani na strzępy. Nie należało w ogóle ich tu sprowadzać. Podobnie jak wilkołaki, tylko zawadzali.

Stęknąwszy, wypatroszyłam wilkołaka, który rzucił mi się do gardła, a jego wnętrzności rozlały się na ziemi. Zawył z bólu, zanim odcięłam mu głowę. Poczułam z tyłu muśnięcie energii. Padłam nagle na ziemię i przetoczyłam się po ścieżce w górę o parę kroków, ciągnąc za sobą zaskoczoną Cynnię. Trzymając ją w bezpiecznej odległości, stanęłam z mieczem, gotowa do odparcia ataku. Wilkołak, który wyskoczył, żeby rzucić mi się na plecy, wylądował w miejscu, gdzie stałam jeszcze przed chwilą. Warknął i już miał

ponowić atak, kiedy Danaus przeciągnął swoim krótkim mieczem po jego szyi, przecinając mu kręgosłup i dziurawiąc gardło.

- Ale popis! - zawołałam, wciąż mocno ściskając miecz w zakrwawionych dłoniach.

- Nadchodzą - ostrzegł łowca - Szarpnął, wyciągając ostrze miecza z ciała wilkołaka, które bezwładnie runęło na ziemię. Rankiem ta góra będzie zasłana nagimi ludzkimi zwłokami. Gdzieś w głębi duszy chciałam dożyć następnego dnia, aby usłyszeć, jak nasi specjaliści od propagandy poradzą sobie z tym problemem.

- Idziemy dalej! - krzyknęłam. Moja grupa dobijała ostatnie dwa wilkołaki. Nasłano ich tu dwanaście i niemal wszystkie zginęły. Ja też straciłam kilku ludzi. Niektórzy z ocalałych, lecz rannych, również mieli obrosnąć w futro przy następnej pełni księżyca.

Zaczynałam wierzyć, że ta góra naznaczona jest jakąś klątwą. To cena, jaką płaciło się za każdym razem, kiedy ktoś stawiał stopę na tej świętej ziemi.

- Gdzie druga grupa? - spytał Danaus, przestępując nad martwym wilkołakiem i wspinając się po wzgórzu.

Podjęłam marsz, przeczesując mentalnie okolicę, by odnaleźć Stefana. Najpierw natrafiłam na jego gniew i aż się potknęłam. Jego grupa właśnie walczyła. Stefan wyczuł

moją obecność i wysłał mi jedno słowo, zanim wypchnął mnie ze swoich myśli: „wartownia”.

Przyjrzałam się jego wojownikom. Większość ludzi zginęła i wyczułam jedynie małą garstkę wilkołaków, ale nadal coś było nie tak.

- Pospieszmy się! - zawołałam, biegnąc w górę ścieżki, póki nic jej nie tarasowało. -

Grupa Stefana jest niedaleko wartowni. Coś dziwnego się tam dzieje. Nocni wędrowcy myślą, że skały i góra ich pożerają.

- To klan ziemi - wtrąciła się Cynnia. Biegła tuż obok mnie, trzymając się lewej strony, żeby łatwiej mi było ją chronić. - Potrafią poruszać wielkimi głazami albo robić szczeliny w ziemi, a potem je zamykać, kiedy wpadnie ofiara.

Musieliśmy się spieszyć. Choć Stefan napotkał jakieś nowe problemy, był już wyżej na zboczu niż my. Mógł dotrzeć do głównej bramy, zanim zeszlibyśmy się ponownie. Jeśli naturi zamierzali rzucić czary w Świątyni Kondora, Stefan potrzebował silniejszego wsparcia, o ile chciał przeżyć.

Już miałam zapytać, kogo mają na nas nasłać, gdy wyczułam w powietrzu poruszenie.

Bez zastanowienia chwyciłam Cynnię za rękę i pociągnęłam ją za sobą na ziemię. Było to wrażenie podobne do tego, jakiego kiedyś doznałam, zanim zobaczyłam harpie na Krecie.

Poruszenie w powietrzu, przeświadczenie, że zaraz coś z góry wyląduje mi na głowie.

Warcząc, puściłam Cynnię i przetoczyłam się na plecy. Sięgnęłam po browninga prawą ręką i już miałam go unieść, kiedy znieruchomiałam. To nie były harpie, lecz coś o wiele gorszego.

Ponad moją głowę pojawiło się stworzenie z wielkimi szarymi skrzydłami, bardziej przypominające goryla niż człowieka. Miało dużą i płaską twarz z szerokim nosem i kłami wystającymi poniżej tłustej dolnej wargi. W łapach trzymało drobną kobietę o niebieskich falujących włosach. Jej małe i delikatne dłonie spoczywały na zgrubiałej skórze jego piersi i ramion.

- Cynnio, co to jest, do cholery? - spytałam, mając na myśli zarówno fruujące stworzenie, jak i jego mały skarb.

- W waszym języku? To powietrzny strażnik - odparła, jakby odsuwając się ode mnie powoli.

- Czy powinnam wiedzieć o nim coś szczególnego?

- Tacy strażnicy to zabójcy.

Przyciskając nadal plecy do ziemi, strzeliłam do niego, gdy pikował w powietrzu. Jak na coś tak dużego, był zdumiewająco szybki, ale i tak udało mi się przedziurawić mu skrzydło. Ryknął z bólu i zachwiał się w powietrzu, jakby chciał ulżyć zranionemu skrzydłu.

Miałam już usiąść, żeby lepiej wycelować przed następnym strzałem, kiedy korzeń drzewa wyskoczył z ziemi, owinał mi się wokół piersi i przycisnął do podłoża. Zamrugalam, zobaczywszy gwiazdy przed oczami. Korzeń zacisnął się mocniej, niemal miażdżąc mi żebra.

Naparłam na te ziemskie więzy, ale kierowały nimi magiczne zaklęcia, były więc mocniejsze od zwyczajnych roślinnych pędów. Kolejny korzeń wyskoczył z ziemi koło mojej stopy, chwycił mnie za kostkę i przygwoździł do gruntu. Naturi z klanu ziemi, spoczywająca w objęciach powietrznego strażnika, zaśmiała się, gdy zawisli kilka metrów nade mną.

Szamotałam się, usiłując przeciąć więzy nożem, ale szło mi to powoli. Czułam, że za chwilę moja ręka pęknie pod wpływem nacisku i stanę się bezbronna.

- Chodź, siostrzyczko - zawołała śpiewnie naturi z klanu ziemi, machając ręką do Cynnii. - Należysz do nas. Chodź.

- Niby po co? Żebyście mnie zabili? Inni już próbowali - rzuciła Cynnii, odpędzając od miejsca, gdzie leżałam przyciśnięta do ziemi przez pęk korzeni.

- Wolisz raczej trzymać z nocnymi wędrowcami? - wysapała naturi. Zacisnęła zęby i machnęła ręką w stronę górskiego szlaku. - No cóż, w takim razie nie pozostawię ci innego wyboru, jak stanąć po naszej stronie.

Po chwili usłyszałam krzyk nocnego wędrowca. Po kilku sekundach jego życie dobiegło końca. Zorientowałam się, że większość moich braci oplótł korzenie, a następnie przebiły ich na wylot. Narastająca panika rozsadzała mi pierś. Wypuściłam pistolety - już bezużyteczne, skoro nie mogłam unieść rąk. Otwierając dłonie, wyczarowałam falę ognia, która pokryła całe moje ciało, kłując wiążące mnie korzenie. Naturi z klanu ziemi, unosząca się nade mną, pisnęła desperacko i spróbowała zgnieść mnie korzeniami, ale te już zaczęły słabnąć. Gdy się kruszyły, ze świstem cisnęłam w górę kulę ognia. Strażnik powietrzny odwrócił się i próbował uciekać, ale płomień

natychmiast go oświadczyły, a wraz z nim ziemską naturę. Jego twarda skóra zaczęła topnieć, ciało skwierczało i pękało na tle nocnego nieba aż w końcu utracił zdolność latania i zwałił się na ziemię. Wyszarpnęłam się z więzów i korzenie pękły z trzaskiem, Znowu na nogach, uniosłam dłonie i podpaliłam dwóch innych powietrznych strażników, których ujrzałam w górze nad sobą. Cynnia również wstała i przywołała burzę, wznosząc falę powietrza, która zatrzymała walczących strażników blisko miejsca na zboczu, gdzie się znajdowaliśmy.

- W tych żelaznych kajdanach nie mogę zrobić nic więcej - wyznała, unosząc ręce w moją stronę.

- Zniszczę cię, jeśli mnie teraz zdradzisz - warknęłam. Stęknąwszy, rozłączyłam wiązania obu żelaznych obręczy, które upadły z brzękiem na ziemię. Modliłam się, żebym tego nie pożałowała, ale musiałam wykorzystać każdą sposobność. Cynnia mogła odejść ze swoimi, jednak pozostała ze mną.

Odetchnęła głęboko obok mnie, unosząc oswobodzone dłonie. Czarne chmury zawirowały wokół nas jak gęstniejący czarodziejski wywar. Cofnęłam się o krok i położyłam dłoń na jej ramieniu, zaniepokojona tym, co robi. W jednej chwili dwie błyskawice uderzyły w ziemię, przeleciawszy przez dwóch pozostałych powietrznych strażników, zanim zdążyli uciec.

Wzdłuż drogi nocni wędrowcy wyplątywali się z więzów i powstawali. Niestety, zaciskające się korzenie szybko zgnioty i pozabijały ludzi. Straciłam też pięciu nocnych wędrowców. Wykruszyła się ponad połowa mojego oddziału, a musieliśmy jeszcze dotrzeć do górskich ruin. Miałam nadzieję, że Stefanowi idzie lepiej.

Marszcząc brwi, skupiłam wzrok i przejrzałam okolicę przetykaną poruszającymi się cieniami, rzucanymi przez ostatnie płonące korzenie. Danaus zniknął mi z oczu, kiedy pojawili się powietrzni strażnicy. Zimny deszcz przebiegł mi po kręgosłupie. Miałam jego imię na ustach, kiedy wreszcie go odnalazłam, siedzącego na ziemi, z plecami przyciśniętymi do skalnej górskiej ściany. Kiedy podeszłam, usłyszałam chrapliwy świst jego oddechu, przebijający przez odgłos trzaskającego ognia. Chowając broń, uklęknęłam przy łowcy. Na szyi miał otarcia i krwawił. Jeden z korzeni najwyraźniej okręcił się wokół niej i zgniótł mu tchawicę.

- Czy to się goi? - spytałam. Chciał powiedzieć „tak”, ale słowo uwięzło mu w gardle.

Wyciągnęłam rękę, dając mu znak, żeby nie próbował się więcej odzywać. - Tylko kiwnij albo pokręć głową. - Skinął raz, wciągając gwałtownie powietrze. Wyczuwałam lęk narastający w jego piersi. Brakowało mu powietrza. Jego ciało się goiło, ale zbyt wolno i wkrótce mógł się udusić.

- Czy coś jeszcze cię boli? - zapytałam. Danaus pokręcił przecząco głową. -

Poczekamy - oznajmiłam, klęcząc przed nim na ziemi.

- Co? Zostawmy go! - rzucił jeden z nocnych wędrowców, przysłuchujących się naszej rozmowie. Był młody i nie miał pojęcia, co go czeka w ruinach na Machu Picchu.

- Jest jednym z niewielu spośród nas, który potrafi wyczuć naturę. Nie pójdę dalej bez niego - odparłam spokojnie.

- To łowca - rzekł nocny wędrowiec z szyderczym uśmiechem. Nogi odziane w dzinsy rozstawił szeroko, jakby miał zamiar uderzyć Danausa.

- W tej chwili on ma dla mnie większą wartość niż ty i twoje jęczenie. Jeśli tak bardzo chcesz iść dalej, weź kogoś i ruszaj na zwiady.

Wampir piorunował mnie wzrokiem przez kilka sekund, po czym kiwnął na innego, żeby mu towarzyszył w wędrówce pod górę.

Klęcząc przed łowcą, zauważyłam, że szybko mruga, rozpaczliwie próbuje zachować przytomność i oprzeć się narastającej ciemności. Wiedziałam, że wkrótce zemdleje, jeśli czegoś nie zrobię. Mogłam teraz rozkazywać zarówno mocom ziemi, jak i duszy, ale nie potrafiłam leczyć ludzkiego ciała. Miałam jednak w zanadrzu kilka innych sztuczek. Chociaż nie takich, jakie spodobałyby się Danausowi. Przesunęłam się tak, że znalazłam się bezpośrednio naprzeciwko łowcy, między jego kolanami. Usiłował się odsunąć i zwiększyć nieco dystans między nami, ale położyłam mu rękę na ramieniu, by się nie ruszał.

- Mogę ci pomóc - powiedziałam cicho, starając się, aby mój głos brzmiał łagodnie i pocieszająco. - Ale musisz mi zaufać.

Mars na jego czole się pogłębił, a oczy zwęziły. Gdyby mógł, pewnie powiedziałby mi, żebym poszła do diabła, ale zamiast tego wziął z trudem kolejny nierówny oddech. Czas naglił.

Przyłożyłam lewą rękę do boku jego twarzy i przycisnęłam kciuk do skroni. Drugą dłonią chwyciłam go za nadgarstek i umieściłam go przy swoim boku, tak by Danaus dotykał

mojej klatki piersiowej. Przytrzymałam tam jego rękę, bo wiedziałam, że będzie próbował ją odsunąć, kiedy się zorientuje, co planuję.

Zamykając oczy, rozluźniłam spięte ramiona i sięgnęłam mentalnie poza swój umysł.

Pozwoliłam, by moje myśli lekko musnęły umysł Danausa, aby go uprzedzić. Wzdrygnął się przede mną, zaparł piętami i rozpaczliwie próbował się odepchnąć, ale trzymałam go mocno.

- Nie - wychrypiał.

Rozluźnij się, Danausie. Nie używałam głosu, tylko wysyłałam słowa, by przepływały przez jego umysł. Gdyby nie był taki słaby, nie zdołałabym tego uczynić. Dawniej, kiedy porozumiewaliśmy się telepatycznie, polegało to na szybkim wysyłaniu sobie nawzajem kilku słów. Swoją obecność w umyśle drugiej osoby ograniczaliśmy do niezbędnego minimum, aby dać sobie trochę prywatności.

W najgorszym wypadku doznawaliśmy przeblysków emocji, odczuwanych przez drugą stronę, ale niewiele poza tym. Teraz jednak było inaczej. Znalazłam się w samym umyśle Danausa.

Wynoś się z mojej głowy! Był wściekły, ale dominował w nim lęk. Bał się mnie i miałam wrażenie, jakbym poruszała się w czymś gęstym, brnęła przez bagna Florydy. Żadne z nas nie ośmieliło się zapuszczać tak daleko, do miejsc, gdzie można dosłyszeć myśli, przedzierać się przez dawne

wspomnienia i głęboko ukryte tajemnice.

Musisz pozwolić mi sobie pomóc.

Wynoś się! Czuję, jak wokół mnie wyrastają mury, jakby Danaus próbował wznieść ochronne bariery. Z całych sił starał się ze mną walczyć i nie zostawiał sobie mocy na uzdrowienie. Pogarszałam tylko sprawę.

Powstrzymując przekleństwo, wdarłam się głębiej do jego umysłu, burząc wznoszone przez niego mury. Zanim zdołał się zebrać, by mnie odeprzeć, spowolniłam jego myśli, przepełniając umysł gęstą mgłą.

Spokojnie. Odpręż się. Myśl tylko o leczeniu. Słowa te rozległy się w jego głowie w postaci szeptu. Próbował się zrelaksować, ale palący ból w jego płucach narastał.

Miro. Moje imię zabrzmiało cicho, słabo i tak delikatnie. Wysłał swoje myśli, z obawą i przepełniony bólem. *Nie mogę oddychać.*

Nie musisz. Ja oddycham za ciebie. Posyłając mu tę myśl, wzięłam długi, głęboki wdech. Jego dłoń na moment zacisnęła się mocniej na moim boku, po czym Danaus się rozluźnił. To wszystko było oszustwem, iluzją, którą roztaczałam w jego umyśle. Nie mogłam za niego oddychać, ale chwilowo uwierzył mi, że to potrafię, i jego lęk zelżał, pozwalając organizmowi dokończyć proces zdrowienia. Panika i strach ustąpiły, a całą energię, którą do tej pory zużywał na obronę przede mną i innymi nocnymi wędrowcami, teraz skierował na uleczenie rany w gardle.

Na krótki czas wytworzyłam w jego umyśle złudzenie bezpieczeństwa. Jednocześnie otworzyłam wrota do własnych mocy i umysłu i spróbowałam przepchnąć do jego ciała tyle energii, ile się dało. Nie byłam pewna, czy przepłynie ona tą drogą, ale musiałam spróbować.

Chciałam przekazać mu wszystkie siły, jakie miałam w zapasie, byle tylko Danaus wyzdrowiał, zanim się udusi.

Trwaliśmy w takim stanie przez kolejne dziesięć sekund. Wysłałam ciche, kojące myśli, które rozchodziły się jak fale po jego umyśle z każdym moim głębokim wdechem.

Jednak jego myśli stawały się coraz bardziej mgliste, jakby brak tlenu pozbawiał go świadomości. Gdy dotarło do mnie, że nie mogę już dłużej czekać, rozluźniłam swój mentalny uścisk.

Oddychaj, Danausie.

Jego pierwszy chrapliwy oddech przerwał nieskazitelną ciszę nocy. Trzymając mnie obiema rękami za boki, przyciągnął mnie do siebie i oparł mi czoło na mostku. Moje ciało stanowiło jego łącznik z rzeczywistością i ścisnął mnie tak mocno, że mogłam nabawić się siniaków.

Przestałam oddychać i w zamyśleniu przesunęłam dłonią po jego włosach, wygładzając je, gdy oddech Danausa powoli się wyrównywał.

Suka.

Potknęłam się o tę ostatnią myśl, opuszczając jego umysł.

- To przydało się i mnie - powiedziałam ochryplym głosem, a potem przeczesalam palcami jego włosy i pocałowałam go w czubek głowy. Przysiadłam na piętach, kiedy odsunął

ode mnie dłonie. Oparł się o stok, przechylając głowę do tyłu, aby łatwiej mu było oddychać.

Potrafiłam zrozumieć obawy Danausa, ale nigdy wcześniej nie próbowałam wdrzeć się na siłę do jego wspomnień i sekretów - aż do teraz, kiedy miałam nad nim kontrolę i zmuszałam go, by uwierzył w iluzję, która mogła go zabić. Jego złość zaczęła ustępować, ale lęk nadal był wyczuwalny. W chwili słabości Danausa udało mi się wejść do jego umysłu, czego nie zdołałabym zrobić w normalnych okolicznościach. Poza tym bezpośrednie połączenie pomiędzy naszymi umysłami było teraz wyrazistsze niż kiedykolwiek. Mogliśmy z łatwością wnikać nawzajem w swoje myśli, a wiedziałam, że żadne z nas tego nie chce.

Jednak przez krótką chwilę nie miało to znaczenia. Tej nocy Danaus mógł po raz kolejny władać mną niczym mieczem w swojej dłoni. Mogłam na moment wtargnąć w jego umysł, ale wiedziałam, że zapłacę za ten afront i zostanę jego niewolnicą. Byliśmy ze sobą powiązani: wampirzyca i łowca; potwór i demon.

- Musimy iść - szepnął Danaus.

- Zaraz. Złap oddech. Jabari byłby gorzko rozczarowany, gdybyś nie dotarł do ruin żywy.

Łowca wciągnął głęboko powietrze, wypełniając nim płuca. Skrzywił się z bólu, ale znowu oddychał.

- Gdzie Stefan? - spytał ochryplym głosem i wstał. Siedziałam jeszcze chwilę, próbując zlokalizować drugą grupę wampirów. Łatwo ich było namierzyć, zwłaszcza że walczyli właśnie z grupą naturi. W powietrzu narastała przemoc i energia.

- Właśnie przeszli przez główną bramę. Ruszajmy. Jesteśmy prawie na szczycie -

odparłam, zrywając się na równe nogi.

Rozdział 27

Szliśmy dalej pod górę w milczeniu. Napięcie przyczaiło się w moim brzuchu, gdy czekałam na następną przeszkodę, kolejną hordę naturi szykującą się, by urwać mi głowę.

Musieliśmy się przebić i w końcu wspiąć pod chmury. Powinniśmy wreszcie zakończyć tę grę.

Ktoś krzyknął, żeby się zatrzymać, kiedy doszliśmy do ostatniego zakrętu na drodze.

Dwaj nocni wędrowcy, których wysłałam na zwiady, stali, przywierając plecami do zbocza góry.

Ten, który zawołał, był niemal zgięty w pół i przyciskał skrzyżowane ręce do brzucha.

- Co się stało? - zapytałam. W lewej ręce trzymałam browninga, a w prawej rękojeść miecza. Stojąc na rozstawionych nogach, obserwowałam okolicę, czekając na kolejny atak.

Drugi nocny wędrowiec trzymał strzałę między dwoma palcami.

- Kiedy tylko wyszliśmy zza zakrętu, pojawili się na całym niebie.

- Wyleczysz się - zapewniłam cicho pierwszego z nich, wyzierając zza skalnej ściany i spoglądając w górę zbocza. Blask ognia był jaśniejszy u wejścia do miasta, ale nadal nikogo nie widziałam. Wąskie schody biegnęły wzdłuż głównego muru otaczającego miasto.

Prowadziły na wzniesienie, gdzie mieściła się wartownia. Stefan wciąż znajdował się powyżej nas, ale niedaleko. Musieliśmy zająć się armią naturi przy wejściu, zanim on i jego grupa się na nią natkną.

- Ilu ich jest?

- Piętnastu - odparł szybko Danaus.

- Znasz jakieś ciekawe sztuczki?

- Nie.

- Ale ja znam - powiedział Jabari, wyłaniając się z powietrza i stając obok mnie.

Znajdująca się przy nim Sadira, którą obejmował, wyglądała na zdezorientowaną. Jej skóra była poczerniała i pomarszczona, a gęste czarne włosy dopiero teraz zaczęły odrastać. Moja stwórczyni i ja miałyśmy... sprzeczkę, kiedy odwiedziłam Wenecję kilka miesięcy wcześniej.

W rezultacie Sadira na chwilę stanęła w płomieniach. Prawdę mówiąc, był to wypadek, ale wiedziałam, że żaden nocny wędrowiec mi w to nie uwierzy. Sadira miała na sobie długi, workowaty strój, zakrywający jej odrażające ciało. Pozostałe wampiry wzdrygnęły się i skrzywiły na jej widok. Nie patrzyła na mnie, co było zrozumiałe, i stała przytulona do Starszego.

- Przygwoździli nas - powiedziałam, spoglądając na Jabariego. - Piętnastu naturi ze strzałami. Naturi z klanu ziemi i powietrzni strażnicy czają się wokół góry i dają nam nieźle popalić.

- Poradzę sobie z ich strzałami. Musimy tylko zastawić przynętę. - Jabari uśmiechnął

się do mnie, a jego białe zęby błysnęły w słabym świetle. Każdy inny nocny wędrowiec nadawałby się do tego zadania, ale on chciał mnie.

Skrzywiłam się i pokręciłam głową.

- Tak myślę. - Odwróciłam się do Danausa i wręczyłam mu pistolety typu Glock i Browning. I tak

strzelał lepiej ode mnie. - Nie spudłuj. Jeśli mnie postrzelisz, będę wiedziała, że zrobiłeś to celowo.

- Nie ośmielę się - odparł, a jego ochryply głos ociekał sarkazmem. Musiałam wyglądać na zdenerwowaną, bo rzadko zniżał się do żartów.

- Chwileczkę. Oni z pewnością i tobie chętnie wymalują na plecach „kopnij mnie” -

ostrzegłam, wykrzywiając usta w wymownym uśmiechu.

- Miro? - odezwała się Cynnia, chwytając mnie za rękę, gdy szykowałam się do wejścia na odkryty teren. - Nie podoba mi się to.

- Wiesz, co oni planują? - spytałam i przekrzywiłam głowę na bok, czekając na odpowiedź.

Zaprzeczyła ruchem głowy i przygryzła dolną wargę.

- Nie wiem, ale po prostu coś mi nie gra.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie wygląda dobrze, ale wierzę, że Jabari na razie potrzebuje mnie żywej - powiedziałam z przekąsem, spoglądając na Starszego.

Wyciągając miecz, wyszłam zza zakrętu na środek drogi. Stałam tam i czekałam, ale nic się nie wydarzyło. Trzymając mocno rękojeść prawą dłonią, powoli ruszyłam w górę z lewą ręką skąpaną w tańczących płomieniach. Trudno było stać się bardziej widocznym celem. Nie miałam pojęcia, co knuje Jabari, ale jakoś nie wierzyłam, że wyłącznie chce mnie uchronić przed krzywdą. Potrzebował mnie żywej, ale i tak mógł mnie wpakować w tarapaty.

Aby osłodzić sobie tę myśl, zdałam się na łowcę wampirów, który miał mnie osłaniać, a on nie był w tej chwili zbytnio ze mnie zadowolony. Jediną osobą, która naprawdę wydawała się teraz troszczyć o moje bezpieczeństwo, była Cynnia. Jeśli przeżyję, będę zwracać baczniejszą uwagę na towarzystwo, w jakim przebywam.

Kiedy znalazłam się w połowie drogi, pierwsza strzała przeleciała w powietrzu w moją stronę. Zatoczyła łuk wysoko na nocnym niebie, a ja z łatwością jej uniknęłam, przykucając. W tym czasie kolejnych dziesięć strzał pojawiło się na niebie, leciały szybko i prosto na mnie. Szybowały taką chmurą, że gdybym próbowała się uchylić, przynajmniej jedna lub dwie i tak by mnie trafiły. Wzdrygnęłam się, napięłam mięśnie i czekałam.

Słyszałam, jak Danaus strzela do naturi, który znalazł się w polu widzenia. Próbowałam w myślach wywołać zaklęcie wznoszące barierę ochronną, którego Cynnia i Shelly uczyły mnie w lesie, ale mój umysł był pusty. Nie mogłam przypomnieć sobie właściwych słów, a energia nie chciała napłynąć do czubków moich palców. Odjęło mi mowę, gdy zbliżały się strzały z zatrutymi grotami.

- Nie! - Usłyszałam krzyk Cynnii. Odwróciłam się akurat w porę, by ujrzeć białą niewyraźną plamę zmierzającą w moim kierunku. Byłam uwięziona między strzałami lecącymi na mnie ze świstem a czymś małym i jasnym. Unosząc miecz naprzeciwko tej białej plamy, wzdrygnęłam się, przygotowana na to, że kilka strzał wbije mi się w bok i w plecy.

Zdążyłam tylko wziąć oddech, gdy poczułam, jak Cynnia obejmuje mnie swoimi szczupłymi ramionami i odciąga na bok, a potem coś innego owija się wokół nas obu. Uniosłam wzrok i zobaczyłam parę białych skrzydeł, które wyrosły z pleców Cynnii, a teraz zakrywały nas, chroniąc przed strzałami.

Zdumiewające, że strzały nas nie dosięgły. Odbiły się od niewidzialnej bariery parę centymetrów przed nami i spadły na ziemię, nie czyniąc nikomu krzywdy. Bardziej wyczuwałam, niż słyszałam śmiech Jabariego. Chwilowa panika, w jaką wpadłam razem z Cynnią, rozbawiła go.

Jak miło! Naturi cię broni. Jak ci się to udało? - Jego głos wślizgnął się do mojego mózgu.

Przysięgam, że nie pozwolę jej siostrze przejść dziś w nocy przez wrota, odparłam równie słodkim tonem.

Siostrze?

Tak, to młodsza siostra Aurory. Księżniczka. Cenna zdobycz.

Zaskakujesz mnie, mój kwiecie pustyni, rzekł Jabari niemal miękko.

Na razie powróciłam do jego łask. Cynnia rzeczywiście stanowiła wartościowy nabytek i choć chciałam jej powierzyć pewne zadania, to nie ja miałam dyktować warunki w górskich ruinach. Miał to być Jabari - mistrz w posługiwaniu się żywymi marionetkami.

Wszelkie przyrzeczenia, jakie złożyłam młodej naturi, nie liczyły się teraz, kiedy on dowodził.

Z warknięciem odepchnęłam Cynnę od siebie i podjęłam wspinaczkę w górę zbocza.

Naturi dalej wypuszczali strzały, ale żadna z nich mnie nie trafiła. W odpowiedzi posłałam przed siebie kilka ognistych kul. Danausowi udało się zabić kilku naturi, a ja wykończyłam resztę za pomocą zabójczej mieszanki ognia i stali.

Przykucnąwszy u wejścia do miasta, czekałam, aż powrócą mi siły, tymczasem Danaus z innymi spieszyli w górę, by do mnie dołączyć. W tym samym czasie nadciągnął od zachodu Stefan. Jego grupa została zdziesiątkowana; pozostało ich ledwie ośmiu. Był

wściekły, że naturi niemal go pokonali, ale mimo to zdołał sztywno skłonić głowę przed Starszym.

- Musimy iść dalej - oznajmił Jabari.

- Gdzie odbywa się ceremonia? - zapytałam, nadal nie wstając. Patrzyłam prosto przed siebie na otaczające mnie kamienne mury. Znowu znalazłam się w tym mieście. Przeniknął

mnie dreszcz przerażenia i napiął wszystkie mięśnie.

- Ludzie zgromadzili się na Placu Głównym - odparł Jabari.

- Dokończmy to - powiedział Danaus, wyciągając do mnie rękę. Odwróciłam od niej wzrok, wzdragając się. Z jego ciała promieniowała ciepła energia, przyprawiając mnie o dreszcze. Dokończenie tego oznaczało także zniszczenie mnie samej. W Wenecji poczułam, jak to jest, gdy moce Jabariego i Danausa walczą o panowanie nade mną. Niemal rozdarło mnie to na strzępy. Nawet nie potrafiłam wyobrazić sobie bólu, jaki mnie czekał, kiedy cała triada przepuści przeze mnie swoje moce.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam, że Jabari również wyciąga dłoń w moją stronę.

- Nie pozwolę im skrzywdzić cię znowu.

Już miałam mu odpowiedzieć, że raczej obawiam się krzywdy, jaką on sam może mi wyrządzić. Zamiast tego wstałam bez niczyjej pomocy i obeszlłam stojących.

- Do diabła z wami obydwoma - burknęłam. Z mieczem w ręku poszłam główną ulicą do placu. Jabari miał rację. Wyczuwałam obecność ludzi zgromadzonych na rynku. Po drodze napotkaliśmy tylko słaby opór, który szybko przełamaliśmy.

Na skraju placu zatrzymałam się nagle. Noc rozpraszały dziesiątki migoczących pochodni, przypominały scenerię z ruin pałacu w Knossos. Naturi wycofali się na środek dużego skweru, by strzec ofiar. Silne przecucie wniknęło mi w kości i dręczyło myśli. Przed pięcioma stuleciami potrzebowali tylko jednej ofiary, pięknej młodej kobiety z długimi czarnymi włosami. Była to jedna z córek władcy, która odgrywała teraz główną rolę w moich nawracających koszmarach.

Tej nocy na środku trawiastego placu stało trzynastu ludzi - trochę miejscowych i turystów. Ustawieni byli w kręgu, zwróceni tyłem do wnętrza koła. Powiązano ich za ręce, żeby nie mogli uciekać. Stłumione łkania i lamentujące głosy odbijały się echem od okolicznych kamiennych murów i rozchodziły w chłodnym górskim powietrzu. Ludzie nie wzbudzali we mnie litości. Ich koniec miał nadejść szybko. Oprawcy potrzebowali tylko ich serc i trochę krwi - nieodzownych składników wszystkich potężnych zaklęć.

Zginając nerwowo wolną lewą rękę przy boku, przeniosłam wzrok z kręgu ludzi na Jabariego. Miał zmarszczone brwi. Coś w tej scenie również go poruszyło. Wcześniej miałam nadzieję, że widok zaniepokoił tylko mnie.

- Jest jakoś inaczej - stwierdziłam. Nie odpowiedział, ale jego moce wzmożyły się i napierały na moje ciało. - Ostatnim razem mieli tylko jedną ofiarę: kobietę. A teraz trzynaście osób. Dlaczego?

- Tym razem zależy im na zgromadzeniu większej energii - odparł Stefan, podchodząc i stając koło mnie. - Raz ich pokonaliśmy. Chcą uniknąć kolejnego poniżenia.

Brzmiało to niemal logicznie. Więcej krwi równało się większej mocy, ale czemu chcieli złożyć akurat trzynaście ofiar? Dlaczego nie dwie albo pięć? To z pewnością wystarczyłoby aż nadto. Trzynastka. Liczba ta tłukła mi się po głowie, a rozwiązanie tej zagadki było gdzieś blisko. Trzynastka miała znaczenie. Z punktu widzenia magii kluczową liczbą była dwunastka, ale dotyczyło to sabatu czarownic rzucających uroki, a nie składania ofiar. Ponadto z moich wcześniejszych ustaleń

wynikało, że żaden z tych ludzi nie posługiwał

się magią.

- Coś nie tak - rzekłam cicho, odwracając się, by spojrzeć na Cynnię, która trzymała się na uboczu. Gołębiobiałe skrzydła otaczały jej ciało, ale teraz zaczęły się rozpadać, osypując się z jej ramion jak ziarna piasku. - Wiesz, co się dzieje?

- Nie ... nie mam pojęcia - wyjąkała, załamując ręce. - Nigdy nie widziałam ceremonii otwarcia wrót. Nie spodziewałam się, że aż tylu ludzi do tego potrzeba.

- Myślisz, że ona mówi ci prawdę? Zdradza swoich? - warknął na mnie Stefan, podchodząc o krok bliżej, aż niemal znalazł się między mną a młodą naturi.

- Do tej pory nam pomagała! Chce tego samego co my: odseparowania swojej siostry!

Przyjmę każdą pomoc, jaka się w tej chwili nadarzy. - Odwróciłam się, spojrzałam na Jabarię i wskazałam głową w stronę placu rozciągającego się przed nami. - Czas nas goni.

Pora działać.

- Miro - odezwał się głucho Jabari cichym, ostrzegawczym tonem.

Zatrzymałam się przy placu, kiedy naturi się przemieścili, stając z krótkimi mieczami w dłoniach przed każdym człowiekiem. Rozgorączkowane krzyki i lamenty sięgnęły zenitu.

Uniosłam ręce ponad głowę, otwarte w stronę nocy, ale nic się nie wydarzyło. Czyżbym naprawdę znowu znalazła się na rozstajnych drogach? Zaledwie kilka miesięcy wcześniej byłam w Stonehenge i leżała przede mną kobieta. Naturi szykowali się, żeby wyciąć jej serce i złamać pieczęć, która ich wiązała. Zabiłam tę kobietę, powstrzymując ofiarę. Na Krecie już miałam zrobić to samo z trójką niewinnych ludzi, ale nie zdążyłam. Teraz stałam na brzegu placu, a życie trzynastu osób znajdowało się w moich zakrwawionych, drżących rękach.

- Miro? - powiedział Danaus, przyciągając mój wzrok. Oboje wiedzieliśmy, że nie było jak ocalić tych ludzi. Mieli zginąć jako rytualne ofiary albo od zabłąkanych strzał, kiedy podejmiemy walkę. - Zrób to szybko.

Z okrzykiem bezsilnej wściekłości przywołałam do siebie energię, używając tylko mocy krwi, jaką stosowałam przez większość życia. Nie chciałam, żeby ten ogień został

skalany ziemskimi mocami, których ostatnio nabyłam. Jeśli mam zabić tych ludzi, uczynię to za pomocą własnych zdolności i postrzępionych resztek swojej duszy.

Ogień wyłonił się raptownie wokół ludzi i przez chwilę ich okręzał. Stało się to tak nagle, że ich krzyki natychmiast umilkły. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić, jak wpatrują się z trwogą w żółtopomarańczowe płomienie. Chciałam zamknąć oczy. Bez względu na to, jak gorący był ogień, nie mogłam zadać im szybkiej i bezbolesnej śmierci. Mieli cierpieć w swoich ostatnich chwilach, nie

wiedząc nawet, że ich koniec ocali ludzką rasę.

Warcząc z bólu i frustracji, zetknęłam ręce. Chciałam zamknąć krąg ognia wokół

trzynastu osób, aby ich pochłonię, ale płomienie się nie poruszyły. Włożyłam w to więcej wysiłku, wlałam w nie całą swoją energię; trzaskały i strzelały, ale nie przesunęły się ani trochę. Sześciu naturi o falujących blond włosach wystąpiło do przodu z cienia. Zamachali jednocześnie rękami i płomienie znikły, jakby nigdy nic. Utraciłam swój główny atut w walce.

Zdesperowana, miałam ochotę przywołać teraz przepływającą przeze mnie energię zarówno ziemi, jak i duszy, żeby w końcu wyjść z impasu, ale wątpiłam, czy zdołam zmierzyć się z sześcioma naturi z klanu światła naraz. Nie byłam po prostu wystarczająco silna. A poza tym brakowało nam czasu.

Gdy płomienie zniknęły, trzynastu naturi stanęło przed ludźmi z mieczami w rękach.

Odwróciłam się do Jabariego, rozpaczliwie szukając jakiejś podpowiedzi. Przybyliśmy za późno, nie byliśmy dostatecznie przygotowani i liczni. Zawaliliśmy sprawę.

Spiętrzona fala mocy wyskoczyła z kręgu na zewnątrz, uderzając mnie w plecy.

Zatoczyłam się pod jej wpływem do przodu i wpadłam na Jabariego, który cofnął się o parę kroków. Rozejrzałam się wokoło i dostrzegłam kilku innych nocnych wędrowców podnoszących się z ziemi.

Obracając się z powrotem w stronę placu, zobaczyłam naturi wykrawających ludziom serca. Składali je ostrożnie kilka kroków dalej, podczas gdy paru innych śpiewało nad nimi w swoim pięknym, melodyjnym języku. Gdy ostatnie serce znalazło się na krwawym stosie, białe światło zawisło obok w górze. Wyglądało to tak, jakby ktoś wyciął dziurę w powietrzu i teraz rozdzierał szwy. Wrota zostały otwarte.

- Chronić triadę! - zawołał Jabari. W końcu był gotowy do działania. Wkroczyliśmy na plac całą grupą. Kilku naturi odskoczyło od martwych ciał i zaatakowało, ale inni nocni wędrowcy nadal tworzyli wokół nas ochronny mur.

- Co robimy? - spytałam, ściskając miecz w dłoni tak mocno, że zaczęła mnie boleć ręka.

- Rób to, co ci kazałem - odparł Jabari, stając tuż za mną. Sadira znalazła się po mojej lewej stronie, a Danaus po prawej. Już miałam powiedzieć, że żadne z nich nie jest na tyle blisko, żeby mnie dotknąć, ale wkrótce przekonałam się, że nie ma to znaczenia.

Moce Jabariego uderzyły we mnie pierwsze, uderzając w mój kręgosłup jak młot.

Drgnęłam i usłyszałam, jak mój miecz upada z brzękiem na kamieniste podłoże. Potem przetoczyła się przeze mnie moc Sadiry i wypełniła moje ciało. Wraz z ich energią pojawiły się ich emocje, przepływające mi przez mózg. Tonęłam w złości i strachu Sadiry i Jabariego.

Odczuwałam ich przekonanie o zdradzie oraz niepewność. Do nocnych wędrowców w moim umyśle wkrótce dołączył Danaus i wycisnął krzyk z mojej piersi. Od łowcy biło przemożne uczucie spokoju i

pewności siebie. Wierzył w to, co robi. Próbowałam przylgnąć do tego poczucia ukojenia, ale wywlekła mnie furia Jabariego. Walczył o kontrolę nade mną, przesyłając więcej energii przez moje kończyny. Rozłożyłam ramiona na boki, a głowa opadła mi do tyłu. Kolana uginały się pode mną, ale ustałam, jakby ukrzyżowana w powietrzu.

A potem było tylko światło. Stałam skapana w tym pięknym, białym świetle, jaśniejszym od ognia i słońca. U wrót do świata naturi.

Zamknij wrota.

Ten głos w mojej głowie należał do Jabariego. Sadira też tkwiła w moim umyśle, ale jej nie słyszałam. Danaus również znajdował się w owym nurcie, cichy i silny. Próbowałam mentalnie dotknąć wrót, ale w chwili, gdy to zrobiłam, roztrzaskały się. Drzazgi wyskoczyły w przestrzeń i utworzyły trzynaście snopów oślepiającego światła. Wszystko w jednej chwili ułożyło mi się w całość. Dwanaście symboli wyrytych na drzewach w różnych miejscach świata oznaczało tyleż wrót, a trzynasty dotyczył głównych wrót w Machu Picchu.

Potrzebowali trzynastu ludzi, aby otworzyć trzynaście różnych bram.

Zamknij wrota, polecił znowu Jabari.

Skupiłam się mocniej i spróbowałam, ale udało mi się jedynie wydać z siebie kolejny okrzyk.

- Nie mogę! - zawołałam głosem zduszonym i załamany. - Zbyt wiele.

Czego zbyt wiele? - zapytał Jabari, a jego gniew i frustracja uderzyły we mnie kolejną falą mocy. Nie czułam już ciała. Był tylko ból, jakby cała moja istota składała się tylko z cierpienia, zamiast z kości i ścięgien.

- Wrót. Trzynaście - jęknęłam.

- Skup się! - zawołał.

Krzyknęłam znowu, gdy jego moc wymazała wszelkie myśli. Pozostały tylko światło i ból. Gdzieś w tej jasności zobaczyłam, jak coś się porusza. Modliłam się, żeby to była śmierć.

Nie obchodzili mnie ani ludzie, ani naturi, ani nocni wędrowcy. Chciałam jedynie pozbyć się bólu.

- Miro - rzekł łagodnie Danaus.

Słysząc go było gdzieś blisko. Mogłam wyczuć jego spokój i próbowałam go uchwycić. Danaus ostrożnie przyłożył obie dłonie do mojej talii i przyciągnął mnie do siebie.

Wrzasnęłam znowu, gdy ten kontakt spowodował nagły skok natężenia mocy, którą Danaus przeze mnie posyłał, ale wkrótce znowu się wyrównała.

- Słyszysz mnie?

- Proszę, przestań - błagałam. Płakałam, ale nie czułam łez.

- Zaraz przestanę. Musimy zamknąć wrota - powiedział. Wydawał się taki cierpliwy, jakby nie męczyło go zużywanie tak zdumiewającej ilości energii. Powoli przesunął ręce w górę po moim tułowiu, aż spoczęły na ramionach. Jego ciepło otulało mnie ochronnym kokonem i przylgnęłam do tej odrobiny komfortu.

- Nie mogę. Zbyt wiele ich jest.

- Czy możesz zamknąć choć jedno? - spytał. Bardzo ostrożnie przesunął dłonie w dół

po moich ramionach i splótł ciasno swoje palce z moimi. - Zamknij tylko jedno wrota. - Kiedy to mówił, jego usta musnęły lekko moje ucho.

Odsuwając na bok wszystkie inne bramy, zaryglowałam jedną i złączyłam jej szwy.

Szloch utkwiał mi w gardle, gdy się zamknęła, i poczułam, jak Danaus ściska pocieszająco moje dłonie. Przechodziliśmy powoli od jednego wejścia do drugiego, zamykając je tak, jakbyśmy zszywali kawałki materiału. Stanęliśmy przy ostatnim otworze, kiedy nagle moc w moim ciele opadła. Choć początkowo poczułam ulgę, to wiedziałam, że coś jest nie tak. Nie wyczuwałam już Sadiry. Jak gdyby zupełnie znikła. Owa pustka wydawała się dotkliwsza, niż gdyby Sadira po prostu przecięła połączenie między nami, ale nie potrafiłam zatrzymać tej myśli. Odpłynęła niczym świstek papieru unoszonego przez wiatr. Skupiłam się ponownie na oślepiającym bólu, który wciąż forsował całe moje ciało.

- Zamknij wrota - ponaglił mnie Danaus, kiedy się zatrzymałam.

- Nie potrafię.

- Owszem, potrafisz. Jesteś silniejsza od Sadiry. Zawsze byłaś. Zamknij je. - W jego głosie pojawiło się naleganie, jakiego wcześniej nie było. Czas naglił. Posłużyłam się resztką sił i zatrzasnęłam ostatnią bramę.

Białe światło znikło i powoli wyraźniej przejrzałam na oczy. Zobaczyłam Aurorę stojącą na ziemi po raz pierwszy od ponad pięciuset lat. Wyglądała jak bogini słońca z długimi złocistymi włosami i doskonale opaloną skórą, jak prawdziwa królowa w swoich powłóczystych białych szatach, które tańczyły wokół niej na wietrze. Znała mnie; wiedziała, kim jestem i co zrobiłam.

Wciąż naładowana energią Danausa i Jabariego, wyczuwałam złość i strach tych naturi, którzy stłoczyli się wokół swojej królowej. Było ich zaledwie kilkudziesięciu; o wiele mniejsza armia, niż ta, którą spodziewali się zgromadzić. Ale i tak przewyższali nas liczebnie.

Jednak zamknęliśmy wrota i załatwiliśmy sporą zgraję. Nie chciałam uwierzyć, że całej rasie naturi udało się uciec na wolność, zanim zamknęłam bramy. Większość musiała pozostać uwięziona po tamtej stronie. Wątpiłam jednak, czy Aurora troszczy się o tych, którym się nie udało.

Była wolna.

Świadoma myśl powoli wsączała się z powrotem do mojego spowolnionego mózgu, a w ślad za nią przyszedł ból. Ciało bolało mnie niewiarygodnie, aż kwiliłam przez zaciśnięte zęby. Z wahaniem otworzyłam oczy, przekonując się trochę zdziwiona, że nadal tu jestem.

Leżałam na ziemi, a mnóstwo kamyków wbijało mi się w plecy. Wokół wznosiły się białoszare kamienne bloki, które wskazywały, że wciąż znajduję się na Placu Głównym.

Niebo zaczynało jaśnieć, a wszechobecny czarny aksamit powoli ustępował miejsca mrocznej szarości z odcieniem błękitu. Nadciągał świt.

Powoli odwróciłam głowę i najpierw dojrzałam martwe ciało Sadiry. Leżała, wpatrując się niewidzącymi oczami w niebo, a spomiędzy jej piersi sterczała strzała. Komuś udało się celny strzał, który przebił jej serce. Szybko wyzionęła ducha.

Kiedy zwróciłam głowę w przeciwną stronę, poczułam, jak coś bardzo ostrego wbija mi się w policzek. Zobaczyłam Rowe'a, stojącego nade mną; celował we mnie mieczem, który drasnął mi skórę na twarzy. Nic dziwnego, że Rowe uśmiechał się przy tym od ucha do ucha. Czemu miałby się nie cieszyć? Przecież sądził, że zwyciężył. Ale ja jeszcze nie zamierzałam się poddawać. W każdym razie nie dopóki mogłam się poruszać.

- Dawno się nie widzieliśmy - powiedziałam cichym, ponurym głosem. Gardło wciąż mnie piekło od wcześniejszych krzyków. Odezwałam się w nadziei, że odciągnę uwagę Rowe'a, i spenetrowałam swoimi mocami okolicę. Danaus był gdzieś blisko - i nadal żył. Ku mojemu zdumieniu, w pobliżu znajdował się też Jabari. Ten Starszy nocny wędrowiec mógł

znikać i przenosić się do względnie bezpiecznej Wenecji i siedziby Sabatu w chwilach, kiedy szczęście się od nas odwracało. Wprawdzie teraz tu pozostał, ale nie było pewne, czy na długo.

- Tak, dużo czasu minęło, mała księżniczko - mruknął Rowe. - Przykro mi, że nie udało mi się dotrzeć na twoje terytorium, ale miałem ważniejsze sprawy, które wymagały mojej uwagi. Ale to już nieważne. Mam cię w końcu.

- Zobaczmy, czy uda ci się mnie zatrzymać - odparłam, odwzajemniając jego uśmiech. Kładąc wolne dłonie na ziemi po obu bokach, powoli usiadłam. Całe moje ciało protestowało przeciwko temu ruchowi i mimowolnie jęknęłam. Rowe nie odrywał czubka miecza od mojej szyi, gotów odciąć mi głowę, gdybym tylko poruszyła się za szybko.

- Co zamierzasz z nią zrobić?

Ten głos zabrzmiał znajomo. Spojrzałam w górę i dostrzegłam Cynnię, stojącą jakiś metr za Rowe'em. Znowu rozpostarła swoje piękne białe skrzydła, rozciągając je za plecami, jak gdyby szykowałą się do lotu. Myślę, że było to oznaką jej niepokoju. Czarny koń, na którego postawiła, nie przybył, a teraz znalazła się znów wśród swoich - jej życie wisiało na włosku, podobnie zresztą jak moje.

- Jej Wysokość życzy sobie ją widzieć - odrzekł Rowe.

- A co zrobicie ze mną? - zapytała Cynnia.

- Przypuszczam, że Jej Wysokość zechce porozmawiać też z tobą - rzucił Rowe, nie odrywając ode mnie wzroku i nawet nie zerkając na młodą naturi. Zobaczyłam, jak Nyx podchodzi do nas bezgłośnie, z marsową miną.

- Nie musisz się o nic niepokoić, Nia - powiedziała spokojnie Nyx, kładąc dłonie na skrzydłach swojej siostry.

Nacisnęła je lekko, jak gdyby zmuszając Cynnię do przyjęcia swobodniejszej postawy.

- Wszyscy wiemy, że ta wampirzyca trzymała cię w niewoli i zmusiła do tego, żebyś przeciwstawiła się swojej rasie. Aurora to zrozumie.

Ponury uśmiech pojawił się na moich ustach, kiedy Cynnia wreszcie na mnie spojrzała i napotkała mój wzrok. Wiedziałam, że obie zastanawiamy się nad tym samym: czy Aurora łyknie tę bajkę? Zwłaszcza, że istniały pewne wątpliwości dotyczące tego, czy królowa w ogóle chce pozostawić swoją siostrę przy życiu.

Tymczasem podeszła do nas spora grupa naturi z wyciągniętą bronią. W ich postawie musiało być coś dziwnego, ponieważ Nyx zasłoniła Cynnię, a prawą dłonią ujęła rękojeść miecza. Równocześnie uśmiech Rowe'a znikł, zastąpiony przez grymas. Byłam gotowa się założyć, że nie takiego powitania oczekiwali od Aurory.

- Królowa chce się teraz zobaczyć z wami i z nocnymi wędrowcami - powiedział

naturi na czele grupy i wskazał na nas swoim krótkim mieczem.

- Z wami i nocnymi wędrowcami. - Zaśmiałam się cicho, stęknęłam z bólu i wstałam.

- Jak to jest znaleźć się na jednym wózku z hołotą? - prowokowałam Rowe'a.

Nie odpowiedział, tylko mocniej zacisnął rękę na mieczu i ruszył powoli w kierunku jasno oświetlonego miejsca, gdzie Aurora postanowiła ulokować się ze swoim dworem -

przynajmniej chwilowo.

Ruiny Machu Picchu roily się teraz od naturi, którzy trzymali w pogotowiu swoje miecze i kusze. Stali na murach i oparli o budowle, nie spuszczać wzroku z nielicznych nocnych wędrowców, schwytych w pułapkę. Nie miałam szansy, by ich wszystkich zlikwidować, ale nie było to konieczne. Musiałam tylko zabić Aurorę.

Usłyszałam za sobą, jak Danaus powoli się podnosi, postępując przy tym z bólu.

Wszyscy byliśmy skrajnie wyczerpani, zużywszy wielką ilość energii na zamknięcie wrót.

Nie bardzo wiedziałam, jak mamy zaatakować królową naturi.

Danausie! - zawołałam w myślach, kiedy szliśmy przez pole w kierunku obozowiska Aurory. *Czy zostało ci trochę energii, którą mógłbyś mi przekazać?*

Może trochę. Ale nie tyle, żeby ich wszystkich pozabijać, odparł. Nawet jego refleksje, które do mnie docierały, były nieskładne i zdradzały zmęczenie.

Skierowałam myśli do Jabariego i skontaktowałam się z nim. *A tobie pozostało nieco energii?*

Wystarczy, żeby przeprowadzić ostatni atak na Aurorę, przyznał. *Została nam jedyna szansa - masz jakiś plan?*

Jeszcze nie, wyznałam z żalem. Wolałam, żeby było inaczej. Chciałam mieć jakiś wspaniały plan, dzięki któremu nie tylko pozbylibyśmy się Aurory, ale i wszystkich naturi, którzy stali dookoła z bronią, gotowi z nami skończyć. Nie chodziło mi tylko o to, żeby zlikwidować ich przywódczynię; chciałam zakończyć tę wojnę raz na zawsze, wrócić na swoje terytorium i nie musieć zerkać za siebie z obawy przed naturi, którzy czyhają na moje życie.

W końcu dotarliśmy do Aurory siedzącej na niskim murku na skraju Placu Głównego.

Szczałki ludzi, wykorzystanych do ofiary, tworzyły teraz wielki i makabryczny płonący stos, oświetlający prastare miasto. Płomienie tańczyły na wietrze, rzucając cienie wirujące i rozciągające się na całą okolicę, niczym stare zjawy, przebudzone z wielowiekowego spoczynku.

Królowa naturi lśniła w nocy jak biała latarnia z energii. Zastanawiałam się, jak w ogóle mogłam wpaść na pomysł, żeby pokonać kogoś tak potężnego, ale zdusiłam tę myśl, zanim na dobre zagościła w mojej głowie. Ostatecznie przecież wcześniej stanęłam do walki z Sabatem i próbowałam zgładzić trójkę najpotężniejszych nocnych wędrowców, jacy kiedykolwiek istnieli. Mogłam więc napaść i na królową naturi, zwłaszcza z pomocą Danausa i Jabariego. Mogłam z tym wszystkim skończyć. Musiałam to zrobić.

Przede mną Cynnia, Rowe i Nyx przyklękli na kolano przed obliczem swojej królowej, a ja po prostu krzywo się uśmiechnęłam. I nic dziwnego, że jeden z uzbrojonych naturi uderzył mnie zaraz płazem miecza w tył głowy i w plecy, obalając na kolana. Potem przyłożył mi ostrze do szyi, zmuszając do pozostania na klęczkach. Nie uklęknęłabym przed Aurorą z własnej woli, skoro nie czyniłam tak nawet przed władcami swojej rasy.

- Gdzie jest Rowe? - zapytała od razu Aurora surowym tonem. Głos miała cichy, lecz mocny; był to głos istoty, która dawno przywykła do stawiania na swoim.

Obok mnie Rowe wsunął miecz do pochwy i zgrabnie powstał.

- Tutaj, moja pani - powiedział. Rozwarł ramiona i postąpił krok w jej stronę, oczekując, że zostanie powitany jak bohater.

- Nie! - krzyknęła Aurora i aż się wzdrygnęła. Wysunęła rękę, żeby go powstrzymać, gdyby

spróbował zrobić jeszcze jeden krok. - To jakaś pomyłka. Mój ukochany jest przystojnym mężczyzną, z blond włosami i jasnymi, zielonymi oczami.

- Jestem Rowe - odparł stanowczo. Jego otwarte dłonie zwinęły się w pięści i opadły sztywno przy bokach. - To ja jestem tym, który poświęcił pięć ostatnich stuleci na walkę o twoją wolność.

- Co się z tobą stało? Czy to nocni wędrowcy tak cię okaleczyli? - zapytała. Twarz nadal miała zwróconą bokiem, jakby ledwie mogła znieść jego widok. Coś ścisnęło mnie w środku ze współczucia dla natury, który stał tutaj, gdy jego małżonka - królowa zerkała na niego z przerażeniem. Poświęcił całe swoje życie, by spełnić jej życzenie uzyskania wolności i oto jak go powitano.

- Stałem się taki przez magię krwi - wycedził przez zaciśnięte zęby. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak wściekle napina mięśnie na przedramionach. - To ona mnie oszpeciła i nadała moim włosom barwę nocy. Zabrała mi moje zielone oczy i zastąpiła je czarnymi. To magia krwi uczyniła ze mnie stworzenie, które stoi tu przed tobą pokornie, bo jedynym sposobem, żeby cię uwolnić, było opanowanie jej.

- Skalałeś się! - zawołała, celując w niego drżącym palcem. - Odwróciłeś się od naszych tradycji i wpływu ziemi, aby nauczyć się magii, za sprawą której bori i nocni wędrowcy przetrwali przez lata. Odrzuciłeś nasze zasady ...

- Nic podobnego! - zawołał i postąpił w jej kierunku. W tym czasie strażnicy czuwający obok Aurory wystąpili naprzód, wymierzywszy czubki mieczy w pierś Rowe'a. -

Magia ziemi nigdy nie mogłaby złamać pieczęci i otworzyć wrót. Pierwotne zaklęcie zostało utkane z magii krwi i nią też trzeba było je przełamać. Nie miałem wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór, a ty dokonałeś niewłaściwego, sprzymierzając się z tymi, którzy są naszymi wrogami.

- Poświęciłem się całkowicie dla ciebie! - krzyknął, a jego mocny głos odbił się echem w górach i aż zawibrował w mojej piersi.

- Dziękujemy ci, że przywróciłeś nam wolność, ale nie jesteś już jednym z nas. - W

głosie Aurory zabrzmiała chłodna nuta; dobitny ton, który świadczył o tym, że nic nie zawróci jej z drogi, jaką obrała. - Z powodu twoich „poświęceń” pozwolę ci żyć, ale pozostaniesz tutaj. Odejdiesz od nas. Zostaniesz na zawsze wygnany, wyklęty przez naszą rasę.

Wygnyany. Wyklęty przez swoją rasę na zawsze. Rowe stał, nie mógł się poruszyć i z trudem łapał oddech, słuchając tego wyroku, na który go skazano po tym wszystkim, co zrobił

dla Aurory.

- Straże, zabierzcie go natychmiast sprzed moich oczu - rozkazała Aurora, machając przy tym ręką, i znowu usiadła wyprostowana na murze.

Rowe milczał, kiedy kilku strażników wystąpiło, żeby go odprowadzić. Patrzyłam za nim przez ramię, gdy prowadzono go przez plac, w stronę głównej bramy wiodącej do Machu Picchu. Miałam przeczucie, że przepędzą go z tej góry.

Wielka bańka śmiechu prawie rozsadziła mnie od środka i ledwie zdołałam ją przełknąć. Aurora właśnie odrzuciła swojego największego wielbiciela z powodu jego blizn i pociemniałej twarzy. Odpędziła go od siebie, ponieważ jej zdaniem zagłębił się zbyt w mroczną magię. I jednocześnie straciła swojego najbardziej zagorzałego obrońcę. A ja, myśląc o zabiciu Aurory, nie martwiłam się tą hordą naturi, która ją otaczała, tylko tym, jak wyprowadzić w pole Rowe'a. Sama zrobiła to za mnie jedną szybką decyzją i teraz wprost nie mogłam się doczekać, żeby zobaczyć, w czym jeszcze mi pomoże.

Przeniosła spojrzenie na Cynnę i Nyx. Najwyraźniej my, biedni nocni wędrowcy, byliśmy w tej chwili niegodni jej uwagi i na razie całkiem mi to odpowiadało. Im dłużej Aurora besztala swoich poddanych, tym więcej czasu miałam na odzyskanie sił.

- Z tego, co rozumiem, nie tylko Rowe sprawił mi zawód - powiedziała powoli takim samym zimnym tonem jak poprzednio. - Obrończyni naszej rasy. - Aurora wstała i zrobiła kilka kroków w stronę klęczącej Nyx. - Zostałaś posłana na pomoc naszej ukochanej siostrze, żeby ją chronić przed nocnymi wędrowcami, a słyszałam, że spędziła cały czas tutaj, na ziemi, w niewoli u Krzesicielki Ognia.

- Próbowałam ją odnaleźć, ale mi się nie udało - wyjaśniła ciemnowłosa naturi. -

Krzesicielka Ognia musiała znaleźć jakiś sposób, żeby ukryć ją przede mną. Nie potrafiłam odszukać Nii mimo twojego rozkazu - przyznała, potem wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Cynnii, a nikły uśmiešek poruszył kącikami jej ust. - Ale teraz jest już bezpieczna. Znowu z nami, cała i zdrowa.

Dostrzegłam, jak Cynnia obiema rękami ściska dłoń siostry, a łzy spływają po jej policzkach. Jej twarz wyrażała ulgę. Wiedziałam, że Cynnia zaczynała się w końcu zastanawiać, czy jej ukochana siostra Nyx także uczestniczy w spisku, który miał na celu zabicie jej, jednak wyglądało na to, że Nyx po prostu próbowała jej bronić.

- Zawiodłaś - rzuciła gniewnie Aurora. - Twoje zadanie, jako obrończyni naszej rasy, to chronić nas, zwłaszcza rodzinę królewską. Najpierw Cynnę porwano z domu i sprowadzono na ziemię, a potem trafiła w niewolę do wampirzycy. Twoje życie zależy od tego, czy wypełniasz zadanie polegające na chronieniu nas, i nie wywiązałaś się z niego, ty, dziecko, które wcale nie miało przeżyć!

- Zrobiłam, co tylko mogłam. Nie wiem, jak udało jej się przedostać na ziemię.

Szukałam Cynnii wszędzie. Oddałabym za nią życie - mówiła Nyx, wstając.

- I oddasz je - powiedziała Aurora z szerokim uśmiechem. - Nie uchroniłaś młodej księżniczki, a karą za to jest śmierć.

- Auroro! - krzyknęła Cynnia.

- Nie możesz tego zrobić! Nie zawiodłam cię - przekonywała Nyx, trzymając prawą dłoń przy

rękojeści miecza, jak gdyby szykowała się w każdej chwili do odparcia ataku. Ta naturi była urodzoną wojowniczką i nie miała zamiaru potulnie dać się zabić, jak tego chciała jej starsza siostra.

Miro! Co się dzieje? - spytał nagle Danaus gdzieś zza mnie.

Aurora przeprowadza czystkę w swojej rodzinie, odparłam. Chyba nie ufa swojemu otoczeniu, a teraz planuje rozpocząć panowanie tutaj, na ziemi, i chce mieć przy sobie tylko tych, którym może zaufać.

Zwróciłam myśli ku Jabariemu, powtórzyłam takie przypuszczenie i zapytałam: *Czy przez to będzie bardziej bezbronna?*

Możliwe, odpowiedział cierpliwie. Ale tylko, jeśli nie wybrała jeszcze odpowiednich zmienników. Widziałem już raz coś podobnego. Kiedyś nowy Władca nocnych wędrowców przejął panowanie i zniszczył dotychczasowy Sabat, wprowadzając na jego miejsce tylko tych, którym ufał, żeby w ten sposób umocnić swoje rządy. Aurora ma dwie młodsze siostry, które mogą pretendować do objęcia tronu, i sama nie musi się już martwić o sprawę sukcesji.

Ku mojemu zaskoczeniu odezwała się Cynnia, głosem chłodnym i niewzruszonym, równie władczo jak jej siostra królowa.

- Możesz już przestać się zgrywać, jeśli masz zamiar pozbyć się Nyx i mnie.

Nyx odwróciła się raptownie i spojrzała na Cynnię, która bez trudu wstała z ziemi.

- Harrow, najbardziej zaufana pomocnica Aurory, stwierdziła, że nasza królowa wiedziała, że zamierzam udać się na ziemię i powstrzymać wojnę, którą Aurora chce kontynuować - wyjaśniła Cynnia Nyx. - Udawała, że trzyma moją stronę i podziela moje pragnienia, i dlatego udało jej się przeprowadzić mnie przez zaporę, odgradzącą nas od ziemi. A tutaj próbowała mnie zabić, nazywając zdrajczynią korony. - Odwróciła głowę i popatrzyła na Aurorę z uśmiechem tak ponurym, że aż dreszcz przebiegł mi po plecach. -

Przyznała, że to ty planowałaś mnie zlikwidować i zrzucić winę na nocnych wędrowców.

Powiedziała mi o wszystkim, kiedy powoli ją zabijałam.

Aurora nic na to nie powiedziała, tylko wróciła na swoje siedzenie na murze, a strażę wokół niej zwały szeregi. Cynnia zrobiła krok w stronę siostry. Stała wyprostowana i jakby usztywniła się w ramionach. Patrząc teraz na nią, zdałam sobie sprawę, że wcześniej trochę nie doceniłam tej małej naturi.

- Nyx mnie nie odnalazła, bo nie chciałam, żeby jej się to udało - rzuciła kąśliwie. -

Nie miałam pojęcia, kto spośród naturi trzyma twoją stronę, uzna mnie za zdrajczynię i będzie próbował od razu zgładzić. Twój zaufany małżonek Rowe? Moja ukochana siostra Nyx?

Czego nie zrobiliby dla ciebie? A więc się ukryłam.

Cynnia odwróciła się i obdarzyła mnie szelmowskim uśmiechem. Na to sama musiałam się uśmiechnąć. Zrozumiałam teraz jej plan i uznałam za genialny. Ukryła się u wroga, wiedząc, że utrzymam ją przy życiu, dopóki będzie dla nas użyteczna. A przecież musiała się nam przydać jako siostra królowej naturi.

- Brawo - odezwałam się cicho, kręcąc głową, Cynnia nieznacznie się skłoniła w odpowiedzi na pochwałę, a potem zwróciła się znowu do swojej królowej siostry.

- Zamilcz! - krzyknęła Aurora drżącym głosem. Nie wiedziałam, czy mówi do mnie, czy do własnej siostry. Jej ładna twarz poczerwieniała, a dłonie na kolanach zwinęły się w pięści. - Jesteś zdrajczynią korony.

- Nie jestem zdrajczynią, dlatego że chcę czegoś innego niż nieustanna wojna z ludźmi i nocnymi wędrowcami, którą ty zaplanowałaś. Pragnienie pokoju to nie zdrada - odparła Cynnia.

- Nie da się żyć w pokoju z ludźmi! - krzyknęła Aurora, zrywając się na równe nogi. -

Oni niszczą ziemię, którą ja chronię. Wróciłam i teraz na nowo podejmę zadanie oczyszczenia ziemi z całej ludzkości, żeby Wielka Matka znowu mogła rozkwitać.

- Mylisz się - odparła Cynnia, a te dwa słowa emanowały pewnością siebie. - Ziemia wybrała sobie nową obrończynię. To kres twoich rządów.

- Ty przebiegła mała wiedźmo! Nigdy nie będziesz nową królową naturi! - zagrzmiała Aurora.

- Owszem, będę - powiedziała spokojnie Cynnia, a potem odwróciła się i spojrzała wprost na mnie.

- Po tym, jak obrończyni ziemi skończy z tobą.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że Cynnia mówi o mnie - jako o nowej strażniczce ziemi.

- Nyx, jeśli chcesz ocalić Cynnię, to na twoim miejscu obezwładniłabym ją teraz. -

Było to jedyne ostrzeżenie, jakiego gotowa byłam udzielić. Cynnia może mnie wykorzystała, lecz na razie wyglądało na to, że mamy wspólny cel. Dlatego chciałam utrzymać ją przy życiu, ale całą uwagę skupiałam na chęci zniszczenia Aurory.

Rozdział 29

Po raz pierwszy Aurora popatrzyła mi prosto w oczy. Dostrzegłam całą nienawiść, jaką odczuwała do mnie i do mojej rasy, skupioną w tym jedynym spojrzeniu. W mgnieniu oka zorientowałam się, że Aurora obwinia mnie za zniewolenie naturi, za to, że nie mogli wyrwać się na wolność przez pięć długich stuleci - a teraz także za to, że straciła siostrę i małżonka. To ja - Krzesicielka Ognia - byłam przyczyną wszystkich jej problemów.

Taką minę miała jednak ledwie przez sekundę, a potem z jej oblicza znikły wszelkie emocje. To było już bez znaczenia. Widziałam jej wściekłość i uśmiechnęłam się od ucha do ucha. Chciałam, żeby Aurora mnie nienawidziła. Pragnęłam, by znenawidziła mnie z taką samą bezmyślną zjadliwością, z

jaką ja sama nie znosiłam jej rasy.

- To ona jest tą nową strażniczką ziemi? Krzesicielka Ognia? Wampirzyca? - pytała Aurora, wymachując ręką w moją stronę. - Wykluczone. Nocni wędrowcy nie mają związków z ziemią.

- A jednak potrafi panować nad ogniem - szybko odparła Cynnia.

- I tylko nad nim! - rzuciła Aurora, na krótko dając upust furii, zanim znów ją poskromiła. Przypatrując się jej, zaczynałam dostrzegać podobieństwa między nią a jej młodszym bratem Nerianem. W obojgu było coś szalonego, płonąca żądza kontrolowania wszystkiego - wydarzeń i stworzeń.

- Wiem, że może więcej. - Cynnia stawała się spokojniejsza z każdą chwilą, podczas gdy Aurora robiła się coraz bardziej nieroztropna i zdesperowana. - Potrafi dosłyszeć głos ziemi. A kiedy ostatni raz Wielka Matka rozmawiała z tobą?

O czym ona mówi, Miro? - zapytał telepatycznie Jabari głosem tak słodkim, że aż mnie skrzywiło. Jakaś część mnie nie chciała przetrwać tego, co się kroilo, tylko po to, żebym nie musiała odpowiadać na pytania kłębiące się w mózgu Starszego.

Czy przeżyliśmy tylko my troje? - spytałam, wyraźnie unikając odpowiedzi na jego pytanie.

Nie, jeszcze kilkoro innych, ale jesteście otoczeni i unieruchomieni. Nie możemy od razu rzucić się do ataku.

Wiedziałam o tym, zanim jeszcze Jabari skierował te słowa do mojego mózgu. Nie mogliśmy teraz ich zaatakować. Wciąż na klęczkach przymknęłam oczy, opuściłam prawą rękę i przeciągnęłam palcami po zimnej trawie. Wyczuwałam dłonią głębokie pulsowanie ziemi, tętniące w podłożu i w powietrzu wokoło. Zakłęcie, rzucone przez Rowe'a w celu otwarcia wrót nie zużyło całej energii w okolicy, tak jak bywało w miejscach poprzednich ofiar. W rzeczywistości czułam, jak gdyby moc się wzmagala, im dłużej tam przebywałam.

Znowu ocierała się o mnie, chcąc, bym ją spostrzegła, zupełnie jak kot domagający się uwagi.

Ściągając brwi, znowu otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Aurora bacznie mi się przygląda. Zorientowała się, że coś się dzieje, więc się do niej uśmiechnęłam. Żałowałam, że nie miałam wcześniej więcej czasu na eksperymenty z tą nową dla mnie mocą, ale po prostu nie było kiedy nabrać wprawy w ziemskiej magii. Musiałam sobie poradzić jako Krzesicielka Ognia.

- Słyszysz ją? - zapytałam, przechylając głowę na bok, jakbym nasłuchiwała szeptów.

- Ona jest wkurzona. Właściwie nawet poważnie rozwścieczona.

- Jasne, że jest wściekła! - wrzasnęła Aurora, robiąc pierwszy krok w moim kierunku.

Strażnicy ruszyli za nią, a ten, który przyciskał miecz do tyłu mojej głowy, przesunął broń tak, że oparł mi ją na karku. Wszyscy balansowaliśmy na ostrzu noża, ale zamierzałam to zmienić.

- Ona już nie szuka potężnego protektora, Auroro - odezwałam się półgłosem, przyciskając płasko prawą dłoń do ziemi. Zamknęłam oczy i jednocześnie przyłożyłam lewą rękę do piersi, w miejscu, w które zraniła mnie niedawno Cynnica; w ten sposób zamknęłam przepływ energii i sprawiłam, że ponownie się we mnie skupiła. - Ona poszukuje egzekutora.

Broni. A do tego właśnie ja świetnie się nadaję.

Zabierzcie stąd wszystkich! - To było jedyne ostrzeżenie, jakie zdążyłam skierować do Danausa i Jabariego.

Przetoczyłam się na bok, poza zasięg miecza naturi, który mnie pilnował, i natychmiast go podpaliłam. Objęły go pomarańczowe i żółte płomienie. Zamachnął się na ślepo młotem w moim kierunku, a potem padł martwy. Próbowałam zapalić więcej ognia, ale Aurora zareagowała od razu, gasząc je. Sfrustrowana podniosłam miecz zabitego naturi, zdecydowana niszczyć swoich przeciwników kolejno, jednego po drugim. Jednak wróg miał

nad nami pięćdziesięciokrotną przewagę.

Danausie, potrzebuję od ciebie energii! - wezwałam go telepatycznie, otoczona przez czterech naturi. Nie mogli się zdecydować, który ma mnie zaatakować pierwszy.

To nie wyszło ostatnim razem, odparł, jak gdyby celowo mnie dręcząc.

Najpierw wypchnij ze mnie energię ziemi. Tak jak na Krecie.

Pierwszy naturi przypuścił atak, ale odparłam jego cios, uchylając się przed drugim.

Sama natarłam na trzeciego, raniąc go w brzuch, przez co cofnął się o krok.

I wtedy to na mnie spadło. Ciepła energia ziemi wypłynęła z mojego ciała gwałtownie, zastąpiona miazdzącą kości energią Danausa. Znowu upadłam na kolana, ponieważ ból zaczął

się rozprzestrzeniać w zastraszającym tempie. Krzyknęłam, wypuszczając miecz ze zdrętwiałych palców. Nie było czasu do namysłu ani na koncentrację. Wyczuwałam w Danausie moc bori, którą rozpoznałam już po naszym pierwszym spotkaniu, i była ona nienasycona. Pochłonęła mnie, a potem przepłynęła przez pobliskie pole. Patrzyłam, jak czterej naturi koło mnie w jednej chwili zamieniają się w kupki popiołu, gdy w mgnieniu oka zniszczyliśmy ich dusze. Odwróciłam się i zobaczyłam Danausa oraz Jabariego może metr ode mnie, otoczonych przez naturi. Po sekundzie także i z tamtych pozostał dymek szarobiałego pyłu.

- Zabić ich! Zabić ich wszystkich! - krzyczała Aurora do naturi wokół nas.

- Nie! - zawołała równocześnie Cynnica. Próbowała do mnie podbiec, ale Nyx ją przytrzymała, chwytając za ramiona. - Nie tak miało być! Nie mieliście niszczyć nas wszystkich!

Wiedziałam, o czym mówi. Wcześniej przypuszczała, że zlikwiduję Aurorę i tych naturi, którzy staną po stronie królowej. Nie spodziewała się, że zlikwiduję tak wielu z jej rasy, aby dopaść jej siostrę.

Tak naprawdę wiedziałam, że marnuję czas i energię Danausa na zabijanie naturi, znajdujących się w pobliżu. Moim głównym celem była przecież Aurora. Od zawsze. Wchłaniając tyle energii łowcy, ile tylko zdołałam, skupiłam uwagę na królowej, która stała oparta plecami o mur, osłonięta przez zgraję swoich poddanych. Jej piękną twarz wykrzywiał grymas wściekłości, kiedy krzykiem rozkazywała swoim, żeby mnie zabili. Ci jednak, po pokazie mocy, jaką zademonstrowałam razem z Danausem, nie mieli już zbytniej ochoty do nas się zbliżać.

Zmrużyłam oczy i rozesłałam swoje zmysły, żeby odnaleźć duszę królowej naturi.

Okazało się to nietrudne. Jej dusza była jak wielka, lśniąca latarnia w mroku wypełniającym dolinę. W porównaniu ze światłem, które z niej emanowało, dusze pozostałych naturi przypominały słabe, kopcące ogniki. Z energią Danausa skupioną we mnie zaatakowałam to źródło światła. Ale bez skutku. Z całych sił próbowałam zmiażdżyć jej duszę, podpalić ją od środka, lecz nawet jej nie naruszyłam.

Usłyszałam za sobą wołanie Danausa i w tym samym momencie jego energia mnie opuściła. Śmiech Aurory poniósł się po całych górach. Wiedziała, że nie mogę jej unicestwić, choć zabiłam tylu jej poddanych. Była czystą energią ziemi i nie mogła zginąć z ręki stworzenia, które w połowie było bon, a w połowie tym, co reprezentowałam ja.

- Zabij ją, Miro! - warknął za moimi plecami Jabari. - Jesteś orężem Sabatu.

Rozkazuję ci ją zabić!

- Zabić mnie? Nawet nie możesz mnie tknąć, ty mała wampirzyco - zadrwiła Aurora. -

Jestem królową naturi, protektorką ziemi. Nie możesz wyrządzić mi krzywdy.

Wstałam z trudem, zachwiałam się lekko i podniosłam głowę, by spojrzeć na tę kobietę o złocistych włosach, zmorę mojej rasy. Mentalnie porozumiałam się z Danausem, ale już nie potrafiłam wyczuć jego obecności. Pala bólu przedarła się przez moją pierś, a furia zawrzała mi w żyłach. Moc bori, z której wcześniej korzystałam, a która mogłaby zniszczyć Aurorę, już mnie opuściła. Musiałam użyć innej mocy, jaką miałam pod ręką, i modliłam się, żeby wystarczyło jej do zgładzenia królowej naturi. Może Cynnia miała rację, że to mnie wybrała ziemia na swoją nową broń - w miejsce Aurory. Mogłam tylko na to liczyć.

Wciągając głęboko powietrze, zaczerpnęłam z energii ziemi, którą czułam wirującą wokół

siebie, napierającą na moją skórę i rozwiewającą mi włosy. Wtłoczyłam ją w swoje ciało, by zajęła miejsce mocy Danausa. Weszła we mnie i zamknęła otwór po ranie, którą wcześniej Cynnia zadała mi w pierś; zatrzymałam w sobie tę energię, aby przepełnia moje komórki i wsączyła się w szpik moich kości. Napełniała mnie, aż moja dusza zaczęła wyć, a monstrum przyczajone we mnie ryknęło z bólu. Czułam się tak, jakbym gnała w oslepiającym blasku słońca. Poruszyłam płynnie ręką, a naturi wokoło Aurory stanęli w huczącym ogniu jak stos rzymskich pochodni. Królowa krzyknęła z bezsilnej wściekłości i zaskoczenia. Poczulałam jak wysyła własną energię, żeby stłumić ogień, ale jej przeszkodziłam. Zebrałam w sobie więcej energii i otoczyłam siebie oraz Aurorę ścianą błękitnych

plamieni, podobnych do ognistego kręgu, jaki stworzyłam wcześniej przy hotelu Sanctuary Lodge. Strzelały w górę na trzy metry, oddzielając królową od pozostałych naturi. Wokół siebie wyczuwałam, jak Aurora i członkowie klanu światła starają się ugasić ogień, lecz ja czerpałam energię wprost z ziemi, podsycając płomień jej złością. Nawet się nie zachwiały.

- Nie tkniesz mnie! - zawołała Aurora, kiedy powoli się do niej zbliżałam. Stała wyprostowana i wysoka, oparta plecami o najbliższy mur, wysoko zadzierając podbródek. -

Nie możesz mnie spalić.

Wietrzni naturi wzbili się w powietrze i próbowali przelecieć nad płomieniami, ale powstrzymałam ich kolejnym ruchem ręki. Ich skrzydła z piór i ze skóry natychmiast się zapaliły, a oni sami pospadali na ziemię jak kamienie. Nikt już nie mógł ocalić Aurory.

Czułam w sobie nagromadzoną ziemską energię i szykowałam się do ostatecznego uderzenia na królową. Uśmiechnęłam się z wyższością, zastanawiając się przez moment, czy ziemia pragnie śmierci Aurory tak bardzo jak ja. I jednocześnie poczułam, jak energia wzbiera w królowej, która przygotowywała się do obrony.

Moje usta poruszyły się w uśmiechu, ukazując białe kły w migoczącym blasku ognia.

W mgnieniu oka pokonałam odległość, jaka nas dzieliła, i wbiłam głęboko w brzuch Aurory sztylet wyciągnięty z pokrowca przy boku. Spodziewała się ataku za pomocą czarów, a przez to stała się zupełnie, bezbronna, gdy doszło do napaści fizycznej. Ale przecież zawsze wolałam bezpośredni kontakt. Chciałam poczuć jej ciepłe ciało w swoich dłoniach, krew spływającą mi po rękę, kiedy powoli przesuwiałam ostrze noża z jej brzucha ku sercu.

Aurora sapnęła, jej usta otworzyły się w niemym krzyku, a oczy prawie wyszły z orbit pod wpływem bólu, jaki przeszywał jej kruche ciało. Moc, która w niej narastała, rozproszyła się.

- Bardzo podobnie zginął twój brat - powiedziałam zjadliwie. - Też miał taką zaskoczoną minę.

Zanim jednak dotarłam do jej serca, ostry, rwący ból przeszył mi plecy, naruszając od tyłu moje własne serce. Bez reszty skupiłam się na Aurorze i chwilowo straciłam czujność.

Ktoś przedarł się przez płomień i dźgnął mnie w plecy.

- Puść ją, to nie wytnę ci serca, mała księżniczko - rozległ się ironiczny, aż za dobrze mi znany głos. Powrócił Rowe.

Puściłam rękojeść noża i opuściłam prawą rękę, do boku, z dala od Aurory, która teraz osuwała się po ścianie. Jej czyste białe szaty nasiąkły krwią, a twarz szybko nabierała upiornego odcienia szarości. Traciła krew zbyt prędko. Jednak wiedziałam, jak łatwo naturi goją rany przy odpowiedniej pomocy.

- Ona cię wygnała - wycharczałam, kiedy Rowe wciąż trzymał mi nóż przy plecach, zaciskając drugą rękę mocno na moim lewym ramieniu, żebym nie mogła się ruszyć. -

Porzuciła cię po tym wszystkim, co dla niej zrobiłeś. Nie sądzisz, że zasłużyła na karę?

- To moja królowa - rzucił, obracając nożem tak, że wrzasnęłam z bólu.

- Odwróciła się od ciebie. Nie zasługuje na twoją lojalność.

- Czasami poza lojalnością nie pozostaje już nic innego - powiedział, zanim znowu dźgnął mnie nożem w plecy. Popchnął mnie do przodu i zrobiłam kilka chwiejnych kroków.

Obróciłam się i padłam na kolana, żeby cisnąć w niego ognistą kulą, ale Rowe już wzbił się w powietrze, wykorzystując podmuch wiatru. Jego wspaniałe czarne skrzydła rozpostarły się i przypominał teraz wielkiego drapieżnego ptaka, szukającego schronienia w czarnych chmurach skłębianych na niebie.

Zaskoczona zobaczyłam, że choć płomienie dogasły, to liczna zgraja naturi już na mnie nie czeka. Pozostała ich zaledwie garstka. Zalegające wokoło zwłoki świadczyły o tym, że niektórzy polegli w walce - jednak większość po prostu gdzieś przepadła.

Kilka kroków ode mnie stali Jabari i Nyx. Oboje byli wyraźnie spięci, ale żadne z nich nie szykowało się do ataku. Kątem oka spostrzegłam kilku naturi, jak podbiegają do Aurory i ostrożnie ją podnoszą. Zanieśli ją w stronę wejścia do Machu Picchu - stamtąd najbliższe było do okolicznych zarośli, na łono natury.

- Gdzie? - szepnęłam, rozglądając się wokół po pozornie opustoszałych ruinach.

- Cynnia wyprowadziła wielu naszych, byle dalej od tego miejsca kaźni - odparła Nyx, spoglądając zmrużonymi oczami na Jabarię, który stał obok niej, a potem na mnie. -

Sytuacja się zmienia. Niektórzy są gotowi uznać ją za nową królową.

- Aurora nie zginęła. W każdym razie jeszcze nie. Mogła przeżyć... - urwałam w połowie zdania. Po raz drugi w życiu nie uda mi się zabić naturi na tej górze. Pięćset lat temu zostawiłam tu wypatroszonego Neriana, zakładając, że nie wylizze się z ran. A jednak stało się inaczej. Teraz zaś nie zdołałam wyciąć serca Aurorze, zanim zaatakował mnie Rowe.

- Tak, mimo wszystko mogła przeżyć - stwierdziła Nyx, kiwając głową. Głos miała cichy i kojący jak szum leśnego potoku spływającego po gładkich kamieniach. - I niektórzy opowiedzą się za nią.

- A co to dla nas oznacza? - zapytał Jabari.

Zdziwiło mnie, że Nyx poruszyła kącikami ust w półuśmiechu, przenosząc wzrok ze mnie na Jabarię.

- Zawieszenie.

- Zawieszenie? - powtórzyłam z przestraszeniem. Zakasłałam i otarłam z podbródka trochę krwi. Moje ciało się nie goiło. Powoli umierałam na tej przeklętej górze.

- Jeśli Aurora przeżyje, utworzą się dwie frakcje. Naturi będą mieli większe problemy niż zamartwianie się o nocnych wędrowców i ludzi. Nie wy będziecie nam spędzać sen z oczu, przynajmniej na razie - rzekła Nyx. Odstąpiła o kilka kroków od Jabariego i wysunęła parę skrzydeł, które wyrosły z jej pleców w ciągu kilku sekund, przystrojone pięknymi czarnymi piórami.

- A co z tym, co powiedziała Cynnica? O mnie, jako o nowej strażniczce ziemi? -

zawołałam, zanim Nyx wzbiła się w powietrze.

Beztrasko się zaśmiała i pokręciła głową.

- Myślę, że to też był niezły fortel. Chciała poważnie postraszyć Aurorę. Chyba nie nabrałaś się na tę bujną, co?

- Zastanawiałam się nad tym - przyznałam.

Nyx znowu cichutko zachichotała.

- Wampirzyca protektorką ziemi? A to dopiero zabawny pomysł.

- Coś ci poradzę - powiedziałam, podpierając się lewą ręką. - Skończ z Aurorą i oszczędź sobie kłopotów.

Nyx jeszcze raz błysnęła zagadkowym uśmiechem i znów pokręciła przecząco głową.

- Jestem obrończynią naszej rasy, a nie orężem ziemi.

Wtedy rozpostarła skrzydła, chwytając w nie wiatr, który omiatał góry i poniósł ją gdzieś daleko. Zostałam sam na sam z Jabarim i widmem swojej śmierci.

Rozdział 30

Jabari powoli zwrócił się w moją stronę z ponurą miną na przystojnej twarzy. Kiedy do mnie podchodził, z lekko rozchylnych ust wyrwał mi się słaby śmiech. Nie miałam pojęcia, o czym akurat Jabari myślał, ale zaraz miałam się przekonać. Rana na moich plecach zaczynała się powoli goić, a krew nie sączyła się już tak obficie. Mogłam przeżyć to pchnięcie nożem, o ile tylko mój ukochany Jabari nie zada mi innych ran w ciągu najbliższych minut. A miałam co do tego pewne obawy.

- Strażniczka ziemi - mruknął w zamyśleniu, drapiąc się po podbródku i spoglądając na mnie z góry.

- Fantastyczne rojenia zdesperowanej naturi - powiedziałam, usiłując zbyć słowa Jabariego wzruszeniem ramion. Cynnica tak mnie nazwała, ponieważ chciała nastraszyć swoją siostrę. To jednak dodało mi pewności siebie i pozwoliło zaczerpnąć z ziemi dostatecznie dużo energii, abym zaatakowała Aurorę i niemal z nią wygrała. - Chciała, żeby ktoś zabił jej siostrę. W tamtej chwili nie miała nikogo lepszego. Powiedziałaby cokolwiek, byle tylko ujrzeć strach w oczach swojej siostry.

- Tak, ale twój pokaz mocy nasuwa pewne interesujące pytania - odparł Jabari. - Nigdy dotąd nie

widziałem, żebyś panowała nad tak wielkim ogniem. I to tak zręcznie. Ktoś mógłby pomyśleć, że w końcu osiągnęłaś doskonałość w tej sztuce. Jeszcze ciekawsze jest to, że udało ci się spalić tych naturi, którzy mogli napaść na ciebie z powietrza. Czy naprawdę ich widziałaś, czy może wyczułaś ich obecność?

- Jabari, to wszystko jest dla mnie nowe - powiedziałam prędko. Przeczesałam wolną dłońią włosy, próbując odgarnąć je z oczu, ale ten ruch wywołał we mnie ból. Moje ciało nadal się goiło. - Nie wiem, co potrafię.

Jabari uniósł rękę ponad moją głowę i od razu zerwałam się na równe nogi, jak marionetka poruszana przez lalkarza. Zawisłam w powietrzu, a ciało drżało mi od mocy, jaka w nie wnikała. Nowa fala bólu przeszła mnie całą i wszystko, co zdołałam zrobić, to zdusić w sobie żalosne kwilenie. Byłam wyczerpana. Gdy energia Jabariego przepływała przeze mnie, nie mogłam wykorzystać mocy ziemi nawet do samoobrony. Jedna wypierała drugą; obie nie były w stanie współistnieć w moim organizmie.

- I co? - rzuciłam gniewnie, unosząc lekko głowę, aby w końcu spojrzeć mu w oczy. -

Boisz się, że nie możesz już mnie kontrolować? O nie, aż tak mi się nie poszczęściło! Ciągłe jestem marionetką na sznurku, którym ty poruszasz.

- Możesz teraz posłużyć się tą mocą z ziemi? - zapytał niemal uprzejmie.

Pokręciłam głową.

- Mogę wykorzystywać ją tylko w wyjątkowych sytuacjach, na przykład podczas składania przez nich ofiar. W ziemi musi być wtedy mnóstwo energii, żebym miała do niej dostęp. Nie panuję też nad nią wtedy, kiedy któryś z członków triady próbuje mną sterować.

Magia krwi i ziemskie czary nie mieszają się ze sobą.

- Hm ... - mruknął cicho, przekrzywiając głowę, żeby na mnie spojrzeć.

Przypominałam obszarpańca w swoich podartych, zakrwawionych ciuchach. Moją skórę pokrywały krew i brud, a rozwiane włosy straciły połysk. Nie wyglądałam jak ktoś, kto pokonał Aurorę i wielką hordę naturi. Czy stałam się w końcu bezużyteczna? A może Jabari znowu znalazł dla mnie jakąś brudną robotę, ryzykowną dla mnie i wszystkich, którzy mnie otaczali?

- Chyba masz szczęście, że nie ma już triady. - Opuścił rękę i runęłam na ziemię jak sterta śmieci. Patrzyłam za nim, jak odchodzi na metr, a potem gdzieś znika. Wtedy zauważyłam, że niebo pojaśniało i nabrało bladoszarego odcienia. Zbliżał się świt.

Leżałam na chłodnej trawie, czekając na wschód słońca. Nie wyczuwałam w okolicy innych nocnych wędrowców. Ale to nie miało znaczenia. W tamtej chwili byłam gotowa na śmierć. Dokonałam wielkiego czynu; zamknęłam wrota i, jeśli mi się poszczęściło, zabiłam Aurorę. To, czy zasłużyłam na niebo czy piekło, jeśli w ogóle istniały, nie wydawało się już ważne. Chciałam tylko zasnąć, najlepiej na zawsze.

- Wstań, Miro - rozkazał boleśnie znajomy głos. Próbowałam się uśmiechnąć, ale wyszła mi kwaśna mina, bo mogłam poruszyć tylko jednym kącikiem ust.

- Odejdź, Danausie. Nie jestem w nastroju, żeby cię zabijać - odezwałam się cicho, próbując otworzyć oczy. Wyczuwałam go blisko siebie, stojącego o metr ode mnie.

- Słońce wkrótce wszędzie - przypomniał mi bez potrzeby.

Puściłam to zdanie mimo uszu. Po co mówić o tym, co oczywiste? Jabari zostawił

mnie, abym spłonęła w promieniach słońca. Nie będzie jednak tak źle. Zasnę przed świtem.

Nic nie czuję. Można ponieść gorszą śmierć. Wiedziałam to dobrze - przecież zabiłam wielu ze swojej rasy.

- Myślałam, że zginąłeś - powiedziałam, kiedy wreszcie udało mi się wydobyć słowa ze ściśniętego gardła. Gdy Danaus zniknął mi z oczu podczas walki z naturi, mogłam tylko przypuszczać, że stało się najgorsze - że zginął. Nie miałam czasu rozglądać się za nim, wracać na miejsce i sprawdzać, czy serce jeszcze mu bije.

- Tylko straciłem przytomność - wyjaśnił. Pokręcił głową i znalazł się w zasięgu mojego wzroku. Stał nade mną leżącą w trawie. - Wydaje mi się, że Jabari parę razy ocalił mi skórę - przyznał.

- Pewnie nadal możesz mu się na coś przydać - stwierdziłam złowieszczo, z wysiłkiem otwierając oczy, aby spojrzeć na łowcę.

- Jestem pewien, że znajdzie zajęcie dla nas obojga, dopóki nie zdobędzie pełnej władzy w Sabacie - powiedział Danaus, marszcząc czoło. - A teraz wstawaj.

Zamknęłam powieki, kiedy pomyślałam o świecie, który nadal na mnie czekał. Wciąż byłam marionetką w rękach Jabariego i Danausa. Należałam do Sabatu nocnych wędrowców, a jego członkowie, Macaire i Elizabeth, niewątpliwie pragnęli mojej śmierci. Naturi pozostawali na wolności i nie miało znaczenia, czy akurat teraz zależy im na naszej zgubie, czy też nie. Ach, był jeszcze plan Naszego Władcy, aby przyspieszyć Wielkie Przebudzenie i wyznaczyć je na nadchodzący rok. Ujawnić całemu światu, że wampiry i wilkołaki naprawdę istnieją, co doprowadziłoby do wielkiej wojny między różnymi rasami.

Ciężyło mi to wszystko, zupełnie jakby cały świat przygniótł mi pierś. Nie chciało mi się nawet ruszać, niezbyt miałam ochotę wciąż się przemieszczać, walczyć i narażać na śmierć. Byłam zmęczona. Skonana.

- Odejdź, Danausie, proszę cię - odezwałam się, cicho wzdychając.

- Nie wolno ci się poddawać. Naturi nadal są na wolności - powiedział. Usłyszałam, jak przyklęka koło mnie na trawie, a jego głos dobiegał z bliska.

Wyczerpana, zmusiłam się, żeby otworzyć oczy i spojrzeć na łowcę. Twarz miał

wymizerowaną, a oczy zmęczone, ale wciąż czerpał skądś energię, by to wszystko ciągnąć.

- Wracaj do Temidy. Powiedz Ryanowi... Opowiedz mu wszystko - rzekłam.

Czarownik Ryan powinien dowiedzieć się o wszystkim, zanim będzie za późno. On zdołałby ostrzec każdego, powiadomić o ucieczce Aurory i reszty naturi. Trzeba mu powiedzieć o planach Naszego Władcy, dotyczących Wielkiego Przebudzenia. Nie chciałam wojny, jednak wilkołaki i inne stworzenia nie powinny zostać niemile zaskoczone, gdy naturi ostatecznie przestaną się nawzajem zwalczać i dojdą do wniosku, że pora znów zaatakować inne rasy.

Lekko stękając, Danaus wziął mnie na ręce i wstał. Krzyknęłam cicho pod wpływem tego nagłego ruchu i znowu zacisnęłam powieki. Nie wiem, jak długo mnie niósł; czas wydawał się umykać, a ja z trudem starałam się zachować przytomność. Hotel znajdował się za daleko, abyśmy dotarli tam przed wschodem słońca. Dopiero kiedy powietrze zrobiło się nagle przejmująco zimne i ponownie nastąpiła ciemność, zrozumiałam, że łowca przeniósł mnie do Świątyni Księżyca. Stała na skale na zboczu góry, która wznosiła się w pobliżu Machu Picchu, a głęboko w jej wnętrzu kryły się pieczary. Tam mogłam się schować przed dalekosiężnymi promieniami słońca..

Danaus ułożył mnie na ziemi, a potem usiadł obok, ciężko dysząc. Otworzyłam oczy, ale z trudem dostrzegałam w mroku rysy jego twarzy. Przesunął dłonią po moim ramieniu i ujął mnie za rękę, ściskając ją lekko. Nie towarzyszyła temu fala mocy, grożąca oderwaniem ciała od kości; czułam tylko dotyk jego ciepłej skóry.

- Nasza walka jeszcze się nie skończyła - odezwał się półgłosem. - Ale będzie trzeba odłożyć ją na później. Na razie cię nie zabiję.

Miałam ochotę się roześmiać. Ten drań pozwolił sobie właśnie na jeden ze swoich nieczęstych dowcipów, a mnie brakowało energii nawet na to, żeby się zaśmiać. Najlepsze, co mogłam zrobić, to znowu stracić przytomność, trzymając go za rękę.

Epilog

Muzyka huczała na parkiecie, odbijała się od ścian, dudniła basowymi tonami i wprawiała w ruch tancerzy pragnących zapomnieć o zawiedzionej miłości i życiowych rozczarowaniach. Wpatrywałam się w ubranych na czarno ludzi, stłoczonych w Ciemni. Ten słabo oświetlony klub zappełnił się po brzegi, co nie dziwiło w piątkowy wieczór. Zjawiłam się tu, żeby zapomnieć o tym, co wydarzyło się wśród białoszarych kamieni na Machu Picchu.

Ale nie bardzo mi to wychodziło. Wspomnienia zdawały się czaić w każdym zakamarku mojej głowy. Nawet w plecach pojawił się ból fantomowy, tam, gdzie Rowe pchnął mnie nożem, choć sama rana już się zagoiła i pozostał po niej tylko blady, białawy ślad, podobny do tego na piersi, po ranie zadanej przez Cynnę.

Przed dwoma miesiącami przebudziłam się w jaskiniach połączonych ze Świątynią Księżyca -

samotna i obolała, ale wciąż żywa. Świadczyło to o moim głupim szczęściu.

Zeszłam chwiejnym krokiem z tamtej góry, wróciłam do Cuzco i poleciałam prywatnym samolotem do swojego ukochanego Savannah. Wstrząśnięty świat opłakiwał śmierć tylu osób, które straciły życie w tym historycznym miejscu, ale propagandowa machina już zaczęła działać. Winę za tak liczne ofiary śmiertelne w Machu Picchu i Ollantaytambo zrzucano na pewne wywrotowe ugrupowanie polityczne, a budzące wątpliwości świadectwa, takie jak zwęglone zwłoki naturi, szybko zatuszowano. Wprawdzie wciąż padały różne pytania, a Internet aż huczał od pogłosek, ale nasz sekret na razie nie wyszedł na jaw.

Jednak nawet to poczucie bezpieczeństwa szybko mogło zostać zniszczone. Chociaż udało się zamknąć wrota oddzielające nasz świat od świata naturi, wiele z tych istot zdążyło się przez nie wymknąć i czaiło się w cieniu. Aurora była na ziemi. Wiedziałam, że nadal żyje, choć tak bardzo życzyłam jej śmierci. Poddani znaleźli jakiś sposób na uleczenie jej ran.

Przeklinałam siebie za własną słabość. Powinnam była zignorować Rowe'a i dobić Aurorę.

Należało wyciąć jej serce i pozwolić na to, żeby Rowe zabił mnie. Uległam jednak chwilowej słabości.

Królowa naturi pozostawała na razie beczynna, ale wiedziałam, że wkrótce opracuje nowy plan ataku. Na razie musiała zająć się swoimi poddanymi. Ale nie wątpiłam, że jestem na czele jej listy spraw do załatwienia. Co noc budziłam się przerażona, z obawą, że zobaczę naturi stojącego koło mojego łóżka z zaostrzonym kołkiem w ręku.

Na razie obchodziło mnie głównie pozostanie przy życiu oraz moja nowa rodzina.

Tristan był markotny i zgnębiony po śmierci Sadiry. Przyzwyczał się do roli sługi zapatrzonemu w swoją panią. Ja nie chciałam nikogo takiego ani nie potrzebowałam służącego. Jednak pozwoliłam mu zostać. Coś w jego oczach przypominało mi Michaela, którego zwłok jeszcze nie udało się odnaleźć. Nie miałam pojęcia, kto mógł je zabrać, i coś we mnie czekało, aż ujrzę je nagle, straszliwie pokiereszowane, w stanie rozkładu. Ale to nie było ważne. Nie zdołałam uchronić swojego anioła stróża, lecz mogłam spróbować nauczyć Tristana sposobów na przetrwanie. I to musiało wystarczyć.

Amanda i Knox powrócili do dawnego życia w Savannah, chociaż oboje czuwali nade mną baczniej niż poprzednio. Wszyscy byliśmy teraz ostrożniejsi, bo naturi czaili się gdzieś w naszym świecie. Nikt już nie palił się do samotnych polowań, a nasze stosunki z wilkołakami nieodwracalnie się popsuły.

Rozległa się nowa piosenka, trochę wolniejsza, bardziej melancholijna. Omiotłam spojrzeniem roztańczony tłum na parkiecie. Nie byłam w nastroju na łowy ani też specjalnie głodna. O dziwo, coraz bardziej się nudziłam. Wcześniej tęskniłam za swoim miastem, ale teraz, kiedy w nim byłam, zaczynało mnie nosić. Odsunęłam się od innych nocnych wędrowców, z wyjątkiem Tristana, szukając samotności, lecz teraz znowu miałam ochotę gdzieś wyruszyć. Zbyt wiele spraw pozostało niewyjaśnionych po starciu w Machu Picchu i musiałam czekać, aż inni zaczną działać. Jakaś część

mnie chciała ujrzeć Danausa, jak wchodzi tu, przez te drzwi, z marsową miną na ponurej twarzy i wiadomością, że wydarzyło się coś strasznego. Ale nawet on gdzieś przepadł po Machu Picchu.

Nowe poczucie pustki nabrzmiało w mojej piersi, kiedy tylko pomyślałam o Danausie.

Świat wydawał się bez niego zimny. Jakoś przywykłam do tego ciepłego tchnienia mocy, jaką emanował; do jego myśli i odczuć obecnych gdzieś na skraju mojego umysłu.

Wzdychając, już miałam opuścić Ciemnię i poszukać jakiegoś spokojniejszego miejsca, gdzie mogłabym spędzić wieczór, kiedy wyczułam, że ktoś znajomy wchodzi do klubu. Tristan stanął w wejściu i zlustrował mroczne wnętrza, ale to nie on przyciągnął moją uwagę. Zatrzymałam się i powęszyłam w powietrzu, wyłapując delikatną nutę wody kolońskiej, jakiej nie czułam od pewnego czasu. Powoli zdjęłam stopy z krzesła, na którym je opierałam, postawiłam na podłodze i usiadłam prosto. Moje oczy od razu wyłowiły szczupłą postać, na widok, której uśmiech pojawił się na moich ustach. James Parker przeszedł obok masywnego, wytatuowanego człowieka z fioletowymi włosami, poprawiając nerwowo granatowo-czerwony krawat. Okulary w złotych oprawkach należące do tego badacza z Temidy połyskiwały w bladym, przydymionym świetle.

Przesunęłam językiem po zębach i uśmiechnęłam się, poruszając wargami i odsłaniając kły. Danaus nigdy nie przysłałby badacza z Temidy na moje terytorium. Zjawiłby się sam, gdyby czegoś chciał. A jednak siwowłose czarownik Ryan mógł się okazać interesującym partnerem w nowej grze i to pewnie on skierował do mnie swojego emisariusza.

Może ta noc wcale nie zapowiadała się tak źle.

